

KELLY LINK

Magia dla
Początkujących

Przełożył
Konrad Walewski

Wydawnictwo Dolnośląskie



Tytuł oryginału

Magic for Beginners

Ilustracja na okładce

Shelley Jackson

na podstawie *Damy z gronostajem* Leonarda da Vinci,

Muzeum Czartoryskich, Kraków

Projekt okładki

Konrad Walewski

Redakcja

Renata Otolińska

Korekta

Dorota Lis-Olszewska

Redakcja techniczna

Jacek Sajdak

Copyright © 2005 by Kelly Link

Copyright © for the Polish edition by Publicat S.A. MMVIII

ISBN 978-83-245-8617-2

Wrocław 2008

Wydawnictwo Dolnośląskie

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

oddział Publicat SA w Poznaniu

tel. 071 785 90 40, fax 071 785 90 66

e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

www.wydawnictwodolnoslaskie.pl

Gavinowi
oraz księgarni Avenue Victor Hugo,
w której się poznaliśmy

CZARODZIEJSKA TOREBKA

Swego czasu chodziłam z przyjaciółmi do sklepów z używanymi rzeczami. Wsiadaliśmy w pociąg do Bostonu i jechaliśmy do Tekstylnych Rewirów - wielkiego, staromodnego składu odzieżowego. Wszystko w nim jest poukładane według kolorów, co sprawia, że znajdujące się tam ubrania prezentują się przepięknie. To trochę tak, jakbyście przechodzili przez szafę w *Opowieściach z Narnii*, tyle tylko, że zamiast spotkać Aslana, Białą Czarownicę czy tego okropnego Eustachego, trafilibyście do magicznego świata ubrań, który zamiast mówiących zwierząt, zamieszkuje boa z piór, suknie ślubne, pantofle do gry w kręgle, koszule w „tureckie” wzory czy martensy. Wszystko to umieszczone jest na wieszakach, więc najpierw widzicie suknie czarne, które wyglądają razem jak największy na świecie pogrzeb, a dalej wiszą suknie błękitne, we wszystkich odcieniach tej barwy, jakie można sobie wyobrazić, a po nich suknie czerwone i tak dalej. Czerwienie są różowawe i purpurowe, o pomarańczowym odcieniu i cukierkowe. Niekiedy zamykałam oczy, a Natasha, Natalie i Jake zaciągali mnie do któregoś z wieszaków i pocierali mi po dłoni jakąś sukienką.

- Zgadnij, jaki to kolor - pytali.

Mieliśmy taką teorię, że po dotyku można się nauczyć, jak rozpoznawać kolory różnych rzeczy. Na przykład, kiedy siedzicie na trawniku, możecie z zamkniętymi oczami określić, w jakim odcieniu zieleni jest trawa, w zależności od tego, jak bardzo jedwabista i sprężysta jest ona pod palcami. Jeśli chodzi o ubrania, rzeczy z elastycznego aksamitu zawsze dają wrażenie czerwieni, kiedy dotyka się je z zamkniętymi oczyma, nawet jeśli nie są wcale czerwone. Natasha od zawsze potrafiła najlepiej odgadywać kolory, ale Natasza potrafi też najlepiej oszukiwać w karty i nie dać się przyłapać.

Pewnego razu szperaliśmy w dziecięcych koszulkach z krótkim rękawem i znaleźliśmy jedną z Muppetami, która należała kiedyś do Natalie, gdy chodziła do trzeciej klasy. Poznaliśmy, że to jej koszulka, bo wciąż na lewej stronie było widać imię, które jej mama wypisała niezmywalnym flamastrem, kiedy Natalie jechała latem

na kolonie. Jake kupił jej tę koszulkę, bo tylko on miał w ten weekend pieniądze. Tylko on miał pracę.

Pewnie zastanawiacie się, co taki facet, jak Jake robi w Tekstylnych Rewirach z grupką dziewczyn. Z Jakiem jest tak, że on zawsze świetnie się bawi bez względu na to, co robi. Lubi wszystko i wszystkich, ale najbardziej lubi mnie. Gdziekolwiek teraz jest, założę się, że świetnie się bawi i zastanawia się, kiedy do niego dołączę. Bo ja zawsze się spóźniam, ale on o tym dobrze wie.

Mieliśmy taką teorię, że przedmioty tak samo jak ludzie posiadają swój życiowy cykl. Otóż jeden z etapów cyklu życiowego sukni ślubnej, boa z piór, koszulki z krótkim rękawem, butów i torebek obejmuje Tekstylne Rewiry. Jeśli ubrania są grzeczne, a nawet gdy są niegrzeczne, ale jednocześnie interesujące, to Tekstylne Rewiry są miejscem, do którego trafiają po śmierci. Możecie łatwo poznać, że nie żyją - po zapachu. Kiedy je kupujecie, pierzecie i zaczynacie na nowo nosić, przenikają waszą wonią, a wówczas otrzymują nowe wcielenie. Ale cała sztuka polega na tym, że jeśli już szukacie jakiejś konkretnej rzeczy, to musicie się przyłożyć. Trzeba szukać wytrwale.

W podziemnej części Tekstylnych Rewirów sprzedają na kilogramy ubrania, sfatygowane walizki oraz filizanki. Za osiem dolarów można kupić sobie cztery kilo sukien balowych - obcisłą czarną, wzorzystą lawendową, lejącą się różową, srebrzystą, gwiazdzistą brokatową, tak cieką, że można przeciągnąć ją przez dziurkę od klucza. Jeżdżę tam co tydzień i poluję na czarodziejską torebkę babci Zofii.

Czarodziejska torebka jest wielka, czarna i jakaś taka kosmata. Nawet mając zamknięte oczy, czuje się pod palcami jej czerń. Tak głęboką, jak to tylko możliwe; jak gdyby dotykając jej, wasza dłoń mogła utknąć w niej niczym w smole albo czarnych ruchomych piaskach, albo kiedy nocą, wyciągając rękę, żeby zapalić światło, czujecie tylko ciemność.

Mieszkają w niej wróżki. Wiem, jak to brzmi, ale to prawda.

Babcia Zofia powiedziała kiedyś, że to rodzinne dziedzictwo. Utrzymywała, że torebka liczy sobie ponad dwieście lat. Oświadczyła, że kiedy umrze, to ja będę musiała się zajmować torebką. Zostanę jej strażniczką. Dodała, że będzie to mój obowiązek.

Odparłam, że nie wygląda na taką starą i że dwieście lat temu nie nosiło się

torebek, ale to ją tylko zezłościło. Mruknęła:

- Powiedz mi wobec tego, moja droga Genevieve, gdzie twoim zdaniem, dawniej damy trzymały swoje okulary do czytania, lekarstwa na serce i szydełka?

Wiem, że nikt mi w to wszystko nie uwierzy. Nie szkodzi. Gdybym sądziła, że mi uwierzycie, nie mogłabym wam o tym opowiedzieć. Obiecujcie, że nie uwierzycie w ani jedno słowo. Tak dawniej mawiała do mnie Zofia, kiedy opowiadała mi bajki. Na jej pogrzebie moja mama, na wpół płacząc, a na wpół śmiejąc się, stwierdziła, że babcia była największą kłamczucha na świecie. Pewnie pomyślała sobie, że babcia wcale nie umarła. Ale ja podeszłam do trumny i spojrzałam jej prosto w oczy. Były zamknięte. Zakład pogrzebowy podmalował je błękitnym cieniem do powiek i niebieską kredką. Zofia wyglądała tak, jakby zamiast być nieboszczką, miała zostać nową prezenterką w wiadomościach na kanale Fox. Było to odrażające i zrobiło mi się jeszcze smutniej. Ale nie dałam wytrącić się z równowagi.

- No dobra, Zofia - wyszeptałam. - Wiem, że nie żyjesz, ale to ważne. Doskonale wiesz, jak bardzo. Gdzie jest czarodziejska torebka? Co z nią zrobiłaś? Jak mam jej szukać? Co mam teraz robić?

Rzecz jasna nie odezwała się nawet słowem. Leżała tam z uśmiechem na twarzy, jak gdyby uznała, że cała ta historia - śmierć, błękitny cień do powiek, Jake, torebka, wróżki, scrabble, Łysoleziwurlekistan, i w ogóle wszystko - była jakimś żartem. Doprawdy, zawsze miała niesamowite poczucie humoru - pewnie dlatego ona i Jake tak świetnie się rozumieli.

Wychowałam się w domu tuż obok tego, w którym mieszkała moja mama, kiedy była dziewczynką. Jej matka, a moja babcia, Zofia Swink, zajmowała się mną, kiedy rodzice byli w pracy.

Zofia nigdy nie wyglądała jak babcia. Miała duże i błękitne oczy oraz długie czarne włosy, które splatała w dwa warkocze niczym spiczaste wieże. Była wyższa od mojego ojca. Wyglądała jak szpieg albo balerina, albo piratka, albo gwiazda rocka. I tak też się zachowywała. Na przykład nigdy nie jeździła nigdzie samochodem, tylko pedałowala na rowerze. Doprowadzało to moją mamę do szalu.

- Czemu nie zachowujesz się tak, jak przystało na twój wiek? - złościła się, a Zofia tylko się śmiała.

Razem z Zofią bez przerwy grałyśmy w scrabble. Mimo że jej angielski nie był olśniewający, zawsze wygrywała, ponieważ ustaliłyśmy, że wolno jej używać

łysoleziwurlekistańskiego słownictwa. Łysoleziwurlekistan to kraj, w którym ponad dwieście lat temu Zofia przysłała na świat. (Moja babcia utrzymywała, że liczy sobie ponad dwieście lat. A może i więcej. Czasami nawet twierdziła, że poznała Czyngis-chana. Był od niej znacznie niższy. Ale coś mi się zdaje, że nie mam czasu, żeby opowiedzieć wam tę historię). Łysoleziwurlekistan to również słowo, za które można zgarnąć niesamowicie dużo punktów w scrabble, mimo że w sumie nie mieści się ono na planszy. Zofia ułożyła je, kiedy grałyśmy po raz pierwszy, w duchu zacierałam z zadowolenia ręce, ponieważ podczas mojej kolejki zdobyłam czterdzieści punktów za słowo „błyskawiczny”.

Zofia przestawiała literki na swoim stojaku. Wreszcie spojrzała na mnie tak, jakby rzucała mi wyzwanie, żebym spróbowała ją powstrzymać, i do „łysol” dołożyła „eziwurlekistan”. Wykorzystała słowa „pyszny”, „błyskawiczny”, „życzenia”, „los” oraz „druz”, a z „do” zrobiła „dok”. „Łysoleziwurlekistan” przechodziło w poprzek przez całą planszę, a dalej wychodziło poza nią po prawej stronie.

Roześmiałam się.

- Zużyłam wszystkie literki - triumfowała Zofia. Polizała ołówek i zabrała się do podliczania punktów.

- To nie jest żadne słowo - stwierdziłam. - Nie ma czegoś takiego, jak „Łysoleziwurlekistan”. Poza tym tak nie można. Nie wolno ci ułożyć słowa, które składa się z dziewiętnastu liter, na planszy liczącej piętnaście pól w szer.

- A to czemu? To taki kraj - dowodziła Zofia. - Tam właśnie się urodziłam, moje dziecko.

- Sprawdźmy - powiedziałam. Przyniosłam słownik i spróbowałam go odszukać. - Nie ma takiego miejsca - stwierdziłam.

- Oczywiście, w dzisiejszych czasach już nie istnieje - upierała się Zofia. - Nie był to zbyt duży kraj, nawet wtedy, kiedy istniał. Ale słyszałaś zapewne o Samarkandzie, Uzbekistanie, Jedwabnym Szlaku i Czyngis-chanie. Opowiadałam ci już o tym, jak poznałam Czyngis-chana?

Odszukałam w słowniku Samarkandę.

- No dobra - mruknęłam. - Samarkanda istnieje naprawdę. Jest takie słowo. Ale Łysoleziwurlekistanu nie ma.

- Teraz nazywają go jakoś inaczej - stwierdziła Zofia. - Ale moim zdaniem trzeba pamiętać, gdzie są nasze korzenie. Sprawiedliwość wymaga, abym używała słów łysoleziwurlekistańskich. Twoja angielszczyzna jest o wiele lepsza od mojej. Obiecuję

mi coś, pulpeciku, coś bardzo, bardzo drobnego. Zapamiętasz jego prawdziwą nazwę. Łysoleziwurlekistan. Po podliczeniu wychodzi mi, że zdobyłam trzysta sześćdziesiąt osiem punktów. Zgadza się?

Gdybyście wymówili właściwą nazwę czarodziejskiej torebki, brzmiałaby ona mniej więcej tak: „orzipanikanikcz”, co oznacza: „skórzana torba, w której żyje świat”, tyle że Zofia nigdy nie przeliterowała tego słowa dwa razy identycznie. Twierdziła, że za każdym razem trzeba to robić trochę inaczej. Nigdy nie można przeliterować go dokładnie tak samo, ponieważ jest to niebezpieczne.

Nazywałam ją czarodziejską torebką, bo kiedyś ułożyłam słowo „czarodziei” na planszy do scrabble. Zofia uparła się, że pisze się je przez „ji”, a nie przez „i”. Sprawdziła w słowniku i straciła kolejkę.

Zofia opowiadała, że Łysoleziwurlekistańczycy używają planszy i płytek do uprawiania wróżbiarstwa, przepowiadania przyszłości, a czasami tylko do zabawy. Twierdziła, że to trochę tak jak gra w scrabble. Pewnie dlatego okazała się takim dobrym graczem. Łysoleziwurlekistańczycy używali swych płytek i planszy, żeby komunikować się z ludźmi mieszkającymi pod wzgórzem. Ludzie ci znali przyszłość. Łysoleziwurlekistańczycy dawali im zsiadłe mleko i miód, a młode kobiety z wioski chodziły na wzgórze, kładły się na jego zboczach i spały pod gwiazdami. Widocznie ludzie spod wzgórza byli całkiem mili. Ważną rzeczą było to, że nigdy nie wchodziło się pod wzgórze, by spędzić w tym miejscu noc, bez względu na to, jak ujmujący był facet, który tam mieszkał. Jeślibyście tak zrobili, to choćbyście spędzili pod wzgórzem tylko jedną noc, po powrocie mogłoby się okazać, że upłynęło nawet i sto lat.

- Pamiętaj - pouczała mnie Zofia - nieważne, jak bardzo czarujący jest facet. Jeśli chce, żebyś jeszcze raz do niego przyszła, to na nic. Poflirtować nie zaszkodzi, ale nie zostawaj na noc.

Raz na jakiś czas kobieta spod wzgórza wychodziła za mąż za mężczyznę z wioski, choć zwykle miało to opłakane skutki. Kłopot tkwił w tym, że kobiety spod wzgórza fatalnie gotowały. Nie potrafiły przyzwyczać się do tego, jak w wiosce płynie czas, co oznaczało, że kolacja była zawsze przypalona bądź przeciwnie - niedogotowana. Ale trudno im było znosić krytykę. Raniała ich uczucia. Jeśli ich mąż z wioski narzekał albo nawet jeśli tylko wyglądał tak, jakby miał ochotę ponarzekać, to wystarczyło. Kobieta spod wzgórza wracała do rodzinnego domu i nawet jeśli mąż biegł za nią i błagał, tłumaczył się i przeproszał, mogły upłynąć trzy lata, trzydzieści, albo i kilka pokoleń,

zanim do niego powróciła.

Nawet najlepsze, najszczęśliwsze małżeństwa Łysoleziwurlekistańczyków i ludzi spod wzgórza rozpadały się, kiedy dzieci były na tyle duże, by narzekać na obiad. Ale każdy w wiosce miał w swoich żyłach domieszkę krwi ludzi spod wzgórza.

- Ty też ją masz - wyznała Zofia i pocałowała mnie w nos. - Została nam przekazana przez moją babcię i jej matkę. Dlatego jesteśmy takie piękne.

Kiedy Zofia miała dziewiętnaście lat, szamanka-kapłanka w jej wiosce rzuciła płytkami i odkryła, że wydarzy się coś złego - zbliżała się wataha najeźdźców. Stawać przeciw nim do walki nie miało sensu. Spaliliby każdy dom, a młodych mężczyzn i kobiety zabraliby do niewoli. Ale sytuacja była jeszcze gorsza. Miało również nadejść trzęsienie ziemi, co stanowiło paskudną wiadomość, ponieważ zwykle, kiedy pojawiali się najeźdźcy, wszyscy mieszkańcy wioski schodzili na całą noc pod wzgórze, a kiedy z powrotem stamtąd wychodzili, najeźdźców nie było już od miesięcy, dziesięcioleci albo i setek lat. Ale owo trzęsienie ziemi miało tym razem całkiem rozpołować wzgórze.

Ludzie spod wzgórza znaleźli się w tarapatach. Ich siedlisko miało zostać zniszczone, a oni, skazani na tułaczkę po całym świecie, mieli płakać i lamentować nad swoim losem dopóty, dopóki nie zgaśnie słońce, pęknie niebo, morza zagotują się, a ludzie rozeschną się w pył, który rozdmucha wiatr. Toteż szamanka-kapłanka wróżyła dalej, a ludzie spod wzgórza poprosili ją, żeby zabiła czarnego psa, opracowała go, a ze skóry uszyła torbę takiej wielkości, żeby zmieściły się w niej kurczak, jajko i garnek. Tak też uczyniła, a wówczas ludzie spod wzgórza tak przygotowali wnętrze torby, że mogło pomieścić całą wioskę i wszystkich ludzi spod wzgórza, a także góry i lasy, morza, rzeki i jeziora, sady, i niebo z gwiazdami, i duchy, bajeczne stwory, syreny, smoki, driady, małe syrenki, zwierzaki, oraz wszystkich bożków, którym Łysoleziwurlekistańczycy, a także ludzie spod wzgórza oddawali cześć.

- Twoja torebka jest zrobiona z psiej skóry? - skrzywiłam się. - To obrzydliwe!

- Moje drogie dziecko - westchnęła ze smutkiem na twarzy Zofia - psy są bardzo smaczne. Dla Łysoleziwurlekistańczyków to prawdziwe delicje.

Nim zjawiała się wataha najeźdźców, wszyscy wieśniacy spakowali swój dobytek i przenieśli się do torby. Zatrzask sporządzono z kości. Jeśli otworzyło się ją w jedną stronę, była to zwykła torebka zdolna pomieścić kurczaka, jajko oraz gliniany garnek do gotowania, albo parę okularów do czytania, wypożyczoną z biblioteki książkę i pudełeczko na lekarstwa. Jeśli otworzyło się zatrzask w drugą stronę, wówczas

trafiało się do łódeczki unoszącej się na wodach ujścia rzeki. Po obu stronach rozciągał się las, w którym łysoleziwurlekistańscy wieśniacy oraz ludzie spod wzgórz budowali swoje nowe siedlisko.

Jeśli jednak otworzyło się torbę nieprawidłowo, można było znaleźć się w krainie ciemności, która tchnęła wonią krwi. Tam właśnie mieszkał strażnik torby (ów pies, z którego skóry została uszyta). Był pozbawiony skóry. Jego skowyt sprawiał, że z nosa i uszu leciała krew. Rozrywał na strzępy każdego, kto przekreślił zatrzask w przeciwną stronę i nieprawidłowo otworzył torebkę.

- Tak otwiera się torebkę nieprawidłowo - wyjaśniła Zofia. Przekreśliła zatrzask, demonstrując mi, jak to się robi. Rozwarła górę torebki, ale niezbyt szeroko, i uniosła ją w moją stronę. - Śmiało, kochanie, posłuchaj przez chwilę.

Przystawiłam ucho do torebki, ale nie za blisko. Niczego nie usłyszałam.

- Niczego nie słyszę - stwierdziłam.

- Biedna psina pewnie śpi - zafrasowała się Zofia. - Nawet koszmary muszą od czasu do czasu pospać.

Po tym, jak wylali Jake'a ze szkoły, wszyscy, zamiast mówić do niego po imieniu, nazywali go Houdinim. Wszyscy oprócz mnie. Wyjaśnię dlaczego, ale musicie być cierpliwi. To nie taka prosta sprawa opowiedzieć wszystko w odpowiedniej kolejności.

Jake jest mądrzejszy, a przy tym wyższy niż większość naszych nauczycieli, choć nie jest aż tak wysoki jak ja. Znamy się od trzeciej klasy. Jake zawsze się we mnie kochał. Twierdzi, że kochał się we mnie nawet przed trzecią klasą, zanim się jeszcze poznaliśmy. Ja potrzebowałam trochę czasu, żeby się w nim zakochać.

W trzeciej klasie Jake wiedział już wszystko z wyjątkiem tego, jak zdobywać przyjaciół. Zwykle łąził za mną przez cały boży dzień. Tak mnie to kiedyś wkurzyło, że kopnęłam go w kolano. Kiedy to nie pomogło, wyrzuciłam mu plecak przez okno szkolnego autobusu. To też nie poskutkowało, ale w następnym roku Jake przystąpił do jakichś testów i rada pedagogiczna zdecydowała, że może przeskoczyć czwartą i piątą klasę. Wówczas nawet było go żal. W szóstej klasie jakoś mu się nie układało. Kiedy szóstoklasiści nie przestawali wpychać mu głowy do klozetu i spuszczać wodę, Jake złapał gdzieś skunksa i wypuścił go w szatni dla chłopców.

Rada pedagogiczna zamierzała go zawiesić do końca roku, ale tymczasem Jake sam zrobił sobie dwa lata wolnego, podczas których uczył się w domu z matką. Pobierał lekcje łaciny, hebrajskiego i greki, pisania sekstyn, robienia sushi, gry w

brydża, a nawet robienia na drutach. Uczył się fechtunku i tańców balowych. Pracował w stołówce dla bezdomnych i nakręcił ośmiomilimetrywką film o osobach rekonstruujących sceny z wojny secesyjnej, które zamiast strzelać z dział, oddają się w pełnym rynsztunku grze w ekstremalną odmianę krykieta. Zaczął uczyć się gry na gitarze. Napisał nawet powieść. Nigdy jej nie przeczytałam - Jake twierdził, że jest okropna.

Kiedy po dwóch latach wrócił do szkoły - jego matka zachorowała wówczas po raz pierwszy na raka - umieścili go z powrotem z naszym rocznikiem, w siódmej klasie. Wciąż był o wiele za mądry, ale w końcu nabrał rozsądku na tyle, by wiedzieć, jak się dostosować. A poza tym dobrze grał w piłkę nożną i był naprawdę słodki. Wspomniałam już, że grał na gitarze? Wszystkie dziewczyny w szkole durzyły się w Jake'u, ale on po lekcjach szedł ze mną, grał w scrabble z Zofią i wypytywał ją o Łysoleziwurlekistan.

Matka Jake'a miała na imię Cynthia. Kolekcjonowała ceramiczne żabki oraz żarty-zagadki oparte na kalamburach słownych. Kiedy byliśmy w dziewiątej klasie, miała nawrót choroby. Po śmierci matki Jake porozbijał wszystkie żabki. Był to w moim życiu pierwszy pogrzeb, w jakim uczestniczyłam. Kilka miesięcy później ojciec Jake'a zaprosił na randkę jego nauczycielkę fechtunku. Pobrali się wkrótce po tym, jak Jake'a wywalili ze szkoły za projekt o Houdinim. Był to w moim życiu pierwszy ślub, w jakim uczestniczyłam. Ukradliśmy z Jakiem butelkę wina i wypiliśmy ją - ja porzygałam się do basenu ośrodka, a Jake zarzygał mi całe buty.

No więc cała wioska oraz ludzie spod wzgórza żyli długo i szczęśliwie przez kilka tygodni w torbie, którą przywiązali do skały w wyschniętej studni. Została ona uprzednio wybrana przez ludzi spod wzgórza jako ta, która przetrzyma trzęsienie ziemi. Ale niektórzy z Łysoleziwurlekistańczyków chcieli wyjść z powrotem i przekonać się, co dzieje się na świecie. Zofia była jedną z nich. Kiedy weszli do torby było lato, lecz kiedy z niej wyszli i wydostali się ze studni, padał śnieg, a z ich wioski zostały tylko rozsypujące się ruiny i zgliszcza. Przedzierali się przez zasy - Zofia niosła torbę - póki nie dotarli do innej wioski, takiej, której nigdy wcześniej nie widzieli. Wszyscy w niej pakowali właśnie swój dobytek i uciekali, co sprawiło, że Zofia i jej przyjaciele nabrali złych przeczuć. Wyglądało na to, że sytuacja jest taka sama jak wówczas, kiedy ratując się, weszli do torby.

Ruszyli za uciekinierami, którzy zdawali się wiedzieć, dokąd się kierują, aż w

końcu wszyscy trafili do miasta. Zofia nigdy wcześniej nie widziała podobnego miejsca. Były tam pociągi i światło elektryczne, kina oraz ludzie, którzy do siebie strzelali. Spadały bomby. Trwała bowiem wojna. Większość wieśniaków postanowiła wejść z powrotem do torby, ale Zofia zgłosiła się na ochotnika, aby zostać na świecie i opiekować się torbą. Zakochała się w filmach, jedwabnych pończochach oraz pewnym młodzieńcu - rosyjskim dezercerze.

Zofia i rosyjski dezercer pobrali się i mieli mnóstwo przygód, aż w końcu trafili do Ameryki, gdzie urodziła się moja mama. Co jakiś czas Zofia radziła się płytek i rozmawiała z ludźmi, którzy mieszkali w torbie, a oni podpowiadali jej, jak najlepiej unikać kłopotów oraz w jaki sposób mogliby z mężem zarobić trochę pieniędzy. Od czasu do czasu ktoś z Łysoleziwurlekistańczyków albo z ludzi spod wzgórza wychodził z torby, bo chciał skoczyć do sklepu po zakupy, do kina, do parku rozrywki, żeby przejechać się kolejką górską, albo pójść do biblioteki.

Im więcej rad udzielała Zofia swojemu mężowi, tym więcej pieniędzy zarabiali. Zaczął interesować się jej torebką, ponieważ zauważył, że jest dziwna, ale Zofia powiedziała mu, żeby pilnował swojego nosa. Zaczął ją śledzić i spostrzegł, że jacyś dziwni mężczyźni oraz kobiety wchodzi i wychodzą z domu. Nabral przekonania, że albo Zofia szpieguje na rzecz komunistów, albo co chwilę ma nowy romans. Coraz częściej się kłócili i pili, aż wreszcie mąż wyrzucił jej płytki do wróżenia.

- Rosjanie są marnymi mężami - oświadczyła Zofia. W końcu, pewnej nocy, kiedy Zofia spała, jej mąż otworzył kościany zatrzask i wszedł do torby.

- Myślałam, że mnie rzucił - opowiadała Zofia. - Przez dwadzieścia lat żyłam w przekonaniu, że mnie zostawił i dał nogę do Kalifornii. Nie żebym się tym przejęła, bo zmęczyły mnie małżeństwo, gotowanie obiadów i sprzątanie domu dla kogoś. Lepiej jest gotować to, co ma się ochotę zjeść, i sprzątać wtedy, kiedy uzna się to za stosowne. Ale twojej mamie było ciężko bez ojca. Tym się najbardziej przejmowałam.

- Wtedy wyszło na jaw, że właściwie to nigdzie nie uciekł. Spędził jedną noc w torbie, a potem wyszedł z niej dwadzieścia lat później tak samo przystojny, jak go pamiętałam. Minęło też wystarczająco dużo czasu, żebym zapomniała o wszystkich kłótniach. Pogodziliśmy się i zrobiło się bardzo romantycznie, a potem, kiedy rano znów się pokłóciliśmy, poszedł pocałować twoją mamę, która przespała całą jego wizytę, w policzek, po czym wlaź z powrotem do torby. Nie widziałam się z nim przez następne dwadzieścia lat. Ostatnim razem, kiedy się pojawił, poszedł do kina na *Gwiezdne wojny*, które podobały mu się tak bardzo, że wrócił do torby, żeby

opowiedzieć o nich innym. Za kilka lat wszyscy się zjawią i będą chcieli oglądać tę i następne części filmu na wideo.

- Powiedz im, żeby sobie darowali te, które opowiadają o wcześniejszych wydarzeniach - mruknęłam.

Cały kłopot z Zofią polega na tym, że wiecznie gubi wypożyczone książki. Ona twierdzi, że wcale ich nie zgubiła i że właściwie to nie są wcale przetrzymane. Dzieje się tak dlatego, że nawet jeden tydzień w czarodziejskiej torbie to znacznie dłuższy czas w świecie biblioteki. Więc co ona może na to poradzić? Wśród bibliotekarek Zofia jest osobą znienawidzoną. Ma zakaz wypożyczania we wszystkich filiach w okolicy. Kiedy miałam osiem lat, nakłoniła mnie, żebym poszła do biblioteki i wypożyczyła całą stertę biografii, dzieł naukowych i romansów Georgette Heyer. Moja mama była wściekła, kiedy się o tym dowiedziała, ale było za późno, bo Zofia zdążyła już większość z tych książek zachachmęcić.

Trudno doprawdy pisać o kimś, jak gdyby naprawdę nie żył. Wciąż wydaje mi się, że Zofia siedzi w salonie swojego domu, ogląda jakieś stare horrory, wrzuca prażoną kukurydzę do swojej torby i czeka, aż wpadnę do niej pograć w scrabble.

Teraz już nikt nigdy nie odda tych książek do biblioteki.

Moja mama często wracała z pracy i przewracała oczami.

- Opowiadałaś im te swoje banialuki? - złościła się. - Genevieve, twoja babcia jest okropną kłamczucha.

Zofia składała planszę do scrabble, spoglądała na mnie oraz Jake'a i wzruszała ramionami.

- Jestem wspaniałą kłamczucha - oświadczała. - Jestem najlepszą kłamczucha na świecie. Obiecujcie, że nie uwierzycie w ani jedno słowo.

Ale nie opowiadała Jake'owi historii czarodziejskiej torebki. Tylko stare łysoleziwurlekistańskie legendy i bajki o ludziach spod wzgórze. Opowiadała mu o tym, jak ona i jej mąż zjechali całą Europę, ukrywając się w stogach siana i stodołach, i o tym, jak raz, kiedy jej mąż poszedł zdobyć coś do jedzenia, jeden rolnik przyłapał ją schowaną w kurniku i próbował zgwałcić. Ale otworzyła czarodziejską torebkę tak, jak mi to pokazywała i wyskoczył z niej pies, pożarł tamtego, a do tego wszystkie kurczaki.

Uczyła nas, jak przeklinać po łysoleziwurlekistańsku, wiem również, jak się mówi, „kocham cię”, ale nie mam zamiaru już nigdy nikomu tego powiedzieć, oprócz Jake'a, kiedy go odnajdę.

Kiedy miałam osiem lat, wierzyłam we wszystko, co opowiadała mi Zofia. Nim skończyłam trzynaście, nie wierzyłam w ani jedno jej słowo. A kiedy miałam piętnaście lat, zobaczyłam, jak z jej domu wychodzi jakiś mężczyzna, wsiada na trzybiegowy rower Zofii i pedałuje ulicą. Miał na sobie dziwne ubranie. Był sporo młodszy od moich rodziców i mimo że nigdy wcześniej go nie widziałam, wyglądał znajomo. Pojechałam za nim na rowerze aż do sklepu spożywczego. Czekałam tuż za wyjściem przy kasach, a on w tym czasie kupił masło orzechowe, Jacka Danielsa, sześć aparatów fotograficznych jednorazowego użytku i co najmniej sześćdziesiąt opakowań ciasteczek Reese's z masłem orzechowym, trzy torby czekoladek Hershey's Kisses, garść batoników Milky Way i jeszcze parę rzeczy ze stojaków ze słodyczami przy kasie. Podczas gdy kasjerka pomagała mu spakować te wszystkie łakocie, mężczyzna podniósł wzrok i spostrzegł mnie. - Genevieve? - odezwał się. - Tak masz na imię, prawda?

Odwrociłam się i wybiegłam ze sklepu. Chwycił torby i wybiegł za mną. Zdaje się, że nawet nie zabrał reszty. Wciąż uciekałam, gdy w pewnej chwili jeden z pasków moich japoniek wyskoczył z podeszwy, tak jak to się czasem zdarza, co mnie mocno rozzłościło, więc zatrzymałam się i odwróciłam.

- Coś ty za jeden? - zapytałam.

Ale już wiedziałam. Wyglądał jak ktoś, kto mógłby być młodszym bratem mojej mamy. Był naprawdę przystojny. Zrozumiałam, czemu Zofia się w nim zakochała.

Miał na imię Rustan. Zofia naopowiadała moim rodzicom, że jest ekspertem od łysoleziwurlekistańskiego folkloru i zatrzyma się u niej na kilka dni. Przyprowadziła go na kolację. Był też na niej Jake, a ja zorientowałam się, iż wie, że coś wisi w powietrzu. Wszyscy oprócz mojego taty wiedzieli, że coś się dzieje.

- To znaczy, że Łysoleziwurlekistan istnieje naprawdę? - mama spytała Rustana. - Moja matka mówi prawdę?

Spostrzegłam, że Rustan ma z odpowiedzią spory problem. Chciał oczywiście przyznać, że jego żona jest okropną kłamczucha, ale w jakim świetle by go to postawiło? Nie mógłby uchodzić za tego, za kogo się podawał.

Istniało zapewne wiele spraw, o których chciał powiedzieć, ale stwierdził tylko:

- Świetna pizza.

Podczas tej kolacji Rustan zrobił sporo zdjęć, które nazajutrz poszłam z nim wywołać. Wziął też ze sobą film ze zdjęciami, jakie porobił wewnątrz torby, ale nie wyszły dobrze. Może klisza była za stara. Zamówiliśmy podwójne odbitki zdjęć z kolacji, żebym też mogła je mieć. Jest tam świetna fotka Jake'a, gdy siedzi sobie na werandzie. Śmieje się i ma podniesioną do ust dłoń, jak gdyby chciał złapać swój śmiech. Mam to zdjęcie w komputerze i jeszcze na ścianie, nad łóżkiem.

Kupiłam Rustanowi czekoladowe nadziewane jajko Cadbury. Potem uścisnęliśmy sobie dłonie, a on pocałował mnie po jednym razie w każdy policzek.

- Jeden jest dla twojej mamy - powiedział, a ja pomyślałam o tym, że kiedy spotkamy się następnym razem, być może będę już w wieku Zofii, a on starszy tylko o kilka dni. A kiedy zobaczę się z nim jeszcze następnym razem, Zofia nie będzie już żyła. Jake i ja pewnie będziemy mieć swoje dzieci. To wszystko było strasznie zakręcone.

Wiem, że Rustan starał się nakłonić Zofię, żeby poszła z nim mieszkać w torbie, ale nie chciała.

- Kiedy tam jestem, mam zawroty głowy - tłumaczyła mi. - I nie mają tam kin. A ja muszę się opiekować tobą i twoją mamą. Może kiedyś, gdy będziesz na tyle dorosła, żeby zajmować się torbą, wetknę do niej głowę tylko trochę, żeby wpaść z króciutką wizytą.

Nie zakochałam się w Jake'u dlatego, że jest inteligentny. W końcu sama nie jestem głupia. Wiem, że inteligentny nie oznacza miły ani nawet nie oznacza tego, że ma się dużo zdrowego rozsądku. Zwróćcie uwagę, w jakie kłopoty pakuja się ludzie inteligentni.

Nie zakochałam się w Jake'u dlatego, że potrafił zwijać sushi i miał czarny pas w fechtunku, czy co tam innego, co przyznają dobrym szermierzom. Nie zakochałam się w Jake'u dlatego, że potrafi grać na gitarze. Lepiej idzie mu gra w piłkę nożną.

To były powody, dla których poszłam z nim na randkę. Również dlatego, że mnie zaprosił. Spytał, czy chciałabym pójść z nim do kina, a ja spytałam, czy mogę zabrać ze sobą babcię, Natalie i Natashę. Nie miał nic przeciwko temu i tym sposobem cała nasza piątka znalazła się w kinie i oglądała *Dziewczyny z drużyny*. Co jakiś czas Zofia wrzucała kilka karmelków w czekoladzie albo trochę prażonej kukurydzy do torby. Nie wiem, czy karmiła psa, czy otworzyła torebkę we właściwy sposób i podrzucała

łaskocie mężowi.

Zakochałam się w Jake'u, ponieważ zadawał głupie żarty-zagadki Natalie, a Natashy powiedział, że ma ładne dzinsy. Zakochałam się w nim, kiedy odprowadził mnie i Zofię do domu. Podszedł z nią pod same drzwi jej domu, a potem odprowadził mnie pod moje. Zakochałam się w Jake'u, kiedy nie próbował mnie pocałować. Chodzi o to, że całe to całowanie trochę mnie peszyło. Większość facetów wyobraża sobie, że są w tym lepsi niż w rzeczywistości. Nie to, żebym sama uważała się za mistrzynię całowania, ale moim zdaniem nie powinno się z tego robić sportu wyczynowego. To nie tenis.

Natalie, Natasha i ja ćwiczyłyśmy całowanie ze sobą, ale robiłyśmy to wyłącznie dla treningu. W sumie nieźle nam szło. Zrozumiałyśmy, dlaczego uważa się całowanie za coś przyjemnego.

Ale Jake nie próbował mnie pocałować. Objął mnie za to czule. Wsunął twarz w moje włosy i westchnął. Staliśmy tak przez jakiś czas, aż w końcu spytałam:

- Co robisz?

- Po prostu chcę chłonąć zapach twoich włosów - odparł.

- Aha - bąknęłam. Poczułam się dziwnie, ale w pozytywnym sensie. Wsadziłam nos w jego włosy, brązowe, kręcone, i pociągnęłam nosem. Nie ruszaliśmy się z miejsca, a tylko chłonęliśmy zapach swoich włosów, i wówczas zrobiło mi się bardzo przyjemnie. Poczułam się szczęśliwa.

- Znasz takiego aktora, który się nazywa John Cusack? - powiedział do moich włosów Jake.

- Jasne - odparłam. - Jeden z ulubionych filmów Zofii to *Lepiej umrzeć*. W kółko go oglądamy.

- No więc on lubi podchodzić do kobiet i obwąchiwać je pod pachami..

- Faj! - wzdrygnęłam się. - To bzdura! Co ty wyprawiasz? To łaskocze.

- Wącham twoje uszko - wyjaśnił Jake.

Włosy Jake'a pachniały mrożoną herbatą z miodem, w której stopniał już cały lód.

Całowanie się z Jakiem nie różni się od całowania się z Natalie czy Natashą oprócz tego, że nie chodzi wyłącznie o zabawę. Ogarnia wówczas człowieka takie uczucie, na które nie ma słowa w scrabble.

Ta historia z Houdinim wzięła się stąd, że Jake zaczął się nim interesować podczas zajęć fakultatywnych dla zaawansowanych z historii Stanów.* Oboje zostaliśmy wybrani na historię w dziesiątej klasie. Przygotowywaliśmy projekty biograficzne. Ja zajmowałam się Josephem McCarthym. Moja babcia знаła o nim mnóstwo opowieści. Nienawidziła go za to, co nawyczytniał w Hollywood.

Jake nie oddał swojego projektu, ale ogłosił wszystkim w naszej grupie historycznej, z wyjątkiem pana Streepa, zwanego dla żartu Meryl, żebyśmy przyszli w sobotę do sali gimnastycznej. Kiedy się zjawiliśmy, Jake zrekonstruował numery Houdiniego z wydostawaniem się z worka z brudną bielizną, z kajdanek, schowka w szatni, łańcucha od roweru oraz szkolnego basenu. Potrzebował trzy i pół minuty, żeby się wyswobodzić, a jeden chłopak imieniem Roger zrobił mnóstwo zdjęć, po czym umieścił je w sieci. Jedno z nich trafiło na łamy „Boston Globe”, a Jake wyleciał ze szkoły. Prawdziwą ironią losu było to, że kiedy jego mama leżała w szpitalu, złożył papiery na M. I. T.** Zrobił to dla niej. Sądził, iż w ten sposób sprawi, że będzie musiała żyć. M.I.T bardzo ją ekscytował. Parę dni po tym, jak go wylali, tuż po ślubie ojca, który był już z nauczycielką fechtunku na Bermudach, Jake otrzymał pocztą list z zawiadomieniem, że został przyjęty, oraz telefon do faceta z komisji rekrutacyjnej, który wyjaśnił mu, czemu jego kandydatura musiała zostać wycofana.

Moja mama dopytywała się, dlaczego pozwoliłam Jake'owi skrępować się łańcuchem od roweru i przyglądałam się, jak Peter i Michael wrzucają go do głębokiej części szkolnego basenu. Odpowiedziałam, że Jake miał plan awaryjny. Gdyby upłynęło jeszcze dziesięć sekund, wszyscy mieliśmy wskoczyć do basenu, otworzyć szafkę i wyciągnąć z niej Jake'a. Mówiłam to płacząc. Jeszcze zanim wlaź do tej szafki, wiedziałam, że robi z siebie wariata. Kiedy było już po wszystkim, obiecał mi, że nigdy więcej nie zrobi niczego podobnego.

To wtedy opowiedziałam mu o Rustanie, mężu Zofii, i o jej torebce. Idiotka ze mnie, co?

No więc przypuszczam, że potraficie się domyślić, co było dalej. Problem w tym,

* Chodzi tu o Advanced Placement Program - inicjatywę edukacyjną, która opiera się na organizowaniu zajęć na poziomie akademickim dla uczniów szkół średnich. Każde takie zajęcie kończy się egzaminem i dają możliwość zwolnienia z przedmiotu podczas studiów.

** Massachusetts Institute of Technology - jedna z najbardziej prestiżowych uczelni technicznych na świecie.

że Jake uwierzył w tę historię o torebce. Spędzaliśmy sporo czasu u Zofii, grając w scrabble. Zofia nigdy nie spuszczała czarodziejskiej torebki z oka. Nawet kiedy szła do łazienki, brała ją ze sobą. Przypuszczam, że spała, trzymając ją pod poduszką.

Nie przyznałam się jej, że cokolwiek powiedziałam Jake'owi. Nikomu innemu nie powiedziałabym o tym. Ani Natashy. Ani nawet Natalie, która jest najbardziej odpowiedzialną osobą na całym świecie. Oczywiście teraz, o ile torebka się znajdzie, a Jake dalej nie będzie wracał, będę musiała powiedzieć Natalie. Ktoś musi mieć na oku to cholerstwo, kiedy pójdę po Jake'a.

Martwi mnie to, że być może jeden z Łysoleziwurlekistańczyków albo z ludzi spod wzgórze, a może nawet Rustan, wyskoczył z torebki, żeby coś załatwić, i zmartwił się, że nie zastał Zofii. Może zjawią się, żeby jej poszukać i przyniosą torebkę z powrotem. Może wiedzą, że teraz ja mam się nią zajmować. A może zabrali ją i gdzieś ukryli. Może ktoś oddał ją do punktu rzeczy znalezionych w bibliotece, a ta durna bibliotekarka wezwała FBI. Być może naukowcy z Pentagonu przeprowadzają teraz badania na torebce. Poddają ją testom. Jeśli wyjdzie z niej Jake, pomyślą, że to szpieg, superbroń albo kosmita czy coś takiego. Nie pozwolą mu tak po prostu odejść.

Wszyscy sądzą, że Jake uciekł - oprócz mojej mamy, która jest przekonana, że eksperymentował z kolejnym numerem Houdiniego i teraz pewnie spoczywa gdzieś na dnie jeziora. Nie powiedziała tego, ale widzę po niej, że tak sobie myśli. Wciąż wypieka dla mnie kruche ciasteczka.

Wszystko wydarzyło się wówczas, kiedy Jake powiedział:

- Czy mogę ją na chwilę zobaczyć?

A zabrzmiało to tak naturalnie, że jak sądzę, uspiło czujność Zofii. Sięgała właśnie do torebki po portmonetkę. Stałyśmy w poniedziałek rano w holu kina. Jake znajdował się za ladą sklepiku ze słodyczami. Dostał w nim pracę. Miał na sobie tę głupią czerwoną, papierową czapeczkę i coś w rodzaju fartuszka-śliniaczka. Właśnie miał nas spytać, czy chcemy powiększyć napoje.

Sięgnął przez ladę i wyciągnął Zofii torebkę prosto z dłoni. Zamknął ją, po czym ponownie otworzył. Sądzę, że zrobił to we właściwy sposób. Nie wydaje mi się, żeby trafił do tego paskudnego miejsca. - Zaraz wracam - rzucił nam. I nagle zniknął. Zostałyśmy tylko ja, Zofia i torebka, leżąca na ladzie w miejscu, w którym ją upuścił.

Gdybym zareagowała wystarczająco szybko, pewnie zdążyłabym wskoczyć za nim.

Ale Zofia była strażniczką czarodziejskiej torebki znacznie dłużej. Wyrwała mi ją i obrzuciła mnie piorunującym spojrzeniem. - Niedobry z niego chłopak - burknęła. Była potwornie wściekła. - Coś mi się zdaje, że będziesz musiała obejść się bez niego, Genevieve.

- Daj mi ją - krzyknęłam. - Muszę go wyciągnąć.

- To nie zabawka, Genevieve - obruszyła się. - To nie gra. To nie scrabble. Wróci, kiedy wróci. O ile w ogóle wróci.

- Daj mi torebkę - nalegałam. - Albo ci ją zabiorę.

Uniosła ją wysoko nad głowę, żebym nie mogła dosięgnąć. Nie znoszę ludzi wyższych ode mnie. - No i co teraz zrobisz? - spytała. - Masz zamiar mnie przewrócić? Ukradniesz ją? Zamierzasz zniknąć i zostawić mnie tutaj, żebym musiała tłumaczyć twoim rodzicom, dokąd poszłaś? Masz zamiar pożegnać się ze swoimi przyjaciółmi? Kiedy wyjdiesz, będą już na studiach. Będą pracować, mieć dzieci i domy, i nawet cię nie poznają. Twoja matka będzie staruszką, a mnie już nie będzie na świecie.

- Mam to gdzieś - krzyknęłam. Usiadłam na brudnym, czerwonym dywanie w holu i rozbeczałam się. Podszedł ktoś z przypiętym metalowym identyfikatorem i spytał, czy nic nam nie jest. Miał na imię Missy. A może po prostu nosił czyjś identyfikator.

- Wszystko w porządku - zełgała Zofia. - Moja wnuczka ma grypę.

Wzięła mnie za rękę i postawiła na nogi. Objęła ramieniem i wyprowadziła z kina. Nawet nie obejrzałyśmy tego głupiego filmu. Nie obejrzałyśmy już więcej razem żadnego filmu. Nigdy już nie pójdę do kina. Problem w tym, że nie chcę oglądać nieszczęśliwych zakończeń. A nie za bardzo wierzę w te szczęśliwe.

- Mam plan - oznajmiła Zofia. - Pójdę poszukać Jake'a. Ty tu zostaniesz i popilnujesz torebki.

- Ty też nie wrócisz - odparłam i rozplakałam się jeszcze bardziej. - A jeśli wrócisz, będę miała ze sto lat, a Jake wciąż tylko szesnaście.

- Wszystko będzie w porządku - powiedziała Zofia. Szkoda, że nie widzieliście, jak pięknie wówczas wyglądała. Nieważne, czy kłamała, czy faktycznie sądziła, że wszystko będzie w porządku. Najważniejsze było to, jak wyglądała, kiedy to powiedziała. Z całkowitą pewnością, a może z całym kunsztem niezwykle zręcznej kłamczuchy oznajmiła: - Mój plan się uda. Ale najpierw idziemy do biblioteki. Jeden z ludzi spod wzgórza podrzucił właśnie kryminał Agathy Christie i muszę go oddać.

- Pójdziemy do biblioteki? - zdziwiłam się. - Dlaczego nie prosto do domu pograć sobie trochę w scrabble? - Pewnie sobie myślicie, że po prostu zareagowałam

sarkazmem - to prawda, tak właśnie zareagowałam. Ale Zofia obrzuciła mnie surowym spojrzeniem. Wiedziała, że skoro stać mnie na sarkazm, to mój mózg znów funkcjonuje, jak należy. Zdawała sobie sprawę z tego, że - wiem, iż gra na zwłokę. Zorientowała się, że obmyślam własny plan, który nie różnił się zbyt od jej planu, z tym, że osobą, która miała wejść do torby, miałam być ja. A zastanawiałam się tylko nad tym, jak to zrobić.

- Czemu nie - powiedziała. - Pamiętaj, że kiedy nie wiesz, co zrobić, partyjka scrabble nie zaszkodzi. To tak jak czytanie *I Cing* albo herbacianych fusów.

- Możemy się pośpieszyć? - burknęłam.

Zofia popatrzyła mi w oczy.

- Genevieve, mamy mnóstwo czasu. Jeśli masz pilnować torebki, musisz o tym pamiętać. Musisz być cierpliwa. Potrafisz?

- Spróbuję - odparłam. - Cały czas próbuję. Z całej siły. Ale to nie w porządku. Jake jest tam i przeżywa przygody, rozmawia sobie z gadającymi zwierzętami i nie wiadomo co jeszcze, uczy się latać, a jakaś piękna dziewczyna spod wzgórza, która ma trzy tysiące lat na karku, uczy go, jak płynnie mówić po lysoleziwurlekistańsku. Założę się, że mieszka w domu, który biega po okolicy na kurzych nóżkach, a ona mówi Jake'owi, że z rozkoszą posłucha, jak gra na gitarze. Być może ją pocałujesz, Jake, bo rzuciła na ciebie urok. Ale cokolwiek się stanie, nie wchodź do jej domu. Nie zasypiaj w jej łóżku. Wracaj prędko i przynieś ze sobą torebkę.

Nie znoszę filmów ani książek, w których jakiś facet wyjeżdża i przeżywa różne przygody, a w tym czasie dziewczyna musi siedzieć w domu i czekać. Jestem feministką. Prenumeruję magazyn „Bust” i oglądam powtórki *Buffy*. Nie wierzę w tego typu bzdety.

Nie minęło nawet pięć minut, od kiedy weszliśmy do biblioteki, a Zofia już złapała biografię Carla Sagana i wrzuciła do torebki. Zdecydowanie pogrywała na czas. Usiłowała obmyślić strategię, która by przeciwdziałała planowi, jakiego się po mnie spodziewała. Zastanawiałam się, czego właściwie oczekiwała. Było to pewnie coś znacznie lepszego niż wszystko, co do tej pory udało mi się wymyślić.

- Daj z tym spokój! - zirytowałam się.

- Nie martw się - uspokajała mnie Zofia. - Nikt nie patrzył.

- Nie obchodzi mnie, czy ktoś widział, czy nie! A co będzie, jeśli Jake siedzi tam w

łódce albo wraca do nas, a ty właśnie zrzuciłaś mu książkę na głowę?!

- To nie działa w ten sposób - wyjaśniła Zofia. A po chwili dodała. - Właściwie dobrze by mu to zrobiło.

Wtedy podeszła do nas bibliotekarka. Też miała przypięty identyfikator. Rzygać mi się już chciało od ludzi z tymi kretyńskimi identyfikatorami. Nie mam nawet ochoty mówić wam, jak miała na imię.

- Wszystko widziałam - oznajmiła.

- A konkretnie co? - szła w zaparte Zofia. Uśmiechnęła się do niej z góry tak, jak gdyby była Królową Biblioteki, a bibliotekarka petentką.

Ale tamta wpatrywała się w nią surowym spojrzeniem.

- Ja panią znam - stwierdziła z niemal nabożną czcią w głosie, jak gdyby była weekendową obserwatorką ptaków, która właśnie ujrzała Wielką Stopę. - W biurze na ścianie mamy pani zdjęcie. Pani się nazywa Swink. Ma tu pani zakaz wypożyczania książek.

- To absurd - odparła Zofia. Była co najmniej o pół metra wyższa od bibliotekarki, której zrobiło mi się trochę żal. W końcu Zofia ukradła właśnie książkę z siedmiodniowym terminem wypożyczenia. Pewnie nie odda jej i za sto lat. Mama zawsze dawała mi wyraźnie do zrozumienia, że moim zadaniem jest chronić ludzi przed Zofią. Wychodzi na to, że byłam strażniczką Zofii, zanim zostałam strażniczką torebki.

Bibliotekarka wyciągnęła rękę i złapała torebkę Zofii. Była niska, ale silna. Szarpnęła torebkę, a Zofia zatoczyła się i upadła na biurko. Nie mogłam w to uwierzyć. Wszyscy patrzyli na jej torebkę, poza mną. I taka miała być ze mnie strażniczka?

- Genevieve - stęknęła Zofia. Ścisnęła mnie mocno za rękę i spojrzała na mnie. Była roztrzęsiona i blada. - Podle się przez to wszystko czuję - stwierdziła. - Powiedz swojej matce, że tak powiedziałam.

Potem wypowiedziała ostatnie zdanie, ale wydaje mi się, że było ono po łysoleziwurlekistańsku.

- Widziałam, jak wkłada tu pani książkę. O tu - powiedziała bibliotekarka. Otworzyła torebkę i zajrzała do środka. Z wnętrza dobiegł pojedynczy, długi, zajadły, do cna zrozpaczony ryk wściekłości. W życiu nie chcę go już więcej usłyszeć. Wszyscy w bibliotece unieśli wzrok. Bibliotekarka stęknęła, jakby się zakrztusiła, rzuciła torebkę z dala od Zofii. Z nosa popłynęła jej stróżka krwi, której kropla spadła na

podłogę. Z początku pomyślałam, iż to szczęśliwy przypadek, że torebka była zamknięta, kiedy wylądowała na podłodze. Potem starałam się zrozumieć, co powiedziała Zofia. Mój lysoleziwurlekistański nie jest najlepszy, ale wydaje mi się, że powiedziała coś takiego:

- No i masz. Głupia baba. Muszę teraz zająć się tym cholernym psem. - Więc może właśnie to się wydarzyło. Może stoczyła z nim walkę, pokonała go i zamknęła torebkę. Może się z nim zaprzyjaźniła. Przecież swego czasu podkarmiła go w kinie prażoną kukurydzą. Może wciąż jeszcze tam jest.

W każdym razie w bibliotece wyglądało to tak: Zofia lekko westchnęła i zamknęła oczy. Pomogłam jej usiąść na krześle, ale wydaje mi się, że już wówczas była nieobecna. Pojechałam z nią karetką, kiedy ta w końcu się zjawiała, i przysięgam, że torebka nie przeszła mi nawet przez myśl, póki nie przyjechała mama. Nie odezwałam się do niej słowem. Zostawiłam ją w szpitalu razem z Zofią, która leżała podłączona do respiratora, i pobiegłam z powrotem do biblioteki. Ale była już zamknięta. Więc biegiem wróciłam do szpitala, ale pewnie już się domyślicie, co się stało, prawda? Zofia nie żyła. Piszę to z wielkim bólem. Moja wysoka, wesoła, piękna babcia, złodziejka książek, mistrzyni scrabble i gawędziarka umarła.

Ale wy nigdy nie mieliście okazji jej poznać. Pewnie myślicie teraz o torebce. Zastanawiacie się, co się z nią stało. Rozlepiłam ogłoszenia po całym mieście, jakby torebka Zofii była jakimś zaginionym psiakiem, ale nikt nigdy nie zadzwonił.

Więc póki co tak wygląda cała ta historia. Nie to, żebym się spodziewała, że mi uwierzycie. Wczoraj wieczorem wpadły do mnie Natalie i Natasha pograć w scrabble. Tak naprawdę to nie lubią tej układanki, ale czują się w obowiązku mnie pocieszać. Ograłam je. Kiedy poszły do domu, podwracałam wszystkie płytki i wówczas zaczęłam wybierać po siedem. Starłam się zadać jakieś pytanie, ale trudno było mi zdecydować się tylko na jedno. Słowa, jakie mi wyszły, też nie były rewelacyjne, więc doszłam do wniosku, że nie są to słowa angielskie, ale lysoleziwurlekistańskie.

Kiedy to do mnie dotarło, wszystko stało się nagle zupełnie jasne. Najpierw ułożyłam słowo „kirif”, które oznacza „dobre wieści”, a potem wyciągnęłam „b”, „o”, „i”, „e”, jeszcze jedno „i”, „s” i „z”. Mogłam więc przerobić „kirif” na „bolekirifisz”, co mogło znaczyć „szczęśliwy wynik połączenia pilnego wysiłku i cierpliwości”.

Odnajdę czarodziejską torebkę. Tak przepowiedziały płytki. Poradzę sobie z zatraskiem, wejdę do niej, będę miała własne przygody i uratuję Take'a. A zanim z

niej wyjdziemy, minie zaledwie chwilka. Moze nawet zaprzyjaznie sie z tym biednym psem i uda mi sie naprawde pozegnac z Zofia. Znowu pojawi sie Rustan i bedzie mu przykro, ze ominal go jej pogrzeb. Tym razem bedzie mial dosc odwagi, zeby opowiedziec o wszystkim mojej mamie. Pewnie i tak mu w cala te historie nie uwierzy. Obiecujcie, ze nie uwierzycie w ani jedno slowo.

HORTLAK

Eric był nocą, a Ratu dniem. Owa dziewczyna, Charley - księżycem. Co wieczór przejeżdżała obok Całodobowego swym długim, hałaśliwym, zielonym chevy'm, a przez okno po stronie pasażera wychylał się pies. Nie był to za każdym razem ten sam pies, choć każdy odznaczał się tą samą uszczęśliwioną miną. Były skazane na śmierć, lecz o tym nie wiedziały.

Biz buradan çok hoşlandik.

Bardzo nam się tu podoba.

Sklep Całodobowy był w pełni zaopatrzonym, samowystarczalnym organizmem niczym statek kosmiczny „Enterprise” albo „Kon-Tiki”. Batu wciąż się nad tym rozwodził. Nie prowadzili już handlu detalicznego. Odbywali podróż odkrywczą, taką, podczas której nie musieli opuszczać Całodobowego - nawet po to, żeby zrobić przepierkę. Batu prał swoje piżamy oraz zapasowe uniformy w zlewie na zapleczu. Prał nawet ciuchy Erica. Takim właśnie przyjacielem był Batu.

Burada tatil için bulunuyorsunuz?

Czy jesteś tu na wakacjach?

Przez całą swoją zmianę Eric nasłuchiwał samochodu Charley. Najpierw przejeżdżała, kierując się ku schronisku, a potem, podczas swojej zmiany, zabierała na przejażdżkę psy, mijając sklep od jednej strony, a po jakimś czasie wracała, i tak dwa czy trzy razy w ciągu nocy; światła jej reflektorów uwydatniały długą, czarną wyrwę Rozpadliny Ausible - jasna smuga po oknie Całodobowego. Serce Erica zamierało, ilekroć przejeżdżał samochód.

Przychodziły zombie, on zaś był dla nich uprzejmy, mimo że nie potrafił zrozumieć, czego chcą. Niekiedy też zjawiali się prawdziwi ludzie, kupowali słodycze,

papierosy i piwo. Zombie nigdy nie kręciły się w pobliżu, kiedy pojawiali się tamci, z kolei Charley nigdy nie pojawiała się, gdy w sklepie znajdowały się zombie.

Wyglądała jak postać z greckiej sztuki, Elektra czy też Kasandra. Sprawiała wrażenie kogoś, komu właśnie podpalono ukochane miasto. Ericowi przyszło to do głowy, zanim jeszcze dowiedział się o psach.

Czasami, kiedy akurat nie wiozła swoim chevy'm żadnego psiaka, Charley zaglądała do Całodobowego, żeby kupić Mountain Dew, a wówczas razem z Batu wychodzili przed sklep i siadali na krawężniku. Batu uczył ją tureckiego. Niekiedy Eric również wychodził przed sklep, żeby zapalić papierosa. Tak naprawdę nie palił, ale dzięki temu mógł patrzeć na Charley, na to, jak księżycowy blask kładzie się na niej niczym dłoń. Bywało, że spoglądała za siebie. Od strony Rozpadliny Ausible wzbierał wiatr i gnał ulicą o tej samej nazwie ku parkingowi przed sklepem, szarpiąc dół piżamy Batu, porywając papierosowy dym, który wydobywał się z ust Erica. Grzywka Charley z czoła wlatywała do góry, póki nie przygładziła jej mocno palcami.

Batu twierdził, że z nią nie flirtuje. Nie podobała mu się. Interesował się Charley ze względu na Erica. Batu chciał ją lepiej poznać, przekonać się, czy nadaje się dla Erica, dla Sklepu Całodobowego. Stawka była bowiem wysoka.

Natomiast Eric pragnął wiedzieć, dlaczego Batu ma tyle piżam. Ale nie chciał sprawiać wrażenia wścibskiego człowieka. W Całodobowym nie było zbyt wiele miejsca. Jeśli Batu uzna, że Eric powinien poznać prawdę o piżamach, to któregoś dnia mu o nich powie. Proste jak drut.

Erkek arkadasiniz varmı?

Czy masz chłopaka?

Niedawno Batu opanował potrzebę trwającego dłużej niż dwie czy trzy godziny snu, co miało swoje dobre strony, lecz miało też i złe. Eryk podejrzewał, że pewnie udałoby mu się wykombinować, jak rozmawiać z Charley, gdyby Batu się nie pokazywał, nie wyściubiał nosa z magazynku, śniąc swoje słodkie sny, a nie snując plany, bądź samemu oddając się całemu temu flirtowaniu w imieniu Erica, by on nigdy nie musiał odzywać się ani słowem.

Eric przygotował sobie nawet początek rozmowy. „Gdzie Batu?”, spyta Charley, on zaś odpowie: „Śpi”. Albo nawet: „Śpi w magazynku”.

Oto historia Charley: pracowała na nocnej zmianie w schronisku dla zwierząt. Co noc, kiedy zjawiała się w pracy, przeglądała listę wpisanych do rejestru psów. Zabierała je - wszystkie te, które nie były zbyt chore bądź nazbyt agresywne - na ostatnią przejażdżkę po mieście. Potem wracała z nimi do schroniska i usypiała je. Robiła to za pomocą zastrzyku. Siadała na podłodze i głaskała je dopóty, dopóki nie przestawały oddychać.

Kiedy opowiadała o tym Batu - siedział zdecydowanie za blisko niej, podczas gdy Eric zdecydowanie za daleko - Eric jął zastanawiać się, jakby to było położyć się i opuścić głowę na nogę Charley. Jednak najdłuższa rozmowa, jaką udało mu się z nią odbyć, miała miejsce, kiedy Charley stała po jednej stronie lady, a on po drugiej i tłumaczył jej, że przestali przyjmować pieniądze, chyba że klienci sami mieli ochotę je dawać.

- Chcę tylko Mountain Dew - oświadczyła Charley, upewniając się, że Eric zrozumiał, co powiedziała.

- Wiem - odparł Eric. Usiłował pokazać oczyma, jak dużo wie, a także to, jak wielu rzeczy nie wie, ale chciałby wiedzieć.

- Ale nie chcesz, żebym ci za nią zapłaciła.

- Mam ci dać to, czego chcesz - wyjaśnił Eric - a potem ty dasz mi to, co zechcesz mi dać. To nie muszą być pieniądze. To nawet nie musi być coś, no wiesz, namacalnego. Czasami ludzie opowiadają Batu swoje sny, jeśli nie mają akurat niczego ciekawego w portfelu.

- Chcę tylko butelkę Mountain Dew - wyjaśniła Charley. Ale pewnie spostrzegła na twarzy Erica panikę, bo pogrzebała w kieszeni. Zamiast drobnych wyciągnęła komplet blaszek identyfikacyjnych i z brzękiem rzuciła je na ladę.

- Ten pies już nie żyje - oznajmiła. - Był nieduży. Zdaje mi się, że stanowił krzyżówkę chihuahua i collie. To okropnie żalosne. Szkoda, że tego nie widziałeś. Jego właścicielka oddała go do schroniska, bo rano wskakiwał jej na łóżko, lizał ją po twarzy i tak się ekscytował, że trochę sikał. Bo ja wiem, może uważała, że ktoś inny zechce przygarnąć małego, brzydkiego, moczącego się w łóżku psiaka, ale nikt się nie trafił, więc już nie żyje. Zabiłam go.

- Przykro mi - powiedział Eric. Charley oparła się łokciami o ladę. Była tak blisko, że czuł jej zapach: chemiczny, przypalony, psi. Na jej ubraniu znajdowały się kłaczki psiej sierści.

- To ja go zabiłam - powtórzyła Charley. W jej głosie pobrzmiwała złość na niego.
- Nie ty.

Kiedy Eric spojrzał na nią, widział, że jej miasto wciąż płonie. Wciąż trawił je ogień, a Charley się temu przyglądała. Nadal trzymała w ręku owe blaszki identyfikacyjne. Wypuściła je, a one leżały na ladzie, póki Eric nie wziął ich i nie włożył do kasy.

- To pomysł Batu, zgadza się? - spytała Charley. Wyszła przed sklep i usiadła na krawężniku, a po jakimś czasie z magazynku wyłonił się Batu i również udał się na zewnątrz. Miał na sobie jedwabny dół od piżamy. Widniały na nim śmiejące się, cierpiące na wodogłowie, rysunkowe koty, które w pyszczkach trzymały dzieci. Albo owe dzieci były mysich rozmiarów, albo koty były wielkie jak niedźwiedzie. Dzieci bądź to wrzeszczały, bądź to śmiały się. Góra piżamy była z czerwonej wyblakłej flaneli. Znajdowały się na niej gilotyny oraz głowy w koszach.

Eric został w środku. Co pewien czas opierał głowę o szybę, jakby słyszał, o czym rozmawiają. Lecz nawet gdyby to było możliwe, przypuszczał, że pewnie nic by nie zrozumiał. Kształty, jakie tworzyły ich usta, przywodziły na myśl tureckie słowa. Eric miał nadzieję, że rozmawiają o handlu.

Kar yagaçak.

Będzie padał śnieg.

Sposób, w jaki obecnie funkcjonował Całodobowy, był pomysłem Batu. Taksowali klientów, nim ci zdążyli podejść do lady - to akurat zawsze stanowiło jeden z elementów handlu. Jeśli klient nadawał się, wówczas Batu bądź Eric podawali mu to, o co prosił, on zaś niekiedy płacił pieniędzmi, niekiedy zaś innymi przedmiotami: słoikiem, książkami na taśmach, pamiątkowymi puszkami syropu klonowego. Znajdowali się w pobliżu granicy. Zjawiało się tu sporo Kanadyjczyków. Eric podejrzewał, że ktoś, być może jakiś kanadyjski akwizytor, dostarcza Batu nowości rynku piżamowego.

Siz de mi beklıyorsunuz?

Ty też czekasz?

Batu był zdania, że Eric, o ile Charley rzeczywiście mu się podoba, powinien

powiedzieć: „Zamieszkaj ze mną. Zamieszkaj ze mną w Całodobowym”.

Tymczasem Eric uważał, że powinien poprosić Charley: „Jeśli wyjeżdżasz, zabierz mnie ze sobą. Niedługo skończę dwadzieścia lat i nigdy nie poszedłem do college'u. W ciągu dnia sypiam w magazynku w cudzych piżamach. Od szesnastego roku życia pracuję w handlu. Wiem, że ludzie są pełni nienawiści. Jeśli masz potrzebę kogoś ugryźć, możesz ugryźć mnie”.

Başka bir yere gidelim mi?

Pójdziemy gdzie indziej?

Charley przejeżdża obok sklepu. W oknie po stronie pasażera tkwi mały czarny psiak, który wychyla się, żeby zaczerpnąć pędzącego powietrza. W aucie znajduje się też jakiś żółty pies. Seter irlandzki. Doberman. Akity. Charley opuściła szybę tak nisko, że gdyby psy zechciały, mogłyby wyskoczyć, kiedy staje na światłach. Ale psy nie wyskakują. Toteż Charley odwozi je z powrotem.

Batu oświadczył, że to jasne, iż Charley ma ogromny potencjał nienawiści, a przy tym ogromny potencjał miłości. Jej nienawiść była zjawiskiem sezonowym; w miesiącach po Bożym Narodzeniu, bożonarodzeniowe szczeniaki zaczynały rosnać. Ludziom nie chciało się już uczyć je porządku. Przez cały luty i marzec Charley odczuwała nienawiść do ludzi. W grudniu też ją odczuwała - dla wprawy.

Zakochanie, dowodził Batu, podobnie jak praca w handlu, oznacza, że musisz przyzwyczać się, że cię nienawidzą, przynajmniej przez jakąś część roku. O to właśnie chodziło w miesiącach po Bożym Narodzeniu. Żaden system nie był doskonały - ani miłość, ani handel. Kiedy patrzyło się na psy, dostrzegało się, że miłość się nie sprawdza.

Batu twierdził, że jest bardzo prawdopodobne, iż zarówno Charley, jak i jej chevy zostali opanowani przez psie duchy. Różniły się one od zombie. Duchy nie ludzkie, wyjaśnił, wypędza się najtrudniej ze wszystkich, a już psie są najgorsze z możliwych. Nie ma nic bardziej wytrwałego, lojalnego i przylepnego niż pies.

- To ty widzisz te duchy? - spytał Eric.

- Nie bądź niemądry - odparł Batu. - Tego rodzaju duchów nie można zobaczyć. Czuje się ich zapach.

Civarda turtstik yerler var mi, acaba?

Ciekawi mnie, czy są tu w okolicy jakieś atrakcje turystyczne?

Eric obudził się i stwierdził, że jest ciemno. Zawsze było ciemno, kiedy się budził, i zawsze stanowiło to niespodziankę. Na tylnej ścianie magazynku znajdowało się okienko, które oprawiało ciemność w ramkę jak obrazek. Czuło się, jak zimne nocne powietrze podpiera ściany Całodobowego, gęste i mokre niczym klej.

Batu pozwolił mu spać w magazynku. Szanował potrzebę snu innych.

We śnie Erica przez cały dzień jeden po drugim zjawiali się kierownicy sklepów, przedstawiali się, po czym wyrażali konsternację tym, w jaki sposób Batu zmienił, a właściwie zdyskredytował, handel w sklepie. We śnie Erica Batu kładł swoją dużą, imponującą rękę na ramieniu kierownika sklepu, obiecywał wyjaśnić wszystko w sposób zadowalający, jeśli tylko tamten pójdzie z nim popatrzeć. Potulnie, z ufnością, oglądając się w obie strony, kierownicy truchtali za Batu na drugą stronę ulicy, na krawędź Rozpadliny Ausible. Stali tam, w Ericowym śnie, wpatrując się w głąb urwiska, a wówczas Batu delikatnie ich popychał, było to nieznaczne pchnięcie, które stanowiło koniec kariery kierownika sklepu, Batu zaś szedł z powrotem przez ulicę, by czekać na kolejnego.

Eric umył się, stojąc przy zlewie, po czym włożył swój uniform. Wyszczotkował zęby. Magazynek pachniał spaniem.

Był środek lutego, parking Całodobowego pokrywał śnieg. Batu zajmował się odśnieżaniem, nosząc szufle pełne białego puchu na drugą stronę ulicy i zrzucając go do Rozpadliny Ausible. Eric wyszedł przed sklep na papierosa i przyglądał mu się. Nie zaproponował pomocy. Wciąż był wytrącony z równowagi tym, jak Batu zachował się w jego śnie.

Na niebie nie było księżyca, lecz śnieg rozświetlony był swą własną bielą. Widać było niewyraźną postać Batu, która niesie przed sobą równie niewyraźną czubatą szufłę śniegu, niczym ogromną łyżkę spadającego światła, które wciąż opadało wszędzie wokół nich. Prószył śnieg, dym z papierosa Erica zaś unosił się ku górze coraz wyżej i wyżej.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, do miejsca, w którym stał Batu i wpatrywał się w głąb Rozpadliny Ausible. W dole ciemność nie była głębsza niż ta, do której przywykła reszta świata, w tym Eric, a zwłaszcza Eric. A mimo to od Rozpadliny ciągnął wiatr, który napawał go niepokojem.

- Jak myślisz, co jest tam w dole? - spytał Batu.

- Kraina Zombie - odparł Eric. Czuł niemal jej smak. - Zombiesiedla. Mają tam wszystko. Pewnie gdzieś jest nawet kino dla zmotoryzowanych, w którym przez całą noc grają stare czarno-białe horrory. Kościół dla zombie ze stowarzyszeniem anonimowych alkoholików w suterenie, którego spotkania odbywają się każdego czwartkowego wieczoru.

- Serio? - mruknął Batu. - Bary dla zombie też? W których serwują koktajl rumowy „Zombie” dla zombie?

- Kiedy byliśmy w szkole średniej - wspomniał Eric - mój kumpel, Dave, na odważniaka zszedł raz na dół. Opowiadał nam potem przeróżne historie.

- A ty kiedyś tam zszedłeś? - zapytał Batu, swoją pustą szuflą wskazując wąską, sypką ścieżkę, która wiodła w dół Rozpadliny.

- Nigdy nie poszedłem do college'u. I nigdy nie byłem w Kanadzie - wyjaśnił Eric. - Nawet jeszcze w ogólniaku nie chodziłem tam po piwo.

Przez całą noc zombie wychodziły z Rozpadliny, nosząc garście śniegu. Przechodziły na drugą stronę ulicy, na parking, gdzie go zostawiały. Batu znów siedział w magazynku i wysyłał faksy, a Eric był rad, że tamten nie widzi, co wyprawiają zombie.

Zjawiły się w sklepie, ciągnąc za sobą ślady z soli i topniejącego śniegu. Eric nie znosił po nich sprzętać.

Usiadł na ladzie przodem do szosy, licząc, że wkrótce przejedzie nią Charley. Przed dwoma tygodniami Charley ugryzła pewnego mężczyznę, który przywiózł do schroniska swojego psa, żeby go uspić.

Mężczyzna ów zdecydował się na zabieg, ponieważ jak twierdził, pies go pogryzł, ale Charley oświadczyła, że patrząc na niego oraz psa, było jasne, że zwierzę miało ku temu konkretny powód.

Mężczyzna miał tatuaż okręconej wokół jego muskularnego przedramienia syreny. Nawet ona miała w sobie coś nieprzyjemnego: pokryte łuską, odziane w gorset siedzenie, maleńkie oczka z czarnych kropek, kwaśny, ozdobiony kiami uśmiech. Charley stwierdziła, że nawet ta syrena mówiła jej, żeby ugryzła faceta w ramię, co też w końcu uczyniła. A kiedy to się stało, pies wpadł w szal. Facet puścił smycz. Usiłował odciągnąć Charley od swojego ramienia. Pies, nie rozumiejąc zaistniałej sytuacji, czy raczej rozumiejąc ją, ale w ograniczonym stopniu, chwycił Charley za nogę, wbijając zęby w jej łydkę.

Zarówno w przypadku Charley, jak i właściciela psa nie obeszło się bez szwów. Ale to pies został skazany na śmierć. Nic tego nie zmieniło.

Szef Charley miał zamiar wkrótce wyrzucić ją z pracy - właściwie to już ją wyrzucił. Ale na razie nie znaleźli nikogo, kto wziąłby jej zmianę, toteż nadal tam pracowała, przez parę dni, tyle że pod innym nazwiskiem. Wszyscy w schronisku rozumieli, czemu ugryzła tamtego mężczyznę.

Charley oświadczyła, że ma zamiar zjechać całą Kanadę. Może zajedzie aż na Alaskę. Będzie przyglądać się, jak niedźwiedzie grzebią w śmieciach.

- Kiedy niedźwiedź zapada w sen zimowy - opowiadała Batu i Ericowi - śpi przez całą zimę i ani razu się nie załatwia. Więc kiedy się budzi na wiosnę, cierpi na zaparcie. Pierwszą czynnością, jakiej się oddaje, jest naprawdę bolesne wypróżnienie. A potem idzie i wskakuje do rzeki. Jest już teraz zdrowo wkurzony, na wszystko. Kiedy wychodzi z wody, cały pokryty jest lodem jak zbroją. Sieje spustoszenie i ma na sobie tę lodową zbroję. Czy to nie wspaniałe? Ten niedźwiedź może sobie chapnąć wszystko, na co tylko ma ochotę.

Uykum geldi.

Nadszedł mój sen.

Śnieg wciąż prószył. Niekiedy przestawał. Przyjechała Charley. Eric miał niedobre sny. Batu nie poszedł do łóżka. Kiedy zjawiły się zombie, chodził za nimi po całym sklepie i robił notatki. Zombie w ogóle nie zwracały na to uwagi.

Batu ubrany był w ulubioną błękitną piżamę Erica. Miała strzeliste, białoniebieskie fale w stylu Hokusai, a na nich kołysały się łódzie, w których siedziały puchacze o posepnych obliczach. Jeśli przyjrzało się bliżej, można było dostrzec, że puchacze trzymają w skrzydłach gazety, a jeśli wyteżyło się wzrok jeszcze bardziej, dało się przeczytać datę i nagłówek:

„TSUNAMI TZMIATA KICIE
ZA BURTE, WSZYSTKO ZTRADZONE”*

Batu poświęcił sporo czasu na to, żeby w alejce ze słodyczami wszystko

* Obrazek puchacza na łódce oraz nagłówek gazety stanowiąca odniesienie do znanego wiersza Edwarda Leara, klasyka poezji nonsensu, pt. „Puchacz i kicia”.

uporządkować według stopnia rozciągliwości w żuciu i rozpuszczalności. Tydzień wcześniej poukładał wszystko tak, że gdy wzięło się pierwszą literę jakichkolwiek słodczy, litery czytane poziomo od lewej do prawej, a potem pionowo, składały się w pierwsze zdanie z powieści *Zabić drozda*, a potem również w linijkę jakiegoś tureckiego wiersza o księżycu.

Zombie przychodziły i wychodziły, a Batu odłożył swój notes.

- Mam zamiar pójść na całość i położyć paski suszonego mięsa obok krówek. To prawie cukierek. W żuciu bardzo się ciągnie. Praktycznie tak bardzo, jak to tylko możliwe. Żyłasta mięsna guma do żucia.

- Pieniący się napój mięsny - rzucił automatyczne Eric. Zawsze wymyślali produkty, których nikt nigdy nie zechciał kupić i których nikt nigdy nie próbował sprzedawać.

- Elastyczna Wieprzowina. „Masz ją na myśli, masz ją na języku, to wieprzowina”. Pamiętasz tę kampanię reklamową? Może się do nas wprowadzić - stwierdził Batu. Była to ta sama stara mowa, tylko nieco bardziej nagła za każdym razem, kiedy ją wygłaszał. - Całodobowy potrzebuje kobiet, zwłaszcza takich jak Charley. Zakochuje się w tobie. Ani trochę mi to nie przeszkadza.

- A co z tobą? - spytał Eric.

- Co ze mną? - zdziwił się Batu. - Charley i ja mamy turecki. To wystarczy. Powiedz mi o czymś, czego potrzebuję. Nie potrzebuję nawet snu!

- O czym ty mówisz? - rzucił Eric. Nie znosił, kiedy Batu wspominał o Charley, prócz tego, że uwielbiał słyszeć brzmienie jej imienia.

- Całodobowy to świetne miejsce na założenie rodziny - dowodził Batu. - Wszystko, czego ci trzeba, jest tutaj. Pieluchy. Parówki wiedeńskie, Magiczne Flamastry o zapachu winogron, ciasteczka Moon Pie - dzieciaki je lubią - aż pewnego dnia, kiedy podrosną, przyuczymy je, jak się obsługuje kasę.

- To podpada pod paragraf - ostrzegł Eric. - Mars potrzebuje kobiet. A nie Całodobowy. A ciasteczka Moon Pie właśnie nam się kończą. - Odwrócił się do Batu plecami.

Niektóre pizamy Batu niepokoją Erica. Nie założy ich, mimo że Batu oświadczył mu, że może nosić wszystkie, jakie tylko zechce.

Na przykład: liniowce płynące między górami lodowymi na parze spodni od pizamy. Człowiek z ogromnymi nożycami, goniący kobiety, których długie włosy

ciągną się za nimi niczym żółte i czerwone flagi - tak szybko uciekają. Pajęczce sieci, do których tkwią przyklejone domy.

Kilka nocy temu, mniej więcej o drugiej czy trzeciej nad ranem, do sklepu przyszła pewna kobieta. Batu znajdował się przy stojakach z czasopismami, a ona podeszła tam i stanęła obok niego.

Batu miał zamknięte oczy, choć zwykle niekoniecznie oznacza to, że śpi. Kobieta stała, przeglądając czasopisma, i wówczas, w pewnej chwili, zorientowała się, że mężczyzna, który stoi obok z zamkniętymi oczyma, ma na sobie piżamę. Przestała kartkować tygodnik „People”, a zamiast niego zabrała się za czytanie piżamy Batu. Po chwili sapnęła ciężko i dźgnęła go chudym palcem.

- Skąd pan to ma? - spytała. - Jak, u licha, pan to zdobył?

Batu otworzył oczy.

- Przepraszam - powiedział. - W czym mogę pani pomóc? Szuka pani czegoś?

- Ma pan na sobie mój pamiętnik - jęknęła kobieta. Jej głos unosił się coraz wyżej i wyżej, przechodząc w zawodzenie. - To moje pismo! To jest pamiętnik, który pisałam, kiedy miałam czternaście lat! Ale był zamykany na kluczyk, a ja chowałam go pod materacem i nigdy nikomu nie pozwoliłam czytać. Nikt nigdy go nie przeczytał!

Batu wyciągnął rękę.

- To nieprawda - stwierdził. - Ja go czytałem. Ma pani bardzo ładny charakter pisma. Niezwykle specyficzny. Mój ulubiony fragment to ten, w którym...

Kobieta krzyknęła. Dłońmi zakryła uszy, zaczęła cofać się alejką, nie przestając krzyczeć, po czym odwróciła się i wybiegła ze sklepu.

- O co poszło? - spytał Eric. - Co jej się stało?

- Nie wiem - odparł Batu. - Problem w tym, że wydała mi się znajoma! I miałem rację. Ha! Jakie są twoim zdaniem szanse na to, żeby kobieta, która pisała ten pamiętnik, trafiła do takiego sklepu?

- Może nie powinieneś nosić tej piżamy - zasugerował Eric. - Na wszelki wypadek, gdyby wróciła.

Gelebilirmiyim?

Czy mogę przyjść?

Początkowo Batu pracował na drugiej zmianie od wtorku do soboty. Teraz przebywał w sklepie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, każdego dnia. Eric

pracował na nocnej zmianie, co noc. Nie potrzebowali nikogo więcej, może z wyjątkiem Charley.

A wydarzyło się coś takiego: jedna z kierowniczek odeszła, podobno dlatego, że miała rodzić, chociaż ani trochę nie wyglądała na kobietę w ciąży, twierdził Batu, a poza tym z pewnością nie było to jego dziecko - ze względu na wazektomię, którą przeszedł. Potem, wkrótce po incydencie z mężczyzną w trenczu, zrezygnował kolejny kierownik, twierdząc, że rzygać już mu się chce od tego gówna. Nikogo nie przystali w zastępstwie, toteż Batu wziął ster w swoje ręce.

Zadzwoił dzwonek przy drzwiach, a do sklepu wszedł klient. Kanadyjczyk. Nie zombie. Eric odwrócił się we właściwym momencie i spostrzegł, jak Batu schyla się, przemyka chyłkiem za róg alejki ze słodyczami i kieruje się do magazynku.

Klient kupił Mountain Dew. Eric był nazbyt zniechęcony, żeby wyjaśniać, że pieniądze nie są już potrzebne. Czuł, jak w magazynku Batu trapi się, słuchając tej transakcji przeprowadzonej w starym stylu. Kiedy klient odszedł, Batu znów pojawił się w sklepie.

- Zastanawiasz się w ogóle nad tym - zaczął Eric - czy ci z firmy kiedykolwiek przyślą nowego kierownika? - Znów ujrzał owego Batu ze snu, tamtych kierowników, kreskówkową, niemożliwą do pokonania przepaść Rozpadliny Ausible.

- Nie przyślą - oświadczył Batu.

- Ale mogą - dodał Eric.

- Nie przyślą - powtórzył Batu.

- Skąd masz taką pewność? - spytał Eric. - A co, jeśli przyślą?

- To był z gruntu kiepski pomysł - stwierdził Batu. Machnął ręką w kierunku parkingu i Rozpadliny Ausible. - Interes nie jest wystarczająco stabilny.

- Więc czemu tu siedzą? - dopytywał się Eric. - W jaki sposób odmienimy oblicze handlu, skoro nikt nigdy tu nie zagląda, z wyjątkiem ludzi uprawiających jogging, kierowców ciężarówek, zombie i Kanadyjczyków? Którejś nocy próbowałem wytłumaczyć jednej kobiecie, jak działa handel w nowym stylu, a ona mi powiedziała, że bym spierdalał. Zachowała się tak, jakbym był umyślowo chory.

- Klient nie zawsze ma rację. Czasami klient to palant. To jest pierwsza zasada handlu - wyjaśnił Batu. - Ale nie jest tak, że wszędzie indziej jest lepiej. Pracowałem kiedyś w CIA. Wierz mi, tu jest lepiej.

- Naprawdę byłeś w CIA? - zaciekał się Eric.

- Chodziliśmy do takiego jednego baru, od czasu do czasu, ja i ludzie, z którymi

pracowałem - opowiadał Batu. - Musieliśmy tylko udawać, że się nie znamy. Zero integracji. No więc wszyscy tam sobie siedzimy, wzdłuż baru, i nie odzywamy się do siebie ani słowem. Wszyscy ci ludzie, my wszyscy, potrafiliśmy mówić mniej więcej pięciuset językami, dialektami, i w ogóle, między sobą. Ale w tym barze nie rozmawiamy. Tylko siedzimy, pijemy i nic poza tym. Doprowadzało to barmana do szalu. Zostawialiśmy spore napiwki, ale miał to gdzieś.

- Znaczy się, zabiłeś kiedyś człowieka? - spytał Eric. Nigdy nie wiedział, czy Batu sobie żartuje, czy mówi poważnie na temat CIA.

- Czy ja wyglądam na zabójcę? - odparł Batu, stojąc w swojej piżamie ze zmierzwionymi włosami i zaczerwienionymi oczyma. Kiedy Eric wybuchnął śmiechem, rozpogodził się, ziewnął i podrapał po głowie.

Kiedy inni pracownicy z rozmaitych osobistych powodów odeszli z Całodobowego, Batu nie szukał nikogo na ich miejsce.

Mniej więcej w tym okresie dziewczyna Batu wyrzuciła go z domu, toteż za pozwoleniem Erica wprowadził się do magazynku. Miało to miejsce tuż przed Bożym Narodzeniem, natomiast kilka dni później matka Erica straciła pracę jako ochroniarka w centrum handlowym i postanowiła, że odnajdzie ojca Erica. Rozpoczęła polowanie w Internecie i sporządziła listę nazwisk, pod którymi, jak przypuszczała, mógł się ukrywać. Zdobyła również adresy.

Eric nie bardzo wiedział, co matka zamierza zrobić, kiedy odnajdzie jego ojca, przypuszczał, że ona też tego nie wie. Stwierdziła, że chce tylko porozmawiać, ale Eric wiedział, że w schowku swojego samochodu trzyma pistolet. Zanim wyjechała, Eric przepisał sporządzoną przez nią listę nazwisk oraz adresów i porzysłał wszystkim tym mężczyznom bożonarodzeniowe kartki. Po raz pierwszy w życiu miał powód, żeby wysłać kartki na Boże Narodzenie, a nie było mu łatwo znaleźć odpowiednie słowa, zwłaszcza że bez względu na to, co uważała jego matka, prawdopodobnie nie byli to jego ojcowie. W każdym razie nie wszyscy.

Nim matka Erica wyjechała, wstawiła większość mebli do przechowalni. Pozostałe rzeczy, w tym gitarę Erica oraz jego książki, sprzedała na przydomowej wyprzedaży rzeczy używanych pewnego sobotniego poranka, kiedy Eric pracował na dodatkowej zmianie w Całodobowym.

Czynsz był wprawdzie opłacony do końca stycznia, ale po wyjeździe matki Eric spędzał w sklepie coraz więcej godzin, aż w końcu pewnego ranka nie chciało mu się

już wracać do domu. Całodobowy oraz Batu potrzebowali go. Batu oświadczył, że ta postawa dowodzi, że Ericowi pisane są w sklepie wielkie rzeczy.

Co wieczór Batu wysyłał faksy do „World Weekly News”, „National Enquirer” oraz „New York Timesa”. Owe faksy dotyczyły Rozpadliny Ausible i zombie. Pewnego dnia ktoś przyśle reporterów. Wszystko to stanowiło część planu, który miał odmienić sposób, w jaki funkcjonował handel. Miał to być zupełnie inny świat, Eric i Batu zaś mieli w nim być od samego początku. Mieli zostać sławnymi bohaterami. Rewolucjonistami. Bohaterami rewolucji. Batu oświadczył, że na razie Eric nie musi rozumieć tej części planu. Kluczowe dlań było to, żeby nie zadawał pytań.

Ne zaman geri geleceksiniz?

Kiedy wrócisz?

Zombie były takie jak Kanadyjczycy w tym znaczeniu, że właściwie na pierwszy rzut oka wyglądały jak prawdziwi ludzie - żeby wszystkich nabierać. Ale jeśli przypatrzyło im się bliżej, widać było, że pochodzą skądinąd, z miejsca, gdzie wszystko jest inne, w którym nawet te same rzeczy, dziejące się wszędzie, były po prostu nieco odmienne.

Zombie w ogóle się nie odzywały albo mówiły coś, co nie miało najmniejszego sensu.

- Drewniany kapelusz - powiedział jeden zombie do Erica. - Szklana noga. Cały dzień jeździłem z żoną. Czy słyszy mnie pan czasami w radiu? - Usiłowali zapłacić Ericowi za towary, których Całodobowy nie posiadał w sprzedaży.

Prawdziwi ludzie, tacy, którzy nie kierowali się do Kanady bądź z niej wracali, przeważnie mieli ciekawsze rzeczy do roboty, niż jechać do Całodobowego o 3 nad ranem. Toteż w pewnym sensie sprawiali oni jeszcze bardziej dziwaczne wrażenie, kiedy zjawiali się w sklepie. Eric obserwował ich bacznie. Któregoś razu jakiś facet wyciągnął pistolet i wymierzył w Erica - nie sposób było zrozumieć tej sytuacji, ale z drugiej strony dokładnie było wiadomo, o co chodzi. W przypadku zombie - któż to wiedział?

Nawet Batu nie orientował się, o co im chodzi. Niekiedy powtarzał, że są po prostu jeszcze jednym problemem, z jakim trzeba sobie radzić w handlu. Należeli do gatunku klientów, których nigdy nie można zadowolić, takich, którzy domagali się czegoś, czego nie sposób im było dać, którzy nie posiadali innej waluty, z wyjątkiem czegoś,

co było złowróżbne, niezdrowe, mętne i zapewne niebezpieczne.

Tymczasem tym, co zombie usiłowały nabyć, były najwyraźniej takie same rzeczy jak te przynieszone przez nie do sklepu - przedmioty, które swego czasu spadły bądź zostały wrzucone do Rozpadliny Ausible, jak choćby kawałki nierozpryskowego szkła. Skały z dna Rozpadliny. Chrząszcze. Zombie lubowały się w przedmiotach lśniących, rozbitych, śmieciach, takich jak puste butelki po napojach gazowanych, garście liści, lepka ziemia, oblepiona ziemią patyki.

Eric uważał, że być może Batu coś pomylił. Może nie miała to być transakcja. Może zombie chciały po prostu dać coś Ericowi. Ale co miałyby zrobić z ich liśćmi? Czemu on? Co powinien ofiarować im w zamian?

W końcu, kiedy stawało się jasne, że Eric nie rozumie, zombie wychodziły, odchodziły od lady i zaczynały z powrotem krążyć po alejkach lub wychodzić drzwiami, poruszając się niczym szopy pracze, drepcząc na drugą stronę ulicy, wciąż trzymając kurczowo swoje liście. Batu odkładał swój notatnik, szedł do magazynku i wysyłał faksy.

Zombie budziły w Ericu poczucie winy. Nie starał się wystarczająco. Zombie nigdy nie były aroganckie, niecierpliwe ani nie próbowały żadnych numerów z kradzieżą. Żywił nadzieję, że znajdą to, czego szukają. W końcu pewnego dnia on też będzie martwy, a do tego po drugiej stronie lady.

Być może jego przyjaciel, Dave, mówił prawdę, twierdząc, że tam, w dole, znajduje się kraj, który można odwiedzić, tak jak Kanadę. Może kiedy zombie schodziły na samo dno, wsiadały do szybkich zombieaut i jechały do swojej zombiepracy bądź z powrotem do domu, do swych zmysłowych zombiezon, a może jechały do swych zombiebanków, by wpłacać swoje liście, puchate, przypominające ptasie gniazda kłębki oraz wszelkie inne szczątki, których wartości prawdziwi ludzie nie znali.

Nie chodziło wyłącznie o zombie. Dziwaczne rzeczy zdarzały się również w środku dnia. Kiedy w sklepie wciąż jeszcze byli menadżerowie oraz inni pracownicy, pewnego razu, podczas zmiany Batu, do środka wszedł pewien człowiek ubrany w trencz oraz kapelusz. Na zewnątrz było co najmniej 30 stopni Celsjusza, Batu zaś przyznał, że w związku z owym trenczem poczuł się nieco przestraszony, ale w sklepie znajdował się inny klient, biegacz obmacujący akurat butelki z wodą, żeby sprawdzić, które są najzimniejsze. Gość w trenczu obszedł sklep dookoła, wkładając sobie do kieszeni batoniki oraz maszynki do golenia, jakby szykował się do Halloween. Batu zaczął się

zastanawiać, czy nie wcisnąć alarmu.

- Proszę pana? - zwrócił się do niego. - Przepraszam pana?

Mężczyzna podszedł do lady. Batu nie mógł oderwać oczu od jego trencza. Jak gdyby człowiek ten miał na sobie, pod płaszczem, przypięty do klatki piersiowej elektryczny wiatrak, który poświstywał sobie pod nim. Słysząc było jego szum. To się trzyma kupy, uznał Batu, facet ma pod ubraniem własną klimatyzację. Całkiem nieźle, choć mimo to nikt nie miałby ochoty trafić do jego domu w Halloween, żeby prosić o słodycze.

- Wystarczająco gorąco jak dla pana? - spytał mężczyzna, a Batu spostrzegł, że z faceta leje się pot. Drgnął, a z szarego rękawa płaszcza wyleciała pszczoła. Obaj patrzyli, jak owad odlatuje. Potem mężczyzna rozpiął płaszcz, delikatnie, nieznacznie pomachał ramionami, a wówczas spod jego trencza poczęły wyfruwać pszczoły długimi, gęstymi, wściekłymi smugami, póki cały sklep nie zawibrował pszczelimi chmurami. Batu dał nura pod ladę. Facet w płaszczu, gość od pszczoł, sięgnął przez nią, spokojnym, pełnym doświadczenia gestem uruchomił kasę i wysunął szufladę, po czym zabrał wszystkie banknoty.

Następnie wyszedł ze sklepu, zostawiając swoje pszczoły. Wsiadł do samochodu i odjechał. W ten sposób kończą się wszystkie opowieści o Całodobowym - ktoś odjeżdża.

Musieli ściągać do sklepu pszczelarza, żeby wypłoszył pszczoły dymem. Batu został użądłony trzy razy: w usta, brzuch oraz dłoń, kiedy włożył ją do kasy, w której zamiast pieniędzy siedziała pszczoła. Amator joggingu pozwał koncern macierzysty Całodobowego i zażądał grubych pieniędzy, Eric i Batu zaś nie wiedzieli, jak się to skończyło.

Karanlik ne zaman basar?

Kiedy zapada zmierzch?

Ostatnio Erica nawiedza pewien sen. Stoi w nim za ladą w Całodobowym, a w pewnej chwili w jednej z alejek pojawia się jego ojciec, mija stojaki z czasopismami i podchodzi do Erica.

W dłoniach trzyma pełno kamieni z Rozpadliny Ausible. Co jest idiotyczne, wszak jego ojciec żyje, mało tego, mieszka w innym stanie, może nawet w innej strefie czasowej i prawdopodobnie ma inne nazwisko.

Kiedy opowiedział o nim Batu, tamten stwierdził:

- A, ten sen. Mnie też się śnił.

- O twoim ojcu? - spytał Eric.

- O twoim - wyjaśnił Batu. - Myślałeś, że o kogo mi chodzi, o mojego ojca?

- Przecież nigdy nie miałeś okazji poznać mojego ojca - stwierdził Eric.

- Przykro mi, jeśli cię to irytuje, ale zdecydowanie był to twój ojciec - obstawał przy swoim Batu. - Jesteś bardzo do niego podobny. Co chcesz, żebym zrobił, jeśli przyśni mi się znowu? Zignorować go? Udawać, że go tam nie ma?

Eric nigdy nie potrafił stwierdzić, kiedy Batu go nabiera. Sny mogły stanowić drażliwy temat. Eric pomyślał, że może Batu tęskni za spaniem, może kolekcjonuje piżamy na tej samej zasadzie, na jakiej ludzie tęskniący za swoim dzieciństwem zbierają zabawki.

Oto inny sen, którego Eric nie opowiedział Batu. Zjawia się w nim Charley. Chce kupić Mountain Dew, ale wówczas Eric spostrzega, że w każdej butelce napoju pływają małe utopiony piesek. Jeśli wypije się którąś z nich, można wygrać nagrodę. Kiedy Charley podchodzi do lady z naręczem butelek psiej Mountain Dew, Eric zauważa, że ma na sobie górę od jednej z piżam Batu, jedną z tych noszonych na lewą stronę. Przedmioty ocierają się o jego ramiona, plecy, brzuch, niczym tatuaż przenoszą się na jego skórę.

A on nie ma na sobie spodni.

Batki gemilerle ilgileniyorum.

Interesują mnie zatopione okręty.

- Musisz wykonać ruch - stwierdził Batu. W kółko to powtarzał, dzień w dzień, aż Eric miał już dość. - Lada dzień schronisko znajdzie sobie kogoś na jej miejsce, a Charley zwieje. Powiem ci, co powinieneś zrobić: powiedz jej, że chcesz wziąć psa. Stworzyć mu dom. Mamy tu miejsce. Psy dają dobre przygotowanie do stania się rodzicami.

- Skąd wiesz? - spytał Eric. Zdawał sobie sprawę, że w jego głosie słychać rozdrażnienie. Nie potrafił go opanować. - To nie ma najmniejszego sensu. Jeśli psy dają dobre przygotowanie, to co z niej będzie za matka? Co ty opowiadasz? Chcesz przez to powiedzieć, że jak Charley urodzi dziecko, to je uspi, jeśli będzie płakało albo

zmoczy się w łóżko?

- Miałem na myśli coś zupełnie innego - wyjaśnił Batu. - Tak naprawdę, Eric, martwi mnie tylko to, czy Charley przypadkiem nie jest za stara. W jej wieku potrzeba więcej czasu, żeby mieć dzieci. Coś może pójść nie tak.

- O czym ty mówisz? - zirytował się Eric. - Charley nie jest stara.

- A ile twoim zdaniem ma lat? - zapytał Batu. - No więc jak sądzisz? Czy pasta do zębów i przyprawy powinny znaleźć się obok kleju do papieru, żelu do włosów i żeli nawilżających? Zrobić półkę rzeczy lepkich? Czy postawić je razem z tytoniem do żucia oraz płynem do płukania ust i ułożyć wystawkę rzeczy, które się wypluwa?

- Spoko - mruknął Eric. - Zrób wystawkę. Nie mam pojęcia, ile lat ma Charley. Tyle co ja? Dziewiętnaście? Może trochę więcej?

Batu zaśmiał się.

- Trochę więcej? Wobec tego ile twoim zdaniem ja mam lat?

- Nie wiem - przyznał Eric. Przyjrzał się Batu spod zmrużonych powiek. - Trzydzieści pięć? Czterdzieści?

Batu wyglądał na zadowolonego.

- Wiesz, odkąd zacząłem mniej sypiać, wydaje mi się, że przestałem się starzeć. Niewykłuczone, że młodzieję. A ty dalej dobrze się wysypiaj, a niedługo będziemy w tym samym wieku. Chodź, popatrz na to, i powiedz mi, co sądzisz.

- Nieźle - stwierdził Eric. - Moglibyśmy ułożyć obok tych rzeczy arbuzy, gdybyśmy je mieli. Te z nasionami. Jaki sens mają arbuzy bez nasion?

- To nie taki wielki problem - stwierdził Batu. Klęczał w alejce i na swojej podkładce do pisania odhaczał stan towaru. - Nic wielkiego, jeśli Charley jest starsza, niż sądzisz. Nie ma nic niestosownego w tym, że kobieta jest starsza. A poza tym dobrze, że nie martwisz się tymi psimi duchami ani gryzieniem. Każdy ma problemy. Jedyna rzecz, jaka mnie naprawdę niepokoi, to jej samochód.

- Że niby co? - spytał Eric.

- No cóż - zaczął Batu. - Nie będzie problemu, jeśli zamieszka tutaj. Może parkować go pod sklepem dopóty, dopóki zechce. Od tego są parkingi. Ale cokolwiek by się działo, jeśli zaprosi cię na przejażdżkę, nie zgadzaj się.

- A to dlaczego? - zdziwił się Eric. - O czym ty mówisz?

- Zastanów się - ciągnął Batu. - Wszystkie te psie duchy. - Pojechał tyłkiem po sklepowej alejce. Eric ruszył za nim. - Ilekroć przejeżdża tędy z jakimś biednym psiakiem, jest skazany na śmierć. Ten samochód przynosi pecha. Zwłaszcza siedzenie

dla pasażera. Lepiej trzymaj się od niego z daleka. Wolałbym zejść do Rozpadliny Ausible.

Coś chrząknęło - w sklepie znajdował się zombie. Stał za plecami Batu i spoglądał na niego z góry. Batu uniósł wzrok. Eric wycofał się alejką ku ladzie.

- Trzymaj się z dala od jej samochodu - ostrzegł Batu, ignorując zombie.

- A kto zostanie wystrzelony z armaty? - zapytał zombie. Miał na sobie garnitur i krawat. - Mój brat zostanie wystrzelony z armaty.

- Czemu wy nie umiecie gadać jak rozsądni ludzie? - spytał Batu, odwracając się i spoglądając w górę. Siedział na podłodze i mówił takim głosem, jakby za chwilę miał się rozplakać. Pacnął tamtego.

Zombie ponownie odkaslnęła, ziewając. Zrobił dziwną minę. W tej chwili coś zaczepiło się o jego szarą wargę, zombie zaś uniósł dłoń. Szarpnął, wyciągając ów przedmiot z ust, wykasłując czarny, lśniący, zwinięty sznur. Jego usta pozostały rozwarte, jak gdyby chciał pokazać, że nic więcej już w nich nie ma, nawet wówczas, gdy wręczał ów mokry, czarny sznur Batu. Przedmiot rozwinął mu się w dłoniach, zamieniając się w piżamę. Batu z powrotem spojrział na Erica.

- Nie chcę jej - oświadczył. Sprawiał wrażenie onieśmiałego.

- Co mam zrobić? - spytał Eric. Kręcił się przy czasopiśmie. Charlize Theron uśmiechała się do niego szeroko, jak gdyby wiedziała coś, czego on nie wiedział.

- Nie powinno cię tu być. - Dla Erica nie było jasne, czy Batu mówi do zombie. - Mam wszystkie piżamy, jakich mi potrzeba.

Zombie nie odezwał się. Upuścił piżamę na nogi Batu.

- Trzymaj się z daleka od samochodu Charley! - ostrzegł Erica Batu. Zamknął oczy i zaczął pochrapywać.

- Cholera - rzucił Eric do zombie. - Jak ty to zrobiłeś?

W tej chwili w sklepie znajdował się również drugi zombie. Pierwszy wziął Batu za rękę, drugi za stopy. Zawlekły go do magazynku. Eric wyszedł zza lady.

- Co wy wyprawiacie? - spytał. - Nie macie chyba zamiaru go zjeść, co?

Ale zombie umieściły już Batu w magazynku. Włożyły nań ową czarną piżamę, naciągając ją na tę, którą miał na sobie. Wnieśli go na materac i przykryły kołdrą po samą brodę.

Eric wyszedł za nimi z magazynku. Zamknął za sobą drzwi.

- Wygląda na to, że sobie pośpi jakiś czas - stwierdził. - W sumie to dobrze, co nie? Potrzebował trochę snu. No więc jak zrobiliście ten numer z piżamą? Jest tam na dole

jakaś nawiedzona fabryka piżam?

Zombie nie zwracały na niego uwagi. Trzymając się za ręce, ruszyły sklepową alejką, zatrzymując się, żeby poprzyglądać się batonikom, Tampaxom, papierowi toaletowemu oraz wszystkim produktom, które się wypluwa. Niczego nie kupiły. Jak zawsze.

Eric wrócił za ladę. Zapragnął z całej siły, żeby jego matka wciąż mieszkała w ich mieszkaniu. Miał ochotę zadzwonić do kogoś. Przez jakiś czas siedział za kasą i przeglądał książkę telefoniczną, wyłącznie na wypadek, gdyby natknął się na czyjeś nazwisko i uznał, że to dobry pomysł, żeby do tej osoby zadzwonić. Potem poszedł z powrotem do magazynku i popatrzył na Batu. Batu chrapał. Powieki mu drgały, a na jego twarzy widniał maleńki porozumiewawczy uśmiech, jak gdyby śnił, a w owym śnie wszystko nareszcie się wyjaśniło. Trudno było się martwić o kogoś, kto tak wyglądał. Eric poczułby zapewne zazdrość, ale wiedział, że nikomu nigdy nie udawało się zachować w pamięci owych wyjaśnień po przebudzeniu. Nawet Batu.

Hangiyol daba kisa?

Która trasa jest krótsza?

Hangi yol daba kolay?

Która trasa jest łatwiejsza?

Na początku zmiany zjawiała się Charley. Nie weszła do środka. Zamiast tego stała na parkingu obok swego auta, spoglądając na drugą stronę ulicy, ku Rozpadlinie Ausible. Samochód siedział nisko przy ziemi, jak gdyby miał wypchany po brzegi bagażnik. Kiedy Eric wyszedł przed sklep, zauważył, że na tylnym siedzeniu leży walizka. Jeśli w aucie znajdowały się psie duchy, nie widział ich, ale na szybach widoczne były psie ślady.

- Gdzie Batu? - spytała Charley.

- Śpi - wyjaśnił Eric. Zdał sobie sprawę, że nigdy nie zastanawiał się, jak dalej może potoczyć się rozmowa.

- Wyjeżdżasz gdzieś? - spytał.

- Jadę do pracy - odparła Charley. - Normalka.

- Dobrze - uznał Eric. - To dobrze, że jest normalnie. - Stał i wpatrywał się we własne stopy. Jakiś zombie zawędrował na parking. Skinął im głową, po czym wszedł

do Całodobowego.

- Nie masz zamiaru wracać do środka? - zdziwiła się Charley.

- Za chwilę - oznajmił Eric. - I tak nigdy niczego nie kupują. - Ale nie spuszczał oka ze sklepu i zombie, na wypadek, gdyby tamten skierował się ku magazynkowi.

- Ile ty masz właściwie lat? - zapytał Eric. - Znaczy się, czy mogę cię o to spytać? Ile masz lat?

- A ty? - odpowiedziała błyskawicznie pytaniem Charley.

- Prawie dwadzieścia - odparł Eric. - Wiem, że wyglądam na więcej.

- Wcale nie - zaprzeczyła Charley. - Wyglądasz dokładnie na swój wiek.

- A ty ile masz lat? - dopytywał się Eric.

- A jak myślisz? - rzuciła Charley.

- Mniej więcej tyle, co ja? - strzelił.

- Flirtujesz ze mną? - zapytała Charley. - Tak? Nie? A według psiego wieku? Ile twoim zdaniem mam lat według psiego wieku?

Zombie skończył szukać tego, czego szukał w Całodobowym. Wyszedł ze sklepu i skinął głową Charleyowi oraz Ericowi.

- Piękni ludzie - odezwał się. - Może odwiedzilibyście kiedyś moją dłoń?

- Przykro mi - powiedział Eric.

Zombie odwrócił się do nich plecami. Podreptał na drugą stronę ulicy, nie oglądając się ani w lewo, ani w prawo, po czym zszedł w dół ścieżką wiodącą do Rozpadliny Ausible.

- Byłeś tam? - spytała Charlie i wskazała na ścieżkę.

- Nie - odparł Eric. - Znaczy się, pewnego dnia pewnie tam trafię.

- Myślisz, że mają tam zwierzęta domowe? Psy?

- Nie wiem - przyznał Eric. - Zwykle psy?

- Czasem zastanawiam się - ciągnęła Charley - czy mają tam schroniska dla zwierząt i czy ktoś musi opiekować się psami. Czy ktoś ma tam pracę, która polega na usypianiu psów. A jeśli rzeczywiście usypiają tam psy, to gdzie one się budzą?

- Batu powiedział, że jeśli potrzebujesz innej pracy, możesz zamieszkać z nami w Całodobowym - oznajmił Eric. Jego usta były tak zimne, że z trudem mówił.

- Czy właśnie t a k powiedział Batu? - spytała Charley. Zaczęła się śmiać.

- Batu cię lubi - wyjaśnił Eric.

- Ja też go lubię - przyznała Charley. - Ale nie chcę mieszkać w sklepie spożywczym. Bez urazy. Na pewno jest miło.

- Jest w porządku - powiedział Eric. - Nie chcę pracować jako sprzedawca przez całe życie.

- Są gorsze zawody - stwierdziła Charley. Oparła się o swojego chevy'ego. - Może pojedę później wieczorem. Moglibyśmy gdzieś skoczyć, pojechać gdzie indziej, i pogadać o handlu.

- Na przykład gdzie? Dokąd chcesz jechać? - spytał Eric. - Myślisz o wyjeździe do Turcji? Czy to dlatego Batu uczy cię tureckiego? - Miał ochotę stać tam i przez całą noc zadawać jej pytania.

- Chcę się nauczyć tureckiego po to, żebym mogła udawać Turczynkę, kiedy gdzieś pojedę. Żebym mogła udawać, że mówię tylko po turecku. Dzięki temu nikt nie będzie zwracał mi głowy - wyjaśniła Charley.

- Aha - bąknął Eric. - Dobry pomysł. Zawsze możemy pojechać gdzieś i w ogóle nie rozmawiać, jeśli chcesz poćwiczyć. Albo ja mógłbym zagadywać do ciebie, a ty mogłabyś udawać, że nie rozumiesz, co do ciebie mówię. Nie musimy jechać na przejażdżkę. Moglibyśmy po prostu przejść na drugą stronę ulicy i zejść do Rozpadliny. Nigdy jeszcze tam nie byłem.

- To nic wielkiego - stwierdziła Charley. - Możemy to zrobić innym razem. - Nagle wyglądała na znacznie starszą.

- Nie, zaczekaj - powiedział Eric. - Chcę z tobą pojechać. Możemy gdzieś skoczyć. Chodzi tylko o to, że Batu śpi. Ktoś musi go przypilnować. Ktoś musi być na chodzie, żeby sprzedawać towar.

- Więc masz zamiar pracować w sklepie przez całe życie? - spytała Charley. - Opiekować się Batu? Kombinować, jak oskubać nieboszczyków?

- Co masz na myśli? - zdziwił się Eric.

- Batu twierdzi, że firma Całodobowego zastanawia się, czy nie otworzyć jeszcze jednego sklepu tam, na dole. - wyjaśniła Charley, machając w kierunku ulicy. - Według niego przeprowadzacie jakiś handlowy eksperyment. Kiedy już Całodobowy dojdzie do tego, co umarli chcą kupować, będzie to jak ponowne odkrycie Ameryki.

- To nie tak - zaprotestował Eric. Poczul, że jego głos pod koniec zdania wznosi się do góry, jakby zadawał pytanie. Teraz niemal czuł zapach samochodu Charley, o którym mówił Batu. Duchy, owe psy, stawały się niecierpliwie. Można było to zauważyć. Zmęczyły się sterczeniem na parkingu, chciały gdzieś jechać. - Nie rozumiesz. Wydaje mi się, że nie rozumiesz.

- Batu uważa, że masz naprawdę dobre podejście do umarłych - stwierdziła

Charley. - Większość sprzedawców wkurza się. Oczywiście ty pochodzisz stąd. A do tego jesteś młody. Pewnie jeszcze nie rozumiesz, czym jest śmierć. Jesteś zupełnie jak moje psy

- Nie wiem, czego chcą - oznajmił Eric. - Zombie.

- Nikt nigdy nie wie, czego chce - stwierdziła Charley. - Czemu po śmierci miałyby być inaczej?

- Słuszna uwaga - przyznał Eric.

- Nie powinieneś pozwalać Batu wtrącać się tak bardzo w twoje sprawy - oświadczyła Charley. - Wiem, nie powinnam tak mówić. Batu i ja jesteśmy kumplami. Ale my też moglibyśmy zostać kumplami, ty i ja. Jesteś słodki. Nie przeszkadza mi, że niewiele mówisz, chociaż z drugiej strony nie przeszkadza mi, kiedy sobie gawędzimy. Może się ze mną przejedziesz? - Gdyby w jej samochodzie znajdowały się psy bądź psie duchy, wówczas Eric usłyszałby ich wycie. Eric usłyszał ich wycie. Psy mówiły mu, żeby spadał. Mówiły mu, żeby spierdalał. Charley należy do nich. Była ich morderczynią.

- Nie mogę - stwierdził Eric, pragnąc, żeby Charley ponownie go zaprosiła. - Nie w tej chwili.

- No cóż, nie szkodzi. Podjadę później - obiecała Charley. Uśmiechnęła się, on zaś na chwilę znalazł się w mieście, w którym nikt nigdy nie wpadł na to, jak ugasić ów pożar, a wszystkie martwe psy zawyły ponownie i zaczęły drapać w usmarowane szyby. - Po Mountain Dew. Więc będziesz miał trochę czasu, żeby o tym pomyśleć.

Wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Erica.

- Masz zimne ręce - stwierdziła. Jej dłonie były gorące. - Powinieneś wracać do środka.

Rengi beğ enmiyorum.

Nie podoba mi się ten kolor.

Była już czwarta nad ranem - wciąż jeszcze nie było widać Charley - kiedy z zaplecza wyłonił się Batu. Przecierał oczy. Czarna piżama zniknęła. Miał teraz na sobie dół od piżamy w lisy biegnące po polu ku drzewu, wokół którego siedziały kołem na swoich zadkach inne lisy. Wyciągnięte ogony biegnących lisów były grube niczym zeppelin, nad każdym zaś unosił się płomyk ognia. Każdy z nich miał w sobie Hindenburga, nad którym znajdował się drugi płomyk i tak dalej. Widać niektórych

pożarów nie sposób ugasić.

Góra pizamy była w kolorze, którego Eric nie potrafił nazwać. Pokrywały ją posępne, pełzające kształty. Swego czasu Eric czytał Lovecrafta. Kiedy patrzył na tę górę od pizamy, odczuwał mdłości.

- Miałem właśnie najlepszy sen w życiu - oznajmił Batu.

- Pospałeś prawie sześć godzin - zauważył Eric. Kiedy zjawi się Charley, pojedzie z nią. Zostanie z Batu. Batu potrzebował go. Pojedzie i wróci. Nigdy nie wróci. Wyśle Batu pocztówkę z niedźwiedziami. - O co w tym chodziło? Z tymi zombie.

- Nie wiem, o czym mówisz - stwierdził Batu. Ze stoiska z owocami wziął sobie jabłko i wytarł je o swoją nieeuklidesową górę od pizamy. Owoc nabrał paskudnego, nienaturalnego połysku. - Zagładała tu Charley?

- Tak - odparł Eric. Razem z Charley pojedą do Las Vegas. Kupią Batu pizamę zdobioną złotymi cekinami. - Chyba masz rację. Wydaje mi się, że wkrótce wyjedzie z miasta.

- Ale nie wolno jej! - krzyknął Batu. - Nie taki jest plan. Chodź, powiem ci, co zrobimy. Wyjdź przed sklep i czekaj na nią. Przypilnuj, żeby nie ziała.

- Batu, ona nie jest poszukiwana przez policję - stwierdził Eric. - Nie jest naszą własnością. Jeśli chce, może wyjechać z miasta.

- A tobie to nie przeszkadza? - zdziwił się Batu. Ziewnął okrutnie, i jeszcze raz, po czym przeciągnął się, tak że góra pizamy uniosła się w upiorny sposób. Eric zamknął oczy.

- Trochę - przyznał. Zdążył już wziąć szczoteczkę do zębów, jakąś pastę, oraz tanie zabawkowe zęby, będące pozostałością po Halloween, które, być może, mógłby podarować Charley. - Nic ci nie jest? Masz zamiar znowu zasnąć? Mogę zadać ci kilka pytań?

- Jakich znowu pytań? - mruknął Batu, opuszczając powieki w sposób, który sugerował zarówno senność, jak i przebiegłość.

- Pytań dotyczących naszej misji - wyjaśnił Eric. - Całodobowego i tego, co właściwie robimy w pobliżu Rozpadliny Ausible. Chcę zrozumieć, co tu się właśnie wydarzyło z tymi zombie i pizamą, i czy to należy do planu, czy nie, czy plan należy do nas, czy nie, czy może został zaplanowany przez kogoś innego, a my jesteśmy tylko wielkim eksperymentem handlowym. Czy jesteśmy nowością, czy tym samym starym produktem?

- To nie jest odpowiednia pora na pytania - odparł Batu. - Czy okłamałem cię choć

raz przez cały ten czas, odkąd razem pracujemy? Czy zwodziłem cię?

- No właśnie - powiedział Eric. - Tego chciałbym się dowiedzieć.

- Być może nie mówiłem ci wszystkiego - przyznał Batu. - Ale to należy do planu. Kiedy powiedziałem, że wszystko zbudujemy od nowa, że odmienimy handel, mówiłem prawdę. Plan wciąż pozostaje planem, a ty ciągle jesteś jego częścią, tak samo jak Charley.

- A piżamy? - dopytywał się Eric. - A Kanadyjczycy, syrop klonowy, ludzie, którzy przychodzą do sklepu po Mountain Dew?

- To też chcesz wiedzieć? - zdziwił się Batu.

- Tak - odparł Eric. - Zdecydowanie.

- No więc dobrze. Moje piżamy są eksperymentalnymi piżamami CIA - oświadczył Batu. - Jak baterie. Ładujesz mi je, kiedy śpisz. Tylko tyle mogę powiedzieć w tej chwili. Zapomnij o Kanadyjczykach. Ta piżama, którą właśnie dały mi zombie - czy ty masz pojęcie, co to oznacza?

Eric pokręcił przecząco głową.

- Nieważne - powiedział Batu. - Wiesz, czego nam teraz trzeba?

- Czego nam trzeba?

- Trzeba, żebyś wyszedł przed sklep i poczekał na Charley - wyjaśnił Batu. - Nie mamy na to czasu. Robi się wcześnie. Charley w każdej chwili może wyjść z pracy.

- Wyjaśnij mi to wszystko jeszcze raz - zażądał Eric. - To, co przed chwilą powiedziałeś. Jeszcze raz objaśnij mi plan.

- Zrozum - zaczął Batu. - Posłuchaj. Najpierw wszyscy żyją, zgadza się?

- Zgadza - przytaknął Eric.

- I wszyscy umierają - mówił Batu. - Zgadza się?

- Zgadza - powtórzył Eric. Podjechał jakiś samochód, ale nie była to Charley.

- No więc każdy zaczyna tutaj - ciągnął Batu. - Nie tu, w Całodobowym, ale gdzieś tutaj, gdzie jesteśmy. Gdzie obecnie żyjemy. Tutaj, to miejsce, w którym żyjemy. Ten świat. Zgadza się?

- Zgadza - ponownie przytaknął Eric. - W porządku.

- Natomiast idziemy tam - powiedział Batu, pstrykając palcem w kierunku ulicy. - Tam, na dno Rozpadliny Ausible. Każdy tam trafia. A my jesteśmy tutaj, tu, w Całodobowym, który jest po drodze tam.

- Zgadza się - powtórzył raz jeszcze Eric.

- No więc to jest tak, jak z Kanadyjczykami - tłumaczył Batu. - Ludzie dokądś jadą,

a jeśli czegoś potrzebują, mogą się tu zatrzymać i to kupić. Ale musimy wiedzieć, czego potrzebują. To jest cała nowa niezbadana demografia. No więc postawili tu Całodobowy, oświetlili jak choinkę i czekali, żeby się przekonać, kto się zatrzymuje i co kupuje. Nie powinienem ci tego mówić. To wszystko to tylko informacje niezbędne do działania.

- Znaczą się Całodobowy, CIA czy kto tam, chce, żebyśmy zrozumieli, w jaki sposób sprzedawać towar zombie - podsumował Eric.

- Zapomnij o CIA - rzucił Batu. - Pójdiesz teraz przed sklep?

- Ale czy to nasz plan? Czy tylko postępujemy według czyjegoś planu?

- Czemu ma to dla ciebie znaczenie? - zdziwił się Batu. Położył dłonie na jego głowie i zmierzwił mu włosy, póki nie stanęły całkiem prosto, ale Eric nie dał się zastraszyć.

- Wydawało mi się, że wypełniamy misję - stwierdził - żeby pomóc człowiekowi. Całej ludzkości. Jak statek kosmiczny „Enterprise”. Ale w jaki sposób pomagamy komukolwiek? Co to ma wspólnego z nowym sposobem handlu?

- Eric - napomniął go Batu. - Widziałeś tę pizamę? Spójrz. Albo wiesz co? Zapomnij o niej. Nigdy jej nie widziałeś. Jak już mówiłem, to coś poważniejszego niż Całodobowy. Pieką się większe pieczenie, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Nie - odparł Eric. - Nie wiem.

- Wyśmienicie - uradował się Batu. Jego eksperymentalna pizama CIA poczęła wiać się i wrzeć. - Twoje zadanie to pomagać i być uprzejmym. Wykaż cierpliwość. Zachowaj ostrożność. Poczekaj, aż zombie wykonają kolejny ruch. Wysłałem kilka faksów. Tymczasem nadal potrzebujemy Charley. Ona jest urodzoną ekspedientką. Od lat sprzedaje śmierć. A do tego ma prawdziwy talent do języków - błyskawicznie nauczy się mówić w języku zombie. Pomyśl, jaką robotę mogłaby tu wykonać! Idź przed sklep. Jak będzie przejeżdżała, zatrzymaj ją. Pogadajcie. Wy tłumacz, dlaczego powinna tu zamieszkać. Ale pod żadnym pozorem nie wsiadaj z nią do samochodu. Jest wypchany duchami. Niedobrymi duchami. Takimi, które nigdy niczego nie zrozumieją w kwestii poważnych transakcji.

- Wiem - przyznał Eric. - Czuję ich zapach.

- Więc wszystko jest jasne? - spytał Batu. - A może uważasz, że ciągle cię okłamuję?

- Nie sądzę, że tak całkiem mógłbyś mnie okłamać - stwierdził Eric. Włożył kurtkę.

- Czapkę też lepiej załóż - poradził Batu. - Jest zimno. Wiesz, że jesteś dla mnie jak

syn. Dlatego mówię ci, żebyś włożył czapkę. A jeśli cię okłamałem, to zrobiłem to dla twojego dobra, ponieważ kocham cię jak syna. Pewnego dnia, Eric, to wszystko będzie twoje. Tylko mi zaufaj i rób, co ci mówię. Zaufaj planowi.

Eric nie odezwał się. Batu poklepał go po ramieniu, na górę od pizamy naciągnął firmową koszulę Całodobowego i wziął sobie banana oraz napój owocowy „Snapple”. Usadowił się za ladą. Jego włosy wciąż sterczały do góry, ale komu mogłoby to przeszkadzać o czwartej nad ranem? Nie Ericowi, nie zombie. Eric włożył czapkę, pomachał nieznacznie Batu, co mogło oznaczać zarówno „Cieszę się, że w końcu to wszystko wyjaśniliśmy”, jak i „Do zobaczenia!” Nie miał co do tego pewności. Wyszedł przed Całodobowy. To jest ostatni raz, pomyślał, kiedy przestępuję ten próg. Nie wiedział, co o tym sądzić.

Eric stał na parkingu przez długi czas. Słyszał, jak dalej, w krzakach po drugiej stronie ulicy zombie polują na cenne dla innych zombie przedmioty. Jakaś kobieta, prawdziwa, ale nie Charley, zajechała na parking. Weszła do sklepu, zaś Eric pomyślał, że wie, co powie do niej Batu, kiedy podejdzie do lady. Kiedy będzie chciała zapłacić za swoje zakupy, Batu wyjaśni jej, że nie chce pieniędzy. Tak naprawdę nie o to chodzi w handlu. Batu chciałby wiedzieć, czego tak naprawdę pragnie ta kobieta. To było takie proste, takie skomplikowane. Być może Batu spróbuje ją zwerbować, o ile nie sprawia wrażenia osoby skłonnej do pieniactwa, i może był to dobry pomysł. Może w Całodobowym rzeczywiście potrzebne są kobiety.

Eric szedł tyłem, coraz bardziej oddalał się od Całodobowego. A im bardziej się oddalał, tym piękniejszy jawił mu się sklep - cały lśnił blaskiem niczym księżyc. Czy tak widziały go zombie? Co widziała Charley, kiedy tędy przejeżdżała? Nie potrafił sobie wyobrazić, jak ktoś mógłby go zostawić i nigdy doń nie wrócić.

Może w swojej kolekcji Batu posiadał pizamę z Całodobowymi Sklepami Spożywczymi i wylewającym się światłem, Rozpadliną Ausible, drogą z zombie i Charley, jadącą w swym chevym z różnymi psami wyglądającymi przez okna. Na dole jednej z nogawek owej pizamy, daleko na drodze, byłyby odziane w łód niedźwiedzie, Kanadyjczycy, tajni agenci CIA, reporterzy z brukowców oraz pracownicy szczebla kierowniczego sieci Całodobowego. Tancerki rewiowe z Las Vegas. Federalni urzędnicy śledczy i facet od pszczół w trenczu. Samochód jego matki, który wciąż jedzie coraz dalej i dalej. Zastanawiał się, czy zombie noszą zombiepizamy, czy tylko wynaleźli ją dla Batu. Spróbował wyobrazić sobie ubraną w jedwabną pizamę i

flanelowy szlafrok Charley, ale nie wyglądała w nich zbyt dobrze. Nadal wyglądała na osobę nieszczęśliwą, przepełnioną złością i niepokieszoną, znacznie starszą, niż Eric kiedykolwiek był tego świadom.

Podskakiwał na parkingu, usiłując się rozgrzać. Kiedy kobieta wyszła ze sklepu, obrzuciła go dziwnym spojrzeniem. Za ladą nie widział Batu. Może znów zasnął albo wysyła kolejne faksy. Ale nie wrócił do sklepu. Bał się piżamy Batu.

Bał się Batu.

Został przed sklepem, czekając na Charley.

Lecz kilka godzin później, kiedy nadjechała, stał na krawężniku i wypatrywał jej, nie chciał, żeby jedynie przemknęła, za wszelką cenę pragnął ją ujrzeć, a nie przegapić, upewnić się, że go widzi, skłonić ją, żeby zabrała go ze sobą bez względu na to, dokąd jechała - na fotelu pasażera znajdował się labrador. Na tylnym siedzeniu pełno było zarówno żywych psiaków, jak i duchów, a wszystkie one wystawiały ku niemu swe psie nosy. Nie starczy dla niego miejsca, nawet jeśli zdoła skłonić ją, żeby się zatrzymała. Ale mimo to wybiegi na jezdnię niczym jakiś cholerny pies, goniąc za jej samochodem, póki starczyło mu tchu.

ARMATA

P: A kto zostanie wystrzelony z armaty?

O: Mój brat zostanie wystrzelony z armaty.

P: A jak nazywa się armata?

O: Mons Meg. Dulle Greite. Malik-i-Mydan, Car Puszka, Dhool Dhanee, Zufu Bukh. Nazywają ją również Nieuniknioną. Jest też zwana Słodkimi Ustami oraz W Górę, W Górę, Hen, Daleko. Jest znana jako Wdowa, z uwagi na swój kolor oraz na to, że odbywała stosunki z wieloma mężczyznami. Jej mężowie nazywają ją Syreną - ci, którzy oliwią jej części i polerują okrągły otwór jej ust, zaprzęgają ją i ciągną od miasta do miasta - powiadają, że powinniśmy wypuścić ją do zatoki i przekonać się, czy popłynie. To taki ich żarcik. Jest nazywana Konwersacją, ponieważ odezwie się uprzejmie, kiedy zwrócisz się do niej z zapalką. Jest zwana Jedyńą Odpowiedzią, bowiem bez względu na to, jakie postawisz pytanie, stale udziela tej samej odpowiedzi.

P: A jak nazwa się twój brat?

O: Już nie pamiętam.

P: Jak daleko zaleci?

O: Zaleci tak daleko, że nigdy już nie wróci do domu. Stopami już nigdy, do końca życia, nie dotknie ziemi. Nigdy nie zobaczy już swojej rodziny. Nigdy nie ujrzy już armaty, lecz do końca życia będzie marzył o jej okrągłych, nieruchomych, grzmiących czarnych ustach.

P: Kim są te kobiety?

O: To jego żony. Kiedy mój brat zostanie wystrzelony z armaty, jego dwie najmłodsze żony zastąpią go w jej wnętrzu. Niosą na plecach bagaż, który zawiera

jego dobytek: książki, kije golfowe, korespondencję, kolekcję płyt, przybory toaletowe, dowód tożsamości. Jego żony wdrapią się do wnętrza armaty i opuszczą ją w bardzo podobny sposób jak on, ale nie zalecą w to samo miejsce. Mężczyźni i kobiety nie trafiają do tych samych miejsc.

P: Czemu?

O: Tego nie wie nikt.

P: Nigdy już nie wróci do domu?

O: Nigdy już nie wróci do domu.

P: Dlaczego trzeba wypalić z armaty?

O: Trzeba wypalić z armaty, ponieważ taka jest racja istnienia armat. W armacie trzeba umieścić amunicję. Amunicję należy wystrzelić z armaty. Armata nie służy żadnym innym celom. Ktoś może przez przypadek zasnąć w armacie albo schronić się w jej wnętrzu przed burzą, bądź ukryć w niej przed swymi wrogami, ale koniec końców armata musi wypalić.

Kiedyś w tych Słodkich Ustach odbyłam stosunek pozamałżeński z pewną mężatką. Cierpiała na agorafobię. Oświadczyła jej, że ja cierpię na agnostycyzm.

Powiedziałam, „Tak, właśnie tak, nie za mocno palcami”, a ona na to „Podoba ci się?” i „Uważaj na głowę”, a kiedy się pieprzyliśmy, zjawił się jej mąż i odpalił zapalną, a po chwili już leciałyśmy. Poszybowałyśmy niczym kula łańcuchowa. Moja kochanka krzyczała do swojego męża: „Podnieś ją trochę, zbrojmistrzu!” i patrzyłyśmy, jak staje się coraz mniejszy.

Trzymałam ją w biodrach, a także za warkocze i pieprzyłam, kiedy przelatywałyśmy nad kolejnymi wioskami, a ona objęła mnie nogami w biodrach i robiła to samo. Kiedy skończyłyśmy, leciałyśmy jedna obok drugiej, a ona stwierdziła, że jest wdzięczna mi, armacie i swojemu mężowi. Ten romans wyleczył ją z agorafobii. Pobzykałyśmy się jeszcze trochę, żeby to uczcić, a potem trafiłyśmy do jakiegoś miasteczka. Ja złapałam się wieżyczki kościoła episkopalnego. Ona poleciała dalej sama. Nie była gotowa, żeby z powrotem stanąć na ziemi. Musiałam iść piechotą kawał drogi do domu. Nie widziałam się z nią od tamtej pory.

P: Czy twój brat miał szczęśliwe dzieciństwo?

O: Czemu jego nie spytasz? Siadywał mi na głowie. Kiedyś odpalił petardy w mojej szafie. Podkładał mi kanapki z pastą do zębów i ogórkiem na drugie śniadanie. Wrywał ostatnie strony swoich komiksów, zanim oddał mi je do czytania. Oszczędzał swoje kieszonkowe i zapłacił Josephowi Howleyowi oraz jego czterem siostram, żeby gonili mnie po całej okolicy. A kiedy mnie złapali, zdjęli mi majtki i przywiązali je do gałęzi.

P: Czy armata miała szczęśliwe dzieciństwo?

O: Dawno temu, nim dobiegły końca wszystkie wojny, kiedy wielka artyleria jeszcze miała inne zastosowania, był pewien zbrojmistrz, który ukochał armatę. Dokądkolwiek wyruszał, zabierał ją ze sobą. Była jego maskotką, zwycięstwem, powiernicą, zegarem. Z miłości do zbrojmistrza armata wzięła Odruik. Wzięła Pragę, Famagustę, Seringapatam, Bajadoz. Wzięła Kair, wzięła lekcje tańca, słuch Beethoveena i ramię Napoleona. Brała i brała, a zbrojmistrz dawał i dawał. Łechtał ją swym *funis ignarii*, swymi buławami i lekami na robaki, zabiegał o jej względy opatentowanymi pociskami zapalającymi Valturia, fajerwerkami i kartaczami, ołowiem, granitem i brązem; namaszczał ją kosztownymi wonnościami - saletrą potasową, serpentynem, siarką, węglem drzewnym, antymonem. Kiedy zbrojmistrz był stary, zamożny, a przy tym znużony chodzeniem na wojnę, przeszedł na emeryturę, osiadł na Riwierze i wybudował zamek. Poślubił armatę i związał jej u wylotu lufy czepek z białego jedwabiu, żeby wyglądała jak dama. W niedzielę zbrojmistrz zaprzęgał swą małżonkę w cztery stare kawaleryjskie konie i jechał nią drogą do kaplicy.

Zona była jednak zbyt korpulentna, by precyzyjnie się przez drzwi, a gdy proboszcz odrzucił ofertę pokrycia kosztu nowych wrót, zbrojmistrz zostawił ślubną uwiązaną na pobliskim cmentarzu. Konie skubały trawę, zbrojmistrz zaś zapłacił jakiemuś malcowi, aby ten bacznie pilnował, by nikt nie uprowadził mu żony i nie przetopił na złom. Po mszy młodszy członkowie kongregacji udawali się na cmentarz i zbierali kamienie oraz niewielkie kawałki marmuru, by zbrojmistrz je wystrzelił.

W swym zamku zbrojmistrz zbudował pochylnię, toteż kiedy szedł do łóżka, armata szła z nim, a kiedy rankiem schodził na śniadanie, armata schodziła wraz z nim. Ku swemu wielkiemu smutkowi nie doczekali się potomstwa, a kiedy w końcu zbrojmistrz zamknął oczy, przedsiębiorcy pogrzebowi odziali go w jego podróżne

ubranie i umieścili go we wnętrzu jego małżonki, armaty. Było to właściwe skonsumowanie. Ale ładunek okazał się nieodpowiedni, toteż kiedy zbrojmistrz opuścił w końcu swą żonę, zaleciał jedynie do sąsiedniego miasteczka. Jego buty znaleziono w rowie irygacyjnym, kapelusz w konarach drzewa cytrynowego, ciało zwisało z zagrody dla owiec, zaś głowa znalazła się na kolanach pasterki.

Jego spadkobiercy sprzedali wdowę pewnemu cyrkowemu impresario.

P: Czy istnieje coś takiego jak szczęśliwe małżeństwo?

O: Pozwól, że odpowiem na to pytanie. Nazywam się Venus Shebby. Kiedy byłam młodą dziewczyną, pewnego dnia wystrzelili mnie z armaty, a kiedy spadłam na ziemię, znalazłam się w jakimś innym miejscu. Miejscu urokliwym, pełnym pięknych ludzi! Mieszkańcy owego miejsca zimą są owłosieni, wiosną zaś zrzucają swe owłosienie i chodzą nago.

Zimą łowią ryby, rozpalając ogniska na zamarzniętych jeziorach, ale latem nie jadają ryb. W lecie jedzą owoce i zboża, które fermentują w pęcherzu, toteż ludzie ci przez całe lato znajdują się w stanie upojenia alkoholowego. Lato to pora duchów. Zimą łatwo jest je dostrzec. Istnieje wiele opowieści o tym, jak to znajdowano zimowe duchy zaplątane niczym wszy we włosach swych kochanków. Sami żywi nie mają włosów, dzięki czemu można ich rozpoznać zimą. Ale latem żywi i umarli mogą przejść obok siebie na ulicy i nikt nie dostrzeże różnicy. Istnieją komedie i słynne tragedie o związanych z tym nieporozumieniach.

Owi piękni ludzie po zrzuceniu swych włosów zbierają je i przechowują w woreczkach, które noszą na biodrach. Myją je i perfumują, gręplują i czeszą. Latem żywi noszą splecione z włosów pasy oraz swe woreczki z włosami na biodrach, by w ten sposób pokazać, że są żywi. Ale zawsze znajdują się modni, którzy udają martwych, jak również martwi spryciarze, którzy kradną włosy żywym. Z tego powodu zbieranie cudzych kosmyków włosów i wkładanie ich do własnego woreczka postrzegane jest jako śmiertelna zniewaga, o ile nie zostanie się o to poproszonym.

Ludzie ci organizują społeczności, by tkąć ogromne dywany ze swych zrzuconych włosów, owe dywany zaś są miękkie, ciepłe i ciężkie. Zimą śpią pod nimi, gdy zawrą związek małżeński, a mogą poślubić tyle żon i mężów, ile zdoła zasnąć wygodnie pod jednym dywanem. Istnieje słowo, które oznacza wszystkie te trzy rzeczy: małżeństwo, dywan, społeczność. Nie ma słów, które oznaczałyby wojnę albo podróż. Ludzie ci nie znają również słowa, które oznaczałoby armatę. Nie znają armat. Wszystkie ich

wytwory powstają z włosów, kości i skóry. (Potrafisz sobie wyobrazić armatę zrobioną z włosów?) Nawet ich historie przekazywane są na utkanych z włosów gobelinach. Ale nie istnieje nic równie pięknego jak dywany małżeńskie.

Posiadam kolekcję zdjęć małżonków leżących razem, ułożonych jedno obok drugiego pod swym małżeńskim czerwono-czarno-bursztynowo-szarym dywanem, co wygląda tak, jakby zawalił się wyjątkowo gruby i włochaty namiot cyrkowy. Głowy i stopy wystają spod krawędzi, a niektórzy z nich popatrują ukradkiem przez wyszywane, niepozapinane dziury do oddychania. Ich guziki wyrzeźbione są z kości. Jeśli masz pieniądze, pokażę ci te zdjęcia. Ludzie pracowici wyplatają niekiedy dywany tak wielkie, że mogą poślubić kilkaset osób naraz.

Piękni ludzie przechowują również inne dywany w domach, które służą wyłącznie do tego celu, nie zaś do mieszkania. Dywany, jakie przechowują w owych domach, używane są do pochówku.

Latem żałowałam, że się tam nie urodziłam. Podczas pierwszej zimy byłam nowicjuską. Miałam możliwość wyboru mężów i żon.

Pod koniec drugiej, kiedy poczęły topnieć lody, odesłali mnie. Powiedzieli, że to tak, jakby spać z kimś martwym. Przeze mnie mieli koszmary, a w końcu doszło do tego, że w ogóle nie mogli spać, kiedy byłam w pobliżu. Używają jednego i tego samego słowa na określenie nieżyjących, *lata* i *bezwłosych*, a po jakimś czasie słowo to stało się moim imieniem. Odeszłam, kiedy rozwiedli się ze mną. Nie mieli słowa oznaczającego rozwód.

Zbudowałam armatę z lodu, po czym owinęłam się w pogrzebowy dywan, który moi mężowie i żony utkali dla mnie ze swych własnych włosów, a jedna z moich żon była moim kanonierem. Po wielu przygodach wróciłam tutaj, a pewnego razu, po spożyciu większej ilości alkoholu, przekazałam ów pogrzebowy dywan do muzeum narodowego. Kiedy wytrzeźwiałam, zażądałam jego zwrotu, ale stwierdzili, że nie mają pojęcia, o czym mówię. Mieszkam sama, zaś to stare, wyleniałe i obdarte coś, co mam na sobie, to szal z końskiego włosia, który znalazłam w sklepie z używanymi rzeczami.

Czasami, kiedy się budzę, nim otworzę oczy, wyobrażam sobie, że wciąż leżę pod małżeńskim dywanem wśród moich mężów i żon. Moje dłonie pełne są ich słodkich, wonnych włosów. Nazywam się Venus Shebby, a niegdyś byłam bardzo piękna - niczym wyrzeźbiona z lodu armata.

P: Kim była ta kobieta?

O: Venus Shebby.

P: Jak ma się armata do małżeństwa?

O: Nie wiem.

P: Kim była pierwsza osoba wystrzelona z armaty? Czy był to mężczyzna, czy kobieta?

O: Pierwszą osobą, która została wystrzelona z armaty, był przebrany za kobietę młody mężczyzna. Miał na imię Lulu. Czasami, gdy wystrzeliwują kogoś z armaty, powiadają, że demonstrują „skok Lulu”.

P: Kochasz swojego brata?

O: Kocham mojego brata jak brata.

P: Uważasz, że jestem piękna?

O: Owszem, ale nie tak piękna jak Venus Shebby za miodu. Nie jesteś piękna jak armata.

P: Dziękuję za szczerość. Czemu twój brat ma tyle żon, podczas gdy ty nie masz ani jednej?

O: Nie wiem.

P: Czy zgodzisz się, jeśli poproszę cię o rękę?

O: Nie wiem.

P: Jaki odgłos wyda armata? Czemu nie możesz mnie pokochać, choćby na chwilę? Czemu trzeba wypalić z armaty? Jak długo nie będzie twojego brata? Czemu nie wróci? Czy kiedykolwiek pojawi się z powrotem? Co wkładasz do uszu? Czy nadszedł już czas, żeby wypalić z armaty? Czy mogę zadać te pytania armacie? Co powie?

O: Odgłos gromki niczym sam Pan Bóg, ale tylko mój brat oraz jego żony usłyszą go. Wszyscy pozostali wkładają sobie do uszu wosk pszczeli. Nie wiem. Nie wiem. Długo. Już nie wróci. Nie. Pszczeli wosk i watę. Wkrótce. Nie wiem. Nie. Bądź

cierpliwa. Słuchaj. Słuchaj.

KAMIENNE ZWIERZĘTA

Henry zadał pytanie. Żartował.

- Prawdę mówiąc - odburknęła agentka biura nieruchomości, straciwszy panowanie nad sobą - jest.

Nie było to pytanie, jakiego się spodziewała. Wyszczrzyła się do Henry'ego w głupkowskim, pojednawczym uśmiechu i szarpnęła rąbek spódnicy od różowego lnianego kostiumu, która wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła zwinąć się jej nad kolana niczym roleta. Agentka była młodsza od Henry'ego i sprzedawała domy, na które nie było jej stać.

- Ma to, rzecz jasna, swoje odbicie w cenie - stwierdziła. - Jak pan to zauważył.

Henry począł się w nią wpatrywać. Zacerwieniła się.

- Nigdy niczego nie widziałam - oznajmiła. - Ale krążą różne opowieści. Nie żebym je znała. Po prostu wiem, że istnieją. O ile wierzy pan w tego typu rzeczy.

- Nie wierzę - przyznał Henry. Odwrócił się, żeby przekonać się, czy Catherine to słyszała - włożyła głowę do pokrytego płytkami ceramicznymi kominka, jak gdyby go przymierzała, żeby upewnić się, czy pasuje. Catherine była w szóstym miesiącu ciąży. Nic na nią nie wchodziło, z wyjątkiem należących do Henry'ego czapek bejsbolowych, jego spodni od dresu i koszulek z krótkim rękawem. Ale kominek przypadł jej do gustu.

Carleton biegał po schodach z góry na dół, tupiąc głośno, trzymając przy tym pochyloną głowę, ręce zaś owinięte miał wokół balustrady. Carleton z powagą podchodził do swoich zabaw. Tilly siedziała na półpiętrze z nogami wystającymi spomiędzy szczebli balustrady i czytała książkę. Ilekroć Carleton przebiegł koło niej, grzmocił ją po głowie, ale Tilly ani razu nie odezwała się choćby słowem. Później Carleton tego pożałuje i nawet nie będzie wiedział dlaczego.

Catherine wyjęta głowę z kominka.

- Kochani - powiedziała. - Carleton, Tilly. Uspokójcie się na chwilę i powiedzcie mi, co sądzicie. Myślicie, że Król Spanky będzie się tu dobrze czuł?

- Król Spanky jest kotem, mamó - mruknęła Tilly. - Może powinniśmy kupić psa, no wiesz, żeby nas chronił. - Patrząc na matkę, wiedziała, że się tu przeprowadzą. Nie miała pojęcia, jak się do tego ustosunkować, prócz tego, że zaplanowała już, jak zagospodarować ogród przed domem. Taki ogródek aż się prosił o psa.

- Nie lubię dużych psów - oznajmił Carleton, niski jak na swój wiek sześciolatek. - Nie podobają mi się te schody. Są za duże.

- Carleton - zawołał Henry. - Chodź tutaj. Obejmij tatusia.

Carleton zszedł na dół. Położył się na brzuchu na podłodze i głośno, zgrabnie, powoli potoczył się do miejsca, w którym stali Henry oraz agentka biura nieruchomości. Niczym martwy wąż owinał się wokół kostek Henry'ego.

- Nie podobają mi się te psy przed domem - stwierdził.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że wygląda to tak, jakbyśmy znajdowali się na końcu świata, ale jeśli przejdzie pan ogródkiem z tyłu domu, przedrze się przez tę kępę drzew, znajdzie pan tam wąską ścieżkę. Prowadzi wprost do stacji kolejowej. Dziesięć minut rowerem - objaśniła agentka. Nikt nigdy nie pamiętał, jak się nazywa, dlatego też musiała nosić zbyt obcisłe spódnice. Tak się składa, że pisała romans i dużo czasu poświęcała wymyślaniu pseudonimów, na wypadek, gdyby kiedykolwiek go skończyła. Ophelia Pink. Matilde Hightower. Lala Treeble. A może napisze coś gotyckiego. Historie o duchach. Ale na pewno nie o takich ludziach jak ci tutaj. - Kolejne dziesięć minut ścieżką i jest pan w mieście.

- Jakie znowu psy, Carleton? - zdziwił się Henry.

- Wydawało mi się, że to lwy - wtrąciła Catherine. - Masz na myśli te kamienne zwierzęta przy drzwiach? Zupełnie jak lwy przed biblioteką. Uwielbiasz je, Carleton. Cierpliwość i Hart Ducha?

- Zawsze sądziłam, że to króliki - stwierdziła agentka biura nieruchomości. - Pewnie ze względu na uszy. Mają duże uszy. - Opuściła dłonie, po czym obciągnęła spódnice, która nie chciała się ułożyć. - Wydaje mi się, że są dość cenne. Człowiek, który zbudował ten dom, miał galerię w Nowym Jorku. Znał wielu rzeźbiarzy.

Na Henrym informacja ta zrobiła wrażenie. Doszedł do wniosku, że on nie zna ani jednego.

- Nie podobają mi się te króliki - oświadczył Carleton. - Nie podobają mi się schody. Nie podoba mi się pokój, fest za duży. O n a też mi się nie podoba.

- Carleton - ofuknął go Henry. Uśmiechnął się do agentki biura nieruchomości.

- Nie podoba mi się ten dom - marudził dalej Carleton, uczepony kostek

Henry'ego. - Nie lubię domów. Nie chcę mieszkać w domu.

- Więc zbudujemy ci na trawniku tipi - zaproponowała Catherine. Znajdowała się na schodach obok Tilly, która niemal niezauważalnie pochyliła się ku niej. Ona zaś siedziała tak nieruchomo, jak tylko się dało. Tilly chodziła do czwartej klasy i sprawiała trudności, jakich nie spodziewano się po dziewczynkach. Przeważnie nie pozwalała się przytulać ani pieścić. Ale teraz siedziała, opierając się na ramieniu Catherine, emanując świątobliwymi aromatami: spokojem, łagodnością, dobrocią. „Chcę ten dom”, powiedziała Catherine do Henry'ego, poruszając ustami niczym bohaterka niemych filmów, tak żeby ani Carleton, ani agentka biura nieruchomości, która schyliła się, by poddać bliższym oględzinom jakiś znajdujący się na podłodze paproszek, tego nie zauważyli. - Będiesz mógł mieszkać sobie w swoim tipi, a my będziemy zapraszać cię do domu na lunch. Lubisz lunch, prawda? Kanapki z masłem orzechowym?

- Nie lubię - burknął Carleton i chlipnął.

Mimo to kupili dom. Agentka biura nieruchomości otrzymała swoją prowizję. Kiedy wychodzili, Tilly potarła woskowane, kamienne uszy królików, udając, że już stanowią jej własność. Kamienne zwierzęta dorównywały jej wzrostem, ale z czasem się to zmieni. Carlton dostał kanapkę z masłem orzechowym.

Króliki siedziały po obu stronach frontowych drzwi. Dwa kamienne zwierzęta na popękanych, porośniętych mchem zadkach. Były bezkształtne, niezgrabne i, jak się zdawało, jakoś niestrudzenie cierpliwe, lecz być może nigdy nie zostały dokończone. Było w nich coś, co przywiodło Henry'emu na myśl Stonehenge. Catherine pomyślała o kształtach wycinanych w roślinności ogrodowej, *Pluszowym króliku**, żołnierzach, którzy stoją na straży u pałacowych bram i nigdy nawet nie poruszają nosem. Może dałoby się przekazać je do jakiegoś muzeum. Albo rozłupać wiertarkami. Ani trochę nie pasowały do tego domu.

- No więc jaki on jest? - spytała szefowa Henry'ego. Starannie naciągała gumkę recepturkę na swoją zrobioną z gumek kulę. Obecnie kula osiągnęła taki rozmiar, że szefowa musiała sprowadzać z działu sztuki specjalne, wielkie gumki. Twierdziła, że pomaga jej to w myśleniu. Wcześniej próbowała robić na drutach, ale okazało się to za

* Chodzi o powieść dla dzieci z 1922 roku pióra Margery Williams.

praktyczne, nazbyt kobiece. Wykonywanie ogromnej kuli z gumek robiło odpowiednie wrażenie. Było to coś, czym mógłby zajmować się mężczyzna.

Kula zajmowała połowę jej biurka. We fluorescencyjnych światłach biura nabierała czerwonej, energetycznej barwy. Można było odnieść wrażenie, że za chwilę wystrzeli przed siebie i pomknie za drzwi. Im stawała się większa, tym bardziej przypominała jakieś pozbawione oczu, beznogie i bezwłose stworzenie. Może psa. Psiaka wielkości Carletona, uznał Henry, ale nie kulę jego wzrostu z gumek recepturek.

Catherine mówiła niekiedy w żartach, że można by używać carletonów jako miary jednostek.

- Duży - stwierdził Henry. - Nawiedzony.

- Naprawdę? - zainteresowała się szefowa. - Ta gumka też. - Wycelowała nią w Henry'ego i strzeliła go w łokieć. Miał to być sygnał, że ona i Henry są dobrymi przyjaciółmi, którzy po prostu się wygłupiają. Ale tak naprawdę oznaczało to, że jest na niego zła. - Nie zostawiaj mnie - powiedziała.

- Jestem tylko dwie godziny drogi stąd. - Uniósł rękę, by odeprzeć atak gumek. - Daj spokój. Rozmawiamy przez telefon, używamy poczty elektronicznej. Przyjeżdżam do miasta, kiedy potrzebujesz mnie w biurze.

- Jesteś przekonany, że to dobry pomysł? - spytała szefowa. Utkwiła w nim swój gadzi, zażawiony wzrok. Miała kłopoty z kanalikami łzowymi. I choć mógł temu zaradzić drobny zabieg chirurgiczny, nie zdecydowała się na niego. Dawało jej przewagę taktyczną to, w jaki sposób wywoływała w ludziach strach.

Właściwie to było bez znaczenia, że Henry wykazał odporność na gumki recepturki oraz krokodyle łzy. Miała w zanadrzu strategię awaryjne. Zastanawiała się, która z nich będzie najbardziej skuteczna, podczas gdy Henry znów od początku wychwalał swój głupi pomysł.

W kieszeni, niczym talizman, trzymał numer telefonu firmy załatwiającej przeprowadzki. Miał ochotę wyciągnąć go, pomachać Krokodylicy przed oczami i powiedzieć: „Popatrz na to”! Tymczasem powiedział:

- Od dziewięciu lat tkwiliśmy w mieszkaniu w sąsiedztwie budynku, który śmierdział jak mocz. Tak jakby ktoś zbudował cały budynek z cegieł zrobionych z poddanych kompresji, czerwonych sików. W zeszłym tygodniu jedna kobieta opluła Catherine na ulicy. Ta stara rosyjska dama w futrze. Któregoś dnia jakiś dzieciak zadzwonił do naszych drzwi i próbował sprzedać nam maski gazowe. Domokrążny

sprzedawca gazowych masek. Catherine kupiła jedną sztukę. Kiedy mi o tym opowiedziała, wybuchnęła płaczem. Oświadczyła, że nie potrafi zrozumieć, czy czuje się winna, ponieważ kupiła maskę gazową, czy też dlatego, że nie kupiła ich dla wszystkich.

- Dobrze chińskie jedzenie - stwierdziła szefowa. - Dobrze filmy. Dobrze księgarnie. Dobrze pralnie chemiczne. Dobrze rozmowy.

- Domki na drzewach - powiedział Henry. - Kiedy byłem dzieckiem, miałem taki.

- Ty nigdy nie byłeś dzieckiem - wtrąciła szefowa.

- Trzy łazienki. Ozdobne fryzy. Nawet nie widać domu naszych najbliższych sąsiadów. Wstaję rano, piję kawę, wsadzam Carletona oraz Tilly do autobusu i siadam do pracy w piżamie.

- A Catherine? - Krokodylica położyła głowę na kuli z gumek recepturek. Niewykluczone, iż była to oznaka klęski.

- Była mała afera. Cały wydział Cathrine odchodzi. Jak szczury opuszczające tonący okręt. W każdym razie Catherine potrzebuje odmiany. Ja zresztą też - przyznał Henry. - Spodziewamy się kolejnego dziecka. Zamierzamy uprawiać ogródek. Catherine będzie uczyć angielskiego obcokrajowców, znajdzie jakąś literacką grupę dyskusyjną, napisze własną książkę. Nauczy dzieci grać w brydża. Trzeba wcześniej zacząć edukację.

Podniósł z podłogi gumkę i wręczył ją swojej szefowej.

- Powinnaś wpaść do nas w któryś weekend.

- Nigdy nie jeżdżę na północ stanu - oznajmiła Krokodylica. Przytrzymała swoją kulę z gumek. - Za dużo duchów.

- Będzie ci brakowało mieszkania tutaj? - spytała Catherine. Nie mogła znieść tego, jak sterczał jej brzuch. Nic zza niego nie widziała. Uniosła lewą stopę, żeby przekonać się, czy wciąż jest na swoim miejscu, po czym ściągnęła z Henry'ego koldrę.

- Uwielbiam tamten dom - stwierdził Henry.

- Ja też - przytaknęła Catherine. Obgryzała właśnie paznokcie. Henry słyszał, jak jej zęby wydają odgłos: klik, klik. Teraz obie stopy żony znajdowały się w powietrzu. Poruszała nimi we wszystkie strony. Cześć, stopki.

- Co robisz?

Opuściła je. Na zewnątrz ulicą przejeżdżały samochody, rzucając wzdłuż sufitu smugi światła, szybkie i wolne zarazem. Dziecko w jej brzuchu wierciło się,

przebijając obiema stopkami, jak gdyby przepływało przez Kanał La Manche i Pacyfik, pokonując w ten sposób całą drogę aż do Chin.

- Kupiłeś tę historyjkę o tym, że poprzedni właściciele rzekomo przeprowadzili się do Francji?

- Nie wierzę we Francję - stwierdził Henry. - *Je ne crois pas en France.*

- Ja też nie - przyznała Catherine. - Henry? - Co?

- Uwielbiasz nasz dom?

- Uwielbiam nasz dom.

- Ja uwielbiam go bardziej od ciebie - oświadczyła Catherine, choć Henry nie znosił, kiedy wygadywała podobne rzeczy. - Co najbardziej w nim uwielbiasz?

- Ten pokój we frontowej części - odparł Henry. - Z oknami. Naszą sypialnię. Te dziwaczne posągi królików.

- Ja też - przytaknęła Catherine, mimo że wcale ich nie lubiła. - Uwielbiam te króliki.

Po chwili dodała:

- Czy ty w ogóle martwisz się o Carletona i Tilly?

- Co masz na myśli? - spytał Henry. Spojrzał na budzik: była czwarta nad ranem. - Czemu nie śpimy o tej porze?

- Czasami martwię się tym, że kocham jedno z nich bardziej - wyznała Catherine. - Że być może bardziej kocham Tilly. Bo kiedyś moczyła się w łóżko. Bo zawsze jest taka nadąsana. Albo Carletona, bo był taki chorowity, kiedy był mały.

- Kocham oboje tak samo - stwierdził Henry.

Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że kłamie. Ale Catherine to wiedziała. Wiedziała, że kłamie, wiedziała również, że nie zdaje sobie nawet z tego sprawy. Przeważnie uważała, że to nic takiego. Dopóty, dopóki on sam był przekonany, że kocha oboje tak samo i postępował tak, jakby to była prawda, nie stanowiło to większego problemu.

- A czy czasami martwisz się, że kochasz je bardziej niż mnie? - drążyła Catherine.

- Albo że ja kocham je bardziej niż ciebie?

- A ty?

- Oczywiście - odparła Catherine. - Muszę. To moja praca.

W pudełku z kieliszkami do wina znalazła maskę gazową, a do tego sześć ostatnich numerów tygodnika „The New Yorker”, które być może kiedyś będzie miała okazję

poczytać. Maskę włożyła pod zlew, a egzemplarze pisma do zlewu. Czemu nie? To jej zlew. Może sobie do niego wkładać wszystko, co zechce. Po chwili wyjęła pisma i umieściła je w lodówce - dla zabawy.

Do kuchni wszedł Henry, trzymając srebrne świeczniki oraz wypchanego pancernika, którego ktoś przerobił na torebkę. Miał zrobiony ze swojej własnej skóry uchwyt. Otwierało mu się pysk i wkładało do środka różne rzeczy, szminkę do ust i żetony do metra. Miał różowe, świdrujące spojrzenie i mocno czuć było od niego octem. Należał do Tilly, choć nie było jasne, w jakich okolicznościach weszła w jego posiadanie. Tilly utrzymywała, że wygrała go w szkole w jakimś konkursie związanym z pączkami. Catherine sądziła, że bardziej prawdopodobne jest to, że Tilly albo go ukradła, albo (wolałaby, żeby tak było) znalazła w czyimś śmietniku. Teraz Tilly trzymała w torebce swoje najbardziej wartościowe rzeczy, by chronić je przed Carletonem, który był zazdrosny o cenne przedmioty - ponieważ były małe i należały do Tilly - lecz bał się pancernika.

- Już jej mówiłam, że nie wolno nosić tego do szkoły przynajmniej przez pierwsze dwa tygodnie. Potem zobaczymy. - Wzięta od Henry'ego torebkę i wraz z maską gazową włożyła pod zlew.

- Co oni wyprawiają? - spytał Henry. Przez kuchenne okno oboje zobaczyli, jak Carleton i Tilly pochylają się nad trawnikiem. Byli wyposażeni w nożyce, notes oraz zszywacz.

- Kolekcjonują trawę. Catherine wyjęła naczynia z pudełka, odłożyła bąbelkową folię dla Tilly, by mogła sobie postrzelać, i poukładała rzeczy w szafce. Dziecko kopnęło, jak gdyby wiedziało wszystko na temat bąbelkowej folii.

- Hola, hola, Kominku - mruknęła. - Nie mamy tam pozwolenia na tańce.

Henry wyciągnął dłoń, poklepał brzuch Catherine. Puk, puk. To był żart Tilly. Catherine odpowiadała: „Kto tam?”, a Tilly mówiła: „Tu Świecznik. Tu Grubasek. Pudełko. Młotek. Koktajl mleczny. Klarnet. Pułapka na myszy. Smyczek”. Miała całą listę imion dla dziecka. Agentka biura nieruchomości z pewnością by ją zaaprobowała.

- Gdzie Król Spanky? - zaniepokoił się Henry.

- Pod naszym łóżkiem - odparła Catherine. - Siedzi w skrzyni.

- Wypakowaliśmy budzik? - spytał Henry.

- Biedny Król Spanky - westchnęła Catherine. - Nie ma kogo kochać oprócz budzika. Chodźmy na górę i przekonajmy się, czy uda nam się wyciągnąć go spod łóżka. Mam dla ciebie prezent.

Prezent znajdował się w zwykłym pudełku firmy przeprowadzkowej, takim samym jak wszystkie inne pudła stojące w sypialni, z jedną różnicą: zamiast DUŻA FRONTOWA SYPIALNIA Catherine napisała na nim PREZENT DLA HENRY'EGO. Wewnątrz znajdowały się styropianowe kulki, a głębiej pudełko sieci domów towarowych Takashimaya, przewiązane srebrną wstążką. Bibuła, którą je wyłożono, była w kolorze matowego złota, a pod nią krył się zielony, jedwabny szlafrok o pomarańczowych rękawach z wyszytymi pomarańczowymi i złotymi niemi heraldycznymi zwierzętami.

- Lwy - stwierdził Henry.
- Króliki - poprawiła go Catherine.
- Nie mam nic dla ciebie - przyznał Henry.

Catherine uśmiechnęła się wielkodusznie. Bardziej lubiła dawać prezenty, niż je dostawać. Nigdy o tym nie mówiła Henry'emu, ponieważ wydawało jej się, że w jakimś sensie, nad którym nigdy nie chciało jej się zastanawiać, jest to samolubne. Czowała wdzięczność, że wyszła za Henry'ego, który przyjmował wszelkie prezenty jako coś, co mu się słusznie należy, który dobrze wyglądał w kupowanych przez żonę ubraniach i który w sposób beztroski był próżny na punkcie swego wyglądu. Kupowanie mu ubrań sprawiało jej przyjemność, zwłaszcza teraz, podczas ciąży, kiedy nie mogła ich kupować dla siebie.

- Jeśli ci się nie podoba, zatrzymam go - oświadczyła. - Popatrz na siebie, popatrz na te rękawy. Wyglądasz jak cesarz Japonii.

Zdążyli już zagospodarować sypialnię, wypełniając ją należącymi do nich przedmiotami. Na ścianie wisiało lustro Catherine, stała tam również mahoniowa szafa, ich pierwszy prawdziwy mebel - prezent ślubny od ciotecznej babki Catherine. Znajdowało się tam ich praktyczne, ogromne łóżko z ulokowanym w środku Królem Spankym, i był Henry, obracający odzianymi w szerokie pomarańczowe rękawy ramionami na podobieństwo haftowanego wiatraka. Henry widział w lustrze wszystkie te przedmioty oraz to, co znajdowało się za jego plecami: trawnik, Tilly i Carletona, jak przypinają zszywaczem źdźbła trawy w swoim notatniku. Widział to wszystko i poczuł, że mu z tym dobrze. Ale nie widział Catherine. Kiedy się odwrócił, stała w drzwiach i patrzyła nań krzywym okiem. W dłoni trzymała budzik.

- Popatrz na siebie - powtórzyła. Napawało ją niepokojem to, że coś, ktoś, Henry, może niespodziewanie zacząć wyglądać jak miejsce, w którym nigdy przedtem nie była. Budzik zaczął dzwonić, a Król Spanky wyszedł spod łóżka i podreptał ku

Catherine. Schyliła się niezgrabnie - nieudolnie, niezdarnie, tak ciężko, tak cholernie niezgrabnie, bo bycie w ciąży przypominało noszenie jakiejś umocowanej w pasie pieprzonej walizy - postawiła budzik z powrotem na ziemi, a Król Spanky przyczał się przed nim z nosem przy dzwoniącej, szklanej tarczy.

I to ponownie sprawiło, że się roześmiała. Henry uwielbiał jej śmiech. Na dole dzieci z trzaskiem otworzyły drzwi, przebiegły przez dom z nożyczkami w ręku - zarówno Catherine, jak i Henry wiedzieli o tym - z trzaskiem otworzyły inne drzwi, po czym znów znalazły się na zewnątrz, pozostawiając za sobą woń trawy. Był pewien sklep w Nowym Jorku, w którym można było kupić perfumy o takim zapachu.

Catherine, Carleton i Tilly wrócili ze sklepu z oponą, linką, na której miała zawisnąć, i naleśnikami w proszku na obiad. Henry wszedł do Internetu i oglądał właśnie zdjęcie kuli z gumek recepturek. Otrzymał również wiadomość. Krokodylica potrzebowała go w biurze. Tylko na kilka dni. Ktoś wzniecał pożar, a prócz Henry'ego nie było nikogo na tyle bystrego, żeby rozeznac się, jak go ugasić. To byli jego klienci. Musiał przyjechać i ich ratować. Wiedziała, że mieszkanie nie zostało sprzedane, już sprawdziła to u pośrednika. Więc z pewnością nie będzie to niemożliwe - a tylko niedogodne.

Zszedł na dół, żeby powiedzieć o tym Catherine.

- To jęcza - rzuciła, po czym ugryzła się w wargę. - Zadzwoń do pośrednika? Wybacz. Rozmawialiśmy już o tym. Nieważne. Daj mi chwilę.

Catherine wciągnęła powietrze. Wypuściła. Wciągnęła. Gdyby była Carletonem, wstrzymałaby oddech, póki jej twarz nie zaczerwieniłaby się, a Henry zgodziłby się zostać w domu, ale nawet Carletonowi nie przynosiło to żadnych rezultatów.

- Spotkaliśmy w sklepie naszych nowych sąsiadów. Ona jest mniej więcej w moim wieku. Liz i Marcus. Jedno dziecko, starsze, dziewczynka, hmm, wydaje mi się, że ma na imię Alison, może z pierwszego małżeństwa - potencjalna opiekunka do dziecka, co stanowi bardzo dobrą wiadomość. Liz jest prawnikiem. Cudownie. Czyta książki Oprah. On lubi gotować.

- Ja też - wtrącił Henry.

- Ty jesteś przystojniejszy - stwierdziła Catherine. - No więc musisz wracać dziś wieczór, czy możesz pojechać rano?

- Może być rano - odparł Henry, pragnąc zrobić wrażenie układnego.

W kuchni pojawił się Carleton, w ramionach ścisnął Króla Spanky'ego. Przednie

łapy kota sterczały na wprost, jak gdyby Carleton uprawiał różdżkarstwo. Oczy zwierzęcia były zamknięte. Jego wąsy nadawały alfabetem Morsa.

- Co masz na sobie? - spytał Carleton.

- Mój nowy mundur - wyjaśnił Henry. - Noszę go w pracy.

- Gdzie pracujesz? - dopytywał się Carleton, sprawdzając ojca.

- Pracuję w domu - odparł Henry, a Catherine tylko parsknęła.

- Wygląda jak król królików, prawda? Króliczy pełnomocnik - rzuciła, a w jej głosie nie pobrzmiwało już z tego powodu jakieś szczególne zadowolenie.

- Wygląda jak księżniczka - stwierdził Carleton, celując teraz w Henry'ego kotem niczym strzelbą.

- Gdzie twoja kolekcja traw? - spytał Henry. - Mogę ją obejrzeć?

- Nie - odburknął Carleton. Postawił Króla Spanky'ego na podłodze, kot zaś wymknął się chyłkiem z kuchni, kierując się ku schodom, sypialni, bezpieczeństwu łóżkowych sprężyn, ukochanemu budzikowi, ukochanym. Ukochani mogą być zdradzieccy, mogą mieć tłuste włosy i ulegać złym nawykom, albo też może to być mężczyzna pod pięćdziesiątkę, który zbyt wiele czasu poświęca pracy, a może to być budzik.

- Po obiedzie - zaczął Henry, próbując ponownie - moglibyśmy wyjść do ogrodu i poszukać drzewa na twoją huśtawkę z opony

- Nie - rzucił Carlton z żalem. Kręcił się po kuchni, mając nadzieję, że ktoś zada mu pytanie, na które będzie mógł odpowiedzieć „tak”.

- Gdzie twoja siostra? - spytał Henry.

- Ogląda telewizor - odparł Carleton. - Nie podoba mi się ten telewizor.

- Jest za duży - wtrącił Henry, ale Catherine nie zaśmiała się.

Henry'emu śni się, że jest królem agentów nieruchomości. Kocha swoją pracę. Próbuje sprzedać dom młodej parze o ruchliwych nosach i wielkich, ciemnych oczach. Czemu wciąż śni mu się, że próbuje coś sprzedać?

Oboje wpatrują się w niego nerwowo. Pochyla się nad nimi, jak gdyby miał zamiar wyszeptać coś do ich śmiesznych, nadstawionych w wyczekiwaniu uszu. To tajemnica, której nigdy przedtem nikomu nie wyjawiał. To tajemnica, z której posiadania sam nawet nie zdawał sobie sprawy.

- Skończmy z wygłupami - mówi. - Nie stać was na kupno tego domu. Nie macie pieniędzy. Jesteście królikami.

- Gdzie pracujesz? - spytał rano Carleton, kiedy Henry dzwonił z Grand Central.

- W domu - odparł. - W domu, w którym mieszkamy, w którym teraz jesteś. W końcu. Ale nie dziś. Szykujesz się do szkoły?

Carleton odstawił aparat. Henry słyszał, jak mówi coś do Catherine.

- Powiedział, że nie denerwuje się szkołą - wyjaśniła. - To odważny maluch.

- Pocałowałem cię rano - stwierdził Henry - ale się nie obudziłaś. Na trawniku było pełno królików. Były ogromne. Wielkości Króla Spanky'ego. Tylko tam siedziały, jak gdyby czekały, aż wzejdzie słońce. To był zabawny widok, coś w rodzaju instalacji artystycznej. Ale było w tym też coś niesamowitego. Myślisz, że siedziały tam całą noc?

- Króliki? Może mają wściekliznę? Widziałam je rano, jak wstałam - przyznała Catherine. - Carleton nie chciał dziś umyć zębów. Twierdzi, że coś jest nie tak z jego szczoteczką.

- Może upuścił ją do klozetu i nie chce ci się przyznać? - zastanawiał się Henry.

- A może kupiłbyś mu i przywiózł do domu nową? - zaproponowała Catherine. - Nie chce szczoteczki z tutejszej drogerii. Chce taką z Nowego Jorku.

- Gdzie Tilly? - spytał Henry.

- Mówi, że próbuje dojść, co się stało ze szczoteczką Carletona. Jest jeszcze w łazience - poinformowała Catherine.

- Mogę z nią chwilę porozmawiać? - poprosił Henry.

- Powiedz jej, że ma się ubrać i zjeść swoją porcję płatków - odpowiedziała mu Catherine. - Później, gdy już zawiozę ich do szkoły, Liz wpadnie na kawę. Potem mamy zamiar iść razem na lunch. Nie rozpakuję kolejnego pudła, póki nie wrócisz do domu. Masz Tilly.

- Cześć - rzuciła Tilly. Jej głos brzmiał tak, jakby zadawała pytanie.

Tilly nigdy nie lubiła rozmawiać z ludźmi przez telefon. Skąd można było wiedzieć, że naprawdę są tymi, za których się podają? A nawet jeśli rzeczywiście nimi byli, nie wiedzieli, czy ty jesteś osobą, za którą się podajesz. Mogłeś być kimś innym. Niewykluczone, że mogli ujawnić informacje na twój temat, nawet o tym nie wiedząc. Nie istniały żadne zasady. Żadne środki ostrożności.

- Umyłeś rano zęby? - spytała.

- Dzień dobry, Tilly - powiedział jej ojciec (o ile to faktycznie był on). - Moja szczoteczka była w porządku. Zupełnie normalna.

- To dobrze - odparła Tilly. - Pozwoliłam Carletonowi użyć mojej.

- To bardzo wspaniałomyślnie - pochwalił Henry.

- Nie ma sprawy - stwierdziła. Dzielenie się przedmiotami z Carletonem różniło się od dzielenia się nimi z innymi. Właściwie wcale nie było to nawet dzielenie się. Carleton należał do niej, tak samo jak szczoteczka do zębów. - Mama powiedziała, że gdy wrócimy do domu, to będziemy mogli mazać po ścianach w naszych pokojach, jeśli będziemy chcieli, a przy okazji zdecydować, na jaki kolor chcemy je pomalować.

- Zapowiada się dobra zabawa - powiedział Henry. - Czy ja też będę mógł sobie pomazać?

- Może - odparła Tilly. Już i tak powiedziała za wiele. - Muszę lecieć. Muszę zjeść śniadanie.

- Nie martw się szkołą - dodał Henry.

- Nie martwię się szkołą - odparła Tilly.

- Kocham cię - powiedział.

- Naprawdę martwię się tą szczotką do zębów - wyznała Tilly.

Zamknął oczy tylko na chwilę. Na minutę. Kiedy się obudził, było ciemno, on zaś nie wiedział, gdzie jest. Wstał i podszedł do drzwi, niemal potykając się o coś. Przedmiot ów odpląnął od niego energicznym, wesołym łukiem. Według znajdującego się na jego biurku zegarka była czwarta nad ranem. Czemu zawsze była czwarta? Na komórce miał cztery esemesy - wszystkie od Catherine.

Sprawdził rozkład pociągów w sieci. Następnie wysłał Catherine szybki e-mail.

Zasnąłaś o północy? Przypięłam pociągi. Właśnie wstałam, będę pracował. Gł pożar. Jechać do domu wczesnym popołudniem? Nadal mnie kchsz?

Nim wrócił do pracy, kopnął kulę z gumek przez hol z powrotem pod drzwi Krokodylicy.

Catherine zadzwoniła do niego o 8:45.

- Przykro mi - powiedział Henry.

- Nie wątpię - mruknęła.

- Nie mogę znaleźć mojej maszynki do golenia. Zdaje mi się, że Krokodylica miała jakiś napad złości i porzuciła moje rzeczy.

- Carleton będzie zachwycony - stwierdziła Catherine. - Może powinienś wpaść ukradkiem do domu i ogolić się przed obiadem. Miał wczoraj ciężki dzień w szkole.

- A może powinienem zapuścić brodę - odparł Henry. - Nie mogę wiecznie bać się wszystkiego. Opowiedz mi o tym pierwszym dniu w szkole.

- Później o tym porozmawiamy - powiedziała Catherine. - Właśnie zajęła Liz. Zabiera mnie na siłownię. Bądź w domu na obiad.

O szóstej po południu Henry wysłał Catherine e-mail: „Przpr. Gasząc ogień, przez przypadek spowodowałem lawinę. Czekalaś na mnie? Jak tm 2 dzień szkoły?” Nie odpisała. Zadzwoił, ale nikt nie odebrał. Nie oddzwoniła.

Pojechał do domu ostatnim pociągiem. Nim dojechał do stacji, był jedynym pasażerem w wagonie. Odpiął z łańcucha rower i popedałował po ciemku do domu. Znajdującą się przed nim ścieżką pędziły króliki. Pasły się również na jego trawniku. Kiedy zsiadł z roweru i pchał go po trawie, zastygły w bezruchu. Trawnik był potargany; rower podskakiwał na niewidocznych wgłębieniach, które, jak przypuszczał, były króliczymi norami. Po obu stronach drzwi w ciemności stało, czekając na niego, dwóch niskich grubasów, ale kiedy się zbliżył, przypomniał sobie, że to kamienne króliki.

- Puk, puk - powiedział.

Prawdziwe króliki na trawniku nadstawiły uszu. Kamienne króliki czekały na puentę, ale były tylko kamiennymi królikami. Nie miały nic lepszego do roboty.

Drzwi frontowe nie były zamknięte na zamek. Przeszedł przez pokoje na dole, dotykając przednich i górnych części mebli. W kuchni pocięta sterta pudeł opierała się o ścianę w oczekiwaniu, aż zostanie poddana recyklingowi bądź przerobiona na tekturowe domki, statki kosmiczne i tunele dla Carletona oraz Tilly.

Catherine wypakowała rzeczy w pokoju Carletona. Lampki nocne w kształcie misiów, gąsek i kotków powkładane były do każdego znajdującego się przy podłodze gniazdka. Były tam też małe niskowatowe lampki stolikowe - hipopotam, robot, goryl, statek piracki. Wszystko tonęło w miękkim, spokojnym świetle, przeobrażając pokój Carletona w coś więcej niż zwykłą sypialnię: coś świetlnego, świętego - carletonowy kreskówkowy Północny Kościół Snu.

W drugim łóżku spała Tilly.

Tilly nigdy nie przyznałaby się, że lunatkuje, podobnie jak nie przyznałaby się, że niekiedy jeszcze moczy się w łóżko. Ale odmawiała zawierania przyjaźni. Przyjaźń

bowiem oznaczałaby przymus spędzenia nocy w czyimś domu. Jutro rano będzie upierać się, że to Henry lub Catherine z sobie tylko znanych powodów przenieśli ją z jej pokoju i położyli do łóżka w pokoju Carletona.

Henry ukląkł pomiędzy łóżkami i pocałował Carletona w czoło. Pocałował Tilly, przyglądził jej włosy. Jakże mógłby nie kochać jej bardziej? Znał ją dłużej. Była taka dzielna, taka gniewna.

Na ścianach sypialni Carletona dzieci wyrysowały dom i niemal dorównującego mu wielkością kota, na którego głowie tkwiła korona. Narysowały także jeszcze większe drzewa czy też kwiaty o sterzcących w górę liściach oraz patykowatą postać na rowerze, która przejeżdżała obok. Kiedy przyjrzał się bliżej, pomyślał, że może drzewa to w rzeczywistości króliki. Ściana przypominała zapachem żelki owocowe. Ktoś napisał: „Henry to Szczurek Fink. Ha, ha!”. Rozpoznał pismo żony.

- Flamastry zapachowe - poinformowała Catherine. Stała w drzwiach, zakrywając brzuch poduszką. - Spałam na dole, na sofie. Przeszedłeś tuż obok i mnie nie zauważyłeś.

- Drzwi wejściowe nie były zamknięte na zamek - stwierdził Henry.

- Liz mówi, że tutaj nikt nie zamyka drzwi - wyjaśniła Catherine. - Idziesz do łóżka czy tylko wpadłeś, żeby się przekonać, co u nas?

- Jutro muszę wracać - oznajmił Henry. Z kieszeni wyjął szczoteczkę do zębów i pokazał ją żonie. - W kuchni na blacie jest pudełko pączków z Krispy Kreme.

- Wyrzuc je - mruknęła Catherine. - Ze mną nie tak łatwo. - Zrobiła krok ku niemu i przez przypadek kopnęła Króla Spanky'ego. Kot zawył. Carleton obudził się.

- Kto tu jest? Kto tu jest? - spytał.

- To ja - odparł Henry. Ukląkł obok łóżka syna w świetle lampki w kształcie Kubusia Puchatka. - Przywiozłem ci nową szczoteczkę do zębów.

Carleton zakwilił.

- Co się stało, kosmonauto? - zdziwił się Henry. - To tylko szczoteczka do zębów. Pochylił się nad synem, a ten odskoczył do tyłu. Zaczął krzyczeć.

W sąsiednim łóżku Tilly śniła o królikach. Kiedy wróciła ze szkoły, widzieli je razem z Carletonem, siedzące na trawniku, jak gdyby pilnowały domu przez cały ten czas, kiedy jej nie było. We śnie nadal znajdowały się na trawniku. Porozdziawiały pyszczki na tyle szeroko, że można było włożyć do środka rękę, a Tilly była kimś w rodzaju króliczego dentysty, toteż tak uczyniła. Dłoń natrafiła na jakiś mały, zimny i twardy przedmiot. Może był to pierścień lub pierścień z brylantem. Albo coś takiego.

Albo. Było to po prostu coś. Nie mogła się doczekać, żeby pokazać Carletonowi. Jej ramię znajdowało się w króliku po sam bark. Ktoś chwycił jej nadgarstek swymi małymi, zimnymi dłońmi i szarpnął. Gdzieś w oddali rozbrzmiewał głos matki. Powiedziała...

- To broda.

Catherine nie mogła zdecydować się, czy śmiać się, czy płakać, czy też wrzeszczeć jak Carleton. To by go zaskoczyło - gdyby ona też zaczęła krzyczeć.

- Sio! Uciekaj, Henry. Idź się ogolić i jak najszybciej wracaj, bo inaczej nigdy z powrotem nie zaśnie.

- Carleton, skarbie - mówiła, kiedy Henry wyszedł z pokoju. - To twój tata. To nie święty Mikołaj. To nie wielki, zły wilk. To twój tata. Tata po prostu zapomniał. Opowiesz mi coś? A może chcesz pójść popatrzeć, jak tata się goli?

Nad wanną wisiał należący do Catherine termofor. Na podłodze leżała sterta ręczników. Przybory Henry'ego były ustawione za lustrem. Sama myśl o wszystkich tych rzeczach, jakie jeszcze trzeba było poustawiać, sprawiła, że poczuł się zmęczony. Umył ręce, po czym przyjrzał się kostce mydła. Coś było z nią nie tak. Położył ją z powrotem na umywalce, nachylił się i powąchał, a następnie urwał kawałek papieru toaletowego i wziął przez niego mydło. Wyrzucił je do kosza i rozpakował nową kostkę. Z tą było wszystko w porządku. Z tamtą zresztą też. Był po prostu zmęczony. Umył ręce, na twarz nałożył piankę, zgolił brodę i patrzył, jak drobinki zarostu spływają po umywalce. Kiedy poszedł pokazać Carletonowi swoją świeżutko ogoloną twarz, Catherine leżała zwinięta w kłębek obok syna. Oboje spali. Nie obudzili się, kiedy nazajutrz wyszedł z domu o 5:30 rano.

- Gdzie jesteś? - spytała Catherine.

- W drodze do domu. Siedzę w pociągu. - Pociąg wciąż stał na dworcu. Za minutę mieli ruszać. Ruszali za minutę mniej więcej już od godziny, a przedtem dwukrotnie musieli wysiadać z pociągu i z powrotem do niego wsiadać. Zostali zapewnieni, że nie ma powodów do niepokoju. Nie ma żadnego zagrożenia bombowego. Nie było żadnej bomby. Było to jedynie tymczasowe opóźnienie. Pasażerowie pociągu patrzyli na siebie, usiłując zachowywać się tak, jakby nie patrzyli. Wszyscy mieli wyjęte komórki.

- Na trawniku znowu są króliki - poinformowała Catherine. - Co najmniej pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt. Nigdy przedtem nie liczyłam królików. Tilly co jakiś czas próbuje wyjść i zaprzyjaźnić się z nimi, ale gdy tylko znajdzie się przed domem,

one zaczynają podskakiwać jak piłki plażowe. Rozmawiałam dziś ze specjalistą od trawników. Mówi, że musimy coś z tym zrobić. Liz mówi to samo. Króliki bywają tu sporym problemem. Prawdopodobnie mają tunele i nory pod całym ogrodem. Może być z tym kłopot. To tak jakby mieszkać nad otworem odpływowym w skale. Ale Tilly nigdy nam tego nie wybaczy. Wie, że coś się święci. Mówi, że nie chce już psa. Mógłby wypłoszyć króliki. Myślisz, że powinniśmy kupić psa?

- A co oni takiego robią? Rozsypują truciznę? Przekopują ogród? - spytał Henry. Siedzący naprzeciw niego mężczyzna - wstał. Zdjął swój bagaż z półki i wyszedł z pociągu. Wszyscy patrzyli, jak odchodzi, udając, że wcale nie patrzą.

- Mówił mi, że mają takie urządzenia, coś w rodzaju sprzętu ultradźwiękowego. Naznaczają miejsca, w których są tunele, zamykają je, a potem zagazowują króliki. Brzmi to makabrycznie - wyjaśniła Catherine. - A dziecko, ten bobas tłucze mnie na kwaśne jabłko. Przez cały dzień tylko kopniak, kopniak, skok, kopniak, jakby uprawiał jakąś sztukę walki. Będzie z niego złośnik, Henry, jak jego siostra. Jej siostra. A może wydam na świat króliki.

- Jeśli tylko będą miały twoje oczy i moją brodę - stwierdził Henry.

- Muszę kończyć - oświadczyła Catherine. - Znowu chce mi się siku. Calutki dzień dzieciak podskakuje, a ja sikam. Tilly usycha z żalu, bo nie może zaprzyjaźnić się z królikami, a ja martwię się tym, że ona nie chce przyjaźnić się z innymi dziećmi, tylko z królikami. Carlton dopytuje się, czy musi iść dzisiaj do szkoły i czy będzie musiał iść do szkoły jutro, dlaczego zmuszam go do chodzenia do szkoły, skoro każdy jest tam od niego wyższy, czemu mam taki wielki i pękaty brzuch, czemu jego nauczycielka powtarza mu, żeby zachowywał się jak duży chłopiec? Henry, czemu znów się w to wpakowaliśmy? Czemu jestem w ciąży? I gdzie ty jesteś? Czemu nie ma cię w domu? Co z naszą umową? Nie chcesz tu być?

- Przepraszam - powiedział Henry. - Porozmawiam z Krokodylicą. Coś wykombinujemy.

- Wydawało mi się, że ty też tego chcesz, Henry. Prawda?

- Oczywiście - odparł Henry. - Oczywiście, że tego chcę.

- Muszę kończyć - powtórzyła Catherine. - Liz ma przyprowadzić jakieś koleżanki. W końcu ruszamy z klubem książki. Będziemy czytać *Podziemny krąg*. Jej pasierbica, Alison, zaopiekuje się Tilly i Carletonem. Już rozmawiałam z Tilly. Obiecuje, że nie ugryzie Alison, nie uderzy jej ani nie doprowadzi do łez.

- Za co? Za kilka godzin dodatkowej telewizji?

- Nie - odparła Catherine. - Coś jest nie tak z telewizorem.

- Co takiego?

- Nie wiem - stwierdziła. - Niby działa tak, jak trzeba. Ale dzieci nie zbliżają się do niego. Wspaniale, co? To ten sam problem, co ze szczoteczką do zębów. Zobaczysz, kiedy wrócisz do domu. To znaczy, nie tylko dzieci coś czują. Oglądałam wcześniej wiadomości i musiałam wyłączyć telewizor. Nie chodziło o wiadomości. Coś działo się z telewizorem.

- Czyli coś jest nie tak z łazienką na dole, ekspresem do kawy i szczoteczką do zębów Carletona. A teraz jeszcze z telewizorem?

- Inne rzeczy też są jakieś dziwne, dzisiaj od rana. Zdaje mi się, że twój gabinet też. Wszystko, co w nim jest: twoje biurko, półki na książki, krzesło, nawet spinacze do papieru.

- Właściwie to chyba dobrze, co? Dzięki temu będę się od niego trzymał z daleka.

- Może - mruknęła Catherine. - Chodzi o to, że weszłam tam, postąpiłam przez chwilę i po mnie też przeszły ciarki. Więc teraz nie mogę odbierać poczty elektronicznej. I do tego musiałam wyrzucić jeszcze kilka kostek mydła. A Król Spanky już nie kocha budzika. Nie wychodzi spod łóżka, kiedy go włączam.

- Budzik też?

- Naprawdę ma jakiś inny dźwięk - przyznała Catherine. - Tylko troszeczkę. A może mi już odbija. Dziś rano Carleton powiedział mi, że wie, gdzie stoi nasz dom. Stwierdził, że mieszkamy w jakiejś tajemnej części Central Parku. Powiedział, że poznaje drzewa. Uważa, że jeśli pójdzie ścieżką, zostanie napadnięty. Muszę lecieć, Henry, albo popuszczę w spodnie, a nie mam czasu się znowu przebierać, zanim wszyscy się tu zjadą.

- Kocham cię - powiedział Henry.

- To czemu nie ma cię w domu? - odparła triumfalnie Catherine. Odłożyła słuchawkę i pobiegła przez przedpokój do łazienki na dole. Ale kiedy do niej weszła, rozejrzała się dookoła. Pognęła schodami na górę, po drodze opuszczając spodnie i ledwie zdążyła do przylegającej do głównej sypialni łazienki. Przez cały dzień ganiała schodami z góry na dół, czując się przy tym strasznie głupio. Z łazienką na dole nic się nie działo. Tylko coś z wyposażeniem, kiedy spuszczało się wodę w ubikacji albo odkręcało kran umywalki. Nie podoba jej się odgłos, jaki wydaje woda.

- Parokrotnie już, wróciwszy do domu, Henry zastał Catherine, jak maluje pokoje, co stanowiło pewien problem. Kłopot tkwił w tym, że Henry ciągle wyjeżdżał. Gdyby

stale nie wyjeżdżał, nie musiałyby wciąż wracać. O to chodziło Catherine. Henry'emu chodziło zaś o to, że będąc w ciąży, Catherine nie powinna zajmować się malowaniem. Kobiety w błogosławionym stanie powinny unikać wdychania farbionych wyziewów.

Catherine rozwiązała problem, wkładając do malowania maskę gazową. Wiedziała, że w końcu się przyda. Oświadczyła Henry'emu, że skończy z malowaniem, gdy tylko on zacznie pracować w domu - taki był jej plan. Tymczasem nie potrafiła zdecydować się co do kolorów. Wraz z Carletonem i Tilly godzinami oglądali paseczki z barwnymi próbkami o takich nazwach, jak Sangria, Torfowisko, Tulipan, Napad Złości, Planetarium, Galaktyka, Liść Herbaciany, Jajko, Żółtko, Druciarz, Gauguin, Susan, Zazdrość, Aztek, Utopia, Jambu, Miska Ryżu, Płacz Dziecka, Pulchna Warga, Zielony Banan, Trampolina, Paznokiec. Był to świetny sposób spędzania czasu. Jechali do szkoły, a kiedy wracali, salon zamiast Pełnią Księżyca był Foką Grenlandzką. Spędzali trochę czasu z owym kolorem, poznając go lepiej, ignorując przy tym telewizor, który był nawiedzony (nie było to, rzecz jasna, odpowiednie słowo, ale Catherine nie potrafiła wymyślić innego), a następnie, kilka dni później, Catherine dokupywała farby gruntowej i zaczynała od nowa. Carleton i Tilly byli tym zachwyceni. Błagali ją, żeby przemaalowywała ich sypialnie. Co też robiła.

Żałowała, że nie można jeść farby. Ilekroć otwierała puszkę, do ust napływała jej ślinka. Kiedy była w ciąży z Carletonem, potrafiła jeść wszystko z wyjątkiem oliwek, palmito i suchych tostów. Kiedy zaszła w ciążę z Tilly, pewnego razu w Central Parku zjadła ziemię. Tilly była zdania, że powinny nadać dziecku imię którejś z farb: Kreda, Unikat albo Zbesztana. Lapis Lazuli. Puk Puk.

Catherine zamierzała poprosić Henry'ego, żeby wyniósł telewizor do garażu. Nikt go już nie oglądał. Musieli również przestać używać kuchenki mikrofalowej oraz durszlaka, niektórych sztućców i talerzy, ona zaś nie spuszczała oka z tostera. Miała przecucie czy też intuicję. Nie było to przecucie negatywne, przynajmniej na razie, ale toster sprawiał na niej jakieś dziwne wrażenie. Dotyczyło to również pary przepięknych kolczyków, które swego czasu dostała od Henry'ego. Jak to możliwe, żeby dać się wystraszyć kolczykom z brylantami? A jednak. Carleton przestał się bawić swoimi drewnianymi klockami do budowy domków, toteż trafiły do Armii Zbawienia, a należąca do Tilly torebka z pancernika w ogóle zniknęła. Tilly nie wspomniała o tym słowem, zaś Catherine nie miała ochoty wypytywać.

Czasami, jeśli Henry nie wracał do domu, Catherine malowała, kiedy już Carleton i Tilly poszli spać. Niekiedy Tilly przychodziła do pokoju, w którym akurat pracowała

Catherine. Zamknięte oczy, otwarte usta - niczym jakaś turystka-lunaticzka. Stała w miejscu z głową skierowaną ku matce. Gdy Catherine odzywała się do niej, nigdy nie odpowiadała, a kiedy brała ją za rękę, Tilly szła do swojego łóżka i kładła się z powrotem. Ale od czasu do czasu Catherine pozwalała jej stać w ten sposób i dotrzymywać sobie towarzystwa. Na jawie Tilly nigdy nie była tak bardzo uważna, tak obecna. W końcu dziewczynka odwracała się i wychodziła z pokoju, Catherine zaś słyszała, jak z powrotem wchodzi po schodach. Wtedy znów zostawała sama.

Catherine śni o kolorach. Okazuje się, że jej małżeństwo było w tym samym kolorze, jakim właśnie pomalowała przedpokój. Wyblakły Welur. Leonard Felter, który niegdyś miał romanse z dwiema swoimi studentkami, kilkoma wykładowczyniami kontraktowymi, dwoma etatowymi pracownikami naukowymi, doprowadził do upadku całej wydział Catherine, a przy tym uratował jej małżeństwo, nadawałby się na szminkę do ust albo lakier do paznokci. Brzoskwińowe Bzykanko. Jest Krokodylica, wyjątkowo szpetna Eau De Vil, kolor, który paskudnie smakuje, kiedy się go wymawia. Matka Catherine, która zawsze była rozczarowana dokonywanymi przez nią wyborami, okazała się piękną, bogatą, głęboką czekoladową barwą. Czemu Catherine nigdy wcześniej tego nie spostrzegła? Za późno. Za późno. Sprawilo to, że miała ochotę się rozpłakać.

Razem z Liz popijają farbę.

- Dolać ci jeszcze? - pyta Catherine. - Chcesz cukru?

- Tak, dużo - odpowiada Liz. - Na jaki kolor masz zamiar pomalować króliki?

Catherine podaje jej cukier. Nawet jeszcze nie zdążyła o nich pomyśleć, prócz tego, o jakie króliki chodziło Liz: kamienne czy prawdziwe? W jaki sposób można je zatrzymać w miejscu?

- Mam coś dla ciebie - mówi Liz. Trzyma należąca do Tilly torebkę z pancernika. Jest pełna paseczków z próbkami farb. Do ust Catherine napływa ślina.

Henry'emu śni się, że spotyka się z tępicielem szkodników.

- Musi się pan tym zająć - mówi do niego. - Mamy dwoje małych dzieci. Te stworzenia mogą mieć wściekliznę. Mogą być nosicielami zarazy.

- Zobaczą, co da się zrobić - odpowiada tępiciele głosem, w którym pobrzmięwa ponura nuta. Stoi obok Henry'ego. Jest to mężczyzna o dość osobliwej powierzchowności i nerwowym zachowaniu. Ma duże uszy. Obaj przyglądają się

drapaczom chmur, które sterczą spomiędzy trawy na podobieństwo obelisków.

- Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Nigdy nie miałem ochoty czegoś takiego oglądać. Ale jeśli chce pan znać moje zdanie, to uważam, że prawdziwy problem stanowi dom...

- Mniejsza o moją żonę - mówi Henry. Przykuca obok sięgającego do kolan drapacza chmur w stylu art deco i zagląda do okna. Jakiś mały człowieczek patrzy na niego i wygraża pięścią, wykrzykując przy tym jakieś obscena. Henry pstryka palcem w szybę tak mocno, że niemal ją wybija. Czuje, że jest mu gorąco na całym ciele. Nigdy przedtem w całym swoim życiu nie odczuwał takiej złości, nawet wówczas, gdy Catherine przyznała się, że przez przypadek przespała się z Leonardem Felterem. Ten mały gnojek pożałuje słów, które przed chwilą wypowiedział, bez względu na to, jak brzmiały. Unosi stopę.

- Na pańskim miejscu nie robiłbym tego - ostrzega tępicieł szkodników. - Musi je pan wykopać, dotrzeć do korzeni. W przeciwnym razie po prostu odrastają. Jak pański dom. Co w gruncie - rzeczy jest tylko czubkiem sałaty lodowej, że się tak wyrażę. Pewnie mają z siedemdziesiąt, osiemdziesiąt pięter pod ziemią. Zjechał już pan tam windą? Rozmawiał pan z lokatorami? To pański dom, a pan zamierza pozwalać im mieszkać bez płacenia czynszu? Wtrącać się panu do wszystkiego w ten sposób?

- Co? - dziwi się Henry, a wówczas słyszy helikoptery, myśliwce wielkości kolibra.
- Czy to naprawdę konieczne? - pyta tępicieła.

Tamten potakuje skinieniem głowy.

- Musi ich pan wziąć z zaskoczenia.

- Może działamy zbyt pochopnie - waha się Henry. Musi krzyżeć, żeby było go słychać poprzez hałas maleńkich, maciupkich, pędzących z furją samolocików. - Może da się to załatwić pokojowo.

- Henrii - mówi śledczy, potrząsając głową. - Wezwałeś mnie, bo jestem ekspertem, a ty wiedziałeś, że potrzebujesz mojej pomocy.

Henry chce powiedzieć: „Źle wymawiasz moje imię”. Ale nie chce obrazić uczuć przedsiębiorcy pogrzebowego. Aligator mówi dalej.

- Posłuchaj, Henriiii, i zamknij się w sprawie negocjacji i takich tam, bo jeśli się tym natychmiast nie zajmimy, może być za późno. Tu nie chodzi o posiadanie domów ani zajmowanie się trawnikiem, Henriiiiiii - to wojna. Bądź dzielny. Bądź silny. Po prostu trzymaj się mocno swojego królika i strzelaj, kiedy zobaczysz zachwyt w ich

oczach.

Obudził się.

- Catherine - szepnął. - Spisz? Miałem taki dziwny sen.

Catherine zaśmiała się.

- To telefon, Liz - wyjaśniła. - Pewnie Henry dzwoni, żeby powiedzieć, że się spóźni.

- Catherine - odezwał się Henry. - Z kim ty rozmawiasz?

- Jesteś na mnie wściekły, Henry? - spytała Catherine. - To dlatego nie przyjedziesz do domu?

- Jestem tutaj - wyjaśnił Henry.

- Zabieraj swoje króliki, krokodyle i wynoś się stąd - warknęła Catherine. - A potem wracaj prosto do domu.

Siedziała na łóżku i pokazywała palcem.

- Rzygać mi się już chce od tego ciągłego szpiegowania przez króliki!

Kiedy Henry spojrział, dostrzegł, że coś stoi obok łóżka, kołysząc się w przód i w tył na piętach. Po omacku poszukał światła, zapalił je i ujrzał Tilly z rozdziawionymi ustami i zamkniętymi oczyma.

- To tylko Tilly - powiedział do Catherine, ale ona już z powrotem leżała. Głowę nakryła poduszką. Kiedy wziął Tilly za rękę, żeby odprowadzić ją do łóżka, była ciepła i spocona, serce biło jej gwałtownie, jak gdyby dopiero co obiegła wszystkie znajdujące się w domu pokoje.

Obszedł dom. Opukał ściany - dla pewności. Przyłożył ucho do podłogi. Żadnej windy. Żadnych tajemnych pokoi ani ukrytych przejść.

Nie ma nawet piwnicy.

Tilly podzieliła ogród na dwie części. Carltonowi nie wolno wchodzić do tej, która należy do niej, chyba że udzieli mu pozwolenia.

Z końca swojej połówki ogrodu, z miejsca, gdzie wzdłuż podjazdu biegną drzewa, Tilly ledwie widzi dom. Postanowiła nazwać ogródek Króliczym Królestwem Matyldy. Tilly uwielbia nadawać nazwy. Kiedy urodzi się dziecko, matka obiecała jej, że będzie mogła pomóc w wyborze prawdziwych imion, chociaż będą tylko dwa - pierwsze i drugie. Tilly nie rozumie, dlaczego mogą być tylko dwa. „Oishi” oznacza po japońsku

„wyborny”. To by było dobre imię, i dla dziecka, i dla ogrodu, z powodu trawy. Wie, że ogród nie jest tak ogromny jak Central Park, ale jest równie atrakcyjny, choć nie ma w nim żadnych pagód, zamków, wozów ani ludzi na wrotkach, fest sporo trawy. Setki królików. Mieszkają w ogromnym podziemnym mieście, może takim samym jak Nowy Jork. Może jej tato mógłby zrezygnować z pracy w Nowym Jorku, a w zamian podjąć pracę w mieście pod trawnikiem. Mogłaby mu pomagać, chodzić z nim do pracy. Mogłaby zostać biologiem, jak Jane Goodall, zejść pod ziemię i żyć z królikami. W zeszłym roku pragnęła zamieszkać potajemnie w Metropolitan Museum of Art, ale ktoś już tego dokonał, nawet jeśli miało to miejsce wyłącznie na kartach książki. Tilly żałuje Carletona. Wszystko, co będzie robił, ona będzie już miała za sobą. Ona już to zrobi.

Tilly zostawiła swoją torebkę z pancernika sterczącą z króliczej nory. Najpierw powiększyła otwór w ziemi, a następnie obłożyła pancernika dokoła ziemią, tak że wystawał tylko jego błyszczący, nagi ryjek. Carleton wykopuje go z powrotem swoim patykiem. Może Tilly chciała, żeby go znalazł. Może był to prezent dla królików, tylko co on robi tutaj, po jego stronie ogrodu? Kiedy mieszkał w mieszkaniu, bał się torebki z pancernika, ale tu są lepsze rzeczy, których można się bać. Uważaj Carleton. Lepiej bądź ostrożny. Torebka z pancernika mówi: „Nie dotykaj mnie”. Więc jej nie dotyka. Za pomocą swojego patyka podważa ryjek, wyrzuca na zewnątrz najcenniejsze przedmioty Tilly i jeden po drugim wpycha je do dziury. Potem przystawia ucho do nory, żeby usłyszeć, czy króliki mówią „Dziękujemy”. Wyrażanie wdzięczności świadczy o uprzejmości. Ale króliki nic nie mówią. Wstrzymują oddech w oczekiwaniu, aż sobie pójdzie. Carleton również czeka. Pancernik Tilly, pusty, śmierdzący i nawiedzony jak dom, sprawia, że do oczu napływają mu Izy.

Ktoś podchodzi i staje za nim.

- To nie ja - tłumaczy się. - Same tam powpadały.

Ale kiedy się odwraca, widzi, że to dziewczyna z sąsiedztwa. Alison. Ma za plecami słońce, co sprawia, że bije od niej blask. Carleton mruży oczy.

- Możesz przyjść do nas, jeśli chcesz - oznajmia mu. - Tak mówi twoja mama. Zapłaci mi piętnaście dolców za godzinę. To o wiele za dużo. Czy twoi rodzice naprawdę są bogaci, czy jak? Co to?

- Torebka Tilly - wyjaśnia Carleton. - Ale coś mi się widzi, że już jej nie chce.

- Dziewczyna podnosi pancernika Tilly.

- Całkiem niezła - stwierdza. - Może przechowam ją dla niej.

Głęboko pod ziemią króliki tupią z wściekłości.

Catherine szalenie podoba się ten dom. Szalenie podoba się jej nowe życie. Nigdy nie potrafiła zrozumieć ludzi, którzy tkwią w miejscu, popadają w rozgoryczenie, nie potrafią się zmienić ani przystosować. No więc jest bez pracy. No i co z tego? Znajdzie sobie jakieś inne zajęcie. W tej sytuacji Henry nie może na razie zrezygnować z pracy, nie robi tego. A zatem dom jest nawiedzony. Nie szkodzi. Jakoś sobie z tym poradzą. Kupuje kilka książek na temat ogrodnictwa. W doniczce zasadza krzew różany oraz pnącą winorośl. Pomaga jej Tilly. Króliki objadają wszystkie liście. Przegryzają się przez winorośl.

- Cholera - złości się Catherine, kiedy widzi, co narobiły. Wygraża pięścią królikom na trawniku. Króliki strzygą tylko uszami. Śmieją się, wie o tym. Jest za gruba, żeby uganiać się za nimi.

- Henry, obudź się. No, obudź się.

- Nie śpię - odezwał się, po czym otworzył oczy. Catherine płakała, to były głośne, mokre, nieładne szlochy. Wyciągnął dłoń i dotknął twarzy żony. Ciekło jej z nosa.

- Nie płacz - powiedział. - Nie śpię. Czemu płaczesz?

- Bo cię nie było - chlipała. - A potem obudziłam się i już tu byłeś, ale kiedy się obudzę jutro rano, znów cię nie będzie. Tęsknię za tobą. A ty za mną nie?

- Przepraszam - powiedział Henry. - Przepraszam, że mnie nie ma. Teraz już jestem. Chodź do mnie.

- Nie - bąknęła. Przestała płakać, ale wciąż ciekło jej z nosa. - A teraz zmywarka do naczyń też jest nawiedzona. Musimy kupić nową, zanim urodzę to dziecko. Nie można mieć dziecka i nie mieć zmywarki do naczyń. A ty masz tu mieszkać z nami. Bo tym razem będę potrzebowała pomocy. Pamiętasz, jak kurewsko ciężko było z Carletonem?

- Był marudnym niemowlakiem - przyznał Henry. Kiedy Carleton miał trzy miesiące, Henry zdał sobie sprawę z tego, że czegoś nie zrozumieli. Niemowlęta nie są niemowlętami - to miny, pułapki na niedźwiedzia, gniazda os. Są wcielonym hałasem, czasami nie był to nawet hałas, a jedynie oczekiwanie nań, są wilgotną wonią kredy; są ruchliwym, nerwowym, lepkiem uosobieniem braku snu. Pewnego razu Henry stał i przyglądał się śpiącemu spokojnie w swoim łóżeczku Carletonowi. Nie zrobił tego, na

co miał ochotę. Nie schylił się i nie wrzasnął synowi do ucha. Henry wciąż nie wybaczył mu - jeszcze nie, nie do końca - tego, że tak się przez niego poczuł.

- Czemu ty musisz tak strasznie kochać tę swoją pracę? - spytała Catherine.

- Nie wiem - odparł Henry. - Nie Kocham jej.

- Nie kłam - złościła się Catherine.

- Ciebie Kocham bardziej - wyznał Henry. To prawda, tak właśnie jest, rzeczywiście Kocha Catherine bardziej. Już to postanowił. Ale ona nawet nie słucha.

- Pamiętasz, kiedy Carleton był maleńki, a ty wstawiałaś rano, szedłaś do pracy i zostawiałaś mnie z nimi? - Catherine szturchnęła go w bok. - Nienawidziłam cię wtedy. Przychodziłaś do domu z daniami na wynos, a ja zapomniałam, że cię nienawidzę, ale potem sobie przypominałam, i jeszcze bardziej cię nienawidziłam, bo z taką łatwością potrafiłaś mnie podejść, załagodzić wszystko tylko dlatego, że przez godzinę mogłam posiedzieć w wannie, zjeść chińszczyznę i umyć włosy.

- Zawsze, kiedy gdzieś wychodziłaś, nosiłaś ze sobą zapasową bluzkę - przypomniał sobie Henry. Włożył dłoń pod jej koszulkę z krótkim rękawem, dotknął pulchnej, pełnej piersi. - Na wszelki wypadek, gdyby pociekł ci pokarm.

- Nie wolno ci dotykać tej piersi - burknęła Catherine. - Jest nawiedzona. - Wydmuchała nos w pościel.

Przyjaciółka Catherine, Lucy, jest właścicielką internetowego butiku „Eleganckie Rzeczy dla Puszystych”. W Tarrytown mieszka pewna kobieta, która szyje seksowne, elastyczne swetry w romby wyłącznie dla ERP, a Lucy jest z nią umówiona. Po spotkaniu, zanim będzie musiała wracać do miasta, chce zatrzymać się po drodze i zobaczyć się z Catherine. Catherine udziela jej wskazówek, jak dojechać, po czym bierze się za sprzątanie domu, ale czuje, że nie jest w najlepszym nastroju. Nie jest do końca przekonana, czy ma ochotę spotykać się z Lucy właśnie w tej chwili. Carleton zawsze jej się bał, co bywa krępujące. A Catherine nie ma ochoty rozmawiać o Henry'm. Nie chce jej się tłumaczyć, co dzieje się z łazienką na dole. Zaplanowała sobie spędzić ten dzień na malowaniu drewnianych listew wykończeniowych w jadalni, ale teraz będzie musiała poczekać.

Rozlega się dzwonek u drzwi, ale kiedy Catherine idzie otworzyć, za drzwiami nikogo nie ma. Później, kiedy Tilly i Carleton są już w domu, dzwonek odzywa się ponownie, ale nikogo nie widać. Dzwonek dzwoni i dzwoni, jak gdyby Lucy stała właśnie przed domem, wciąż wciskając guzik. W końcu Catherine wyciąga kabel.

Próbuje zadzwonić na komórkę Lucy, ale nie może uzyskać połączenia. W tej chwili telefonuje Henry. Informuje, że się spóźni.

Frontowe drzwi otwiera Liz.

- Halo, jest tu kto?! - pokrzykuje. - Musicie koniecznie zobaczyć wasze króliki, jest ich chyba parę tysięcy. Catherine, co się dzieje z waszym dzwonkiem?

Jak na razie z rowerem Henry'ego nie było żadnych problemów. Zastanawiał się, co by zrobili, gdyby nagle okazało się, że toyota została nawiedzona. Czy Catherine chciałaby ją sprzedać? Czy miałoby to wpływ na cenę? Kiedy dojechał do domu, nie zastał ani samochodu, ani Catherine z dziećmi, nałożył więc parę rękawic ochronnych, przeszedł się po domu z tekturowym pudłem i pobierał wszystkie przedmioty, które sprawiały wrażenie nawiedzonych. Szczotka do włosów z pokoju Tilly, para należących do Catherine starych tenisówek, sztuka jej bielizny, na którą trafia w nogach łóżka. Kiedy ją podniósł, poczuł nagły atak tęsknoty za żoną, jak gdyby został porażony czymś w rodzaju przerażającego pioruna. Uderzył go w sam dołek w żołądku, niczym skurcz. Wrzucił bieliznę do pudełka.

Jedwabne kimono z Takashinaya. Dwie nocne lampki Carletona. Otworzył drzwi swojego gabinetu, pudełko wstawił do środka.

Wszystkie włosy na jego ramionach stanęły dęba. Zatrzasnął drzwi.

Następnie zszedł na dół i wymył pędzle. Jeśli i one stawały się nawiedzone, jeśli Catherine zamierzała je wyrzucić i kupić nowe, nie przyznała się do tego. Może powinien sprawdzić wyciąg z karty kredytowej. Ile właściwie wydawali na farby?

Do kuchni weszła Catherine i uściskała go.

- Cieszę się, że jesteś w domu. - Wcisnął nos w jej szyję i wciągnął powietrze. - Nie zgasiłam auta - muszę lecieć siku. Pojedziesz za mnie po dzieci?

- A gdzie są? - spytał Henry.

- U Liz. Alison się nimi zajmuje. Masz przy sobie pieniądze?

- To znaczy, że poznam jakichś sąsiadów?

- No pewnie - przytaknęła Catherine. - O ile uważasz, że jesteś na to gotowy. Jesteś gotowy? Wiesz, gdzie mieszkają?

- Są naszymi sąsiadami, tak?

- Z podjazdu w lewo, jakieś ćwierć mili, taki czerwony dom obsadzony od frontu drzewami.

Ale kiedy pojechał do owego czerwonego domu, podszedł do drzwi i nacisnął

dzwonek, nikt nie otworzył. Usłyszał jakieś dziecko zbiegające po schodach, które zatrzymało się i stanęło pod drzwiami.

- Carleton? Alison? - odezwał się. - Przepraszam, jestem Henry, mąż Catherine. Tato Carletona i Tilly. - Szepty ucichły. Czekał przez chwilę. Kiedy przykucnął i uniósł klapkę otworu na pocztę w drzwiach, wydało mu się, że widzi czyjeś stopy, skrawek sierści, coś puszystego? Psa? Kogoś, kto stał bez ruchu tuż po prawej stronie drzwi? Carletona, który urządza sobie jedną z tych swoich zabaw.

- Widzę cię - powiedział i poruszył palcami przez otwór na pocztę. Po chwili przyszło mu do głowy, że może wcale nie jest to Carleton. Szybko wstał i wrócił do samochodu. Pojechał do miasta i kupił zapas mydła.

Kiedy wrócił do domu, na podjeździe stała Tilly i trzymała się pod boki.

- Cześć, tato - przywitała go. - Szukam Króla Spanky'ego. Wyszedł z domu. Zobacz, co znalazła Alison.

Wyciągnęła ku niemu maleńki, zabawkowy łuk napięty czymś, co wyglądało jak nic dentystyczna, o strzale małej niczym igła.

- Uważaj z tym - ostrzegł ją Henry. - Wygląda na ostrą. Barbie łuczniczka, tak? Miło spędziliście czas z Alison?

- Alison jest w porządku - odparła Tilly. Czknęła. - Przepraszam. Nie czuję się najlepiej.

- Co się stało? - spytał Henry.

- Jakoś mi dziwnie na żołądku - przyznała dziewczynka. Podniosła na niego wzrok, zmarszczyła brwi, po czym zwymiotowała mu na koszulę i spodnie.

- Tilly! - krzyknął. Zdarł z siebie koszulę, użył rękawa, żeby wytrzeć jej usta. Wymiociny były pienne i zielone.

- Paskudny smak - stwierdziła Tilly. W jej głosie brzmiało zdumienie. - Czemu zawsze, kiedy się wymiotuje, ma to taki wstrętny smak?

- Żebyś nie chodziła i nie robiła tego dla zabawy - mruknął. - Mdli cię jeszcze?

- Chyba nie - odparła, krzywiąc się.

- W takim razie idę się umyć i zmienić ubranie. A właściwie to czegoś ty się najadła?

- Trawy - przyznała Tilly.

- No to nic dziwnego - stwierdził Henry. - Myślałem, Tilly, że masz trochę więcej rozumu. Nie jedz więcej trawy.

- Nie miałam takiego zamiaru - wyjaśniła Tilly. Splunęła na trawę.

Kiedy Henry otworzył frontowe drzwi, usłyszał, jak Catherine rozmawia w kuchni.

- Najśmieszniejsze jest to - mówiła - że nic nie było prawdą. Wszystko okazało się po prostu zmyślane, zupełnie jak coś w stylu Carletona. Tylko po to, żeby przyciągnąć uwagę.

- Tato - odezwał się Carleton. Podskakiwał na jednej nodze. - Chcesz posłuchać piosenki?

- Szukałem was - powiedział Henry. - Czy Alison przyprowadziła was do domu? Potrzebujesz iść do łazienki?

- Czemu nie masz na sobie ubrania? - spytał Carleton.

Ktoś w kuchni zaśmiał się, gdy usłyszał te słowa.

- Miałem mały wypadek - wyjaśnił Henry szeptem. - Ale masz rację, Carleton, powinienem się przebrać. - Wziął prysznic, opłukał i wyjął koszulę, włożył czyste ubranie, ale kiedy zszedł na dół, Catherine, Carleton i Tilly jedli już płatki Cheerios na kolację. Używali papierowych miseczek i plastikowych łyżeczek, jak gdyby byli na pikniku.

- Były Liz i Alison, ale pojechały do kina - poinformowała go Catherine. - Powiedziały, że poznają cię innym razem. To było okropne: kiedy stały w drzwiach, Król Spanky wybiegi prędko na zewnątrz. Cały dzień przypatruje się królikom. Jeśli któregoś złapie, Tilly bardzo się zmartwi.

- Tilly najadła się trawy - stwierdził Henry.

Dziewczynka przewróciła oczyma. Akurat.

- Znowu?! - krzyknęła Catherine. - Tilly, ludzie nie jedzą trawy. Ojej, popatrz, wspaniale, jest Król Spanky. Kto go wpuścił? Co on tam trzyma w pyszczku?

Król Spanky siada tyłem do nich. Kaszle, a coś upada na podłogę, może żaba albo mały króliczek. Stworzenie z rozpaczliwym wysiłkiem idzie po podłodze, na wpół podskakując, wlokąc za sobą jedną łapkę. Król Spanky nie rusza się z miejsca. Przygląda się tylko, jak stworzenie znika pod kanapą. Carleton wpada w panikę. Tilly krzyczy:

- Niedobry Król Spanky! Niedobry kot!

Kiedy Henry i Catherine odsuwają kanapę, jest już za późno: jest tam tylko Król Spanky oraz niewielka plama lepkiej krwi na podłodze.

Catherine chciałyby napisać powieść. Taką, w której nie byłoby żadnych dzieci. Problem z powieściami, w których występują dzieci, polega na tym, że coś złego

przytrafia się albo im, albo rodzicom. Ona zaś pragnie napisać coś wesołego, coś romantycznego.

Teraz, kiedy jest taka wielka, siadanie to spory wysiłek. Zaczęła pisać po ścianach. Píše ołówkiem. Swoim bohaterom nadaje imiona zaczerpnięte z kolorów farb. Wyobraża sobie, że wiodą piękne, szczęśliwe, pożyteczne życie. Żadnych nawiedzonych tosterów. Żadnych matek, dzieci, krokodyli, fotokopiarek, ani Leonarda Feltera. Píše przez dwie czy trzy godziny, a następnie, zanim ktokolwiek zjawi się w domu, znów maluje ściany. Sprawia jej to zawsze największą przyjemność.

- Potrzebuję cię w następny weekend - oznajmiła Krokodylica. Jej kula z gumek recepturek leżała na podłodze przy biurku. Na nim spoczywały jej stopy, co stanowiło próbę demonstracji tego, kto tu jest szefem. Kula z gumek nabierała nazbyt wygórowanego mniemania o sobie. Ktoś powinien dać jej nauczkę, przesłać notatkę służbową.

Wyglądała na zmęczoną.

- Nie potrzebujesz mnie - stwierdził Henry.

- Potrzebuję - powiedziała Krokodylica. - Naprawdę. Klienci chcą, żebyś zabrał ich na kolację do „Czterech Pór Roku”, kiedy przyjadą do miasta. Chcą iść z tobą na musicale. *Czynsz. Upiora Kabaretowego Lwa*. Chcą pojechać z tobą na Coney Island i jeść hot dogi. Chcą pochodzić do modnych barów i klubów, podrywać striptizerki, specjalistów do spraw reklamy i performerów. Chcą rozmawiać o poezji, filozofii, sporcie, polityce, swoich parszywych stosunkach z ojcem. Chcą prosić cię o rady w sprawach życia uczuciowego. Chcą, żebyś chodził na śluby ich dzieci i wygłaszał toasty. Jesteś niezastąpiony, mój drogi. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

- Catherine i ja mamy nieco kłopotów z królikami - oznajmił Henry. Łatwiej było wytłumaczyć, o co chodzi z królikami niż z tą drugą sprawą. - Zajęły cały ogród. Sytuacja nieco się skomplikowała.

- Nie mam bladego pojęcia o królikach - oświadczyła Krokodylica, wwiercając swój spiczasty obcas w kulę z gumek, póki nie poczuła, że cieknie z niej czerwona, gumowa krew. Obezwładniła Henry'ego swoimi pięknymi, załamionymi oczyma.

- Henry. - Wypowiedziała jego imię tak cicho, że musiał pochylić się, żeby usłyszeć, co mówi.

- Masz wszystko, co człowiek może sobie wymarzyć - stwierdziła. - Żonę i dzieci, które cię uwielbiają, piękny dom na wsi, pewną pracę w firmie, która cię potrzebuje,

szefową, która ceni twoje - talenty, klientów, którzy uważają cię za superfaceta. Jesteś superfacetem, Henry, a chodzi o to, że pewnie sobie myślisz, że nikt na to wszystko nie zasługuje. Uważasz, że musisz dokonać wyboru. Myślisz, że musisz z czegoś zrezygnować. Ale nie musisz z niczego zrezygnować, Henry, a każdy, kto wmawia ci, że jest inaczej, to jebany królik. Nie słuchaj ich. Możesz mieć to wszystko. Zasługujesz na to wszystko. Kochasz swoją pracę. Zgadza się?

- Kocham moją pracę - przyznaje Henry. Krokodylica obdarowuje go łzawym uśmiechem. To prawda. Kocha swoją pracę.

Kiedy Henry wrócił do domu, z pewnością było już po północy, nigdy bowiem nie udało mu się wrócić wcześniej, zastał Catherine stojącą w kuchni na drabinie, z jedną nogą spoczywającą na zlewie. Miała na sobie maskę gazową, czarny bawełniany sportowy biustonosz oraz odwinęte czarne spodnie od dresu, więc zauważył, że nie włożyła bielizny. Jej brzuch wystawał tak bardzo, że musiała trzymać ramiona pod dość zabawnym kątem, by móc poruszać wałkiem w górę i w dół po znajdującej się przed nią ścianie. Tworzyła w ten sposób literę V. Następnie ją zamalowywała. Sufit kuchni pokryła odcieniem fioletu tak ciemnym, iż sprawiał wrażenie niemal czarnego. Północny Bakłażan. Catherine kupuje farby ze specjalistycznego katalogu. Wszystkie kolory mają nazwy od tytułów znanych książek: *Pani Bovary*, *Amber*, *451 stopni Fahrenheita*, *Blaszany bębenek*, *A Curtain of Green*, *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*. Malowała właśnie ściany *Paragrafem 22*, powieścią, z której na okrągło prowadziła zajęcia ze studentami młodszych lat. Zawsze dobrze szły. Kolor farby też był ładny. Nie potrafiła zdecydować, czy brakuje jej uczenia, czy nie. Chodzi o to, że uczenie, a równocześnie zajmowanie się dziećmi, nieodmiennie doprowadzało do sytuacji, gdy traktowała dzieci, jakby były studentami, a studentów, jakby byli dziećmi. Używała nawet szczególnego tonu głosu. Kilkakrotnie posłużyła się nim także wobec Henry'ego, tylko po to, żeby się przekonać, czy odniesie skutek.

Wszystkie szafki były ogrodzone taśmą maskującą niczym miejsce zbrodni. W pomieszczeniu śmierdziało świeżą farbą.

Catherine zdjęła maskę i powiedziała:

- Tilly ją wybrała. Jak ci się podoba? - Wzięła się pod boki. Jej brzuch sterczał w kierunku Henry'ego. Maska gazowa pozostawiła biało-czerwona obwódkę wokół jej oczu i podbródka.

- Jak udał się obiad? - spytał Henry.

- Jedliśmy fettuccine. Liz i Marcus zostali i pomogli mi pozmywać.

(„Coś nie tak z waszą zmywarką?” „Nie. To znaczy tak. Kupujemy nową”.)

Nieco wcześniej doznała osobliwego uczucia. Przypominało déjà vu, upojenie alkoholowe albo zakochanie. Przywodziło na myśl uczenie. Wyobraziła sobie wówczas króliczą publiczność na trawniku, która ogląda jej proszony obiad. Klasę, w której siedzą króliki i oglądają film dokumentalny. Królicza telewizja. Poczula, jak przeszywa ją dreszcz.

- To ona jest prawnikiem? - spytał Henry.

- Nawet ich jeszcze nie poznałeś - westchnęła Catherine, niespodziewanie odczuwając zazdrość. - Ale ja tam ich lubię. Naprawdę bardzo ich lubię. Chcieli wszystko o nas wiedzieć. O tobie. Wydaje mi się, że ich zdaniem mamy problemy małżeńskie albo jesteś wytworem mojej wyobraźni. W końcu zaprowadziłam Liz na górę, żeby na własne oczy mogła zobaczyć twoje rzeczy w szafie. Wyjęłam album ślubny i pokazałam im zdjęcia.

- Może zaprosimy ich na niedzielę? Urządzimy obiad na świeżym powietrzu? - zaproponował Henry.

- W przyszły weekend ich nie będzie - wyjaśniła Catherine. - W piątek jadą w góry. Mają tam domek. Zaprosili nas. Żeby jechać z nimi.

- Nie mogę - stwierdził Henry. - W weekend muszę zająć się klientami. To jakieś grube ryby. Mamy problemy z przepływem gotówki. A poza tym, to wolno ci wychodzić? Pytałaś swojego lekarza, jak mu tam, doktora Marksa?

- Masz na myśli to, czy podpisał mi pozwolenie? - spytała Catherine. Henry położył dłoń na jej nodze i nie zdejmował. - Doktor Marks powiedział, że jestem w pierwszorzędny porządku. Dokładnie tak powiedział. A może powiedział tip-top. To było coś opartego na aliteracji.

- No cóż, sądzę wobec tego, że powinnaś jechać - powiedział Henry. Przytulił głowę do jej brzucha. Nie protestowała. Wyglądał na bardzo zmęczonego. - Zanim pojawi się Wózek Golfowy. Czy jak teraz Tilly mówi na dziecko?

- Tilly gdzieś tu jest - stwierdziła Catherine. - Kładę ją bez przerwy do łóżka, a ona i tak ciągle wstaje. Może cię szuka.

- Dostałaś mój e-mail? - spytał Henry. Wsłuchiwał się w jej brzuch. Nie zamierzał przestać jej dotykać, póki mu na to pozwala.

- Przecież wiesz, że nie mogę już sprawdzać poczty z twojego komputera - wyjaśniła Catherine.

- To takie głupie - powiedział Henry. - Ten dom nie jest nawiedzony. Nie ma czegoś takiego jak nawiedzony dom.

- To nie dom - wyjaśniła Catherine. - To rzeczy, które przywieźliśmy ze sobą. Nie licząc łazienki na dole, a to może być po prostu przeciąg albo jakiś problem z elektrycznością. Dom jest w porządku. Uwielbiam go.

- Nasze rzeczy są w porządku - stwierdził Henry. - Uwielbiam je.

- Jeśli naprawdę jesteś przekonany, że nasze rzeczy są w porządku - powiedziała Catherine - to po co kupiłeś nowy budzik? Czemu ciągle wyrzucasz mydło?

- To przez te przenosiny - wyjaśnił Henry. - To była ciężka przewodniczka.

- Król Spanky od trzech dni nie tknął swojego jedzenia - poinformowała Catherine. - Z początku myślałam, że chodzi o karmę, więc kupiłam nową, a on zszedł na dół, zjadł ją i wtedy zrozumiałam, że nie chodzi o jedzenie, chodzi o niego. Przez całą noc nie mogłam zasnąć, wiedząc, że siedzi pod łóżkiem. Biedny nawiedzeniec. Nie wiem, co robić. Pojechać z nim do weterynarza? Co powiem? „Przepraszam, ale wydaje mi się, że mój kot jest nawiedzony?”. W każdym razie nie mogę wyciągnąć go spod łóżka. Nawet za pomocą tego starego budzika, tego nawiedzonego.

- Spróbuję - obiecał Henry. - Zobaczymy, czy mnie się uda go stamtąd wyciągnąć.

- Ale nie ruszył się z miejsca. Catherine pociągnęła go za kosmyk włosów, a on uniósł dłoń. Wręczyła mu - wałek do malowania. Wyciągnął bęben, zapakował go w torebkę i włożył do zamrażarki, w której pełno było pędzli oraz innych wałków. Pomógł jej zejść z drabiny. - Wolałbym, żebyś dała sobie spokój z malowaniem.

- Nie mogę - odparła. - Musi wyjść idealnie. Jeśli mi się to uda, wtedy wszystko wróci do normy i przestanie być nawiedzone, a króliki przestaną ryć tunele pod domem, żeby się zawalił, ty wrócisz do domu i zostaniesz, a nasi sąsiedzi w końcu cię poznają i polubią, a ty ich, Carleton przestanie się wszystkiego bać, Tilly będzie zasypiać w swoim łóżku i przestanie z niego wychodzić, a...

- Hej - przerwał jej Henry. - Wszystko będzie tak, jak trzeba. Jest dobrze. Podoba mi się ten kolor.

- Sama nie wiem - mruknęła Catherine. Ziewnęła. - Nie wydaje ci się, że wygląda zbyt staroświecko?

Poszli na górę. Catherine wzięła kąpiel, podczas gdy Henry próbował nakłonić Króla Spanky'ego do wyjścia spod łóżka. Ale kot ani myślał to zrobić. Kiedy Henry stanął na czworakach i wetknął latarkę pod łóżko, zobaczył jego oczy oraz zwisający ze skrzyni ogon.

Na trawniku przed domem króliki trwały w całkowitym bezruchu. Po chwili poderwały się w powietrze, obróciły się, opadały i wylądowały, po czym znów zamarły. Catherine stała w oknie łazienki i wycierała włosy ręcznikiem. Zgasła światło, żeby je lepiej widzieć. Księżycowa poświata uwydatniła ich lśniące oczy, futerka w kolorze księżycy, każdy pokryty na koniuszku farbą włosów. Bawiły się w jakąś króliczą zabawę jak ta, której uczestnicy przeskakują kolejno jeden przez drugiego niczym przez kozła. Albo tańczyły kadryla. Toczyły jakąś króliczą wojnę. Czy króliki toczyły wojny? Catherine nie wiedziała. Naskakiwały jedne na drugie, po czym odwracały się i rzucały do tyłu, podskakując, przykucając i unosząc się do góry na tylnych łapkach. Para królików pognała niczym konie wyścigowe, płynąc w powietrzu ponad leżącym w trawie długim, skręconym kształtem. Po czym wróciła na miejsce. Catherine przystawiła twarz do szyby. To była Tilly - wyciągnięta na trawie, jej nogi i stopy, bosa i białe.

- Tilly - wypowiedziała głośno Catherine, po czym wybiegła z łazienki, mając na sobie tylko owinięty wokół głowy ręcznik.

- Co się dzieje? - spytał Henry, kiedy przemknęła obok niego i pognała schodami. Pobiegł za nią. Ledwie otworzyła drzwi, już klęczała przy Tilly, a wilgotna trawa lechtała jej uda i brzuch. Henry też się tam znalazł, podniósł córkę i zabrał z powrotem do domu. Owinęli ją kołdrą i położyli do łóżka, a ponieważ żadne z nich nie chciało spać w łóżku, pod którym ukrywał się Król Spanky, położyli się przytuleni do siebie na kanapie w salonie. Kiedy obudzili się rano, Tilly spała zwinięta w kłębek w ich nogach.

W zeszłym roku przez całą minutę lub dwie Catherine myślała, że rozgryzła tę kwestię. Wyszła za mężczyznę, który specjalizuje się w rozwiązywaniu problemów, ratowaniu trudnych sytuacji. Gdyby zrobiła coś odpowiednio dramatycznego, gdyby spieprzyła coś wystarczająco paskudnie, uratowałoby to jej małżeństwo. I tak też się stało, z wyjątkiem tego, że kiedy problem był już rozwiązany, a małżeństwo uratowane, dziecko zostało poczęte, a dom kupiony, wówczas Henry wrócił do pracy.

Stoi w oknie łazienki i wygląda na drzewa. Przez chwilę wyobraża sobie, że Carleton ma rację, a oni mieszkają w Central Parku, Piąta Aleja znajduje się tuż obok. Biuro Henry'ego jest zaledwie parę przecznic stąd. Wszystkie te króliki są po prostu turystami.

Henry budzi się w środku nocy. Na dole są ludzie. Słyszy rozmowę jakichś kobiet,

ich śmiechy, i uświadamia sobie, że zapewne zebrał się klub książki, do którego należy Catherine. Podnosi się z łóżka. Pokój pogrążony jest w mroku. A właściwie która to godzina? Ale budzik znowu jest nawiedzony. Wyłącza go z sieci. Kiedy schodzi po schodach, jeden z głosów mówi: „No, popatrz tylko na to!”, a po chwili: „Tuż pod jego nosem, przez cały czas!”.

Henry idzie przez cały domu i zapala światła. Na środku kuchni stoi Tilly.

- Mogę spytać, kto mówi? - odzywa się. Pomiedzy barkiem a policzkiem trzyma telefon komórkowy Henry'ego - do góry nogami. Ma otwarte oczy, ale jest pogrążona we śnie.

- Z kim rozmawiasz? - pyta Henry.

- Z królikami - odpowiada Tilly. Przechyliła głowę i słucha. Po chwili zaczyna się śmiać. - Zadzwońcie później - mówi do telefonu. - On nie chce z wami rozmawiać. ... Tak. ... W porządku. - Podaje Henry'emu jego aparat. - Powiedziały, że to żaden z twoich znajomych.

- Nie śpisz? - dziwi się Henry.

- Nie - odpowiada Tilly, nie budząc się. Znosi ją z powrotem na górę. W szafie w korytarzu układa łóżko z poduszek i kładzie ją tam. Otula córkę kołdrą. Jeśli nie chce budzić się w tym samym łóżku, w którym zasypia, być może powinni potraktować to jako swego rodzaju zabawę. Skoro nie możesz z kimś wygrać, przyłącz się do niego.

Catherine nie miała romansu z Leonardem Felterem. Nie poszła z nim nawet do łóżka. Tylko tak powiedziała, ponieważ była okropnie wściekła na Henry'ego. Mogła przespać się z Leonardem Felterem. Nadarzyła się taka okazja. On zaś był taki czarujący; jedyny pracownik wydziału, który potrafił sprawić, żeby fotokopiarka robiła odbitki, a przy tym był miły dla wszystkich sekretarek. Aż za bardzo, jak się okazało. A potem, kiedy wyszło na jaw, że Leonard Felter pieprzył się z każdą, Catherine poczuła, że nie potrafi już odwołać tego, co powiedziała. Toteż wraz z Henrym zdecydowali się na terapię. Henry wziął urlop z pracy. Zabrali dzieci do parku Yosemite. Catherine zaszła w ciążę. Miała wyrzuty sumienia przez coś, czego nie zrobiła. Henry jej wybaczył. Prawda jest taka, że uratowała ich małżeństwo. Lecz było to jedno z tych posunięć, które można wykonać tylko raz.

Jeśli ktoś ma ratować ich małżeństwo po raz drugi, musi to być Henry.

Henry wyszedł poszukać Króla Spanky'ego. Mieli jechać do weterynarza. W

samochodzie znajdowała się już kocia klatka, ale brakowało w niej kota. Było wczesne popołudnie, a na trawniku baraszkowały króliki. Wysoko w powietrzu zawisł bez ruchu jakiś ptak. Henry uniósł głowę i popatrzył w górę. Był spory - może jastrząb. Zaczął krążyć; jedno, drugie, jeszcze jedno kółko, i wówczas spadł w dół niczym kamień, w kierunku królików. Króliki nawet nie drgnęły. W ich oczekiwaniu było coś osobliwego, jak gdyby wszystko to stanowiło jakąś grę. Ptak pędził w dół, złożony niczym nóż, a potem wykonał gwałtowny ruch, runął, upadł. Miał bezwładne skrzydła. Huknął o trawnik - do góry pofrunęły pióra. Króliki podeszły bliżej, jak gdyby przeprowadzały oględziny.

Henry też podszedł, żeby to zobaczyć. Króliki rozpięchły się, a trawnik okazał się pusty. Ani królików, ani ptaka. Ale tam, pośród drzew, w pobliżu ścieżki rowerowej, Henry dostrzegł jakiś ruch. Król Spanky machnął gniewnie ogonem, czmychając ku leśnej gęstwinie.

Kiedy Henry wyłonił się spośród drzew, króliki wróciły, znów strzegły trawnika, Catherine zaś nawoływała męża.

- Gdzie byłeś? - spytała. Na szyi miała swoją maskę gazową, a na ramieniu smugę farby. Koń Whiskey. Właśnie skończyła malować szafę na bieliznę.

- Król Spanky zwiął - wyjaśnił Henry. - Nie mogłem go złapać. Widziałem coś niesamowicie dziwnego: ptak polował na króliki, a potem spadł...

- Marcus tu był - oznajmiła Catherine. Miała zarumienione policzki. Henry wiedział, że jeśli dotknie żonę, jej skóra okaże się gorąca. - Zajrzał na chwilę, żeby spytać, czy miałbyś ochotę pojechać na golfa.

- Komu chce się grać w golfa? - zdziwił się Henry. - Chcę iść z tobą na górę. Gdzie dzieci?

- Alison zabrała je do miasta na film - odparta Catherine. - Odbiorę je o trzeciej.

Henry zdjął maskę gazową z jej szyi i nałożył ją Catherine na głowę. Porozpinał guziki bluzki, rozpiął zatrzask stanika.

- Lepiej to zdejmij - powiedział. - Lepiej zdejmij wszystko, co masz na sobie. Coś mi się zdaje, że twoje ubranie jest nawiedzone.

- Wiesz, co mogłoby świetnie nadawać się na kolor farby? Nie mogę uwierzyć, że nikt jeszcze na to nie wpadł. Żółte karteczki przylepki. Co się stało z Królem Spankym? - spytała Catherine. Jej głos zabrzmiał jak głos Dartha Vadera, może celowo, a Henry uznał, że to podniecające: Darth Vader, w ciąży, z jego dzieckiem.

- Położyła dłoń na jego klatce piersiowej i pchnęła. Niezbyt mocno, ale mocniej,

niż zamierzała. Okazało się, że malowanie bardzo poprawiło jej umięśnienie. Przyda się, kiedy będzie miała jeszcze jedno dziecko, które trzeba będzie ciągać ze sobą.

- Żółte Przylepki. To świetne. Nie zwracaj sobie głowy Królem Spankym - powiedział Henry. - Król Spanky to okropna nazwa na kolor farby.

Catherine malowała pokój Tilly Lawendową Pięścią. Miała to być niespodzianka. Ale kiedy Tilly zobaczyła efekt, wybuchła płaczem. - Czemu po prostu nie zostawisz go w spokoju? - chlupała. - Podobał mi się taki, jaki był.

- Zdawało mi się, że lubisz fioletowy - stwierdziła zdumiona Catherine. Zdjęła maskę gazową.

- Nie znoszę fioletowego - złościła się Tilly. - I ciebie też nie znoszę. Jesteś taka gruba. Nawet Carleton tak uważa.

- Tilly! - skarciła ją Catherine. Zaśmiała się. - Jestem w ciąży, zapomniałaś?

- Tak ci się wydaje - stwierdziła dziewczynka. Wybiegła z pokoju i pognała przez korytarz. Dały się słyszeć odgłosy rozbijania przedmiotów.

- Tilly! - krzyknęła Catherine.

Tilly stała na środku pokoju Carletona. Wokół niej walały się roztrzaskane nocne lampki, lampy i żarówki. Dywan pokrywało szkło. Dziewczynka była bosa. Catherine spojrzała w dół i zdała sobie sprawę, że ona też nie ma nic na nogach. - Nie ruszaj się, Tilly - nakazała.

- Były nawiedzone - wybąkała Tilly i rozplakała się.

- No więc jak to jest, że twojego taty nigdy nie ma w domu? - spytała Alison.

- A bo ja wiem - odparł Carleton. - Zgadnij, co się stało? Tilly porozbijała wszystkie moje lampki nocne.

- Aha - mruknęła Alison. - Pewnie jesteś strasznie wściekły.

- Nie, dobrze zrobiła - przyznał Carleton. - Były nawiedzone. Nie chciała, żebym się bał.

- Ale przecież boisz się ciemności - zdziwiła się Alison.

- Tilly powiedziała, że nie powinienem - odparł Carleton. - Powiedziała, że króliki nie śpią całą noc, że pilnują, żeby wszystko było w porządku, nawet po ciemku. Jednego razu Tilly spała na trawniku, a króliki ją chroniły.

- To zostajesz u nas na weekend? - spytała Alison.

- Tak - potwierdził Carleton.

- Ale twój tato nie przyjedzie - dodała.
- Nie - przyznał Carleton. - Sam nie wiem.
- Pokuścić cię wyżej? - spytała. Pchnęła huśtawkę, sprawiając, że wzniósł się wysoko w górę.

Kiedy Henry dotyka dłońmi ściany w salonie, ta ugina się, jak gdyby była w ciąży. Ściana pod warstwą farby jest mokra. Przechadza się więc po domu, przejeżdżając dłońmi po ścianach. W przedpokoju Catherine namalowała fresk. Przedstawia gąszcz drzew, złote drzewostany o brązowych, zielonych i czerwonych listkach, drzewa czerwone o liściach fioletowych, żółtych i różowych. Namalowała nawet kilka liści na drewnianej podłodze, jak gdyby pospadały z owych drzew.

- Catherine - odzywa się - musisz przestać malować te cholerne ściany. Pokoje zaczynają się kurczyć.

Nikt nie odpowiada. Catherine, Tilly i Carletona nie ma w domu. To nie pierwszy raz, kiedy Henry spędza samotnie noc. Nie może zasnąć. Nie ma telewizora, który można by pooglądać. Henry wyrzuca wszystkie pędzle Catherine. Ale kiedy Catherine wróci do domu, i tak nakupuje nowych.

Zasypia na tapczanie, a w środku nocy ktoś przychodzi, staje i przygląda mu się, jak śpi. Tilly. Wówczas budzi się i przypomina sobie, że Tilly nie ma w domu.

Przez całą noc króliki pilnują posesji. To ich zadanie.

Tilly rozmawia z królikami. Na zewnątrz jest zimno, a ona zgubiła rękawiczki. - jak masz na imię? - pyta. - Ach, ty ślicznoto. Ty piękności. - Stoi na czworakach. Carleton obserwuje ją ze swojej połowy ogrodu.

- Mogę do ciebie przyjść? - pyta. - Proszę, mogę przyjść?

Tilly ignoruje go. Porusza się na czworakach, jeszcze bardziej zbliżając się do królików. Są tam trzy, a jeden niemal tak blisko, że można go dotknąć. Gdyby powolutku wyciągnęła dłoń, być może zdołałaby chwycić go za uszy. Może uda się jej go złapać i przyuczyć do życia w domu. Przydałby im się oswojony króliczek. Król Spanky jest nawiedzony i większość czasu spędza poza domem. Rodzice trzymają zamknięte drzwi do swojej sypialni, żeby nie mógł do niej wejść.

- Grzeczny króliczek - pomrukuje Tilly. - Tylko się nie ruszaj. Nie ruszaj się.

Króliki strzygą uszami. Carleton zaczyna śpiewać piosenkę, której uczyła ich Alison - to wyliczanka. Ależ z niego dziewczynka. Tilly wyciąga dłoń. Szyja królika jest

obwiązana czymś, co wygląda jak sznurek czy też smycz. Podsuwa się bliżej i sięga ku niemu. Patrzy i patrzy, i niemal nie wierzy własnym oczom. Znajduje się tam człowiek, maleńki mężczyzna, który siedzi za uszami królika, trzymając się jedną ręką za jego futerko, oraz kawałek zawiązanego w supeł sznurka. Drugą rękę trzyma uniesioną z tyłu, jak gdyby miał zamiar czymś rzucić. Spogląda wprost na nią - jego ręka frunie do przodu, a po chwili coś uderza ją w dłoń. Cofa ją, zdumiona. - Hej! - woła, przewraca się na bok i patrzy, jak króliki uciekają, kicając. - Hej, ty! Wracaj!

- Co? - odkrzykuje Carleton. Jest rozgorączkowany. - Co ty wyrabiasz? Czemu nie pozwolił mi przyjść do siebie?

Tilly zamyka oczy, tylko na chwilę. Zamknij się, Carleton. Po prostu się zamknij. Czuje ból w dłoni. Kładzie się i unosi ją do twarzy. Zamknij się.

Kiedy się budzi, siedzi przy niej Carleton.

- Co robisz po mojej stronie? - pyta, a on wzrusza ramionami.

- A ty co robisz? - pyta Carleton. Kołysze się w przód i w tył na kolanach. - Czemu się przewróciłaś?

- Nie twoja sprawa - odburkuje Tilly. Nie pamięta, co akurat robiła. Wszystko wygląda jakoś dziwnie. Zwłaszcza Carleton. - Co z tobą jest nie tak?

- Nic. Wszystko w porządku - odpowiada, ale rzeczywiście coś jest nie tak. Przypatruje się bacznie jego twarzy, a wówczas robi jej się niedobrze, jakby najadła się trawy. Te podstępne króliki! Zawracały jej głowę, a teraz, kiedy nie uważała, Carleton został nawiedzony.

- A właśnie że nie - mówi Tilly. Zapomina o strachu, zapomina o bólu dłoni, tymczasem wzbiera w niej złość. To nie jej wina. To wina jej matki, jej ojca i Carletona też. Jak mógł na to pozwolić? - Tylko ty nie wiesz, że coś jest nie tak. Idę powiedzieć mamie.

Nawiedzony Carleton to wciąż Carleton, którym można dyrygować.

- Nie mów - prosi.

Tilly udaje, że się nad tym zastanawia, chociaż już podjęła decyzję. Bo co niby ma powiedzieć? Albo jej matka zauważy, że coś jest nie tak, albo nie. Lepiej poczekać i się przekonać. - Tylko trzymaj się ode mnie z daleka - nakazuje bratu. - Przez ciebie ciarki po mnie przechodzą.

Carleton zaczyna płakać, ale Tilly jest niewzruszona. Chłopiec odwraca się, idzie powoli na swoją połowę, wciąż pochlipując. Przez resztę popołudnia siedzi pod krzewem azalii na skraju swojej części ogrodu i płacze. Tilly przechodzą od tego ciarki.

Jej dłoń pulsuje w miejscu, w które coś ją ukłuło. Wszystkie króliki ukrywają się pod ziemią. Król Spanky wyruszył na polowanie.

- Co się dzieje z Carletonem? - zapytał Henry, schodząc na dół. Nie mógł powstrzymać ciągłego ziewania. Nie chodziło o to, że był zmęczony, choć w zasadzie tak się czuł. Wieczorem nie dał Carletonowi buziaka na dobranoc - tak na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że bierze go przeziębienie. Nie chciał, żeby syn się zaraził. Ale wyglądało na to, że i małemu coś jest.

Catherine wzruszyła ramionami. Próbki farb balansowały na jej brzuchu, jak gdyby stawiła pasjansa. Przez całutki weekend, będąc poza domem, rozmyślała o tym, żeby odmalować gabinet Henry'ego. Nigdy wcześniej nie zdarzyło jej się malować nawiedzonego pomieszczenia. A może by tak pomieszać farbę z odrobiną wody święconej? Nie miała pewności. Bo czym w gruncie rzeczy była woda święcona? Czy można ją kupić?

- Tilly jest dla niego niegrzeczna - wyjaśniła. - Chciałabym, żeby zaprzyjaźnili się z jakimiś dziećmi z okolicy. W kółko mówi o dzidziusiu, o tym, jak to się nim zaopiekuje. Mówi, że będzie mógł spać w jego pokoju. Próbowałam mu wyjaśnić, jak to jest z niemowlakami, że tylko śpią, jedzą i płaczą.

- I rosną - dodał Henry.

- Też - przyznała Catherine. - Poszedł spać bez problemów?

- W końcu tak - potwierdził Henry. - Tylko zachowuje się naprawdę dziwnie.

- A co jest normalnego w jego zwykłym zachowaniu? - zainteresowała się Catherine. Ziewnęła. - Czy Tilly skończyła odrabiać pracę domową?

- Nie mam pojęcia - odparł Henry. - No wiesz, po prostu dziwnie. Inaczej niż zwykle. Może przechodzi przez taki okres. Tilly chciała, żebym pomógł jej w matematyce, ale wciąż wychodził mi błędny wynik. No więc co się dzieje z moim gabinetem?

- Uprzątnęłam go - poinformowała Catherine. - Wpadły Alison i Liz i pomogły mi. Powiedziałam im, że mamy zamiar go odnawiać. Czemu tylko my zauważamy, że wszystko dookoła jest kurewsko nawiedzone?

- A gdzie przeniosłaś moje rzeczy? - zapytał Henry. - O co chodzi?

- Nie pracujesz tu teraz - zauważyła Catherine. W jej głosie nie było złości, a wyłącznie zmęczenie. - A poza tym jest cały nawiedzony, zgadza się? Więc zawiozłam twój komputer do sklepu, żeby rzucili na niego okiem. Nie wiem sama, ale może

potrafią go jakoś odczynić.

- No cóż - powiedział Henry. - W porządku. To im powiedziałaś? Że jest nawiedzony?

- Nie bądź śmieszny - skarciła go. Odrzuciła paseczek z próbką farby. Zbyt cytrynowy. - Słyszałam w radiu o tym alarmie bombowym.

- Ano - mruknął Henry. - W metrze pełno było wygolonych na jeża małych z karabinami. A do tego ewakuowali nasz budynek na jakąś godzinę. Wszyscy wyszliśmy na ulicę i staliśmy tam, ściskając kurczowo swoje laptopy jak idioci, na wszelki wypadek. Krokodylica wyniosła swoją kulę z gumek recepturek, która waży chyba ze trzydzieści funtów. Trochę nastraszyła nią ludzi, nawet strażaków. Myślałem, że brygada antyterrorystyczna wysadzi ją w powietrze. No więc opowiedz mi, jak minął ci weekend.

- Ty mi opowiedz, jak minął tobie - zaproponowała Catherine.

- Wiesz - zaczął Henry. - Ci klienci to fiuty. Ale o tym nie wiedzą, więc w sumie nie ma to większego znaczenia. Po prostu trzeba ich żałować. Nic nie rozumieją. Trzeba im tłumaczyć, jak dobrze się bawić, po czym nabierają obaw, więc piją na umór, a ty musisz pić z nimi. Nawet Krokodylica się urzęnęła. Zaczęła tańczyć taki dziwaczny, wijący się taniec do piosenki Pete'a Seegera. A jak mają urządzone dom?

- Ładnie - stwierdziła Catherine. - Naprawdę ładnie.

- Czyli miałaś udany weekend? Carleton i Tilly też miło spędzili czas?

- Było naprawdę miło - przyznała Catherine. - Nie, naprawdę, było świetnie. Zajebiście miło spędziłam czas. Na pewno uda ci się zdążyć do domu w czwartek na kolację.

To nie było pytanie.

- Carleton wygląda tak, jakby go coś brało - orzekł Henry. - Dotknij. Myślisz, że mam temperaturę? Czy w tym miejscu jest zimno?

- Nic ci nie jest - oświadczyła Catherine. - Będzie Liz i Marcus, parę dziewczyn z klubu książki z mężami i ta, jak jej tam, agentka z biura nieruchomości. Ją też zaprosiłam. Wiedziałaś, że napisała książkę? To ja miałam taki zamiar! Jutro przywiozą nową zmywarę do naczyń. Koniec z papierowymi talerzykami. A w poniedziałek przyjedzie specjalista od trawnika, żeby zrobić porządek z królikami. Pomyślałem, że podrucę Króla Spanky'ego do weterynarza, zabiorę Tilly i Carletona do miasta, posiedzę u Lucy ze dwa, trzy dni - mówiłam ci, że próbowała znaleźć naszą miejscowość i się zgubiła? Ona też ma przyjechać na tę kolację - na wszelki wypadek,

gdyby okazało się, że trucizna nie ulotniła się natychmiast, no wiesz, albo na wypadek, gdyby został nam stos - martwych królików na trawniku. Chciałabym, żebyś dopilnował, żeby ich tu nie było, kiedy z powrotem przywiozę dzieci.

- Myślę, że sobie poradzę - stwierdził Henry.

- Oby - mruknęła Catherine. Nie bez wysiłku podniosła się, podeszła i pochyliła nad jego krzesłem. Jej brzuch uderzył go w bark. W dłoniach trzymała całą masę kolorowych paseczków. - Czasami wydaje mi się, że lepiej by było, gdybyś zamiast pracować dla Krokodylicy, miał z nią romans. Chodzi mi o to, że dzięki temu przyjeżdżałbyś do domu wtedy, kiedy trzeba. Nie chciałbyś, żebym nabrała podejrzeń.

- Nie mam czasu na romanse - odparł Henry. W jego głosie zabrzmiało zmieszanie. Może myślał o Leonardzie Felterze. A może wyobrażał sobie nagą Krokodylicę. Ubraną w elastyczny strój erotyczny z czerwonej gumy. Catherine wyobraziła sobie, że wyznaje Henry'emu prawdę o Leonardzie Felterze. Nie miałam romansu. Nie. Wszystko zmyśliłam. Czy to jakiś problem?

- Właśnie o to mi chodzi - wyjaśniła Catherine. - Mam nadzieję, że dojedziesz na tę kolację. To twój dom, Henry. Jesteś moim mężem. Chcę, żebyś poznał naszych przyjaciół. Chcę, żebyś tu był, kiedy urodzę dziecko. Chcę, żebyś naprawił to, co jest nie tak z łazienką na dole. Chcę, żebyś pomówił z Tilly. Przechodzi trudny okres. Ze mną nie będzie chciała o tym rozmawiać.

- Tilly nic nie jest - stwierdził Henry. - Dziś wieczór odbyliśmy długą rozmowę. Przepraszała za to, że porozbijała wszystkie lampki nocne Carletona. Nawiasem mówiąc, podobają mi się te drzewa. Nie zamierzasz ich zamalować, co?

- Zostało mi sporo farby - przyznała Catherine. - Zaczęło mnie już męczyć to, że tylko rozprawdzam farbę wałkami. Chciałam zrobić coś z fantazją.

- Mogłabyś namalować kilka drzew w moim gabinecie, kiedy będziesz go odnawiać.

- Zobaczymy - odparła Catherine. - Uff, to dziecko chyba nie przestanie mnie kopać. - Usiadła na podłodze naprzeciw Henry'ego i położyła mu nogi na kolanach. - Pomasuj mi stopy. Ciągle mam jeszcze tyle tej pieprzonej farby. Ale jak już się uporam z twoim gabinetem, koniec z malowaniem. Tilly powiedziała mi, - że jak nie skończę, to pożałuję. Ciągle chowa mi moją maskę gazową. Będziesz w domu na kolacji?

- Będę w domu na kolacji - obiecał Henry, masując jej stopy. Naprawdę miał taki zamiar. Rozmyślał o tępiciele szkodników, o króliczych truchelkach rozrzuconych na trawniku, przypominającym strefę działań wojennych. Biedne króliki. Ależ ohyda.

Po tym, jak udali się do terapeuty, po wycieczce do Yosemite i powrocie do domu, Henry powiedział do Catherine:

- Nie chcę więcej o tym rozmawiać. Nie chcę o tym rozmawiać nigdy więcej. Czy możemy o tym nie rozmawiać?

- O czym? - spytała Catherine. Ale niemal tego pożałowała. Włożyła w to tak wiele pracy. Musiała wymyślić tyle szczegółów, że w końcu zaczęło to sprawiać wrażenie, jak gdyby wcale tego wszystkiego nie zmyśliła. Było to nazbyt dziwaczne, nazbyt zagmatwane - udawanie, że to się nigdy nie wydarzyło, skoro przecież i t a k nigdy nie miało to miejsca.

Catherine ubiera się do kolacji. Kiedy spogląda w lustro, widzi, że jest wielka niczym statek wycieczkowy. Wieża ciśnień. W ogóle nie jest do siebie podobna. Dziecko kopie ją tuż pod samo zebro.

- Przestań - gani je. Jest przekonana, że to dziewczynka. Tilly nie będzie zachwycona. Była wyjątkowo grzeczna przez cały dzień. Pomogła robić sałatkę. Nakryła do stołu. Włożyła ładną sukienkę.

Tilly chowa się przed Carletonem w przedpokoju pod stołem. Jeśli Carleton ją znajdzie, mata zacznie piszczeć. Carleton jest nawiedzony, czego nikt nie zauważył. Nikogo to nie obchodzi prócz niej. Tilly szepcze pod nosem imiona dla dziecka. Klucha. Szampol. Budyń. Puk, puk. Na trawniku są króliki, a Król Spanky znów włożył pod łóżko i nie wyjdzie stamtąd, nawet za milion nawiedzonych budzików.

Pod schodami wzdłuż całej ściany jej matka namalowała drzewa. Nie wyglądają jak prawdziwe. Nie mają rzeczywistych kolorów. Ani trochę nie przypomina to Central Parku. Pośród drzew matka namalowała maleńkie drzwi. Nie są prawdziwe, ale kiedy podchodzi do nich, żeby się przyjrzeć, okazuje się, że jednak są. Mają okrągłą klamkę, a kiedy Tilly ją przekreśla, drzwi otwierają się. Pod schodami znajduje się jeszcze jedna kondygnacja małych i brudnych stopni, które wiodą w dół. Na trzecim schodku siedzi sobie królik, spogląda w górę, na Tilly. Kica w dół, jeden schodek, a potem jeszcze jeden. I jeszcze jeden.

- Wymięty Szczudłonóg! - Tilly krzyczy za królikiem. - Szminka!

Cathrine idzie do szafy, żeby wyjąć różową koszulę Henry'ego. Jak nazywa się ta agentka biura nieruchomości? Czemu nigdy nie może zapamiętać? Kładzie koszulę na łóżku, po czym przez chwilę nie rusza się z miejsca oniemiała. Tego już za wiele.

Różowa koszula jest nawiedzona. Wyciąga wszystkie garnitury Henry'ego, jego koszule i krawaty. Wszystko nawiedzone. Każdziutka pieprzona rzecz jest nawiedzona. Nawet te cholerne buty. Kiedy otwiera szuflady, skarpetki, bielizna, chusteczki do nosa - wszystko jest do niczego. Wszystko jest nawiedzone. Henry nie ma co na siebie włożyć. Schodzi na dół, bierze worki na śmieci, po czym wraca na górę. Zaczyna wrzucać do nich ubrania.

Przez okno sypialni, niczym na obrazku, widzi Carletona, który ugania się z kijem za królikami. Otwiera okno, podnosząc je do góry, wychyla się i krzyczy:

- Nie zbliżaj się do tych cholernych królików, Carleton! Słyszysz, co mówię?

Nie poznaje własnego głosu.

Tilly biega gdzieś na dole. Ona też krzyczy, ale jej głos staje się coraz bardziej odległy, coraz bardziej nikły. - Szczotka do włosów! Zeppelin! Torpeda! Marmolada! - pokrzykuje.

Rozlega się dzwonek u drzwi.

Krokodylica wybuchła śmiechem - W porządku, Henry. Uspokój się.

Wystrzelił kolejną gumkę.

- Nie żartuję - oznajmił. - Jestem spóźniony. Spóźnię się. Zabije mnie.

- Powiedz jej, że to moja wina - zaproponowała Krokodylica. - No to zaczęli kolację bez ciebie. Też mi coś.

- Próbowałem się dodzwonić - wyjaśnił Henry. - Nikt nie odbierał. - Przyszło mu do głowy, że w tej chwili telefon jest nawiedzony. Dlatego Catherine nie odbierała. Będą musieli kupić nowy. Może specjalista od trawnika poleci im jakiegoś fachowca od domu. Może ktoś mógłby coś z tym zrobić. - Powinienem jechać do domu - stwierdził. - I to w tej chwili. - Ale nie wstał. - Wydaje mi się, że wpakowaliśmy się w jakieś trudności, ja i Catherine. Zdaje mi się, że nie jest teraz za dobrze.

- Powiedz to komuś, kogo to obchodzi - zaproponowała Krokodylica. Wytarła oczy. - Zmiataj stąd. Leć na pociąg. Miłego weekendu. Widzimy się w poniedziałek.

Więc Henry jedzie do domu, musi, ale rzecz jasna, spóźnia się, jest już za późno. Pociąg jest nawiedzony. Im bliżej stacji się znajdują, tym bardziej nawiedzony staje się pociąg. Żaden inny pasażer jakby tego nie zauważył. I oczywiście okazuje się, że jego rower jest również nawiedzony. Zostawia go na stacji i rusza do domu ścieżką rowerową - pieszo, po ciemku. Coś podąża za nim w tym samym kierunku. Może to

Król Spanky.

A oto i ogród przed domem, jest i dom. Uwielbia go, te jego światła. Wszystko widać przez okna - salon, który Catherine pomalowała Krabim Duchem. Listwy wykończeniowe - Szczurkiem Finkiem. Catherine bardzo się napracowała. Na podjeździe jest pełno samochodów, a wewnątrz ludzie jedzą kolację. Podziwiają drzewa Catherine. Nie poczekali na niego, ale nic nie szkodzi. Jego sąsiedzi - ogromnie lubi swoich sąsiadów. Gdy tylko ich pozna, ma zamiar ogromnie ich lubić. Jego żona lada dzień będzie rodzić. Córka przestanie lunatykować. Syn nie jest nawiedzony. Z góry pada światło księżycy i powleka świat barwą, jakiej jeszcze nigdy nie widział. Och, Catherine, czegoś takiego jeszcze nie widziałaś. Lśniący trawnik, lśniące króliki, lśniący świat. Króliki są na trawniku. Czekają na niego, przez cały ten czas, czekały. A oto i jego królik, jego własny królik. Komu potrzebny jest rower? Dosiada swojego królika, nogi przyciska do ciepłych, jedwabnych, lśniących boków, jedną ręką trzymając się króliczego futerka i zawiązanego na supeł wokół szyi sznurka. W drugiej ręce trzyma jakiś przedmiot, a kiedy nań spogląda, spostrzega, że to włócznia. Wszędzie wokół niego inni siedzą na swoich królikach, czekają cierpliwie, w milczeniu. Czekali od dawna, ale ten czas właśnie dobiega końca. Już za chwilę, po kolacji, rozpocznie się wojna.

KOCIA SKÓRA

Przez cały dzień koty wchodziły i wychodziły z domu czarownicy. Jego okna i drzwi przez cały czas były otwarte, a poza tym w ścianach i w poddaszu znajdowały się specjalne kocie drzwiczki. Koty były duże i ciche, a ich futra lśniące. Nikt oprócz czarownicy nie znał ich imion, ani nawet nie wiedział, czy w ogóle je mają.

Niektóre z nich były kremowe, inne pręgowane. Jeszcze inne czarne jak żuki. Zajmowały się sprawami czarownicy. Niektóre zjawiały się w jej sypialni, przynosząc w pyszczkach żywe stworzenia. A kiedy z niej wychodziły, pyszczki były już puste.

Koty biegały, skakały, skradały się i przyczajały. Miały dużo pracy. Ich ruchy były kocie czy może mechanicznie precyzyjne. Poruszały ogonami niczym pokrytymi sierścią wahadłami. Nie zwracały najmniejszej uwagi na dzieci czarownicy.

W owym czasie czarownica miała troje żyjących dzieci, choć niegdyś miała ich dziesiątki, a może i więcej. Nikt, a z pewnością sama czarownica, nigdy nie zadał sobie trudu, żeby je wszystkie zliczyć. Ale swego czasu dom pękał w szwach od kotów i dzieci.

Jako że czarownice nie mogą mieć dzieci w taki sposób, jak mają je inne kobiety - ich łona wypełniają słoma, cegły bądź kamienie, a kiedy już rodzą, wydają na świat króliki, kocięta, kijanki, domki, jedwabne suknie, lecz mimo to, nawet czarownice pragną mieć spadkobierców, nawet one pragną zostać matkami - ona zdobyła swe potomstwo innymi sposobami - ukradła je bądź kupiła.

Uwielbiała dzieci o włosach w specyficznym rudym odcieniu. Nigdy nie potrafiła znieść bliźniąt (emanowały niewłaściwym rodzajem magii), choć niekiedy próbowała dopasowywać do siebie grupy dzieci, jak gdyby miała do czynienia z szachami, a nie rodziną. Gdybyście powiedzieli „szachy czarownicy” zamiast „rodzina czarownicy”, byłoby w tym trochę prawdy. Niewykluczone, iż tyczy się to również innych rodzin.

Jedną z dziewczynek, niczym torbiel, wyhodowała na udzie. Inne dzieci tworzyła ze znajdujących się w ogrodzie przedmiotów bądź rozmaitych śmieci, jakie znosiły jej

koty: folii aluminiowej, którą wciąż oblepiały strużki tłuszczu z kurczaka, zepsutych telewizorów, powyrzucanych przez sąsiadów tekturowych pudeł. Zawsze była oszczędną czarownicą.

Niektóre z tych dzieci uciekły, inne poumieraly. Kilkoro po prostu gdzieś zawieruszyła bądź niechący zostawiła w autobusie. Należy żywić nadzieję, że owe dzieci zostały później adoptowane przez dobrych ludzi bądź powróciły do swych prawdziwych rodziców. Jeśli oczekujecie w tym opowiadaniu szczęśliwego zakończenia, to być może już w tym miejscu powinniście przerwać lekturę i wyobrazić sobie te dzieci, ich rodziców oraz ich spotkanie.

Czytacie dalej? Na piętrze domu, w swej sypialni, czarownica dogorywała. Została otruta przez swego wroga, czarownika imieniem Brak. Mały Fin, który próbował wcześniej jej potrawy, już nie żył, podobnie jak trzy koty, które wylizały talerz do czysta. Czarownica wiedziała, kto ją zabił, toteż tu i ówdzie pourywała strzępki Czasu ze swego umierania, by przygotować zemstę. Kiedy, ku swemu zadowoleniu, załatwiła już sprawę zemsty, której kształt niczym czarny kłębek sznurka splótł się w jej głowie, poczęła rozdzielać majątek pomiędzy trójkę dzieci pozostających jeszcze w domu.

Resztki wymiocin poprzyklejały jej się do kącików ust, a w nogach łóżka znajdowała się pełna czarnej cieczy miednica. Pokój wypełniał odór kociego moczu i mokrych zapalek. Czarownica dyszała, jak gdyby wydawała na świat własną śmierć.

- Flora otrzyma mój automobil - oznajmiła - a także moją sakiewkę, która nigdy się nie opróżni, dopóki na jej dnie będziesz trzymać monetę. Moja ulubienica, moja rozrzutnica, moja rozpustnica, moja kropla trucizny, moja urodziwa, piękna Flora. A kiedy umrę, udaj się na zachód drogą, która biegnie przed domem. Taka jest moja ostatnia rada.

Flora, najstarsza z żyjących dzieci, była ruda i wytworna. Od dawna już cierpliwie wyczekiwała śmierci czarownicy. Pocałowała ją w policzek i powiedziała:

- Dziękuję, matko.

Dysząc, czarownica spojrzała na Florę. Potrafiła zobaczyć jej życie, które było już ułożone płasko niczym mapa. Być może wszystkie matki potrafią sięgnąć wzrokiem tak daleko.

- Jack, mój kochany, moje ty ptasie gniazdko, mój kęsku, moja łyżeczko owsianki - westchnęła czarownica. - Dostaniesz moje książki. Tam, dokąd idę, nie będą mi potrzebne. A kiedy opuścisz dom, rusz ku wschodowi, a nie zaznasz większego

smutku niż teraz.

Jack, który niegdyś był niewielkim kłębkim piór, gałązek i skorupki jaj, związanym kawałkiem sfatygowanego sznurka, wyrósł na niemal dorosłego, krzepkiego młodzieńca. Jedyne koty wiedziały, czy w ogóle potrafi czytać. Ale skinął głową i ucałował matkę w poszarzałe usta.

- A cóż ja zostawię tobie, mój Malcze? - wystękała miotana konwulsjami czarownica. Znowu zwymiotowała do miednicy. Zbiegły się koty i poczęły pochylać się nad brzegami naczynia, by bliżej przyjrzeć się wymiocinom. Dłoń czarownicy chwyciła nogę Malca.

- Ach, jak trudno, jak trudno, jakże trudno jest matce zostawiać swe dzieci (choć robiłam już w życiu trudniejsze rzeczy). Dzieciom potrzebna jest matka, nawet taka, jaką ja byłam. - Wytarła oczy, choć powszechnie wiadomo, że czarownice nie potrafią płakać.

Malec, który wciąż sypiał w łóżku czarownicy, był najmłodszym z jej dzieci (choć nie tak młodym, jak sądzicie). Przysiadł na łóżku. I mimo że nie płakał, bo dzieci czarownicy nie miał kto nauczyć płaczu, serce rozrywał mu ból.

Malec potrafił żonglować i śpiewać, a każdego ranka czesał i zaplatał długie, jedwabiste włosy czarownicy. Pewnie każda matka chciałaby mieć takiego chłopca jak Malec, kędzierzawowłosego, pachnącoustego chłopca o czułym sercu, który potrafi usmażyć wyborny omlet i który ma piękny mocny głos, kiedy śpiewa, oraz delikatną dłoń, kiedy czesze włosy.

- Matko - rzekł - jeśli musisz umierać, to nie ma rady. A skoro nie mogę iść z tobą, to uczynię, co w mojej mocy, aby tak żyć, byś była ze mnie dumna. Podaruj mi swoją szczotkę do włosów, która mi będzie cię przypominać, a wyruszę w świat i jakoś będę sobie w nim radzić.

- A zatem moja szczotka do włosów będzie twoja - odrzekła Malcowi czarownica, spoglądając na niego i ciężko sapiąc. - Bo ciebie kocham najbardziej ze wszystkich. Dostaniesz również moje pudełko na krzesiwo i hubkę, moje zapalki, a także moją zemstę, i sprawisz, że będę z ciebie dumna. Wiem o tym, bo znam własne dzieci.

- Co mamy zrobić z domem, Matko? - spytał Jack, a głos jego zabrzmiał tak, jakby było mu wszystko jedno.

- Kiedy umrę - oznajmiła czarownica - ten dom nikomu się nie przyda. Urodziłam go, a było to dawno temu, i wyhodowałam z maleńkiego domku dla lalek. Ach, był mi najdroższym, najukochańszym domkiem ze wszystkich. Miał osiem pokoi i blaszany

dach oraz schody, które prowadziły donikąd. Ale niańczyłam go i bujałam do snu w kołysce, aż wyrósł na prawdziwy dom. I zobaczcie, jak się mną teraz zajął, swoją rodzicielką, jak rozumie swój obowiązek względem matki. Być może też widzicie, w jakim stanie się teraz znajduje, jak usycha, jak zapada na zdrowiu, widząc moje konanie w cierpieniu. Zostawcie go kotom. One będą wiedziały, co z nim zrobić.

Przez cały ten czas koty wbiegają i wybiegają z pokoju, przynosząc i wynosząc różne rzeczy. Wydaje się, iż nigdy nie zwolnią tempa, nigdy nie spoczną, nigdy nie zapadną w drzemkę, nigdy nie będą miały czasu spać ani umrzeć, ani nawet okryć się żałobą. Mają w sobie coś z poczucia własności, jak gdyby dom już do nich należał.

Czarownica wymiotuje błotem, futrem, szklanymi guzikami, ołowianymi żołnierzykami, ogrodniczymi rydelkami, szpilkami do kapelusza, pinezkami, listami miłosnymi (błędnie zaadresowanymi bądź wysłanymi bez wystarczającej liczby znaczków, których nikt nigdy nie przeczytał) oraz kilkoma hufcami czerwonych mrówek, z których każda jest wielkości ziarna fasoli. Mrówki płyną wpraw groźnymi, cuchnącymi nurtami miednicy, wspinają się na jej brzegi i lśnią wstęgą maszerują przez parkiet. W swych żuchwach niosą kawałeczki Czasu. Czas jest ciężki, nawet w tak niewielkich kawałkach, ale mrówki mają silne żuchwy, mocne odnóża. Pokonują podłogę, idą po ścianie i wychodzą przez okno. Koty przyglądają się, lecz nie ingerują. Czarownica chwyta powietrze i kaszle, po czym zastyga bez ruchu. Jej dłonie uderzają w łóżko i nieruchomieją. W bezruchu czekają też jej dzieci, by mieć pewność, że nie żyje i że nie ma już nic więcej do powiedzenia. '

W domu czarownicy umarli bywają niekiedy całkiem rozmowni.

W tej chwili jednak czarownica nie ma już nic do dodania.

Dom wydaje jęk, wszystkie koty zaś miauczą żałośnie, wbiegając do pokoju i wybiegając z niego, jak gdyby coś upuściły - coś, czego nigdy nie znajdą - a teraz musiały na to zapolować, dzieci czarownicy zaś nareszcie nauczyły się płakać, lecz ona pozostaje całkowicie nieruchoma i milcząca. Na jej obliczu widać delikatny uśmiezek, jak gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z jej życzeniem. A może czeka na dalszą część tego opowiadania.

Dzieci pochowały czarownicę w jednym z jej na wpół wyrosniętych domków dla lalek. Wepchnęły ją do znajdującego się na parterze salonu i wyburzyły ściany działowe tak, że jej głowa mogła spocząć na kuchennym stole, we wnęce jadalnej, a kostki przeszły przez drzwi sypialni. Malec uczesał jej włosy, a ponieważ nie bardzo wiedział, w co czarownica powinna być ubrana teraz, po śmierci, włożył na nią wszystkie jej ubrania jedno na drugie, aż spod góry halek, płaszczy i sukien nie było już widać białych kończyn. Nie miało to znaczenia, kiedy bowiem z powrotem zabili gwoździami domek dla lalek, mogli jedynie dostrzec przez kuchenne okno czubek rudej głowy oraz zdarte podeszwy pantofli do tańca, które uderzały o okiennice sypialni.

Jack, który był zręczny, wyposażył domek w koła i uprzęż, żeby można było go ciągnąć. Zaprzęgli w nią Malca. Malec ciągnął, Flora popychała, a Jack przemawiał i pospieszał domek w drodze na wzgórze, na cmentarz - koty zaś biegły obok nich.

Koty zaczynają wyglądać nieco marnie, jak gdyby liniały. Na dodatek ich pyszczki wydają się puste. Mrówki pomaszerowały przez las do miasta, a z owych kawałeczków Czasu zbudowały mrowisko w waszym ogródku. A jeśli przyłożycie doń szkło powiększające, żeby przyjrzeć się, jak mrówki tańczą i płoną, Czas się zapali, a wy tego pożałujecie.

Przed cmentarną bramą koty wykopały czarownicy grób. Dzieci opuściły do niego domek dla lalek oknem kuchennym w dół. Lecz po chwili spostrzegły, że grób nie jest wystarczająco głęboki, toteż domek osiadł w nim dachem do dołu, co wyglądało nieco niezgrabnie. Malec rozplakał się (teraz, kiedy już się tego nauczył, mógłby spędzić całe życie na ćwiczeniu), rozmyślając o tym, jakie to byłoby okropne trwać przez własną śmierć, przez całą wieczność, do góry nogami bez przyzwoitego pochówku, nie mogąc poczuć deszczu, kiedy będzie bębnił o wystające dachówki domku, wsączy się do wnętrza, napełni twe usta i utopi cię, toteż będziesz musiał umierać wciąż od nowa, za każdym razem, kiedy będzie padać.

Komin domku odłamał się i spadł na ziemię. Jeden z kotów podniósł go i zabrał ze sobą niczym pamiątkę. Zaniósł go do lasu i zjadł, po jednym kęsie, a potem zniknął z tego opowiadania i trafił do innego. To już nie nasza sprawa.

Pozostałe koty poczęły znosić w pyszczkach grudki ziemi. Rzucały je wokół domku

i ugniatały łapkami. Dzieci im pomagały, a kiedy skończyły pracę, pochowały czarownicę, jak należy, tak że było widać jedynie okno sypialni, niewielką tafelę szklanym okno na szczycie niedużego kopczyka ziemi.

W drodze do domu Flora zaczęła flirtować z Jackiem. Może jej się spodobał w swej pogrzebowej czerni. Rozmawiali o tym, kim zamierzali zostać teraz, kiedy byli już dorośli. Flora pragnęła odnaleźć swoich rodziców. Była ładną dziewczyną - pewnie znaleźliby się tacy, którzy by się o nią zatroszczyli. Jack oświadczył, że chciałby się bogato ożenić. Zaczęli snuć plany.

Malec szedł za nimi w pewnej odległości. Nieobliczalne koty pałętały mu się pod nogami. W kieszeni niósł należącą do czarownicy szczotkę do włosów - palcami gładził dla otuchy jej rzeźbioną, rogową rączkę.

Kiedy doszli do domu, spostrzegli w jego wyglądzie coś złowieszczonego i rozpaczliwego, jak gdyby zaczynał się zapadać. Flora i Jack nie chcieli wchodzić do środka. Uściskali czule Malca i spytali, czy chce iść z nimi. Owszem, chciałby, lecz kto wówczas zająłby się kotami czarownicy, jej zemstą? Tak więc patrzył, jak razem odjeżdżają. Skierowali się na północ. Które dziecko choć raz usłuchało rady swej matki?

Jackowi nawet przez myśl nie przeszło, aby taszczyć ze sobą księgozbiór czarownicy - twierdzi, że w bagażniku nie ma na wszystko miejsca. Będzie liczył na Florę i jej magiczną sakiewkę.

Malec siedział w ogrodzie, a kiedy zgłodniał, jadł łądyżki trawy, udając, że to chleb, mleko i ciasto czekoladowe. Pił wodę z ogrodowego węża. Kiedy poczał zapadać zmierzch, naszło go poczucie samotności tak dojmujące, jakiego jeszcze w życiu nie zaznał. Koty czarownicy nie były dobrymi towarzyszami. Nie odzywał się do nich, a one również nie miały mu nic do powiedzenia o domu, meblach czy zemście czarownicy, ani o tym, gdzie mógłby spędzić noc. Dotąd sypiał wyłącznie w łóżku czarownicy, więc w końcu ruszył przez wzgórze ku cmentarzowi.

Niektóre koty wciąż chodziły po grobie, przykrywając podstawę kurhanu liśćmi, trawą, piórami oraz kłakami z własnej sierści. Stanowił on coś w rodzaju wymoszczonego gniazda, w którym można było się położyć. Koty wciąż pracowały - koty zawsze mają coś do roboty - kiedy Malce zasnął z policzkiem przyciśniętym do chłodnej szyby w oknie sypialni i dłonią w kieszeni zaciśniętą na szczotce do włosów.

Lecz w środku nocy, kiedy się obudził, był od stóp do głów otulony ciepłymi, tchnącymi wonią trawy kocimi ciałami.

Jego podbródek oplata ogon niczym lina, wszystkie zaś kocie ciała rytmicznie oddychają, wąsy i łapy drżą, aksamitne podbrzusza podnoszą się i opadają. Wszystkie koty śpią gorączkowym, wyczerpującym, pracowitym snem, oprócz jednego - białej kotki, która siedzi przy jego głowie i przygląda mu się. Malec nigdy wcześniej jej nie widział, a mimo to wydaje mu się znajoma, tak jak znajomi wydają się ludzie, którzy nawiedzają was w snach. Jest cała biała, z wyjątkiem rudawych kępek i krez wokół uszu, ogona i łap, jak gdyby ktoś ubarwił jej owe miejsca żywym ogniem.

- Jak się nazywasz? - spytał Malec. Nigdy przedtem nie rozmawiał z kotami czarownicy.

Kotka unosi łapę i liże się w intymną część ciała. Następnie spogląda na niego.

- Możesz nazywać mnie Matką - odpowiada.

Ale Malec kręci głową. Nie potrafi zwracać się tak do kota. Pod przykryciem z kocich ciał, pod okienną szybą obcas czarownicy chłonie księżycowy blask.

- Dobrze, wobec tego możesz nazywać mnie Zemstą Czarownicy - proponuje kotka. Jej pyszczek nie porusza się, lecz Malec słyszy jej słowa w swoich myślach. Głos ma futrzasty i ostry niczym kołdra z igieł. - Możesz poczesać mi sierść.

Malec odsuwa śpiące koty i siada, z kieszeni wydobywa szczotkę. Jej włosie pozostawiło rzędy maleńkich wgłębień odbitych w jego różowej dłoni jak swego rodzaju kod. Gdyby potrafił go odczytać, wiadomość brzmiałaby: „Uczesz mi sierść”.

Malec czesze sierść Zemsty Czarownicy. Jest w niej ziemia z grobu oraz jedna czy dwie czerwone mrówki, które spadają i rzucają się do ucieczki. Zemsta Czarownicy pochyla głowę ku ziemi i jednym kłapnięciem szczęki chwytą je w zęby. Zebrane wokół nich koty ziewają i przeciągają się. Trzeba brać się do pracy.

- Musisz spalić jej dom - instruuje Zemsta Czarownicy. - Od tego zaczniemy.

Szczotka Malca natrafia na kołtun, a wówczas Zemsta Czarownicy odwraca się i dziabie go w nadgarstek. Następnie liże to obolałe miejsce pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. - Wystarczy - stwierdza. - Mamy pracę do wykonania.

Toteż wszyscy ruszają z powrotem do domu. Malec po ciemku potyka się, coraz bardziej oddalając się od grobu czarownicy, koty biegną kłusem, ich ślepia płoną niczym pochodnie, w pyszczkach niosą mniejsze i większe gałązki, jak gdyby miały zamiar budować gniazdo, łódkę albo ogrodzenie, które oddzieli je od świata. Kiedy docierają na miejsce, dom pełen jest świateł, innych kotów i stosów hubki. Wydaje

dźwięki jak instrument, w który ktoś dmie. Malec uświadamia sobie, że jest to ciągnące się bez końca miauczenie wszystkich tych kotów, które wbiegają do domu i wybiegają z niego w poszukiwaniu większej ilości podpałki.

- Najpierw musimy zaryglować wszystkie drzwi - oznajmia Zemsta Czarownicy.

Tak więc Malec zamyka wszystkie drzwi i okna na parterze, otwarte pozostawia jedynie drzwi do kuchni Zemsta Czarownicy zaś zamyka zatrzaski sekretnych, kocich drzwiczek - na strychu, na dachu oraz w piwnicy. Ani jedne sekretne drzwi nie pozostają otwarte. Teraz cały hałas dobiega z wnętrza domu, podczas gdy Malec oraz Zemsta Czarownicy znajdują się na zewnątrz.

Wszystkie koty wśliznęły się do domu przez drzwi kuchenne. W ogrodzie nie został ani jeden. Przez okna Malec widzi, jak koty czarownicy układają gałązki. Zemsta Czarownicy siedzi koło niego i przypatruje się.

- Teraz zapal zapałkę i wrzuc ją do środka - nakazuje Zemsta Czarownicy.

Malec zapala zapałkę. Wrzuca ją do środka. Jaki chłopiec nie miałby ochoty wzniecić ognia?

- A teraz zamknij kuchenne drzwi - mówi Zemsta Czarownicy, ale Malec nie potrafi się na to zdobyć. W środku znajdują się wszystkie koty. Zemsta Czarownicy staje na tylnych łapach i zatrzaskuje kuchenne drzwi. Wewnątrz domu zapalona zapałka coś podpala. Ogień biegnie po podłodze oraz w górę, po ścianach kuchni. Koty zaczynają płonąć, po czym rozbiegają się po innych pomieszczeniach. Malec widzi to wszystko przez okna. Stoi z twarzą przy szybie, która najpierw jest zimna, potem staje się ciepła, aż wreszcie gorąca. Płonące koty z płonącymi gałązkami w pyszczkach napierają na kuchenne drzwi oraz inne drzwi domu, lecz wszystkie one są zamknięte na zamek. Malec i Zemsta Czarownicy stoją w ogrodzie i patrzą, jak dom czarownicy, jej księgi, sofy oraz kociołki, a także jej wszystkie koty płoną.

Nigdy nie powinniście palić domu ani podpalać kota. Nigdy nie powinniście przyglądać się beczynnemu, kiedy płonie dom. Nigdy nie powinniście słuchać kota, który każe wam zrobić którąkolwiek z tych rzeczy. Powinniście słuchać waszej mamy, kiedy mówi wam, żebyście nie przyglądali się już więcej, tylko kładli się do łóżka i szli spać. Powinniście słuchać się zemsty waszej matki.

Nigdy nie powinniście truć czarownicy.

O świcie Malec obudził się w ogrodzie. Sadza okrywała go tłustą kołdrą. Zemsta Czarownicy spała zwinięta w kłębek na jego piersiach. Dom czarownicy wciąż stał, lecz okna stopiły się i spłynęły po ścianach.

Zemsta Czarownicy obudziła się, przeciągnęła i wylizała Malca swoim małym, szorstkim i lśniącym językiem. Zażądała czesania. Następnie weszła do domu, a po chwili wróciła, niosąc jakieś niewielkie zawiniątko. Dyndało jej z pyszczka wiotkim kociątko.

Malec spostrzega, iż jest to kocia skóra, lecz pod nią nie kryje się już kot. Zemsta Czarownicy upuszcza mu ją na kolana.

Podniósł ją, a wówczas coś lśniącego wypadło z wnętrza pustej, lekkiej skóry. Była to mokra, ociekająca sadłem złota moneta. Zemsta Czarownicy wynosiła z domu dziesiątki kocich skór, a w każdej znajdowało się złoto. Podczas gdy Malec rachował swoją fortunę, Zemsta Czarownicy odgryzła sobie jeden ze swych pazurów, a ze szczotki czarownicy wyciągnęła długi włos. Usiadła w trawie ze skrzyżowanymi łapami, niczym krawcowa, i zabrała się za szycie worka z owych licznych kocich skór.

Malec zadrżał. Na śniadanie nie było niczego oprócz czarnej i spalonej trawy.

- Zimno ci? - spytała Zemsta Czarownicy. Odłożyła worek i sięgnęła po kolejną kocią skórę, piękną i czarną. Rozcięła ją pazurem przez środek. - Uszyjemy ci ciepłe wdzianko.

Użyła skóry kota czarnego i pręgowanego, zaś wokół łap umieściła kawałki sierści w szaro-białe pręgi. Kiedy skończyła, odezwała się do Malca:

- Czy wiesz, że kiedyś tutaj, na tej ziemi miała miejsca bitwa?

Malec pokręcił głową.

- Gdziekolwiek znajduje się jakiś ogród - ciągnęła Zemsta Czarownicy, przeciągając łapą po ziemi - zapewniam cię, że gdzieś pod nim są pochowani ludzie. Spójrz tu. - Podniosła niewielką brązową grudkę, włożyła ją do pyszczka i oczyściła językiem.

Kiedy z powrotem wypluła owo niewielkie kóleczo na ziemię, Malec spostrzegł, iż jest to guzik od munduru. Zemsta Czarownicy wykopała ich więcej, jak gdyby guziki z kości słoniowej rosły w ziemi, po czym przyszyła je do kociej skóry. Wymodelowała kaptur z dwiema dziurkami na oczy oraz pięknymi wąsami, a następnie przyszyła cztery okazałe kocie ogony do tylnej części stroju, tak jakby jeden ogon nie wystarczył

dla Malca. Na każdym z nich umocowała dzwoneczek.

- Włóż to na siebie - nakazała Malcowi.

Malec nakłada strój, a wówczas dzwoneczki zaczynają dźwięczeć. Zemsta Czarownicy śmieje się. - Dorodny z ciebie kot - stwierdza. - Każda matka byłaby dumna z takiego syna.

Wnętrze kociego kostiumu jest miękkie i nieco klei się do skóry Malca. Kiedy na głowę nakłada kaptur, świat niknie. Przez otwory na oczy widzi jedynie jego jaskrawe zarysy - trawę, złoto, kotkę, która siedzi ze skrzyżowanymi nogami i szyje swój worek ze skór - a do wnętrza wsącza się powietrze i płynie w dół luźnego szwu do miejsca, w którym skóra opada i zwisa ponad jego piersią i wokół rozpiętych guzików. Niczym garść węgorki Malec ściska w swej niezgrabnej, pozbawionej palców łapie ogony i wymachuje nimi to w przód, to w tył, by usłyszeć, jak dzwonią. Ton dzwoneczków, przepełniona sadzą i spalenizną woń powietrza, ciepła lepkość kostiumu, ciężenie jego nowej sierści ku ziemi sprawiają, że Malec zapada w sen i śni o tym, jak zjawiają się setki mrówek, unoszą go i delikatnie niosą do łóżka.

Kiedy Malec odsunął swój kaptur do tyłu, ujrzał, że Zemsta Czarownicy skończyła już pracę igłą i nitką. Pomógł jej napełniać worek złotem. Zemsta Czarownicy stanęła na tylnych łapach, podniosła go i zarzuciła sobie na plecy. Złote monety poczęły ocierać się o siebie, kwiląc i posykując. Worek ciągnął się po trawie, zbierając popiół i pozostawiając za sobą smugę zieleni. Zemsta Czarownicy maszerowała przed siebie tak, jakby jej worek był lekki jak piórko.

Malec ponownie nałożył kaptur, stanął na czworakach, po czym potruchtał za Zemstą Czarownicy. Furtkę ogrodową pozostawili szeroko otwartą i udali się do lasu, do siedziby czarownika Braka.

Las jest mniejszy niż dawniej. Malec rośnie, ale las się kurczy. Wycina się drzewa. Buduje domy. Rozpościera trawniki i kładzie drogi. Zemsta Czarownicy i Malec szli wzdłuż jednej z takich dróg. Przetoczył się koło nich szkolny autobus, jadące nim dzieci wyglądały przez okna i śmiały się, widząc, jak Zemsta Czarownicy maszeruje na tylnych łapach, a u jej stóp paraduje Malec w swym kocim kostiumie. Malec uniósł głowę i przez dziurki popatrzył za odjeżdżającym autobusem.

- Kto mieszka w tych domach? - spytał Zemstę Czarownicy.

- To niewłaściwie pytanie, Malcze - odparła, spoglądając nań z góry i maszerując

dalej naprzód.

Miau, odzywa się torba z kociej skóry. *Brzęk*.

- A jak brzmi właściwe pytanie? - spytał Malec.

- Spytaj mnie, kto mieszka pod tymi domami - nakazała Zemsta Czarownicy.

- Kto mieszka pod tymi domami? - zapytał posłusznie Malec.

- Znakomite pytanie! - pochwaliła Zemsta Czarownicy. - Widzisz, nie każdy potrafi wydać na świat własny dom. Większość ludzi zamiast niego wydaje na świat dzieci. A kiedy ma się dzieci, potrzeba dla nich domów, by miały gdzie mieszkać. No więc jeśli - chodzi o dzieci i domy, to większość ludzi wydaje na świat te pierwsze, a buduje drugie. Dawno temu, kiedy kobieta i mężczyzna mieli zamiar wybudować dom, najpierw wykopywali dziurę. Następnie przygotowywali w niej maleńkie pomieszczenie - jednopokojowy, drewniany domek. I kradli bądź kupowali dziecko, a potem umieszczali je w domku w dziurze, żeby w nim mieszkało. I dopiero na tym domku budowali swój dom.

- Czy robili jakieś drzwiczki w dachu tego maleńkiego domku? - spytał Malec.

- Nie, nie robili żadnych drzwi - odparła Zemsta Czarownicy.

- Wobec tego, jak taki chłopiec albo dziewczynka wydostawali się na zewnątrz? - dopytywał się Malec.

- Taki chłopiec albo dziewczynka nie ruszali się z domków - wyjaśniła Zemsta Czarownicy. - Mieszkali w nich przez całe swoje życie i nadal w nich mieszkają, pod domami, które zamieszkują ludzie, a oni z kolei mogą się wprowadzać i wyprowadzać, ile dusza zapagnie, i nigdy nawet nie przyjdzie im do głowy, że pod ich stopami znajdują się te domki, a w ich pokojach siedzą sobie maleńkie dzieci.

- A co na to ich rodzice? - spytał Malec. - Czy nigdy nie wyruszyli szukać swoich chłopców albo dziewczynek?

- A właśnie - odparła Zemsta Czarownicy. - Czasami wyruszali, a czasami nie. W końcu pod ich domem też ktoś mieszkał. Ale tak działo się dawno temu. W dzisiejszych czasach, kiedy ludzie budują dom, zamiast dziecka przeważnie zakopują kota. Dlatego nazywamy je kotami domowymi. I z tego powodu musimy iść nader ostrożnie. Jak widzisz, buduje się tu domy.

I rzeczywiście. Idą przez karczowiska, gdzie mężczyźni kopią niewielkie dziury. Z początku Malec odsuwa swój kaptur do tyłu i maszeruje na dwóch nogach, potem nakłada go z powrotem i porusza się na wszystkich czterech kończynach. Stara się

przy tym robić wrażenie małego i zmysłowego, jak kot. Ale dzwoneczki na jego ogonach podskakują, a monety w torbie, którą taszczy Zemsta Czarownicy, wciąż wydają dźwięki: *brzęk, miauu*, toteż mężczyźni przerywają pracę i patrzą za nimi.

Ile jest czarownic na świecie? Wiedzieliście kiedyś jakąś? Poznalibyście, że to czarownica, gdybyście ją zobaczyli? I co byście wówczas zrobili? A swoją drogą, poznajecie kota, kiedy go widzicie? Jesteście tego pewni?

Malec podążał za Zemstą Czarownicy. Skóra zgrubiała mu na kolanach oraz opuszkach palców. Czasami chciałby ponieść worek, ale był on zbyt ciężki. Jak ciężki? Wy - też nie dalibyście rady go udźwignąć.

Pili źródlaną wodę. Nocą otwierali worek z kociej skóry i wsuwali się do wnętrza, by w nim spać, a kiedy byli głodni, oblizywali monety, które bez przerwy zdawały się pocić złotym tłuszczem. Podczas marszu Zemsta Czarownicy śpiewała piosenkę:

*Nie miałam matki
i moja matka nie miała matki
i jej matka nie miała matki
i jej matka nie miała matki
i jej matka nie miała matki
i ty nie masz matki
która zaśpiewałaby ci
tę piosenkę*

Monety w worku również podśpiewywały, *miauu, miauu*, a dzwoneczki na ogonach Malca pobrzękiwały do rytmu.

Co noc Malec czesze futerko Zemsty Czarownicy. Każdego ranka zaś Zemsta Czarownicy liże go całego, nie pomijając miejsc za uszami i pod kolanami. A wówczas on ponownie wkłada na siebie koci kostium, a ona znów oblizuje go całego.

Niekiedy znajdowali się w lesie, niekiedy zaś las stawał się miasteczkiem, a wówczas Zemsta Czarownicy snuła opowieści o ludziach, którzy mieszkają w domach, oraz dzieciach, które żyją w domkach pod nimi. Pewnego razu, w lesie, Zemsta Czarownicy pokazała Malcowi miejsce, w którym niegdyś znajdował się pewien dom.

Teraz pozostały po nim jedynie pokryte mchem kamienie z fundamentów oraz wzmocniony grubymi linami i zwojami bluszczu komin.

Zemsta Czarownicy opukała porośniętą trawą ziemię, poruszając się wokół fundamentów zgodnie z ruchem wskazówek zegara, póki wraz z Malcem nie usłyszeli stłumionego odgłosu. Zemsta Czarownicy opadła na cztery łapy i zaczęła kopać pazurami ziemię, szarpiąc ją łapami i gryząc, póki nie ujrzeli maleńkiego drewnianego daszku. Zemsta Czarownicy zapukała w niego, a Malec pogładził go swymi ogonami.

- No i co, Malcze - rzuciła Zemsta Czarownicy - zdejmujemy dach i uwolnimy to biedne dziecko?

Malec podkradł się do dziury, którą wykopała. Przyłożył do niej ucho i zaczął nasłuchiwać, ale niczego nie usłyszał.

- Nikogo tam nie ma - stwierdził.

- Może się wstydzą - zastanawiała się Zemsta Czarownicy. - Uwolnimy je, czy pozwolimy im tam zostać?

- Uwolnijmy je! - krzyknął Malec, ale tak naprawdę chciał powiedzieć: „Zostawmy je w spokoju!”. A może powiedział: „Zostawmy je w spokoju”, choć miał na myśli coś zupełnie przeciwnego. Zemsta Czarownicy spojrzała na niego, a Malcowi wydało się, że coś słyszy pod miejscem, w którym trwał nieruchomo w kucki, coś bardzo nikłego - skrobanie w brudny, wkopany w ziemię dach.

Malec odskoczył. Zemsta Czarownicy podniosła z ziemi kamień i mocno uderzyła nim w dach, wgniatając go. Kiedy zajrzeli do wnętrza, nie było tam nic prócz ciemności i niewyraźnego zapachu. Siedzieli na ziemi, czekając, co też może wyjść, ale nic nie zobaczyli. Po jakimś czasie Zemsta Czarownicy podniosła swój worek z kocięj skóry, po czym ruszyli w dalszą drogę.

Przez kilka nocy po tym wydarzeniu Malec śnił, że ktoś lub coś podąża za nimi. Było małe, chude i wybladłe, a przy tym zimne, brudne i wystraszone. Pewnej nocy zniknęło, a Malec nigdy nie dowiedział się, dokąd się udało. Ale jeśli traficie do tej części lasu, w której Zemsta Czarownicy oraz Malec siedzieli i czekali przy kamiennych fundamentach, niewykluczone, iż spotkacie ową istotę, którą oni uwolnili.

Nikt nie znał przyczyny sporu, w jaki wdała się czarownica, matka Malca, z czarownikiem Brakiem, choć czarownica, matka Malca, przypłaciła to życiem. Czarownik Brak był przystojnym mężczyzną, który całym sercem kochał swoje dzieci.

Wykradł je z kołysek i łóżek w pałacach, dworach i haremach. Ubierał je w jedwabie, zgodnie z ich społecznym statusem, a one nosiły złote korony i jadały ze złotych talerzy. Piły zaś ze złotych pucharów. Powiadano, że dzieciom Braka niczego nie brakowało.

Być może czarownik Brak poczynił jakąś uwagę na temat tego, w jaki sposób czarownica, matka Malca, wychowuje swoje dzieci, a może czarownica, matka Malca, chełpiła się rudymi włosami swoich pociech. Ale niewykluczone, że chodziło jeszcze o coś innego. Czarownice są dumne i lubią wdawać się w spory.

Kiedy Malec i Zemsta Czarownicy dotarli w końcu do domu czarownika Braka, Zemsta Czarownicy powiedziała do Malca:

- Popatrz na to okropieństwo! Wypuszczam ładniejsze balasy i zakopuję je pod liśćmi. I ten zapach! Jak z otwartego szamba! Jak jego sąsiedzi mogą wytrzymać taki smród?

Czarownicy nie mają własnego łona, toteż muszą zdobywać swoje domy w inny sposób bądź kupować je od czarownic. Ale Malcowi dom ten wydał się bardzo ładny. W każdym oknie znajdował się książę lub księżniczka, którzy spoglądali w dół na niego, jak siedzi przy wiodącej do domu drodze na swym zadku obok Zemsty Czarownicy. Nie odzywał się, ale brakowało mu rodzeństwa.

- Chodź już - nakazała Zemsta Czarownicy. - Pójdziemy gdzieś niedaleko i poczekamy, aż czarownik Brak wróci do domu.

Malec podążył za Zemstą Czarownicy z powrotem do lasu, a wkrótce dwoje dzieci czarownika Braka wyszło z domu, niosąc uplecione ze złota koszycki. One również poszły do lasu i zaczęły zbierać jeżyny.

Zemsta Czarownicy oraz Malec siedzieli w głogu i przyglądali się.

W głogu zawiął wiatr. Malec rozmyślał o swych braciach i siostrach. Myślał o smaku jeżyn, o uczuciu, kiedy ma się je w ustach, zupełnie innym niż smak tłuszczu.

Zemsta Czarownicy przytuliła się do pleców Malca. Lizła kłębek zmierzwionej sierści u nasady jego grzbietu. Księżniczki podśpiewywały sobie.

Malec postanowił, że zamieszka w głogu z Zemstą Czarownicy. Będą żywić się leśnymi owocami i podglądać dzieci, które przyjdą je zrywać, Zemsta Czarownicy zaś zmieni imię. Wraz ze słodkim smakiem jeżyn w jego ustach zjawilo się słowo „Matka”.

- Teraz musisz wyjść - nakazała Zemsta Czarownicy - i zachowywać się zalotnie. Bądź figlarny. Goń swój ogon. Bądź nieśmiały, ale nie zanadto. Nie mów zbyt wiele. Pozwól się głaskać. Nie gryź.

Popchnęła zadek Malca, który wytoczył się spomiędzy głogu i padł jak długi u stóp dzieci czarownika Braaka.

- Spójrz! - wykrzyknęła księżniczka Georgia. - To słodkie małe kociątko.

- Ale ma pięć ogonów - stwierdziła z powątpiewaniem księżniczka Małgorzata. - Jeszcze nigdy nie widziałam kota, który potrzebowałby aż tylu ogonów. A jego skóra zapięta jest na guziki. I ma prawie tyle wzrostu, co ty.

Mimo to Malec zaczął hasać i brykać. Wymachiwał swymi ogonami to w jedną, to w drugą stronę, toteż rozdzwoniły się dzwoneczki, on zaś udawał, że to go płoszy. Najpierw uciekał przed swymi ogonami, a potem je gonił. Księżniczki odstawiły swoje na wpół wypełnione jeżynami koszyczki i zaczęły go nawoływać, nazywając głupiutkim kociątkiem.

Z początku nie zbliżał się do nich. Ale z wolna począł udawać, że pozwala się obłaskawić. Pozwolił się głaskać i karmić jeżynami. Gonił wstążkę do włosów, a następnie wyciągnął się, by mogły podziwiać biegnące od góry do dołu przez cały brzuch guziki. Palce księżniczki Małgorzaty skubały jego skórę, następnie księżniczka wsunęła dłoń pomiędzy luźną kocią skórę a prawdziwą skórę Malca. Odepchnął jej dłoń łapą, a wówczas siostra Małgorzaty, Georgia, stwierdziła, że koty nie lubią, kiedy głaska się je po brzuchu.

Zdążyli się już zaprzyjaźnić, kiedy Zemsta Czarownicy wyszła na tylnych łapach spomiędzy głogu, śpiewając:

*Nie mam dzieci
i moje dzieci nie mają dzieci
i ich dzieci
nie mają dzieci
a ich dzieci
nie mają wąsów
ani ogonów.*

Na ten widok księżniczki Małgorzata i Georgia zaczęły się śmiać oraz pokazywać ją sobie palcami. Nigdy nie słyszały, żeby kot śpiewał albo chodził na tylnych łapach. Malec machnął swymi pięcioma ogonami ze złością, a cała sierść jego kociej skóry zjeżyła się na wygiętym w łuk grzbiecie, księżniczki zaś i z tego się śmiały.

Kiedy wracały z lasu z koszykami pełnymi jeżyn, Malec szedł u ich stóp, a Zemsta

Czarownicy maszerowała tuż za nimi. Worek ze złotem zostawiła jednak ukryty w głogu.

Tego wieczoru, kiedy czarownik Brak wrócił do domu, miał pełne ręce prezentów dla swych dzieci. Jeden z synów wybiegł ku niemu do drzwi:

- Chodź zobaczyć, co też przyprowadziły z lasu Małgorzata i Georgia! Możemy je zatrzymać?

Nie nakryto jeszcze do stołu na kolację, dzieci czarownika Braka nie usiadły jeszcze do odrabiania lekcji, a w jego sali tronowej znajdował się biegający w kółko kot o pięciu ogonach, gdy tymczasem drugi kot rozsiadł się bezczelnie na jego tronie i śpiewał:

*Tak!
dom waszego ojca
jest najbardziej lśniącym
najbardziej brązowym i największym
najdroższym
najśłodziej pachnącym
domem
jaki kiedykolwiek
wyszedł komuś
z tyłka!*

Dzieci czarownika Braka poczęły śmiać się na te słowa, póki nie ujrzały, że czarownik, ich ojciec, stoi w sali. Wówczas zapadła cisza. Malec przestał się kręcić.

- Ty! - wykrzyknął czarownik Brak.

- Ja! - odkrzyknęła Zemsta Czarownicy i zeskoczyła z tronu. Nim ktokolwiek zorientował się, co robi, jej szczęki zacisnęły się na szyi Czarownika Braka, a po sekundzie rozerwały mu gardło. Brak otworzył usta, żeby coś powiedzieć, popłynęła z nich krew, sprawiając, że sierść Zemsty Czarownicy jak gdyby zrudziała. Czarownik Brak padł martwy, a wówczas czerwone mrówki wyszły z rozszarpanej szyi i z rozdziawionych ust. W szczękach niosły kawałki Czasu, ściskając je tak mocno, jak Zemsta Czarownicy ścisnęła gardło Braka swoimi szczękami. Ale puściła go i zostawiła leżącego na posadzce w kałuży własnej krwi, a tymczasem powyłapywała

mrówki i szybko je zjadła, jak gdyby od bardzo dawna była głodna.

Kiedy się to wszystko działo, dzieci czarownika Braka stały bez ruchu i przyglądały się całemu zajściu. Malec siedział na podłodze z ogonami zwiniętymi wokół łap. Żadne dziecko nie było w stanie niczego zrobić. Były bowiem zbyt zaskoczone. Mając brzuch pełen mrówek i pyszczek umorusany krwią, Zemsta Czarownicy podniosła się i poczęła się im przyglądać.

- Idź i przynieś mi mój worek z kociej skóry - rozkazała Malcowi.

Malec przekonał się, że jednak może się poruszać. Wokół niego księżęta i księżniczki stali całkowicie nieruchomo. Zemsta Czarownicy nie spuszczała z nich oka.

- Będę potrzebował pomocy - oznajmił Malec. - Worek jest za ciężki, żebym sam go uniósł.

Zemsta Czarownicy ziewnęła. Polizała łapę i poczęła przecierać pyszczek. Malec stał bez ruchu.

- Dobrze - stwierdziła. - Weź ze sobą te dwie duże, silne dziewczuchy, księżniczki Małgorzatę i Georgię. Znają drogę.

Księżniczki Małgorzata i Georgia, przekonawszy się, że znów mogą się ruszać, poczęły drżeć. Zebrały całą odwagę, trzymając się za ręce, wyszły za Malcem z sali tronowej, nie patrząc na ciało swego ojca, czarownika Braka, i ruszyły do lasu.

Georgia rozplakała się, ale księżniczka Małgorzata zwróciła się do Malca:

- Pozwól nam odejść!

- A dokąd pójdziecie? - spytał Malec. - Świat nie jest bezpieczny. Żyją na nim ludzie, którzy nie życzą wam dobrze. - Zarzucił kaptur, a księżniczka Georgia zaczęła płakać jeszcze bardziej przejmująco.

- Pozwól nam odejść - poprosiła ponownie księżniczka Małgorzata. - Moimi rodzicami są Król i Królowa kraju, który leży niecałe trzy dni drogi stąd. Ucieszą się, kiedy znów nas zobaczą.

Malec milczał. Doszli do głogu, on zaś posłał tam księżniczkę Georgię, by poszukała torby z kociej skóry. Wyłoniła się podrapana i krwawiąca, trzymając torbę, która zahaczywszy o kolce krzaku, rozerwała się. Złote monety wyleciały z niej jak lśniące krople tłuszczu i pospadały na ziemię.

- Wasz ojciec zabił moją matkę - powiedział Malec.

- A ten kot, diabeł twojej matki, pozabija nas albo jeszcze gorzej - odparła księżniczka Małgorzata. - Pozwól nam odejść!

Malec podniósł worek z kociej skóry. Teraz nie było w nim już ani jednej monety. Księżniczka Georgia na czworakach zbierała je z ziemi i napychała nimi kieszenie.

- Był dobrym ojcem? - spytał Malec.

- Za takiego się uważał - stwierdziła księżniczka Małgorzata. - Ale ja nie żałuję, że nie żyje. Kiedy dorosnę, zostanę królową. Wydam dekret skazujący wszystkie czarownice i wszystkich czarowników w królestwie na śmierć, razem z ich kotami.

Malca zdjęła trwoga. Zabrał torbę z kociej skóry i pobiegł z powrotem do zamku czarownika Braka, zostawiając obie księżniczki w lesie. A tego, czy dotarły do domu rodziców księżniczki Małgorzaty, czy wpadły w ręce złodziei, czy zamieszkały w głogu, i czy dorosła księżniczka Małgorzata dotrzymała obietnicy i pozbyła się ze swego królestwa wszystkich czarownic, czarowników oraz ich kotów, Malec nigdy się nie dowiedział. Nie dowiedziałam się i ja. Wy też się tego nie dowiecie.

Kiedy zjawił się z powrotem w domu czarownika Braka, Zemsta Czarownicy z miejsca domyśliła się, co się stało.

- Nieważne - mruknęła.

W sali tronowej nie było dzieci, książąt ani księżniczek. Zwłoki czarownika Braka wciąż leżały na posadzce, ale Zemsta Czarownicy oprawiła je niczym królika, ze skóry zaś uszyła torbę. Torba wierciła się i szamotała, kołysząc się na boki, jak gdyby gdzieś w jej wnętrzu czarownik Brak wciąż jeszcze żył. Zemsta Czarownicy trzymała w jednej łapie torbę ze skóry czarownika, drugą zaś upychała do jej gardzieli kota. Wsuwając się do środka, kot zawodził. Cała torba pełna była zawodzenia. A porzucone zwłoki czarownika Braka poniewierały się bezpańskie.

Na posadzce, obok oprawionego truchła, leżała kupka złotych koron, w powietrzu zaś niesione wiatrem fruwały przezroczyście, podobne papierkom przedmioty niczym zdumione oblicza, które opadły z chudych twarzy.

Koty kryły się po kątach sali i pod tronem.

- Rusz się i wyłap je - rozkazała Zemsta Czarownicy. - Ale zostaw trzy najładniejsze, - Gdzie są dzieci czarownika Braka? - spytał Malec.

Zemsta Czarownicy pokazała głową po sali.

- Jak widzisz - wyjaśniła - zdjęłam z nich skórę, a pod spodem wszystkie okazały się kotami. Są nimi teraz, ale gdybyśmy poczekali rok czy dwa, zrzuciłyby również te skóry i stały się czymś innym. Dzieci bez przerwy rosną.

Malec rzucił się za kotami dookoła sali. Były szybkie, lecz on szybszy. Były zwinne,

lecz on zwinniejszy. Wszak dłużej nosił swój koci kostium. Zapędził je w kąt sali, a Zemsta Czarownicy połapała je i wrzuciła do swojej torby. Na koniec w sali tronowej zostały tylko trzy koty tak śliczne, jak tylko można to sobie wymarzyć. Wszystkie pozostałe znajdowały się w torbie.

- Dobra robota, a przy tym szybko poszła - pochwaliła Zemsta Czarownicy. Wzięła swą igłę i zaszyła torbę od góry. Skóra czarownika Braka uśmiechała się do Malca, a jakiś kociak wystawił głowę przez umorusane usta czarownika, zawodząc. Ale Zemsta Czarownicy zaszyła również i je, a także dziurę na drugim końcu, z której wyszedł dom. Zostawiła mu tylko dziurki w uszach, oczodoły oraz dziurki w nosie, w których pełno było sierści zwiniętej tak, by koty mogły oddychać.

Zemsta Czarownicy zarzuciła sobie pełną kotów skórę na plecy i wstała.

- Dokąd idziesz? - spytał Malec.

- Te koty mają matki i ojców - odparła Zemsta Czarownicy. - Mają matki i ojców, którzy bardzo za nimi tęsknią.

Przypatrzyła się bacznie Malcowi. Postanowił nie zadawać więcej pytań. Tak więc czekał w domu wraz z dwiema księżniczkami i księciem w swych nowych kocich kostiumach, gdy tymczasem Zemsta zesłała nad rzekę. A może zaniósła koty na targ i sprzedawała. Możliwe też, że zaniósła każdego kociaka do jego domu, do matki i ojca, z powrotem do królestwa, w którym przyszedł na świat. A może aż tak nie zatroszczyła się o to, żeby każdy kot trafił z powrotem do swoich rodziców. Wszak spieszyła się, a w mroku nocy każdy kot wygląda prawie tak samo.

Nikt nie widział, dokąd poszła, choć targ znajduje się bliżej niż pałace Królów i Królowych, których dzieci uprowadził Czarownik Brak, a rzeka jeszcze bliżej.

Kiedy Zemsta Czarownicy powróciła do domu czarownika Braka, rozejrzała się dookoła. Po domu zaczynał roznosić się okropny odór. Teraz czuł go nawet Malec.

- Przypuszczam, że księżniczka Małgorzata pozwoliła ci się zerznąć - stwierdziła Zemsta Czarownicy, jak gdyby rozmyślała nad tym wtedy, kiedy załatwiała swoje sprawy. - I dlatego je puściłeś. Nie szkodzi. Ładny był z niej kociak. Pewnie sama bym ją puściła.

Spojrzała Malcowi w twarz i dostrzegła, że jest zmieszany.

- Nieważne - dodała.

W łapie trzymała kawał sznurka oraz korek, który nasmarowała wyciętym z czarownika Braka kawałkiem tłuszczu. Korek zawiązała na sznurku i nazwała go grzeczną, chyzą myszką. Następnie nasmarowała tłuszczem również sznurek, a potem

podsunęła podskakujący korek zwiniętej na kolanach Malca pręgowanej kotce. A kiedy znów miała w ręku korek, ponownie go natłuściła i podała maleńkiej czarnej kotce, a potem kotu z dwiema białymi skarpetami na przednich łapach, i tym sposobem miała na swoim sznurku wszystkie trzy koty.

Zaszyła otwór torby z kociej skóry, do której Malec powrzucał złote korony - była teraz niemal tak ciężka, jak przedtem. Zemsta Czarownicy niosła torbę, a Malec schwycił zębami natłuszczony sznurek, toteż trzy koty zmuszone były gonić za nim, kiedy opuścili dom czarownika Braka.

Malec zapala zapalną, a po chwili, kiedy już wychodzą, podpala dom martwego czarownika Braka. Ale gównem pali się powoli, o ile w ogóle, toteż jest możliwe, że dom płonie nadal, o ile ktoś nie zdecydował się go ugasić. I niewykluczone, że pewnego dnia ktoś uda się nad płynącą w pobliżu domu rzekę na ryby i zaczepi haczykiem swej wędki o torbę pełną księżniczek i książąt, mokrych, smutnych i drżących w swoich kocich kostiumach - oto jeden ze sposobów złapania sobie męża lub żony.

Malec i Zemsta Czarownicy maszerowali, nie zatrzymując się, przed siebie, a trzy koty podążały za nimi. Szli, póki nie dotarli do niedużej wioski nieopodal miejsca, gdzie mieszkała czarownica, matka Malca. Tam zatrzymali się w pokoju, który Zemsta Czarownicy wynajęła od rzeźnika. Przecieli natłuszczony sznurek, kupili klatkę i zawiesili ją na haku w kuchni. Trzymali w niej koty, ale Malec kupił obroże i smycze, od czasu do czasu zakładał je któremuś i wyprowadzał go na spacer po miasteczku.

Niekiedy sam wkładał swój koci kostium i wychodził grasować po okolicy, ale Zemsta Czarownicy besztala go, ilekroć przyłapała go w tym przebraniu. Inne maniery panują na wsi, inne zaś w mieście, a teraz Malec miał uchodzić za chłopca z miasta.

Zemsta Czarownicy zajmowała się gospodarstwem. Sprzątała, gotowała i co rano ścieliła łóżko Malca. Jak wszystkie koty czarownicy, bez przerwy była zajęta. Stopiła złote korony w garnku i wybiła z nich monety.

Zemsta Czarownicy wkładała jedwabną suknię, rękawiczki oraz gęstą woalkę i z Malcem u boku udawała się elegancką dorożką, aby załatwiać swoje sprawy. Otworzyła konto w banku, a Malca zapisała do prywatnej szkoły. Nabyła kawałek ziemi, na którym zamierzała się pobudować, co rano zaś posyłała Malca do szkoły bez względu na to, jak bardzo płakał. Nocą jednak zdejmowała ubranie i spała na jego poduszce, a on czesał jej biało-rudą sierść.

Bywało, że w nocy drżała i pojękiwała, a kiedy pytał, co jej się śniło, odpowiadała:
- Mrówki! Nie możesz ich ze mnie wyczesać? Szybko, wyłap je, jeśli mnie kochasz.
Ale nigdy nie było na niej żadnych mrówek.

Pewnego dnia, kiedy Malec wrócił do domu, kotek z białymi skarpetami zniknął. Gdy spytał o to Zemstę Czarownicy, powiedziała, że kociak wypadł z klatki, wyskoczył przez otwarte okno do ogrodu i nim Zemsta Czarownicy zdążyła pomyśleć, co robić, nadleciała wrona i porwała go.

Kilka miesięcy później wprowadzili się do swego nowego domu, a Malec, ilekroć wchodził lub wychodził przez drzwi, zachowywał wielką ostrożność, wyobrażając sobie, że ów kotek tkwi tam w ciemności, pod schodami, pod jego stopami.

Malec urósł. Nie zaprzyjaźnił się z nikim w wiosce ani w szkole, ale jeśli jest się dostatecznie dużym, nie potrzeba przyjaciół.

Pewnego dnia, kiedy wraz z Zemstą Czarownicy jedli kolację, rozległo się pukanie do drzwi. Gdy Malec je otworzył, ujrzał Florę i Jacka. Ona miała na sobie brunatno-zielony płaszcz ze sklepu z używaną odzieżą, on zaś bardziej niż zwykle przypominał wiąznię chrustu.

- Malec! - uradowała się Flora. - Aleś wyrósł! - Rozpłakała się i załamała swoje piękne ręce.

- A ty kim jesteś? - spytał Jack, spoglądając na Zemstę Czarownicy.

- Kim jestem? - odezwała się doń Zemsta Czarownicy. - Jestem kotem twojej matki, a ty jesteś garścią suchych badyli w garniturze za dużym o dwa numery. Ale nie powiem o tym nikomu, jeśli ty też zachowasz milczenie.

Na te słowa Jack parsknął, a Flora przestała płakać. Zaczęła rozglądać się po domu, który był słoneczny, przestronny, a przy tym ładnie urządzony.

- Miejsca starczy dla was obojga - stwierdziła Zemsta Czarownicy. - O ile Malec nie ma nic przeciwko temu.

Malec pomyślał, iż serce pęknie mu z radości, bo znów miał całą swoją rodzinę. Zaprowadził Florę do jednej sypialni, a Jacka do drugiej. Potem zeszli na dół i jedli drugą kolację, podczas gdy Malec, Zemsta Czarownicy, a także koty w wiszącej klatce, słuchali, jak Flora i Jack opowiadają o swoich przygodach.

Sakiewkę Flory ukradł kieszonkowiec, automobil matki sprzedali, a pieniądze przegrali w karty. Flora odnalazła swoich rodziców, ale okazali się parą starych łajdaków, którzy nie mieli z niej żadnego pożytku. (Była już za stara, żeby ponownie ją

sprzedać, ale zdała sobie sprawę z tego, co im chodziło po głowie.) Poszła do pracy w domu towarowym, a Jack sprzedawał bilety w kinie. Kłócili się ze sobą i godzili, potem zakochiwali się w innych i przeżyli wiele rozczarowań. W końcu postanowili wrócić do domu czarownicy, żeby przekonać się, czy nadaje się do mieszkania na dziko albo czy zostało jeszcze cokolwiek, co można by wynieść i spieniężyć.

Ale z domu, rzecz jasna, zostały tylko zgliszcza. Kiedy spierali się o to, co robić dalej, Jack wyczuł niedaleko w wiosce swego brata - Malca. I tym sposobem trafili tutaj.

- Zamieszkacie tu z nami - oświadczył Malec.

Jack i Flora odparli, że nie mogą się na to zgodzić. Wyjaśnili, że mają swoje ambicje. Mają plany. Zostaną na tydzień, może dwa, a potem znów ruszą w drogę. Zemsta Czarownicy pokiwała głową i stwierdziła, że brzmi to rozsądnie.

Codziennie Malec wracał ze szkoły i udawał się z Florą na przejażdżkę dwuosobowym rowerem. Bywało również, że zostawał w domu, a Jack uczył go, jak trzymać monetę między dwoma palcami, albo jak nie dać się oszukać w trzy karty. Zemsta Czarownicy nauczyła ich grać w brydża, choć Flora i Jack nie mogli grać jako partnerzy. Kłócili się między sobą, jakby byli mężem i żoną.

- Czego pragniesz? - spytał Malec Florę pewnego dnia. Tulił się do niej, żałując, że nie jest już kotem i nie może posiedzieć jej na kolanach. - Otaczała ją woń tajemnic. - Czemu znów musisz odejść?

Flora pogłaskała go po głowie i odparła:

- Czego pragnę? Tb bardzo proste. Nigdy nie martwić o pieniądze. Poślubić mężczyznę, który nigdy mnie nie zdradzi ani nie porzuci. - Mówiąc to, patrzyła na Jacka.

- Ja pragnę bogatej żony - odezwał się Jack - która nie będzie wdawać się w pyskówki, nie będzie wylegiwać się w łóżku całymi dniami z głową przykrytą poduszką, płacząc i wyzywając mnie od wiązek chrustu. - Mówiąc to, patrzył na Florę.

Zemsta Czarownicy odłożyła sweter, który robiła na drutach dla Malca. Popatrzyła na Florę, popatrzyła na Jacka, a wreszcie popatrzyła na Malca.

Malec poszedł do kuchni i otworzył drzwiczki wiszącej tam klatki. Wyciągnął z niej oba koty i zaniósł je Florze oraz Jackowi.

- Macie - powiedział. - Mąż dla ciebie, Floro, i żona dla Jacka. Książę i księżniczka, oboje urodziwi, dobrze wychowani i zamożni, bez dwóch zdań.

Flora chwyciła kociaka.

- Nie kpij sobie ze mnie, Malcze! - burknęła. - Kto to słyszał, żeby wychodzić za kota!

- Cała rzecz polega na tym, żeby przechowywać ich kocie skóry w bezpiecznym, sekretnym miejscu - wyjaśniła Zemsta Czarownicy. - A jeśli będą kaprysić albo źle cię traktować, należy zaszyć ich z powrotem w kocią skórę, wsadzić do worka i wrzucić do rzeki.

Następnie przecięła pazurem skórę kostiumu pręgowanego kota, a wówczas okazało się, że Flora trzyma w rękach nagiego mężczyznę. Dziewczyna pisnęła i upuściła go na ziemię. Był to przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna o książęcych manierach.

Nie był kimś, kogo można by wziąć za kota. Wstał i mimo iż był nagi, nad wyraz elegancko się uklonił. Flora oblała się rumieńcem, ale wyglądała na zadowoloną.

- Przynies jakieś ubrania dla księcia i księżniczki - nakazała Malcowi Zemsta Czarownicy. Kiedy wrócił, za kanapą chowała się naga księżniczka, w którą pożądliwie wpatrywał się Jack.

Kilka tygodni później odbyły się dwa wesela, potem Flora odjechała ze swym nowym mężem, a Jack ruszył w drogę ze swoją nową żoną. Niewykluczone, iż żyli długo i szczęśliwie.

- Nie mamy żony dla ciebie - powiedziała Zemsta Czarownicy do Malca.

On zaś wzruszył tylko ramionami.

- Jestem jeszcze za młody - odparł.

Lecz, choć Malec stara się z całych sił, jest coraz starszy. Ledwie mieści się w kocią skórę w ramionach. Guziki napinają się, kiedy je zapina. Zaczyna wyrastać jego własna sierść - charakterystyczna dla dorosłych osobników tego gatunku. Nocami nawiedzają go sny.

Obcasy jego matki - czarownicy - uderzają o taflę szkła. W głogu wisi księżniczka. Trzyma podwiniętą sukienkę, tak że widać pod nią kocią sierść. Teraz znajduje się pod domem. Pragnie go poślubić, ale jeśli ją pocałuje, dom zawali się. On i Flora są znowu dziećmi w domu czarownicy. Flora unosi spódnicę i mówi: „Widzisz moją cipkę?”, Jest tam też kot, który przygląda mu się, ale nie przypomina żadnego z kotów, jakie dotąd widział. „Ja też mam cipkę”, mówi do Flory. Ale jego nie jest taka sama.

Nareszcie dowiaduje się, co się stało z owym małym, konającym z głodu, nagim stworzeniem, kiedy poszło do lasu. Gdy spał, wczołgało się do jego kociej skóry, a

następnie weszło wprost w niego, do jego skóry, skóry Malca, toteż w tej chwili kuli się w jego piersiach, wciąż zziębnięte, smutne i głodne. Zjada go od środka i rośnie, dlatego też pewnego dnia z Malca nic już nie pozostanie, jedynie owo bezimienne, głodne dziecko, odziane w jego skórę.

Malec pojękuje przez sen.

W skórze Zemsty Czarownicy są mrówki, wydostają się przez szwy, po czym wędrują po pościeli i szczypią go - pod pachami i między nogami w miejscu, w którym rośnie mu sierść, a to sprawia mu ból, piecze i kłuje. Śni mu się, że w tym momencie budzi się Zemsta Czarownicy, przychodzi do niego i liże go po całym ciele, póki ból nie ustąpi. Topnieje szklana tafla. Mrówki ponownie ruszają, odchodzą po swojej drugiej, tłustej nitce.

- Czego pragniesz? - pyta Zemsta Czarownicy.

Malec już nie śni.

- Chcę odzyskać moją matkę!

Przez okno wsącza się księżycowe światło i pada na ich łóżko. Zemsta Czarownicy jest niezwykle piękna w jego blasku, wygląda jak Królowa, jak nóż, jak dom stojący w płomieniach, jak kot. Jej sierść lśni. Wąsy sterczą niczym naciągnięte nitki, nawoskowane i sztywne.

- Twoja matka nie żyje - mówi Zemsta Czarownicy.

- Zdejmij swoją skórę - prosi Malec. Zaczyna płakać, a Zemsta Czarownicy zlizuje jego łzy. Malec odczuwa kłucie na całej skórze, a na dole, pod domem coś bez przerwy zawodzi.

- Oddaj mi moją matkę - prosi ponownie.

- Och, mój drogi - odpowiada jego matka, czarownica, Zemsta Czarownicy. - Nie mogę tego zrobić. Jestem wypełniona mrówkami. Jeśli zdejmę skórę, mrówki wysypią się i nic ze mnie nie zostanie.

- Czemu zostawiłaś mnie samego? - pyta Malec.

- Nigdy nie zostawiłam cię samego - odpowiada jego matka czarownica. - Ani na chwilę. Zaszylałam moją śmierć w kociej skórze, żebyś mógł z tobą zostać.

- Zdejmij ją! Chcę cię zobaczyć! - domaga się Malec. Szarpie pościel, jak gdyby była to kocia skóra jego matki.

Zemsta Czarownicy kręci przecząco głową. Drży i uderza ogonem to w jedną, to w drugą stronę.

- Jak możesz prosić mnie o coś takiego, i jak mogłabym ci odmówić? Czy wiesz, o

co mnie prosisz? Jutro w nocy. Poproś mnie jeszcze raz jutro w nocy.

I Malec musi się tym zadowolić. Przez całą noc czesze sierść swojej matki. Jego palce szukają szwów w jej kociej skórze. Kiedy Zemsta Czarownicy ziewa, zagląda jej do pyszczka, mając nadzieję, że przez chwilę ujrzy matczyną twarz. Czuje, jak staje się coraz mniejszy. Rano będzie już tak mały, że kiedy spróbuje włożyć swoją kocią skórę, ledwie zdoła zapiąć guziki. Będzie tak mały, tak szpiczasty, że moglibyście wziąć go za mrówkę, a kiedy Zemsta Czarownicy ziewnie, wśliźnie się do jej pyszczka, zejdzie do żołądka, będzie szukał swojej matki. Jeśli mu się uda, pomoże jej przeciąć kocią skórę i otworzyć ją, żeby mogła z niej wyjść na świat i żyć z nim, a jeśli ona nie wyjdzie, on też tego nie uczyni. Będzie tam żył, tak jak żeglarze uczą się żyć w brzuchach ryb, które ich połknęły, i będzie zajmował się domem dla swojej matki w domu jej skóry.

To już koniec tej opowieści. Księżniczka Małgorzata dorasta, by pozabijać czarownice, czarowników i koty. Jeśli tego nie zrobi, ktoś inny będzie musiał się tym zająć. Nie ma czegoś takiego jak czarownice, nie ma też czegoś takiego jak koty - są tylko ludzie poprzebierani w kostiumy z kociej skóry. Mają swoje powody, a któż śmiałyby powiedzieć, że nie mogą żyć w ten sposób, długo i szczęśliwie, dopóki mrówki nie wyniosą całego czasu, jaki istnieje, by zbudować z niego coś nowego i lepszego?

PLANY AWARYJNE NA WYPADEK ATAKU ZOMBIE

Oto historia o zaginięciu w lesie.

Ten gość, Mydło, jest na imprezie gdzieś na przedmieściach. Musicie wiedzieć o nim jedną rzecz: w bagażniku swojego auta Mydło trzyma oprawiony w ramy obraz olejny wielkości niewielkiej książki. Dokądkolwiek Mydło jedzie, obraz jedzie z nim. Ale zostawia go w bagażniku, bo nie idzie się na imprezę z obrazem pod pachą. Ludzie pomyślą, że coś z wami nie tak.

Mydło nie zna tu nikogo. Wkręcił się na tę imprezę, co ostatnio zdarza mu się zawsze, kiedy czuje się samotny. W weekendy po prostu jeździ po przedmieściach, póki nie trafi na jedną z tych letnich wieczornych imprez, które są tak wielkie, że wylewają się do ogrodu.

Na trawie przed piętrowym domem widać małych, którzy leżą na wilgotnej trawie i z plastikowych kubków sączą piwo. Mydło przyniósł ze sobą sześciopak. Przynajmniej tyle mógł zrobić. Przechodzi przez dom obok czterech czarnych gości, którzy zajmują całą kanapę. Oglądają mecz, a ze sprzętu dolatuje muzyka. Telewizor ma wyłączoną fonię. Tuż obok tańczy samotnie jakaś biała dziewczyna. Ilekroć za bardzo zbliży się do telewizora, ci na kanapie zaczynają pokrzykiwać niezadowoleni.

Mydło trafia do kuchni. Znajduje się w niej duża, profesjonalna kuchenka elektryczna i sporo noży, wyglądających na kosztowne, przymocowanych do magnetycznego paska na ścianie. To dziwne, myśli Mydło, że takie drogie rzeczy zawsze wyglądają niebezpiecznie, ale zarazem bezpiecznie - jednocześnie i tak, i tak. Myszkuje w lodówce i znajduje w niej pokrojony w plasterki ser oraz słodkie babeczki. Bierze trzy plastry sera, babeczki, a do środka wkłada piwo. W lodówce są również dwa steki, więc łapie się za jeden z nich i nastawia piekarnik, żeby go podgrzać. Do kuchni zagląda jakaś dziewczyna, fest czarna, ma długie, wysoko uczesane włosy,

które na czubkach mają idealne, sprężyste loczki niczym drobniutkie fale. Z tą swoją architektoniczną fryzurą dorównuje Mydłu wzrostem. Jej oczy mają barwę sałaty lodowej. Pod jednym z jej zielonych oczu znajduje się kryształ górski w kształcie serca. Kryształek mruga do Mydła, jakby go znał. Dziewczyna jest prześliczna, ale Mydło doskonale wie, że nie należy flirtować z małodatami, które pewnie nie skończyły jeszcze ogólniaka.

- Co robisz? - pyta.

- Przyrzadam stek - odpowiada Mydło. - Poczęstujesz się?

- Nie. Już jadłam.

Siada na blacie przy zlewie i macha nogami. Ma na sobie górę od bikini, różowe spodenki i jest bosa.

- Kim jesteś? - pyta.

- Will - rzuca Mydło, chociaż wcale się tak nie nazywa. Mydło również nie jest jego prawdziwym imieniem.

- Jestem Carly - przedstawia się dziewczyna. - Chcesz browca?

- Jest w lodówce - mówi Mydło, a Carly dodaje:

- Wiem.

Will otwiera i zamyka szuflady, szafki, póki nie znajduje talerza, widelca i noża oraz soli czosnkowej. Z piekarnika wyjmuję stek.

- Chodzisz do stanowego? - pyta Carly. Zdejmuje kapsel, uderzając o krawędź kuchennego blatu, a Will wie, że to dla szpanu.

- Nie - odpowiada. Siada przy stole i odkraja kawałek steku. Jest samotny, odkąd wraz ze swym przyjacielem, Mikiem, wyszli z więzienia, a Mike wyjechał do Seattle. Miło jest posiedzieć w kuchni i pogadać z dziewczyną.

- To co robisz? - dopytuje się Carly. Siada przy stole naprzeciw niego. Wyciąga w górę ramiona i napina je, aż trzaska jej w plecach. Ma ładne cycki.

- - Telemarketing - wyjaśnia Will, a Carly krzywi się.

- To lipa.

- No - pomrukuje Will. - Nie, właściwie nie jest tak źle. Lubię pogadać z ludźmi. Niedawno wyszedłem z paki. - Bierze do ust kolejny kawał steku.

- Bez kitu - ekscytuje się Carly. - Co przeskrobałeś?

Will przeżuwa. Przelyka.

- Nie chcę teraz o tym mówić.

- Spoko.

- Lubisz muzea? - pyta Will. Wygląda mu na dziewczynę, która w nich bywa.

Do kuchni przybliżuje się jakiś napity biały małolat. Rzuca Willowi „hej”, po czym kładzie się na podłodze z głową pod krzesłem Carly.

- Carly, Carly, Carly - bełkocze - w tej chwili jestem w tobie zakochany do obłędu. Jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie. A ty nawet nie wiesz, jak mam na imię. To ból.

- Muzea są w porządku - stwierdza Carly. - Lubię koncerty. Jazz. Improwizowane widowiska rozrywkowe. Lubię rzeczy, które nie są takie same za każdym razem, kiedy je oglądasz.

- A co powiesz o zombie? - draży Will. Stek się skończył. Ściera z talerza sos z mięsa jedną z babeczek. Może powinien zafundować sobie jeszcze jeden stek? Małolat z głową pod krzesłem Carly nie przestaje nadawać:

- Carly? Carly? Carly? Lubię, jak mi siedzisz na twarzy, Carly.

. - Chodzi ci o takie zombie jak w horrorach? - pyta dziewczyna.

- Żywe trupy - wtrąca się ten spod krzesła. - Chodzące trupy. Czemu one wszędzie chodzą na piechotę? Czemu po prostu nie podjadą autobusem?

- Jesteś jeszcze głodny? - pyta Willa Carly. - Mogę upiec ci tosty cytrynowe albo ugotować jakąś zupę.

- Mogłyby się podwozić - ciągnie małolat spod krzesła. - Hej, wiecie co? Nie mam pojęcia, czemu na odwożenie dzieci do szkoły mówi się „carpool”. Przecież to nie są samochody z basenami w środku. Bo ludzie mogliby się potopić w drodze do szkoły. Ale odjechane słowo. Carpool. Carpool. Carly's pool. W basenie Carly są nadzy ludzie, ale Carly nie jest naga w basenie Carly.*

- Jest tu gdzieś telefon? - pyta Will. - Pomyślałem, że powinienem przedzwonić do mojego taty. Jutro będzie miał operację na otwartym sercu.

Nie jest to jego imię, ale nazywajmy go Mydłem. Tak właśnie wołali na niego w więzieniu, choć nie z powodów, o których myślicie. Kiedy był mały, czytał książeczkę o chłopcu, który nazywał się Mydło. Toteż nie miał nic przeciwko temu przydomkowi. Było lepsze niż Owsianka, a z taką właśnie ksywą skończył jeden gość. Nie chcecie wiedzieć, czemu został tak nazwany. Obrzydziłoby wam to tylko owsiankę.

* Cały fragment to nieprzetłumaczalna gra słów oparta na zbieżności wyrażenia „carpool” (podwożenie przez rodziców na zmianę dzieci i ich kolegów do szkoły) - stanowiącego połączenie słów „car” - samochód oraz „pool” - basen - z imieniem bohaterki, co daje „Carly's pool” - basen Carly.

Mydło spędził w więzieniu sześć miesięcy. W sumie to niedługi okres - dłużej przebywacie w brzuchu swojej matki. Ale sześć miesięcy w więzieniu to dość czasu, żeby porozmyślać o różnych sprawach, zwłaszcza że wszyscy dokoła też oddają się rozmyślaniami. Można od tego zwariować - od zastanawiania się, o czym rozmyślają inni. Jedni rozmyślali o swoich rodzinach, inni o zemście, albo o tym, jak zostaną bogaci. Niektórzy zapisywali się na kursy korespondencyjne albo zakochiwali się, bo jedna z wolontariuszek prowadzących zajęcia plastyczne powiedziała coś miłego o którejś z ich akwarel. Mydło nie zapisał się na zajęcia plastyczne, ale rozmyślał o sztuce. To właśnie z jej powodu siedział w więzieniu. Zabrzmiało to romantycznie, ale w rzeczywistości było po prostu głupie.

Zanim jeszcze on i jego przyjaciel Mike trafili do więzienia, Mydło był pewien, że ma swoje zdanie na temat sztuki, mimo iż nie wiedział o niej zbyt wiele. Tak samo było z więzieniem. Sztuka i więzienie stanowiły coś, na temat czego miało się zdanie, mimo że nic się o nich nie wiedziało. Mydło wciąż nie wiedział wiele o sztuce. Oto kilka rzeczy, jakie wiedział na jej temat, nim trafił do więzienia:

Wiedział, czy coś mu się podoba, czy nie, kiedy to widział. Jak się okazało, wiedział, czy mu się coś podoba nawet wówczas, gdy tego nie widział.

Muzea przyprawiły go o czkawkę. W więzieniu też często ją miewał.

A oto kilka rzeczy, jakie Mydło wydumał na temat sztuki, kiedy siedział w więzieniu:

Wielka sztuka pochodziła z wielkiego cierpienia. Z powodu sztuki Mydło doświadczył wielu przykrości.

Istniała różnica pomiędzy sztuką, na którą się wyłącznie patrzyło, a przedmiotami, których się używało, jak mydło. Nawet wtedy, gdy mydło pachniało tak pięknie, że nie chciało się go zużyć, a wyłącznie wachać. Właśnie dlatego sztuka tak mocno wkurzała ludzi. Ponieważ nie można było jej zjeść, spać na niej, ani przystawić do nosa. Wielu mówiło rzeczy typu „To nie sztuka”, podczas gdy to, o czym mówili bez cienia wątpliwości, nie było niczym innym, jak sztuką.

Kiedy Mydło zmęczył się rozmyślaniami o sztuce, rozmyślał o zombie. Opracowywał swój plan awaryjny na wypadek ich ataku. Rozmyślanie o zombie było mniej wyczerpujące niż myślenie o sztuce. Oto, co Mydło wiedział na temat zombie:

Zombie nie były zainteresowane seksem.

Zombie nie wykazywały zainteresowania sztuką.

Zombie nie były skomplikowane. Różniły się od wilkołaków, duchów czy wampirów. Na przykład wampiry stanowiły średni czy może wyższy średni szczebel zarządzania w świecie nadprzyrodzonym. Niektórzy uznawali je za swego rodzaju gwiazdy rocka, ale w rzeczywistości były bardziej jak Martha Stewart. Wampiry były nadęte. Musiały przestrzegać zasad. Musiały dobrze wyglądać. Zombie takie nie były. Nie można było poddać ich egzorcyzmom. Nie potrzeba było luksusowych przyborów jak srebrne kule, krucyfiksy i woda święcona. Zombie po prostu strzelało się w głowę, podpalało albo waliło solidnie po łbie. W więzieniu było kilku gości, którzy o tym wiedzieli. W więzieniu siedziało kilku takich, którzy wiedzieli o wszystkim, o czym można było chcieć wiedzieć. Siedzieli też tacy, którzy wiedzieli o rzeczach, o jakich nie chciało się wiedzieć. Było to jak biblioteka, niebędąca nią w rzeczywistości.

Zombie nie dyskryminowały nikogo. Im każdy smakował tak samo dobrze. I każdy mógł stać się zombie. Nie trzeba było być nikim szczególnym, wyróżniać się w sportach albo być przystojnym. Nie trzeba było elegancko pachnieć, nosić właściwych ciuchów albo słuchać właściwej muzyki. Wystarczyło być powolnym.

Mydłu właśnie to się w nich podobało.

Zombie nigdy nie występują w pojedynkę.

Klauni mieli w sobie coś, co było gorsze niż zombie. (A może raczej coś ich łączyło. Kiedy widzi się zombie, z początku chce się śmiać. Kiedy widzi się klauna, większość ludzi nieco się stresuje. To przez tę bladość i cukierkowy makijaż jak z zakładu pogrzebowego, kaczy chód i zmierzwione włosy. Ale klauni byli prawdopodobnie złośliwi, pędzili na tych swoich miniaturowych rowerkach i w owych maleńkich,

wypełnionych po brzegi samochodzikach. Zombie były zupełnie inne. Nie nosiły ze sobą instrumentów muzycznych i miały gdzieś, czy się z nich śmiano, czy nie. Zawsze było wiadomo, czego chcą.) Gdyby musiał dokonać wyboru, Mydło bez wahania wolałby zombie niż klaunów. W więzieniu był jeden biały facet, który pracował kiedyś jako klaun. Nikt nie wiedział na pewno, czemu właściwie tam siedzi.

Okazało się, że każdy więzień ma plan awaryjny na wypadek ataku zombie, kiedy się go o to spytało, tak samo jak każdy więzień ma plan ucieczki z więzienia, tyle że o tym nikt już nie rozmawiał. Mydło starał się nie snuć planów ucieczki, ale niekiedy śniło mu się, że ucieka. Potem zjawiały się zombie. Wiecznie nawiedzały go w tych snach o ucieczce. Można było uciec z więzienia, ale nie sposób było uciec przed zombie. Tak to wyglądało w snach Mydła - zupełnie jak w filmach. Nic nie można było na to poradzić.

Według przyjaciela Mydła, Mike'a, który także siedział w więzieniu, ludzie znanadto przejmują się zombie, a za mało górami lodowymi. Mimo iż góry lodowe istnieją naprawdę. Mike zauważył, że góry lodowe są powolne jak zombi. Być może dałoby się przerobić plan awaryjny na wypadek ataku zombie tak, żeby poradzić sobie z górami lodowymi. Mike poprosił Mydła, by ten zastanowił się nad problemem gór lodowych. Nikt inny nie miał jakoś na to ochoty. Zdaniem Mike'a, ktoś musiał mieć plan związany z górami lodowymi.

Nawet po wyjściu na wolność, kiedy było już stanowczo za późno, wciąż śnił o ucieczkach z więzienia.

- No więc właściwie czyja to chata? - pyta Will Carly, która wspina się przed nim po schodach. Gdyby tylko wyciągnął rękę, mógłby rozsznurować jej górę od bikini, która po prostu by opadła.

- Takiej jednej dziewczyny - stwierdza Carly i zaczyna opowiadać długą, smutną historię. - Mojej kumpeli. Starzy zabrali ją do Francji na wycieczkę rowerową. Siedzą w Amwayu. Ten wyjazd to jakiś bonus. Że niby jej stary opylił mnóstwo filtrów do wody, więc teraz wszyscy muszą pomykać do Francji i sami składać sobie rowery. W Marsylii. Lipa, co? Ona nawet nie zna francuskiego. Cierpi na frankofilofobię. To łajza. Nawet starzy jej nie trawią. Gdyby mogli, zostawiliby ją w domu. Albo może

zostawiliby ją gdzieś we Francji. Cholera, chciałabym zobaczyć, jak próbuje ujechać na tym rowerze. Pewnie od razu spadnie gdzieś w Alpach. Nie znoszę jej. Miałyśmy robić tę imprezę, a potem powiedziała, żebym zajęła się nią sama. Jest mocno wkurzona na swoich starych.

- To jest łazienka? - pyta Will. - Zaczekaj chwilę.

Wchodzi do środka i robi siku. Spuszcza wodę, a kiedy podchodzi do umywalki, żeby umyć ręce, zauważa, że właściciele domu umieścili przy niej kawałek luksusowego mydła. Wącha je. Potem otwiera drzwi. Za nimi stoi Carly i rozmawia z jakąś Azjatką, która ma na sobie sukienkę bez ramiączek, całą pokrytą maleńkimi, lśniącymi sztucznymi kwiatkami z plastiku. Jest na nią za duża w biuście, więc dziewczyna trzyma przód, jakby chciała, żeby ktoś podszedł i wrzucił jej tam na przykład łasicę. Will zastanawia się, czyja to sukienka i dlaczego dziewczynie chce się nosić coś tak paskudnego.

Bierze mydło.

- Powąchaj - mówi do Carly, a ona je wącha.

- Co to za zapach?

- Nie wiem - przyznaje. - Marmolady?

- Trawy cytrynowej - stwierdza Will. Maszeruje z powrotem do łazienki i otwiera okno. W dole widać basen i kąpiących się w nim ludzi. Wyrzuca mydło przez okno, a jakiś gość z basenu krzyczy: „Ej!”.

- Czemu on to zrobił? - pyta dziewczyna w korytarzu. Carly wybucha śmiechem.

Przyjaciel Mydła, Mike, miał dziewczynę imieniem Jenny. Jenny ani razu nie odwiedziła Mike'a w więzieniu. Mydło się tym gryzł.

Tato Mydła mieszkał w Nowej Zelandii, a raz na jakiś czas Mydło dostawał pocztówkę.

Mama Mydła, która mieszkała w Kalifornii, w pobliżu Manhattan Beach, była zbyt zapracowana i zbyt wkurzona na Mydła, żeby odwiedzać go w więzieniu. Mama Mydła nie tolerowała głupoty i pecha.

Starsza siostra Mydła, Becka, była jedyną osobą z rodziny, która odwiedziła go w więzieniu. Becka była aktorką-kelnerką, która swego czasu wystąpiła w niskobudżetowym filmie o zombie. Mydło obejrzał go raz i nie był pewien, co jest bardziej osobliwe: oglądanie własnej siostry nago czy oglądanie własnej nagiej siostry, którą pożerają zombie. Becka była prawie tak ładna, że mogłaby wystąpić w

randkowym programie telewizyjnym, ale nie miała dość oryginalnej urody lub wystarczająco smutnego wyrazu twarzy, by wziąć udział w programie o poprawianiu wizerunku. Zawsze powiadamiała o swoich planach z wyprzedzeniem, żeby mama mogła kupić jej bilet w obie strony, aby mogła pojechać do Mydła do więzienia. Mydło doszedł do wniosku, że miał być dla Becki przykładem: znajdź porządną pracę i trzymaj się jej albo skończysz w pudle jak twój brat.

Becka mogła uchodzić za przeciętną w L.A., ale przeciętna dziewczyna z L.A. jest Królową Marsa w sali widzeń federalnego zakładu karnego w Północnej Karolinie. Chłopaki wciąż wypytywali Mydła, kiedy zobaczą jego siostrę w telewizji.

Mama Mydła była właścicielką butiku w samym Manhattan Beach. Nazywał się „Pływak”. Becka i Mydło przezywali go „Umyj Usta”. Sprzedawano w nim mydła i szampony - nic więcej. Miały one pachnieć jak jedzenie. W rzeczywistości jednak pachniały jak te świece, które mają niby pachnieć jak jedzenie, a które tymczasem pachną jak odświeżacze powietrza zwisające z lusterek wstecznych taksówek bądź kradzionych samochodów. Spoglądasz w lustro - czujesz truskawki. Wyjeżdżasz z bramy - pachnie odświeżaczem powietrza, jakiego Mydło i Becka użyli po przypaleniu garnka, żeby zabić woń spalenizny, nim matka wróci do domu.

Kiedy Mydło i Becka chodzili do szkoły średniej, kupili pewnego razu kostkę toaletową pachnącą miętą. Wyjęli ją z opakowania i włożyli do fantazyjnego pudełka z bibułą i wstążeczką. Mydło wręczył je matce na Dzień Matki. Wmówił jej, że to mydło pumeksowe do ścierania stóp. Mydło lubił mydło, które pachniało jak mydło. Jego mama wiecznie przysyłała paczki pełne mydeł, które pachniały jak oliwa z oliwek, gorzka pomarańcza, mięta, brązowy cukier, martini albo pieczona pianka ślazowa.

W więzieniu nie wolno było mieć mydła. Jeśli włożyło się kostkę mydła do skarpety, można było przyłożyć komuś w łeb. Można było kogoś sprać. Ale Becka dogadała się ze strażnikami z pokoju odwiedzin, a strażnicy z pokoju odwiedzin dogadali się ze strażnikami z pokoju wydawania poczty. Mydło rozdawał mydła swojej matce po całym więzieniu. Każdemu, kto tylko je chciał. Okazało się, że każdy chce mydło, które pachnie jak jedzenie: pracownicy opieki społecznej i strażnicy więzienni, handlarze narkotyków i mordercy, a nawet ludzie, których nie było stać na porządnych adwokatów. Nic dziwnego, że butik mamy tak świetnie prosperował.

Kiedy Mydło odsiadywał wyrok, Becka przechowywała mu jego obraz. Czasami, kiedy przyjeżdżała w odwiedziny, prosił ją, żeby przywiozła go ze sobą. Kazał jej obiecać, że nie da go mamie, ani nie odda w zastaw za pieniądze na czynsz. Przechowa

go pod łóżkiem, gdzie będzie bezpieczny dopóty, dopóki kot jej koleżanki z pokoju nie wlezie tam ukradkiem. Becka obiecała, że w razie pożaru albo trzęsienia ziemi w pierwszej kolejności ocali obraz. Nawet zanim uratuje koleżankę albo jej kota.

Carly prowadzi Willa do sypialni. Wisi w niej wielki obraz kwiecistego ogrodu, a pod nim stoi olbrzymie łoże, które pokrywają sukienki. Sukienki poniewierają się również po podłodze.

- Stąd możesz zadzwonić do swojego taty - informuje Carly. - Wrócę za chwilę i przyniosę jeszcze browca. Masz ochotę?

- Czemu nie? - odpowiada Will. Czeka, aż dziewczyna wyjdzie z pokoju, po czym dzwoni do taty. Kiedy tamten podnosi słuchawkę, mówi: - Cześć, tato, jak leci?

- Junior! - cieszy się tato. - Co u ciebie?

- Nie obudziłem cię? Która tam teraz godzina? - pyta Junior.

- Nieważne - mówi tato. - Siedziałem właśnie nad układanką. Nie ma obrazka na pudełku. Zdaje mi się, że to lemury. A może binturongi.

- Nic specjalnego - stwierdza Junior. - Trzymam się z dala od kłopotów.

- Świetnie - chwali go tato. - Znakomicie.

- Zastanawiałem się nad tym, o czym rozmawialiśmy. Że któregoś dnia mógłbym cię odwiedzić, co?

- Jasne. - Tato zawsze pała entuzjazmem do pomysłów Juniora. - Byłoby świetnie. Wyrwij się z tego posranego kraju, póki jeszcze możesz. Odwiedź swojego staruszka. Zabawimy się jak ojciec i syn. Poskaczemy na bungee.

Do pokoju wkracza dziewczyna w sukni w plastikowe kwiatki. Zdejmuje ją i rzuca na łóżko. Wchodzi do szafy ściennej, a po chwili wychodzi z niej, trzymając w ręku suknię uszytą z czarnych i fioletowych piór. Wygląda ona jak strój, który po pracy mogłaby nosić tancerka w Las Vegas.

- Jakaś dziewczyna przyszła tu i zrzuciła ciuchy - informuje tatę Junior.

- No to pozdrów ją ode mnie - mówi tato i odkłada słuchawkę.

- Mój tato cię pozdrawia - mówi Junior do owej nagiej dziewczyny. A po chwili dodaje: - Mój tato i ja mamy do ciebie pytanie. Czy niepokoją cię czasem zombie? Masz plan awaryjny na wypadek ich ataku?

Dziewczyna tylko się uśmiecha, jakby uznała, że to dobre pytanie. Wkłada inną sukienkę. Wychodzi. Will dzwoni do siostry, ale Becka nie odbiera komórki. Więc zbiera wszystkie suknie i wchodzi do szafy. Wieszka je. Ludzie po sobie sprzątajają.

Zombie nie.

Zdaniem Willa zombie ciągną do przedmieść tak samo jak tornada ciągną do pól kempingowych. Może to ze względu na te wszystkie okna. Może domy na przedmieściach mają ich zbyt wiele, a to doprowadza zombie do szału.

Gdyby pojawiły się tego wieczoru, Will zabarykadowałby drzwi sypialni ciężką, dębową toaletką. Pozwoliłby nagiej dziewczynie wejść pierwszej. Carly też. Cała trójka zrobi liny, związując ze sobą wszystkie te suknie, i ucieknie przez okno. Może zdołaliby zrobić skrzydła z tej z piór i odlecieć? Will mógłby zostać Ptasznikiem z podmiejskiego Alcatraz.

Will zagląda pod łóżko tylko po to, żeby się upewnić, że nie ma pod nim żadnych zombie ani walizek, ani tego schlanego gościa z dołu.

Pod łóżkiem leży czarny chłopczyk w pizamce z Supermanem i śpi zwinięty w kłębek.

Kiedy Becka była mała, trzymała pod łóżkiem walizkę. Było w niej mnóstwo rzeczy, które należało ocalić w razie trzęsienia ziemi bądź pożaru. Dodatkową funkcją walizki było to, że zajmowała część owej niebezpiecznej, ciemnej przestrzeni pod łóżkiem, która mogła zostać zamieszkała przez potwory albo nieboszczyków. W walizce Becka trzymała świeczkę w kształcie smoka, którą nabyła za urodzinowe pieniądze w centrum handlowym, a której potem nie chciała spalić, ceramicznego pieska, kilka ulubionych wypchanych zwierzaków, należąca do mamy bransoletkę z breloczkiem, album ze zdjęciami, Czarnego Królewicza i wiele innych książek o koniach. Raz na jakiś czas Becka i jej braciszek wywlekali walizkę spod łóżka i przetrząsali jej zawartość. Becka wyjmowała jedne rzeczy, a wkładała inne. Zawsze, gdy braciszek pomagał jej w tej czynności, czuł się szczęśliwy i bezpieczny. Gdyby wydarzyło się coś niedobrego, trzeba ratować, co się da.

Sztuka współczesna to strata czasu. Kiedy zjawią się zombie, na nic zdadzą się artystyczne rozterki. Sztuka jest dla ludzi, którzy nie martwią się z powodu zombie. Prócz zombie oraz gór lodowych istnieją inne rzeczy, o których rozmyśla Mydło. Tsunami, trzęsienia ziemi, nazistowscy dentyści, śmiercionośne pszczoły, mrówki wędrownie, czarna ospa, starzy ludzie, prawnicy od rozwodów, dziewczęta z elitarnych stowarzyszeń studentek, Jimtyn Carter, olbrzymie kalmary, wściekłe lisy, dziwne psy, prezenterzy wiadomości, dziecięcy aktorzy, faszyci, osoby cierpiące na narcyzm,

psycholodzy, mordercy posługujący się siekierami, nieodwzajemniona miłość, przypisy, zeppelin, Duch Święty, katolicy księża, John Lennon, nauczyciele chemii, rudowłosi mężczyźni z brytyjskim akcentem, bibliotekarze, pająki, książki przyrodnicze zawierające ich fotografie, ciemność, nauczyciele, baseny, inteligentne dziewczyny, ładne dziewczyny, zamożne dziewczyny, rozgniewane dziewczyny, wysokie dziewczyny, miłe dziewczyny, dziewczyny dysponujące nadprzyrodzonymi mocami, gigantyczne jaszczurki, faceci, którzy okazują się narkoleptykami, rozgniewane małpy, reklamy produktów higienicznych dla kobiet, sitkomy o kosmitach, przedmioty pod łóżkiem, soczewki kontaktowe, ninja, performerzy, mumie, samozapłon. W różnych momentach swojego życia Mydło bał się wszystkiego. Odkąd trafił do więzienia, zrozumiał, że nie musi się bać. Musi tylko wymyślić plan. Być przygotowanym. Tak jak skauci, tyle tylko, że trzeba być przygotowanym jeszcze bardziej. Trzeba się przygotować na to, na co skauci się nie przygotowali, czyli praktycznie na wszystko.

Mydło to też strata czasu. Co komu po mydle w razie ataku zombie? Niekiedy Mydło wyobraża sobie, jak zostaje osaczony w butiku matki. Zombi wracają z surfowania, ociekają wodą i są diabelnie głodne, a przy tym zawsze takie kurewsko powolne, wloką się beznadziejnie przez piaski Manhattan Beach. Mydło zabarykadował się w „Pływaku” wraz ze swoją matką oraz japońskimi turystami o blond włosach wyposażonymi w deski surfingowe.

- Zrób coś, słoneczko! - błaga matka. Więc Słoneczko rozlewa wodę po całej podłodze. Są tam deski surfingowe, pod ladą znajduje się kij bejsbolowy oraz kilka rolek ćwierćdolarówek, ścianę zdoła miecznik, ale Słoneczko dochodzi do wniosku, że do zadawania razów najlepiej nadaje się kasa. Każe japońskim turystom stanąć na czworaka i rozcierać mydło po całej podłodze. Kiedy zombie w końcu wedrą się do „Pływaka”, matka i turyści mogą schować się za ladą. Zombie poślizną się na podłodze, a Słoneczko będzie grzmocił ich kasą po łbach. Będzie dokładnie tak jak w musicalu *Busby Berkeley* z udziałem zombie.

- Co tam? - rzuca Carly. - Jak tato?

- W porządku - odpowiada Will. - Nie licząc tej operacji na otwartym sercu. Poza tym ma się dobrze. Właśnie zajrzałem pod łóżko, fest tam jakiś maluch.

- Ach, on - wzdycha Carly. - To braciszek. Mojej kumpeli. *Le bro de mon ami*.

Opiekuję się nim. Lubi spać pod łóżkiem.

- Jak się nazywa? - podpytuje Will.

- Leo - informuje Carly. Podaje Willowi piwo i siada obok niego na łóżku. - No więc opowiedz mi o tym więzieniu. Co takiego zrobiłeś? Mam się ciebie bać?

- Raczej nie - stwierdza Will. - To niedobrze bać się różnych rzeczy.

- To powiedz mi, co przeskrobałeś - dopytuje się Carly. Czeka tak donośnie, że Will jest zdumiony tym, iż mały pod łóżkiem się nie budzi. Leo.

- Świetna impreza - przyznaje Will. - Dzięki, że zechciałaś poświęcić mi trochę czasu.

- Ktoś właśnie zrzygał się przez okno salonu. Ktoś inny prawie zwymiotował do basenu, ale w samą porę go odciągnęłam. Jeżeli ktoś zapaskudzi fortepian, będę miała przechlapane. Nie da się wymyć rzygowin spomiędzy klawiszy.

Will uznaje, że Carly mówi to tak, jakby znała się na rzeczy. Są dziewczyny, które całymi latami biorą lekcje gry na fortepianie, są też takie, które uczyły się grać, a przy tym wiedzą, jak zorganizować imprezę i powycierać rzygi spomiędzy klawiszy. Jest coś zmysłowego w dziewczynie, która potrafi grać na fortepianie, i klawiszach, które kleją się bez żadnego konkretnego powodu. Will nie posiada żadnego planu awaryjnego na wypadek ataku zombie, który wiązałby się z fortepianem, co sprawia, że robi mu się niedobrze. Jak mógł zapomnieć o fortepianach?

- Pomogę ci sprzątać - deklaruje Will. - Jeśli chcesz, - Nie musisz aż tak bardzo się starać, wiesz? - wyznaje Carly. Wpatruje się w niego, jak gdyby po twarzy chodził mu pająk albo miał jakiś ciekawy tatuaż, jakieś słowo wypisane do góry nogami w obcym języku, które chciałaby zrozumieć. Will nie ma tatuaży. Jeśli o niego chodzi, tatuaże są jak sztuka, tylko jeszcze gorsze.

Will też na nią patrzy.

- Kiedy byłem na takiej jednej imprezie pod Kansas City - mówi - słyszałem historię o jednym małolacie, który urządzał mnóstwo imprez, kiedy jego starzy byli na wakacjach. Tuż przed tym, zanim wrócili, dotarło do niego, że dom jest potwornie zdemolowany, więc spalił go w cholerę. - Ta historia zawsze rozśmiesza Willa. Co za bęcwał z tego małolata.

- Chcesz mi pomóc spalić dom mojej kumpeli? - pyta Carly. Uśmiecha się, jakby opowiedział dobry kawał. Fajny z niego gość. - Która to godzina? Druga? Skoro już druga, to musisz mi opowiedzieć, w jaki sposób trafiłeś do pudła. To taka zasada. Znamy się przynajmniej od godziny, jest już późna noc, a ja ciągle nie wiem, za co

siedziałeś, chociaż wiem, że chcesz mi powiedzieć, bo inaczej nie wspomniałbyś o tym ani słowem. Czy to, co zrobiłeś, było aż takie złe?

- Nie. Właściwie to tylko potwornie głupie - wyjaśnia Will.

- Nie szkodzi - stwierdza Carly. - No powiedz. Bardzo proszę.

Odsuwa na łóżku kołdrę i wsuwa się pod nią, po czym przykrywa się po samą brodę. Dobranoc, Carly. Dobranoc, boskie cycki Carly.

Był bardzo mały i odległy, nawet wówczas, gdy patrzyło się na niego z bardzo bliska. Mydło stwierdził, że przedstawia drzewa. Las. Mike doszedł do wniosku, że to góra lodowa.

Kiedy Mydło myśli o zombie, dochodzi do przekonania, że nie ma takiego miejsca, do którego można uciec, gdzie go nie znajdą. Nawet w bajkach, które czytała mu kiedyś Becka. Ali Baba i czterdziestu zombie. Otwarci Zombie. Królowna Śnieżka i siedmiu maleńkich zombie.

Do każdego miejsca, jakie przychodzi Willowi do głowy, zombie wedrą się wcześniej czy później. Wyobraża je sobie wszystkie jako obrazy w galerii, ponieważ dopóki jakieś miejsce jest tylko obrazem, nic mu nie grozi. Pejzaże oprawione w ramy, które powstrzymują je przed wycieknięciem na zewnątrz. Powstrzymują zombie przed wdarciami się. Kurort narciarski latem, wszystkie te samotne gondole. Platforma wiertnicza nocą na morzu. Muzeum Historii Naturalnej. Rezydencja „Playboya”. Wieża Eiffla. Matterhorn. Dom Davida Lettermana. Pałac Buckingham. Kręgielnia. Pralnia samoobsługowa. Umieszcza się na obrazie kwiatowego ogrodu, który wisi nad łóżkiem, na którym siedzą razem z Carly, jest słonecznie i ciepło, bezpiecznie i pięknie. Ale gdy tylko znajdzie się na obrazie, jak zawsze pojawiają się zombie. Stacja kosmiczna. Nowa Zelandia. Idzie o zakład, że jego tato uważa, iż w Nowej Zelandii nic mu nie grozi ze strony zombie, ponieważ jest na wyspie. Jego tato to idiota.

Ludzie wciąż malują drzewa. Wszelkiego rodzaju. Sztuka to coś, co ma przedstawiać takie rzeczy, jak drzewa. Albo góry lodowe, choć więcej jest obrazów drzew niż gór lodowych, więc Mike nie wie, o czym mówi.

- Nie siedziałem w więzieniu zbyt długo - wyznaje Mydło. - To, co zrobiliśmy z Mikiem, nie było aż takie złe. Nie wyrządziliśmy nikomu krzywdy.

- Nie wyglądasz na gościa, który robi ludziom krzywdę - przyznaje Carly. A kiedy Mydło się jej przygląda, robi wrażenie grzecznego dziecka. Miła dziewczyna z ładnymi cyckami. Ale Mydło wie, że nie należy oceniać po wyglądzie.

Mydło i Mike mieli zostać bogaci, kiedy tylko skończą college. Obaj mieli już wszystko opracowane. Planowali uruchomić rewelacyjną stronę internetową, gdy tylko wykombinują, o czym będzie i jak ją nazwać. Kiedy siedzieli w więzieniu, postanowili, że powinna być to strona o zombie. Byłoby to zajęcie odłotowe.

Głodnyzombie.com, samotnyzombie.com, nagizombie.com, ozenilessiezzombie.com, zombieplanawaryjny.com, witrynazywychtrupow.com - to zaledwie kilka nazw, jakie wymyślili. Zdaniem Willa ludzie wejdą wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi zombie.

Na stronę będą wchodzić różni fajni ludzie i zawierać przyjaźnie. Będą rozmawiać o starych horrorach albo o swoich okropnych dorywczych pracach. Będą komiksy i koncerty. Będą reklamy, sponsorzy, umowy z branżą filmową. Mydło będzie mógł pozwolić sobie na sztukę. Pokupuje Picassy i Vermeery oraz oryginalną sztukę komiksową. Kobietom będzie stawiał drinki. Boskim, biseksualnym, bionicznym kobietom o imionach nie do wymówienia i dziwacznych zwyczajach łóżkowych.

Tyle tylko, że zanim Mydło, Mike i reszta ich kumpli skończyli szkołę, było już po wszystkim. Nikogo nie obchodziło, czy masz stronę internetową. Bo wszyscy je mieli. Nikt nie miał zamiaru dawać ci za to pieniędzy.

Wielu było takich, którzy wiedzieli, jak robić to, czego nauczyli się Mydło i Mike. Wyszło na to, że rodzice Mydła i Mike'a zapłacili kupę forsy za naukę tego, co każdy już potrafił.

Mike miał dziewczynę imieniem Jenny. Mydło lubił Jenny, ponieważ się z nim droczyła, ale właściwie Jenny jest nieistotna w niniejszej historii. Nie miała zamiaru nigdy się w nim zakochać, a Mydło wiedział o tym. Istotne jest to, że Jenny pracowała w muzeum, toteż Mydło i Mike zaczęli bywać na muzealnych imprezach, ponieważ dostawało się krakersy z serem brie, wino i martini. Darmowe żarcie. Wystarczyło tylko wskoczyć w gajer i słuchać, jak ludzie nawijają o sztuce, hipotekach i swoich dzieciach. Bywało tam sporo starszych kobiet, które przypominały Mydłu jego matkę, a przy tym było jasne, że Mydło przypomina im synów. Nigdy nie było jasne tylko to, czy owe kobiety flirtowały z nim, czy też potrzebowały porady w sprawach, w których nawet one nie bardzo widziały, o co chodzi.

Pewnego ranka w więzieniu, Mydło obudził się i zrozumiał, że była to prawdziwa okazja, a on nawet jej nie dostrzegł. Mogli przecież z Mikiem założyć stronę internetową dla starszych kobiet z wyższej klasy średniej o solidnej etyce pracy, i zagubionych, sfrustrowanych dorosłych dzieci z licencjatami, ale bez pracy. To było lepsze od zombie. Mogliby nawet działać coś pożytecznego.

- Dobra - mówi Will. - Powiem ci, jak trafiłem do paki. Ale najpierw musisz mi powiedzieć, co byś zrobiła, gdyby na twojej imprezie zjawili się zombie. Dziś w nocy. Każdego o to pytam. Każdy ma jakiś plan awaryjny na wypadek ataku zombie.

- Chodzi ci jak ze szkołą? Na wypadek, gdybyś się nie dostał do tej, do której chcesz? - pyta Carly. Rozchyła powiekę, palcem dotyka gałkę oczną i wyciąga soczewkę kontaktową. Kładzie ją na znajdującym się przy łóżku stoliku. Nie wyjmuje drugiej soczewki. Może akurat to oko nie swędzi. - No więc tak naprawdę nie mam zielonych oczu. Ale nawiasem mówiąc, piersi są prawdziwe. Nie oglądam zbyt wielu horrorów. Mam po nich koszmary. Leo lubi takie rzeczy.

Will siedzi na drugim końcu łóżka i przygląda się jej. Carly zastanawia się nad pytaniem. Może podoba jej się to, jak wygląda świat przez jedną zieloną soczewkę kontaktową;

- Moi starzy trzymają gnata w lodówce. Pewnie poszłabym po niego i wystrzelała tych zombie. A może schowałabym się w szafie mamy? Za wszystkimi jej butami i innymi rzeczami? Darłabym się wniebogłosy. Krzyczała o pomoc. Zadzwoiłabym na policję.

- W porządku - mówi Will. - Tylko się zastanawiałem. A co z twoim braciszkiem? Jak byś go broniła?

Carly ziewa, jakby w ogóle nie zaimponowała jej domyślność Willa, ale sam Will widzi, że jest inaczej. Na dodatek jest też śpiąca.

- Spryciarz z ciebie, Will. Od początku wiedziałeś, że to moja chata. Wiedziałeś, że Leo jest moim bratem. Aż tak kiepsko kłamię?

- No - przyznaje Will. - Nad toaletką twoich rodziców jest wasze zdjęcie.

- Spoko - mówi Carly. - To jest sypialnia moich starych. Siedzą we Francji i składają rowery, i zostawili mnie tu z Leo. Więc zrobiłam imprezę. Będą mieli nauczkę, jak ktoś im podpali chałupę.

- Mam wrażenie, że od dawna się znamy - stwierdza Will. - Chociaż dopiero co się poznaliśmy. Na przykład wiedziałem, że naprawdę nie masz zielonych oczu.

- W sumie to nie znamy się za dobrze - przyznaje Carly. - Próbuję cię lepiej poznać. Założę się, że nie wiedziałeś, że pewnego dnia chcę zostać prezydentem.

- Założę się, że nie wiesz, że sporo rozmyślałam o górach lodowych, chociaż nie tak wiele, jak o zombie - wyznaje Will.

- Chciałabym mieszkać na górze lodowej - stwierdza Carly. - I chciałabym też zostać prezydentem. Może udałoby mi się jedno i drugie. Byłabym pierwszą czarną kobietą prezydentem, która mieszka na górze lodowej.

- Zagłosowałbym na ciebie - deklaruje Will.

- Will - mruczy Carly. - Nie masz ochoty położyć się koło mnie pod kołdrą? Czujesz się onieśmielony tym, że mam zamiar zostać kiedyś prezydentem? Boisz się kobiet, które są kompetentne i odnoszą sukcesy?

- Masz ochotę poflirtować - pyta Will - czy chcesz, żebym opowiedział ci, jak trafiłem do paki? Bramka A czy bramka B? Potrafię dobrze się całować, ale pod łóżkiem śpi Leo. Twój brat. - Jenny i Mike chodzili do muzeum, w którym pracowała Jenny i całowali się tam, ale Mydło nigdy jej nie pocałował. Kiedyś w college'u Mydło pocałował Mike'a. Obaj byli pijani. W więzieniu jedni mężczyźni całowali innych. Biali obmacywali się z czarnymi. Swego czasu Becka obmacywała się ze swoimi chłopakami na plaży, podczas gdy jej ukryty między wydmami brat podglądał. W filmie jeden zombie odgryzł jej wargę. Nikt nie chciałby całować się z zombie.

- Ma mocny sen - wyjaśniła Carly. - Więc może po prostu powiedz mi, co przeskrobałeś i od tego zaczniemy.

Mydło, Mike i paru kumpli byli na jednym z tych przyjęć w małym prywatnym muzeum, w którym pracowała Jenny. Popili sporo wina, a niewiele zjedli, nie licząc paru oliwek. Jenny była zajęta, toteż Mydło, Mike oraz ich kumple wyszli z galerii, w której wyłożono wino i ser, a gdzie docenci oraz bogacze poznawali się wzajemnie, po czym pomaszzerowali do innej części muzeum. Szli coraz dalej i dalej, ale nikt nie kazał im wracać, ani nie zjawiał się i nie pytał, co tam robią. W pozostałych galeriach było ciemno, więc ktoś podpuścił Mike'a, żeby zajrzał do jednej z nich. Chcieli sprawdzić, czy zadzwoni alarm. Mike wszedł do środka, ale alarm się nie odezwał.

Po nim do galerii wszedł Mydło. Wówczas nie nazywał się jeszcze Mydło. Miał na imię Arthur, ale wszyscy nazywali go Art*. Ha, ha! W galerii nie dało się niczego dojrzeć. Art poczuł się głupio, stojąc tak w ciemności, toteż wyciągnął przed siebie

* Art (ang.) - sztuka.

ręce i ruszył do przodu, póki pod palcami nie poczuł ściany. Trzymał przy niej dłonie i w ten sposób obszedł dookoła całe pomieszczenie. Co pewien czas jego palce natrafiały na ramy, więc przesuwał ręce do góry, do dołu i w bok, żeby się przekonać, jakich rozmiarów jest obraz. Obszedł całe pomieszczenie, póki nie znalazł się z powrotem przy drzwiach.

Potem wszedł ktoś inny. Tym, który wszedł do środka, a kiedy wyszedł, trzymał w rękach obraz, był Markson. Płótno miało mniej więcej metr na metr. Widok okrętu o wielu masztach i żaglach. Sporo drobnych błękitnych pociągnięć pędzla. Na pokładzie maleńcy ludzie - wyglądali na zapracowanych.

- Jasna cholera - jęknął Mike. - Markson, coś ty narobił?

Trzeba zrozumieć, że Markson był idiotą. Wszyscy to wiedzieli. A wówczas był dodatkowo pijanym idiotą, ale pozostali też byli nieźle wstawieni.

- Chciałem tylko zobaczyć, jak wygląda - wyjaśnił Markson. - Nie sądziłem, że jest taki ciężki. - Postawił obraz pod ścianą.

Nie odezwały się żadne alarmy. W galerii po drugiej stronie holu też było ciemno. Więc urządzili sobie zabawę. Każdy wchodził do jednej z galerii, poruszał się po niej po omacku i wybierał jakiś obraz. Potem wychodził, a wszyscy oglądali to, co wyniósł. Ktoś przyniósł Seurata. Komuś trafiła się Mary Cassatt. A komuś innemu Winslow Homer. Było sporo obrazów malarzy, których żaden z nich nie znał. Więc te się nie liczyły. Art wrócił do pierwszej galerii. Tym razem poruszał się powoli. Na ścianie były już puste miejsca. Przykładał ucho do niektórych obrazów. Odnosił wrażenie, że czegoś nasłuchuje, ale nie wiedział czego.

Wybrał bardzo mały obrazek. Kiedy go wyniósł do holu, zobaczył, że to obraz olejny. Rozmazana błękitnozielona masa, która mogła być wodą, jakąś postacią bądź drzewem. Widziany z bardzo daleka las. Coś powolnego i odległego. Nie potrafił odczytać podpisu artysty.

Mike trafił do innej galerii. Kiedy z niej wyszedł, okazało się, że ma obraz Picassa. Jakaś smutna, dziwaczna pani i jej smutny, dziwaczny piesek. Wszyscy byli zgodni, że Mike wygrał. A potem ten idiota Markson powiedział:

- Założę się, że nie dasz rady wyjść stąd z tym Picassem.

Czasami, kiedy znajduje się w domach, które do niego nie należą, Mydło czuje się źle. Nie powinien być tu, gdzie jest teraz. Wszędzie czuje się obco. Nikt tak naprawdę go nie zna. A gdyby go znali, nie lubiliby go. Zazwyczaj każdy wydaje się szczęśliwszy niż Mydło, a w dodatku jak gdyby wiedzieli coś, czego on nie wie. Powtarza sobie, że

wszystko będzie inaczej, kiedy pojawią się zombie.

- Zwinęliście Picassa? - zdumiewa się Carly.

- To był jakiś pomniejszy Picasso. Prawie żaden. Nie mieliśmy zamiaru go kraść - wyjaśnia Will. - Pomyśleliśmy po prostu, że byłoby śmiesznie wynieść go po cichu z muzeum Jenny i przekonać się, jak daleko z nim zajdziemy. Wyszliśmy z muzeum, ale nikt nas nie zatrzymał. Wsadziliśmy Picassa do samochodu i pojechaliśmy z powrotem do domu. Zabrałem też ten maleńki obrazek, żeby Picasso miał towarzystwo. Poza tym chciałem go sobie jeszcze trochę pooglądać. Włożyłem go pod płaszcz, pod pachę, a inni pomagali Mike'owi wymknąć się z przyjęcia tak, żeby nikt nie zauważył. Kiedy wróciliśmy, powiesiliśmy Picassa w salonie, a ja postawiłem ten mały obrazek w moim pokoju. Kiedy przyjechała policja, ciągle jeszcze byliśmy pijani. Jenny wyrzucili z pracy. My poszliśmy siedzieć. Markson i reszta zostali skazani na prace społeczne.

Milknie. Carly bierze go za rękę. Ściska ją. Mówi:

- To najbardziej zakręcona historia, jaką kiedykolwiek słyszałam. Czemu tak jest, że kiedy się spijesz, wszystko jest o wiele smutniejsze, zabawniejsze i prawdziwsze?

- Nie powiedziałem ci jeszcze o tym, co w tym wszystkim było najbardziej zakręcone - stwierdza Will. Nie potrafi opowiedzieć o tym, co było najbardziej niesamowite w tej historii, ale być może zdoła jej to pokazać.

- Opowiadałam ci o tym, że kiedyś byłam w klubie dyskusyjnym mojej szkoły? - pyta Carly. - To jest najbardziej zakręcona rzecz, jeśli chodzi o mnie. Lubię wdawać się w spory. Kojarzysz tego chłopaka z głową pod krzesłem? Skopałam mu tyłek w debacie na temat marihuany. Dosłownie mieszałam go z błotem. Will nie bierze już narkotyków. Czuje się po nich za bardzo tak, jakby był w muzeum. Wszystko wygląda wtedy jak sztuka, wszystko sprawia wrażenie, jakby za chwilę miały pojawić się zombie.

- Ci z muzeum powiedzieli, że nie ukradłem im tego obrazka - stwierdza. - Oświadczyli, że to nie ich, nawet kiedy wszystko wyjaśniłem. Powiedziałem prawdę, a wszyscy myśleli, że kłamię. Policja rozpytywała po okolicy, na wypadek, gdyby się okazało, że ja i Mike wykręciliśmy ten sam numer gdzie indziej, w jakimś innym muzeum, ale nikt się nie zgłosił. Nikt nie znał nazwiska tego artysty. Więc w końcu oddali mi go. Myśleli, że próbuję zrobić jakiś przekręt.

- I co się z nim stało? - ciekawi się Carly.

- Ciągłe go mam. Siostra mi go przechowała, kiedy siedziałem w pace - wyjaśnia Will. - Od dwóch lat, odkąd wyszedłem, próbuję znaleźć sposób, żeby się go pozbyć. Zostawiałem go w różnych miejscach, ale potem okazywało się, że nic z tego, nie potrafię go zostawić. Nieważne, jak bardzo się staram. Nie jest mój, ale nie mogę się go pozbyć.

- Moja kumpela, Jessica, robi coś, co nazywa podrzucaniem sklepowym - mówi Carly. - Jeśli dostanie od kogoś jakąś paskudną koszulkę na urodziny albo kupi książkę, która okazuje się marna, idzie do sklepu i zostawia koszulkę na wieszaku. A książkę na półce. Raz zabrała tę zwariowaną, złośliwą papużkę do obuwniczego i wsadziła ją do pudełka z butami. A co stało się z twoim przyjacielem? Mikiem?

- Wyjechał do Seattle. Założył stronę internetową dla byłych skazańców. Zebrał sporo funduszy. Wielu jest takich, którzy siedzieli w więzieniu. Potrzebują stron internetowych.

- Ładnie - kiwa głową Carly. - Coś jak szczęśliwe zakończenie.

- Mam ten obraz w samochodzie - mówi Will. - Chcesz go?

- Lubię Van Gogha - stwierdza Carly. - I Georgię O'Keeffe.

- Skoczę po niego - deklaruje Will. Schodzi na dół, zanim udaje się jej go zatrzymać. Carly prawdopodobnie myśli, że już nie wróci. Goście na tapczanie oglądają teraz czyjś ślub na wideo. Will zastanawia się, co by sobie pomyśleli, gdyby wiedzieli, że na górze w łóżku czeka na niego Carly. Dziewczyna, która wcześniej tańczyła, jest w kuchni z chłopakiem spod stołu. Dziewczyna w sukni leży na trawie. Nic nie robi, może za wyjątkiem patrzenia w gwiazdy. Przygląda się, jak Will podchodzi do swojego auta, otwiera bagażnik i wyjmuje niewielki obraz. Zza domu dobiegają Willa odgłosy ludzi w basenie. Od dawna nie czuł się tak przepelniony spokojem. Zupełnie jak w początkowych scenach horroru, zanim zaczną się wszystkie te paskudne rzeczy. Will wie, że czasami nie powinno się ich oczekiwać. Czasami powinno się po prostu słuchać dokazujących w basenie ludzi. Ludzi, których nie widać. Noc i księżyc, dziewczyna w sukni. Przez chwilę Will stoi na trawniku z obrazem pod pachą i żałuje, że nie ma tu z nim Becki. Albo Mike'a.

Will zanosi obraz na górę do sypialni rodziców Carly. Gasi światło i budzi ją. Płakała przez sen.

- Popatrz - mówi.

- Will? - przeciera oczy Carly. - Zgasileś światło. Czy to ocean? Wygląda jak ocean.

Przecież niczego nie widać.

- Pewnie, że widać - stwierdza Will. - Świeci księżyc.

- Mam tylko jedną soczewkę - przypomina Carly.

Will stoi na łóżku i zdejmuje obraz ogrodu z haczyka. Jak to możliwe, że obraz jakichś kwiatów jest taki ciężki? Stawia go przy łóżku i zawiesza ten, który przyniósł z samochodu. Góra lodowa, zombie, leśna gęstwina. Jakaś niewyraźna, nierozpoznawalna rzecz. W jaki sposób można stwierdzić, co to takiego? Czasami sprawia to, że ma ochotę umrzeć.

- Proszę bardzo - mówi. - Jest twój.

- Piękny - przyznaje Carly. Willowi wydaje się, że dziewczyna znów płacze.

- Will? - mówi. - Położysz się koło mnie? Tylko na chwilę.

Co pewien czas Mydło śni ów sen. Nie ma pewności, czy jest to sen o więzieniu, o sztuce, czy o zombie. Może jest on o czymś zupełnie innym. Śni mu się, że znajduje się w ciemnym pokoju. Czasami jest on ogromny, bardzo długi i wąski. Niekiedy są w nim ludzie, w milczeniu opierają się o ściany. Potrafi ocenić, jak duży jest pokój i czy są w nim ludzie jedynie wówczas, gdy wyciąga przed siebie ręce i posuwa się do przodu. Nie ma pojęcia, co tu robią razem z nim. Nie ma też pojęcia, co powinien zrobić. Niekiedy pokój jest bardzo mały. Panuje w nim ciemność. Mrok.

- Hej, mały. Hej, Leo. Wstawaj, Leo. Musimy iść. - Mydło leży na podłodze obok łóżka, w dłoni trzyma falbanę prześcieradła. Musi mówić szeptem. Pod kołdrą, na tym zbyt dużym łóżku śpi Carly.

Leo wyprostowuje się. Obraca się do Willa. Po chwili z powrotem odwraca się od niego. Ma sześć, może siedem lat.

- Kim jesteś? - pyta. - Gdzie jest Carly?

- Musisz być bardzo, bardzo cicho, zostać pod łóżkiem i robić dokładnie to, co ci powiem. W domu są zombie. W domu grasują wyżerające mózgi zombie. Musimy przedostać się w bezpieczne miejsce. Musimy iść po Carly. Potrzebuje nas. - Leo wyciąga przed siebie rękę. Mydło łapie go za nią i wyciąga spod łóżka. Bierze go na ręce. Leo mocno trzyma się Willa. Nie waży wiele, ale jest bardzo ciepły. Małe dzieci mają szybki metabolizm.

- Zombi ścigają Carly? - pyta Leo.

- Zgadza się - mówi Mydło. - Muszę iść ją uratować.

- Mogę zabrać mojego robota?
- Już go włożyłem do samochodu - informuje Will. - I twoją koszulkę z dinozaurem i piłkę do kosza.
- Jesteś Wolverinem?
- Zgadza się - potwierdza Wolverine. - Jestem Wolverinem. Zabierajmy się stąd.
- Mogę zobaczyć twoje pazury? - prosi Leo.
- Nie teraz - odpowiada Wolverine.
- Muszę najpierw do ubikacji, zanim pójdziemy - przyznaje się Leo.
- No dobra - mówi Wolverine. - To świetny pomysł. Jestem z ciebie dumny, że mi o tym powiedziałeś.

Oto kilka rzeczy, które można wypróbować na zombie, ale które nie odniosą skutku:

Panikować.

Nie panikować. Zachować spokój.

Telefonować na policję.

Zaprosić je na kolację. Upić je.

Proponować, żeby wpadły później.

Ignorować je.

Zabrać je do domu.

Opowiedzieć im kawał. Grać z nimi w gry planszowe.

Wyznać, że się je kocha.

Ratować je.

Wolverine i Leo mają plecak. Wkładają do niego pudełko płatków śniadaniowych Cheerios, kilka bananów, broń rodziców Carly, Grę Boya oraz baterie, a także zapinaną na zamek torebkę foliową pełną banknotów dwudziestodolarowych pochodzącą z szafy w sypialni właścicieli domu. W telewizji leci nocny horror, ale nie ma nikogo, kto by go oglądał. Siedząca na trawie dziewczyna w sukni - zniknęła. Jeśli jest jeszcze ktoś w basenie, zachowuje się cicho.

Wolverine i Leo wsiadają do samochodu Wolverine'a i odjeżdżają.

Carly śni, że jest Prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki. Mieszka w Białym Domu - okazuje się, że jest on zbudowany z lodu. Bardziej przypomina Biało-Zielono-Błękitnawy Dom. Wszyscy mają na sobie wielkie futra, a kiedy Prezydent Carly

wygłasza prezydenckie orędzie, widzi, jak z ust ulatuje jej para. Wszystkie jej słowa wiszą w powietrzu. Spędza czas z gwiazdami rocka i laureatami Nagrody Nobla. To cudowny sen. Carly ma ocalić świat. Wszyscy ją kochają, nawet jej rodzice, którzy są z niej niezwykle dumni. Kiedy się budzi, pierwszą rzeczą, jaką spostrzega - nim spostrzega wszystkie inne rzeczy, jakich brakuje, z wyjątkiem owego olejnego obrazu lasu, w którym nikt nie mieszka, nikt go nie namalował i nikt nie ukradł - jest puste miejsce na ścianie sypialni, tuż nad łóżkiem rodziców.

WIELKI ROZWÓD

Żył raz pewien człowiek, którego żona była martwa. Była martwa, kiedy się w niej zakochał, jak też podczas owych dwunastu lat, jakie wspólnie spędzili, podczas których urodziła mu trójkę dzieci, wszystkie również martwe. A w okresie, o którym tu mówię, kiedy zaczął podejrzewać ją o romans, wciąż pozostawała martwa.

Dopiero w przeciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci żywi zaczęli zawierać związki małżeńskie z umarłymi, choć nadal nie jest to powszechna praktyka. Natomiast rozwody z nieżyjącymi zdarzają się jeszcze rzadziej. Częściej bywa tak, iż żyjący mąż - bądź żona - który żałuje tego, że wstąpił w związek małżeński, przestaje się przyznawać do mimo wszystko mizernej obecności swej małżonki. Bigamia nie stanowi problemu, kiedy czyjaś pierwsza żona jest martwa. Zresztą nie musi się to nawet nazywać bigamią. Niemniej jednak, gdy w grę wchodzi dzieci, rozwiązanie mieszanego małżeństwa staje się kłopotliwe. Trzydzieści lat po tym, gdy poznali się na koktajlu w domu słynnej medium i swatki, której sylwetkę omówiono na łamach tygodnika „The New Yorker”, a przeciw której również protestowały konserwatywne ugrupowania religijne, stało się jasne zarówno dla Alana Robley'a (żywy), jak i Lawie Tyler (zmarła), że istnieją losy gorsze od śmierci. Ich małżeństwo było martwe niczym klamka u drzwi.

W każdym razie tak właśnie ujął to Alan Robley.

Dzieci Alana i Lawie Robley-Tylerów zakomunikowały swemu ojcu za pomocą planszety oraz tabliczki ouija chęć podróży do Disneylandu. Wszak rozwód zwykle najbardziej dotkliwy jest dla dzieci, a ponieważ Disneyland oferował w owym czasie wyjątkowe zniżki dla umarłych, ich medium zgodziła się spotkać z Alanem Robley'em oraz jego małżonką na terenie parku, który znajdował się zaledwie piętnaście minut jazdy od jej domu, o ile Alan Robley-Tyler, oprócz zwyczajowego wynagrodzenia, zapłaci za jej bilet wstępu. Poza tym, medium nieodmiennie uwielbiała przyglądać się, jak osoby odwiedzające parki rozrywki stoją w długich, zdyscyplinowanych kolejkach. Widok ten przepelniał je dobrym samopoczuciem.

Medium nazywała się Sarah Parminter. Jej ruchy były oszczędne: szybkie i osobliwie pozbawione wdzięku. Alan Robley przypuszczał, że przyczyną tego jest fakt, iż wciąż widzi tłoczących się wokół niej umarłych. On sam nabrał zwyczaju poruszania się powoli, kiedy wracał do domu z pracy, ażeby niechcący nieoczekiwanie nie przydepnąć kogoś lub nie przejść na wylot przez swoją żonę bądź jedno z trojga dzieci. Dla nieżyjących ukazywanie się żywym stanowi nie lada wysiłek, toteż małżeństwa mieszane korzystają z wydzielonych martwych przestrzeni: miejsc na podłodze oraz meblach, które zostały oznaczone specjalną czerwoną taśmą, czerwonymi płytkami bądź łatkami czerwonej tkaniny. (Dzieci żywych i martwych najczęściej dziedziczą po swoich nieżyjących rodzicach. Życie, podobnie jak rude włosy oraz niebieskie oczy, jest genem recesywnym.)

Alan Robley-Tyler pragnął głębszej, mniej skomplikowanej więzi ze swoimi dziećmi. Chciał je lepiej poznać. Kto by nie chciał?

Sarah Parminter i Alan usiedli na niewygodnej ławce pod różową bugenwillą. Cała trójka dzieci Robley-Tylerów zignorowała znak głoszący: MUSISZ MIEĆ TYLE WZROSTU. Życie w mieszanej rodzinie posiada pewne zalety. Zwykłe zasady nie obowiązują. Ich matka, Lawie, siedziała w koronie bugenwilli nad ławką, strząsając w dół przypominające kawałeczki papieru kwiatki. Nie kocha. Nie kocha. Niczym maleńkie latarenki zwisały one z przydługich włosów Alana oraz krawędzi jego kołnierzyka. Nie zwracał na nie uwagi. Lawie dopuszczała się jeszcze gorszych rzeczy. Kiedyś uznawał jej zachowanie urocze.

Lawie Tyler dopełniła swego żywota na przełomie wieków. Miała wówczas dwadzieścia dwa lata i była niezamężna. Zmarła na gruźlicę. Nawet po śmierci wciąż miała dreszcze i kaszlała po cichu, toteż bugenwilla trzęsła się wraz z nią. Była równocześnie starsza i młodsza od swego męża. Małżeństwo oraz przyjście na świat ich trojga dzieci jeszcze bardziej obnażyły ten fakt.

- Alan, wyjaśnij mi to jeszcze raz - poprosiła Sarah Parminter.

- Mówisz, że ty i Lawie sporo, o tym rozmawialiście. Zgadzasz się, że istnieją między wami różnice nie do pogodzenia. Twierdzisz, że oboje tego chcecie. Rozvodu.

- Zgadza się - odparł Alan. Odwrócił wzrok. Miał na sobie kosztowną koszulę w odcieniu czerwieni, który nieżyjący rzekomo uważają za atrakcyjny. Usta umalowane miał szminką w tym samym kolorze, której tłuste drobinki znajdowały się na jego przednich zębach. Czerwony lakier do paznokci. Bez wątpienia podeszwy jego butów również były czerwone. Czy pomimo trapiących ich związek trudności, stroił się tak

dla Lawie, czy też dla dzieci? Żeby przyciągać je w pobliże? Sarah poczęła się zastanawiać, dlaczego żywi, którzy są przecież o wiele bardziej namacalni od martwych, tak często bywają zmienni i kłamliwi. Starła się nie żywić uprzedzeń. Lecz martwi byli tacy piękni, niezmienni i perfekcyjni niczym arkusze kaligrafii. Należeli do niej, choć powtarzała sobie, że podobne odczucia są czymś zgoła niewłaściwym.

- Lawie twierdzi, że to twój pomysł, nie jej - oznajmiła Sarah.

- To właśnie mi powiedziała. Mówi, że były trudności. Przyznaje to. Twierdzi, że dzieci pochłaniają większość jej czasu. Mówi, że wasze życie uczuciowe ucierpiało. Mówi, że miały miejsce kłótnie. Potłuczone naczynia, lodowata cisza, napady okropnego płaczu. Zdaje sobie sprawę z tego, że jest kobietą o trudnym usposobieniu. Ale twierdzi, że nadal cię kocha. Nie rozumiesz jej, a mimo to ona wciąż cię kocha. Zastanawia się, czy masz kogoś.

- Nie mogę w to uwierzyć! - krzyknął Alan. Zaśmiał się. Rozejrzał się dokoła, jak gdyby Lawie miała się niespodziewanie, nareszcie, ostatecznie zmaterializować. Lecz ani przez chwilę nie spojrzął w górę ku wierzchołkowi bugenwilli. - Czemu ona mówi takie rzeczy? Siedziałem we wtorek do późna w nocy z tabliczką ouija i pomagałem Garsonowi, Allie i Essie w lekcjach, a ona ani przez chwilę nie odezwała się do mnie nawet słowem. Carson powiedział, że Lawie składa pranie w piwnicy, ale wydaje mi się, że to jedno z dzieci się tym zajmowało, kryjąc matkę. Przypuszczam, że Lawie ma chłopaka. Martwego. Bywają dni, kiedy wręcz czuję się tak, jakby dzieci nie były moje. Kocham je nad życie, ale ciężko mi, kiedy sobie pomyślę, że tak naprawdę nie należą do mnie. Już teraz spędzają bardzo wiele czasu z matką. Kto wie, co ona im o mnie opowiada?

- Lawie mówi, że jesteś zazdrosny o jej przyjaciół - poinformowała Sarah. - Twierdzi, że to ona powinna być zazdrosna. Uważa, że poślubiła nieżyjącą kobietę tylko dlatego, bo chcesz, żeby twoi koledzy z pracy uważali, że jesteś modny. Mówi, że widzi, jakim spojrzeniem obrzucasz żywe kobiety. Stale flirtujesz z nimi w spożywczym. Wie, że godzinami oglądasz pornografię w Internecie i nawet nie przyjdzie ci do głowy, czy akurat w pobliżu nie ma dzieci.

Cisza. Sarah słyszała, jak zęby Alana Robley-Tylera trą o siebie niczym kawałki kredy. Lawie zadrżała na drzewie.

- Gdzie są dzieci? - spytał Alan. - Zrób coś dla mnie, Sarah, powiedz dzieciom, żeby się za bardzo nie oddalały. Kiedy byliśmy tu ostatnio, Essie zgubiła się. Najprawdopodobniej ciągle wsiadała do innych łódek w Jaki Mały Jest Ten Świat.

Śpiewała ludziom do uszu „It's A Smali World After Ali”, ale stale przekręcała tekst. Wszystkie pozostałe dzieci wysiadały z przejażdżki z płaczem. Jeśli Carson chce iść do Krainy Dzikiego Zachodu, powinien nas spytać. Możemy się przejść wszyscy razem.

- Ciągłe stoją w kolejce do Kosmicznej Góry - wyjaśniła Sarah. - To piękne dzieci, Alan. I mimo że niewątpliwie jest to dla nich trudne, dzielnie sobie z tym radzą. Musicie być z Lawie bardzo dumni. Lawie mówi, że zakochuje się w tobie ponownie za każdym razem, kiedy na nie patrzy. Są takie podobne do ciebie, Alan.

W tej chwili dolna warga Alana również zadrżała. Dryg, dryg - Lawie na drzewie. Dryg, dryg - warga Alana. Sarah Parminter zdała sobie sprawę z tego, że zaczęła postukiwać stopą w geście solidarności. Powstrzymała ją i zmusiła się, by spojrzeć na twarze ludzi stojących w kolejce. Martwi unosili się w powietrzu, ich obcasy spoczywały na barkach żywych, zaś żywi przechodzili właśnie na wylot przez dwójkę martwych, którzy się obściskiwali, no dobrze, właściwie to uprawiali seks w samym środku kolejki, ale nikogo to nie bulwersowało. To zdumiewające, jak żywi i umarli harmonijnie koegzystują w zwykłych okolicznościach, dopóki, rzecz jasna, potrafią się wzajemnie ignorować.

- Patrzę na inne kobiety tylko dlatego - zaczął wyjaśniać Alan - tylko dlatego, że kiedy jakaś koło mnie przechodzi, wyobrażam sobie, że może właśnie tak wygląda Lawie. Może Lawie chodzi właśnie tak szybko. Może jej tyłek właśnie tak się porusza, kiedy idzie. A kiedy jakieś kobiety się śmieją, wyobrażam sobie, że może właśnie tak brzmi jej śmiech. Wiem, że Lawie jest blondynką. Czasami znajduję jej włosy na pościeli i w sitku w wannie. Powiedziała mi, że ma brązowe oczy. Wiem, jakiego jest wzrostu. Seks. Cóż, w tej chwili jakoś nam się nie układa w tych sprawach, ale czasami budzę się w środku nocy i czuję, jak na mnie leży. Jest taka ciężka! Zimna, a przy tym jest naprawdę przy kości i nie oddycha, ale czasami kaszle i kaszle, a nie może przestać. Leży tak na mnie z policzkiem przy moim policzku. A ja wyobrażam sobie, że się uśmiecha, ale nie wiem dlaczego. Nie mam pojęcia, z jakiego powodu się uśmiecha. Nie raczy mi tego powiedzieć. Pisze mi palcem na skórze różne rzeczy, ale nie wiem co. Czasami dzieci też wchodzą do łóżka, a wiesz, jakie to uczucie, przewracać się z boku na bok, kiedy w łóżku leżą z tobą martwe dzieci? A Lawie? Nie mam pojęcia, czy podskakuje, kiedy chodzi, czy potyka się o różne rzeczy albo czy nadal uważa, że moje żarty są śmieszne, albo czy w ogóle słucha, kiedy mówię. Nie wiem nawet, czy tam jest. Albo czy się ze mnie nie naśmiewa, kiedy na nią krzyczę. Nie wiem, kiedy zachowuje się w sposób sarkastyczny, ani kiedy naprawdę ranie jej

uczucia, ani kiedy drażni się ze mną. Wiem, że tam jest, ale wydaje się tak bardzo odległa. Czasami, kiedy podchodzę do łóżka, zdaje mi się, że być może jest w nim ktoś inny. Nie jedno z dzieci ani Lawie, ale ktoś jeszcze. Jakiś inny nieżyjący. Przeszukuje moje szuflady i rozrzuca wszystko dookoła. Jeśli to nie jest chłopak Lawie, to pewnie ona albo któreś z dzieci. Ale przysięgają na wszystkie świętości, że to nie one, twierdzą, że coś sobie roją. A wówczas myślę, no dobrze, nawet jeśli naprawdę jesteście moimi dziećmi, w gruncie rzeczy jesteście również jej dziećmi. Bo są takie jak ona. Po prostu takie same. Też są martwe. Więc ciągle wydaje mi się, że to był błąd od samego początku. Może ludzie mają rację. Może żywi nie powinni zakochiwać się w umarłych.

Lawie zdążyła już zejść z bugenwilli. Leżała zwinięta w kłębek na kolanach męża i przypatrywała mu się. Alan zdawał się nie wiedzieć, że tu jest. Lawie nie odzywała się, mrugnęła tylko porozumiewawczo do Sary Parminter. Było to mrugnięcie pełne wściekłości. A nie mówiłam, że to dziwak? A nie mówiłam, że to gaduła? Nigdy nie może przestać paplać, powiedziała do Sary. Gadu, gadu, gadu. Opowiem ci, co dzisiaj robiłem, Lawie. Opowiem ci, co powiedział ten facet w pracy. Bla, bla, bla. Nie masz ochoty po prostu go pożreć? Jeśli mnie zostawi, sprawię, że sam też zapragnie być martwy.

- Co ona mówi? - spytał Alan. - Mówi coś do ciebie, prawda? Gdzie ona jest? Nie można wierzyć ani jednemu jej słowu. Myślisz pewnie, że tylko dlatego, że ją słyszysz, tylko dlatego, że ją widzisz, wiesz, co myśli. Wydaje ci się, że wiesz, kiedy mówi prawdę. Ale przeżyłem z nią minione dwanaście lat i wiem, że jest kłamczucha, wrednym babszylem, a do tego dziwką. Ilekroć otwiera te swoje małe, zimne usta, robi to dlatego, że obmyśliła jakieś nowe kłamstwo. Za każdym razem, kiedy mówi, że mnie kocha. Skoro mogła kłamać na temat śmierci, skoro potrafiła wmówić ludziom, że była żywą kobietą, w tej sprawie też będzie kłamać. Dla zasady.

Na bugenwilli zaczęło się robić ciasno od umarłych. Zwisali z gałęzi i przysłuchiwali się słowom Alana. Lawie słuchała najuważniej ze wszystkich, jej twarz jaśniała żoniną aprobata.

- Alan - odezwała się Sarah. - Spróbujmy porozmawiać o tym w sposób spokojny i rozsądny.

Od jakiegoś czasu klienci Sary Parminter zaczęli zjawiać się u niej i prosić, żeby naprawiała ich życie uczuciowe. Gdybyście czytali horoskopy, pomyślelibyście, że coś

wisi w powietrzu. Być może wkrótce zmieni się układ gwiazd, wszystkie niedawne nieszczęścia i katastrofy odwrócą się, ludzie wszędzie znów będą się zakochiwać, a życie i śmierć będą dobre. Niewykluczone, że jej własny horoskop sugerował, żeby nie wtrącała się w tej chwili w sprawy innych ludzi. Lecz Sarah nie wierzyła w astrologię. Jej kuzyn, Fred, także był medium, a jego klienci byli tak samo trudni i nieszczęśliwi. Sarah i Fred siadywali niekiedy na jej balkonie w duszne, brudne żółte popołudnia, przyglądając się, jak samochody wjeżdżają i zjeżdżają z autostrady 1-5. Rozmawiali o pracy. Naprzeciw bloku, po drugiej stronie ulicy stał znak z napisem DEAD END*, który ktoś przerobił na DEAD ED. Ilekroć na niego patrzyła, Sarah Parminter miała ochotę pójść tam i dodać litery FR. Tyle że Fred nie miał zbyt dużego poczucia humoru. Twierdził, że uległo ono erozji na skutek kontaktów z tamtym światem. Lecz Sarah pamiętała, że nawet kiedy był dzieckiem, nie bawiły go figle, które umarli lubili płatać.

Fred miał nowego klienta, mężczyznę nazwiskiem Sam Callahan, którego żona, podobnie jak Lawie Robley-Tyler, była martwa. Z tą jednak różnicą, że Callahanowie byli małżeństwem przez kilkadziesiąt lat, kiedy jeszcze oboje żyli, a problem obecnie polegał na tym, że po śmierci pani Callahan nie chciała mieć nic wspólnego ze swoim mężem. Jeśli o nią chodziło, małżeństwo było skończone. Tyle że Callahan nie potrafił się z tym pogodzić.

Fred nie apróbował sposobu, w jaki Sarah hołubiła swoich klientów. Kiedy zjawił się Callahan, od razu oznajmił mu:

- Wiem, z kim chce pan porozmawiać. Ale ona nie chce rozmawiać z panem.

Callahan był roslym mężczyzną o małych dłoniach.

- Miałem nadzieję, że porozmawiam z nią jeszcze raz - powiedział. - Spieprzyłem sprawę. Przykro mi. Chciałem wyjaśnić. Chcę jej powiedzieć, jak bardzo ją kocham. Proszę ją nakłonić, żeby ze mną porozmawiała.

- Ale pan wie, że ona nie żyje, prawda? - spytał Fred.

W szkole, do której chodził Callahan, był pewien chłopak. Paul. Tak miał na imię. Po tym, co zrobił, wciąż nie był szczególnie lubiany, ale stał się mniej anonimowy. Zaczęto go zauważać.

Dziewczyna, dla której to zrobił, nazywała się Malinka. Było to przezwisko,

* Dead end (ang.) - ślepa uliczka.

ponieważ była taka słodziutka.

Wszyscy w szkole chodzili za Malinką krok w krok. Nawet dziewczęta się w niej durzyły. Obsypywano ją prezentami. Czasami podczas przerwy po drugiej stronie ulicy zatrzymywała się objazdowa budka z lodami. Ktoś kupił Malince malinowe lody wodne. Paul wrócił z sześcioma lodami - jednym w plastikowym kubeczku, jednym owocowym wodnym, dwoma śmietankowymi na patyku, jednym w polewie karmelowej oraz lodową kanapką. Wydał wszystkie swoje pieniądze przeznaczone na lunch. Ledwie mógł utrzymać je wszystkie w dłoniach. Podszedł do Malinki i stanął przed nią, a ona powiedziała coś w rodzaju „nie dam rady zjeść wszystkich”.

- Zjem je dla ciebie - odparł Paul. - Żeby udowodnić, jak bardzo cię kocham. - Jak gdyby się o to pokłócili. Nikt nawet nie wiedział, czy Paul kiedykolwiek odezwał się do Malinki choć słowem.

Wszystkie pozostałe dzieci stały dokoła i patrzyły. Ci, których przy tym nie było, którzy tego nie widzieli, byli później święcie przekonani, że byli świadkami tego wydarzenia - tyle razy słyszeli tę historię. Callahanowi zdawało się, że też był świadkiem, choć w rzeczywistości go tam nie było. Kiedy zakochał się po raz pierwszy, przypomniał sobie dłonie Paula. Uprzejmy, zakłopotany uśmiech Malinki.

Później, wszyscy, z wyjątkiem Malinki, która za każdym razem chowała się w damskiej ubikacji, patrzyli, jak Paul zjada różne rzeczy. Po jakimś czasie nikt już się w niej nie durzył. Nikt inny nie kochał jej tak bardzo, jak Paul.

W swojej szafce Callahan trzymał listę wszystkich rzeczy, jakie Paul zjadł. Był to miłosny wiersz, lista zakupów, tajemny dowód: Paul kocha Malinkę. Paul zjadł kilka mrówek. Wypił czyjeś skisłe mleko. Wszyscy je poczuli. Paul zjadł niewielką ilość wyciśniętego z tubki kleju, którą ktoś mu przyniósł. Zjadł zwędłe liście oraz garść włosów, które ktoś inny wyciągnął z grzebienia Malinki. Zjadł kawałek surowego mięsa, które jakaś dziewczyna podebrała matce z lodówki. Zjadał też inne rzeczy - przez cały rok. Nauczyciele nigdy nie zorientowali się, co się dzieje. Po wakacjach Paul nie wrócił do szkoły. Nie wróciła też Malinka. Ktoś poczynił na ten temat ironiczną uwagę. Może Paul zjadł Malinkę.

Callahan nie miał pojęcia, co stało się z Paulem oraz z Malinką. A z drugiej strony Fred wiedział, co ostatecznie dzieje się z każdym. Potrafił dostrzec mapę, którą Paul i Malinka pozostawili na twarzy Callahana, podobnie jak pani Callahan, która będąc obecnie martwa, mogła ją dostrzec. Martwi widzą więcej niż żywi.

- Mówi, że tak naprawdę pan jej nie kochał - oznajmił Fred. - I że jest jej lepiej bez pana. Ma nadzieję, że zestarzeje się pan i umrze w samotności.

- Czy płacę panu za to, żeby mi pan mówił takie rzeczy? - odparł Callahan. - To brednie! I skąd ja mam w ogóle wiedzieć, że ona tu naprawdę jest? Czemu miałbym wierzyć w to, co mówi jakiś facet? Czemu miałyby mówić do pana, a nie do mnie?

- Niech pan pamięta, że rozmawia pan z medium. Nie z terapeutą - wyjaśnił Fred. Starał się, żeby to, co mówi, brzmiało rozsądnie; raczej neutralnie niż złośliwie. Zdawał sobie jednak sprawę, że gdy to mówił, jego słowa zabrzmiały tak, jakby był terapeutą Callahana. - Laura twierdzi, że ma pan więcej pieniędzy, niż jest w stanie wydać i mówi, że ma nadzieję, iż roztrwoni je pan co do grosza na szarlatanów i znachorów. Proszę się na mnie nie złościć. Mówię to wyłącznie dlatego, że chce pan, żebym przekazał mu to, co mówi pańska małżonka.

- Laura, jeśli tu jesteś, odezwij się do mnie. - powiedział Callahan. - Czemu mówisz do niego zamiast do mnie? - Podobnie jak Fred, starał się, żeby to, co mówi, zabrzmiało jak najrozsądniej. Wkrótce zaczną rzucać dookoła meblami. - Nie wiesz, jak bardzo cię kocham?

Wiedziała. Nawet Fred to wiedział. Ale jakież to mogło mieć znaczenie dla nieżyjącej kobiety?

- Mówi, że powinien pan bardziej zająć się sobą - poinformował Fred. - Ma pan pustą lodówkę. Chce, żeby ruszył się pan z domu i poszedł na zakupy. Nie chce, żeby pan zagłodził się na śmierć. Nie ma ochoty zobaczyć się z panem w najbliższym czasie. Ma własne życie pozagrobowe, własne sprawy, którymi musi się zajmować. To dla niej ważny okres. Ma sporo do zrobienia.

- I tylko tyle? - zachnął się Callahan. - Tylko tyle może pan dla mnie zrobić?

Fred wzruszył ramionami.

- Chce pan, żebym wytworzył trochę ektoplazmy? Pamiątkę ze świata duchów? Chciałby pan porozmawiać z kimś sławnym? Z Marilyn Monroe?

- Prawdziwy z pana skurwiel - stwierdził Callahan. - Lauro, jak ci się podoba to, w jaki sposób ten palant do mnie mówi? Odpowiada ci to?

Fred milczał. Laura też. Dała jednak znak, że chciałaby coś napisać.

Stół, przy którym siedzieli, zrobiony był z solidnej dębiny. Okrągły. Żadnych kantów. Miło było mieć ładny mebel, za którym można sobie usiąść. Zarówno żywi, jak i martwi lubowali się w rozrzucaniu wokół różnych rzeczy, jak gdyby czegoś to dowodziło. Fred miał na stole bloczek papieru oraz długopis. Uniósł go, żeby Laura

mogła napisać dokładnie to, co chciała przekazać. Nie patrzył, kiedy pisała. Było to dosyć krępujące: przyglądać się, jak ktoś używa jego ręki. Palce zawsze wyglądały na zbyt zaciśnięte. Napięte. Laura ciągnęła długopis po papierze, jakby palce Freda były workami z ziemią.

Callahan nie przestawał mówić do Laury. Czuł się tak, jakby Laura ukrywała się gdzieś w tym pokoju, może pod miękko opadającym tupecikiem medium albo pod dębowym stołem. Laura nigdy nie potrafiła usiedzieć na miejscu. Lubiła pływać tak długo, że z trudem wychodziła z basenu. Nie mógł na to nic poradzić.

- Czy mają baseny? Dla martwych? - spytał. - Czy Laura nadal codziennie pływa?

Fred usiłował zachować niewzruszone oblicze. Baseny? Nie mógł doczekać się, żeby opowiedzieć o tym Sarze.

- Tak, oczywiście - odparł. - Mają baseny. Laura uczy się grać w brydża. Zastanawia się też, czy nie wziąć sobie psa. Wie pan, dla towarzystwa.

Callahan począł się zastanawiać. Mógłby nauczyć się gry w brydża, jeśli tego właśnie chciała od niego Laura. Był przekonany, iż czuje, jak Laura porusza się po pokoju, muska palcami ściany, wślizguje się za zasłony na oknach, dotyka oparcia krzesła, na którym siedzi, lecz jego nie dotknęła ani razu. A co, jeśli go dotknęła, a on niczego nie poczuł? W jaki sposób miałyby to wszystko funkcjonować, gdyby zdecydowali się spróbować? Byli małżeństwem przez blisko trzydzieści lat.

Fred przeczytał to, co napisała Laura. Paskudny charakter pisma, nawet jak na umarłą. - No więc chce, żeby wydał pan kolację. Ale nie życzy sobie, żeby kogokolwiek pan zapraszał. Właśnie podaje mi menu. Mówi, że skoro chce pan udowodnić, że ją kocha, to niech pan udowadnia. Niech pan zrobi jej kolację.

- Przez całe nasze małżeństwo zawsze robiłem kolacje - odparł Callahan.

- Pan będzie łaskaw zauważyć, że nie spytałem, dlaczego jest taka wściekła na pana - ciągnął Fred. - Nie zamierzam o to pytać. Nie lubię wścibiać nosa w nie swoje sprawy. - Spojrzał na listę, którą robiła Laura, a potem z powrotem na Callahana. - Ale fakt jest faktem, jest nieźle wkurzona. To jest zupełnie popaprane menu. Mówi: mrówki, kawałek kreta, przepraszam, kredy, jej charakter pisma jest okropny, skiśnięte mleko, ocet winny, lody wodne, gumki do ścierania, trawa, trociny, piasek, ziemia. Mówi, że jeśli naprawdę ją pan kocha, dowiedzie pan, jak bardzo.

- I co zrobił? - spytała po chwili Sarah Parminter. - Zamierza to wszystko zjeść?

- Nie wiem - odparł Fred. - Pomyślałem po prostu, że to trochę dziwne. Wypisał mi czek, który okazał się nie mieć pokrycia. A ona przecież mówiła, że ma dużo

pieniędzy, więc może tak naprawdę to nie była jego żona. Może był to ktoś, kto po prostu chciał sobie porobić z niego jaja. Ja tam bym nie zjadł trawy wyłącznie z powodu jakiejś tam martwej dziewczyny. Chyba że by mi zapłaciła.

- Nie wspomniałeś mi jeszcze o swojej matce - powiedziała Sarah Parminter do Alana Robley-Tylera.

- A niby czemu miałbym wspominać? - zdziwił się Alan. - Jest tutaj? Chce ze mną rozmawiać?

- Jest tam, z dziećmi - wyjaśniła Sarah. - Drażnią się z Goofym.

- Dobrze sobie radzi z dziećmi - stwierdził Alan. Ale nie spojrzał w stronę miejsca, gdzie wokół Goofy'ego zbierał się tłum. Nie zamierzał nakazywać swoim dzieciom, żeby zostawiły Goofy'ego w spokoju. Żywi rodzice często borykali się z utrzymaniem martwych dzieci w ryzach. Trzeba było im dogadzać, nawet wówczas, gdy ich harce stawały się nieco dokuczliwe. Należało udawać, że nie są to twoje dzieci. - Mam na myśli to, że nawet za życia świetnie sobie z nimi radziła. Bardzo cieszyła się z wnuków. Przez cały czas im czytała.

- Nie przepadała za Lawie - stwierdziła Sarah.

- To prawda - przyznał Alan. - Jakoś im się nie układało.

- Twoja matka wciąż jest temu przeciwna - dodała Sarah. - Nadal uważa, że Lawie jest dla ciebie za stara.

Lawie coś powiedziała.

- Lawie mówi, że twoja matka to, hm, kawał jędzy.

- Niech spierdala - odburknął Alan, ale naprawdę tak nie myślał. Przyglądał się teraz, jak Goofy co krok się potyka i odczuwał jakąś osobliwą zazdrość. To on cały ubrał się na czerwono, a tymczasem dzieci i tak od własnego ojca woła faceta w futrzanym przebraniu. Martwi mieli swoje ulubione postacie w Disneylandzie. Na przykład Goofy'ego. Kostium był, mocno rozciągnięty. I ten głupkowaty kapelusz. Można było zasadzić mu kopa w tyłek, porządnie mu nawkładać, a on i tak nigdy nie poruszał się wystarczająco szybko. Myszka Minnie była również popularna wśród martwych. Lubowali się w chowaniu jej torebki. Albo wkładaniu do niej różnych rzeczy.

Goofy wykrzykiwał teraz nieprzyzwoite wyrazy. Żywe dzieci płakały. Martwe śmiały się.

- Nigdy się nie starała - oświadczył Alan. - Zawsze kpiła sobie z mojej matki, z

tego, w jaki sposób nakładała pomadkę. A właściwie to czemu martwi mają taką obsesję na punkcie makijażu? Kpiła z tego, że matka kroila sobie jedzenie na bardzo małe kawałeczki.

Lawie powiedziała coś jeszcze.

- Lawie chce wiedzieć, czy kiedykolwiek ją kochałeś - przekazała Sarah. Sprawiało jej wielką radość, że kolejka do Kosmicznej Góry wcale się nie skracała, bez względu na to, jak długo siedziało się i patrzyło. Sama nigdy nie wystawała w ogonkach. Wystarczyło popatrzeć na turystów, którzy ustawiają się do kolejki, znikają, po czym ponownie się pojawiają i snują się wokół, by raz jeszcze w niej stanąć.

- Czy mógłbym porozmawiać z mamą? - spytał Alan.

Sarah usiłowała odpędzić matkę Alana, lecz pani Robley obrzuciła ją tylko wrogim, morderczym spojrzeniem. Jej wargi były ściśnięte tak mocno, że całe usta zniknęły. Jedna dłoń była zaciśnięta na długim uchu Goofy'ego. Druga zaś wsuwała się w jego kostium, jak gdyby zamierzała wypatroszyć go z tego sztucznego futra. Lawie wciąż siedziała niewyczuwalnie na kolanach Alana. Mała ladacznica. Kiedy dzieci nie patrzyły, pokazała pani Robley środkowy palec.

- Jest, hm, jest zajęta - wyjaśniła Sarah. - A nasz czas się skończył, Alan. Mam kolejne spotkanie o czwartej. Lawie ma ci na koniec jeszcze coś do powiedzenia.

Właściwie to Lawie nie miała już nic więcej Alanowi do powiedzenia, ale Sarah wiedziała, że nie ma nic przeciwko temu, żeby ona, Sarah, nazmyślała coś. Im dziwniej, tym lepiej. W końcu wszystko to było prawdą. Kocham cię. Nie kocham cię. Nie zostawiaj mnie. Spierdalaj. Posuwam wibratorem ducha Eleonory Roosevelt przez cały dzień, kiedy jesteś w pracy.

Jeśli Alan weźmie z Lawie rozwód, i tak będzie potrzebował jej usług. Pojawią się kwestie praw rodzicielskich. A była jeszcze przecież pani Robley. Pojawią się różne sprawy dotyczące dzieciństwa Alana, o które będzie chciał spytać matkę.

Rozwód oznaczać będzie więcej wycieczek do parków rozrywki dla dzieci i dla Sary. Zawsze może powiedzieć, że dzieci chcą iść w przyszłym tygodniu do Sześciu Flag. Do Psyclonu wiecznie ciągnęły się piękne kolejki.

Alan wciąż czekał z dłońmi na kolanach. Niech jeszcze przez chwilę poczeka. Dziwna rzecz - to, jak jego ręce przeniknęły przez ciało Lawie. To nieładnie z jej strony siedzieć w ten sposób, pomyślała Sarah. To nieprzyzwoite i niegrzeczne. Niewykluczone, że pewnego dnia pokusi się o napisanie podręcznika etykiety dla nieżyjących, choć ostatecznie to pewnie żywi zabiorą się za jej czytanie, a przecież

pewne rzeczy powinno się okryć zasłoną milczenia. A przynajmniej nie odsłaniać jej zbyt. Sarah odbyła niegdyś rozmowę z pewnym historykiem - czy był on żywy, czy już wówczas martwy? Z pewnością obecnie już nie żył - na temat przeszłości. Przeszłość była, rzecz jasna, inną krainą. Innym parkiem rozrywki, w którym kolejki były znacznie dłuższe. Martwi ani trochę lepiej od żywych nie znali drogi powrotnej.

Historyk Sary stwierdził, że jednym ze sposobów zgłębiania przeszłości jest czytanie współczesnych podręczników *savoir-vivre'u*. Jeśli w jednym z nich pojawia się sugestia, że podnoszenie ludzkiego gówna z rynsztoka, by poczynić uwagę na temat jego koloru bądź wielkości, nie jest zachowaniem w dobrym tonie, wiadomo wówczas, iż ludzie potrzebują, żeby im przypominać, że nie należy robić podobnych rzeczy, ponieważ niegdyś je robili. Sarah nawet okiem nie mrugnęła, kiedy jej o tym opowiadał. Wiedziała, że lepiej nie wygadać się na temat zwyczajów nieżyjących. Sarah wiedziała o tym, wiedzą też o tym Lawie Robley-Tyler i dzieci Robley-Tylerów oraz pani Robley, wiem o tym i ja. Nawet opowiadając wam tę historię, nie opisałam wypadków dokładnie tak, jak przebiegały. Nie byłam w tym opowiadaniu rzetelna, jeśli chodzi o umarłych, o to, jak się zachowują.

W kolejce do Disneylandu stali żywi, była tam też martwa kobieta, która siedziała na ławce obok Sary Parminter i Alana Robley-Tylera i było wielu innych umarłych, całe setki, a co wyprawiali, to już nie wasz interes. I dobrze, że tylko ludzie tacy jak Sarah Parminter oraz jej kuzyn, Fred, nieustannie widzą, jacy naprawdę są umarli. Ale rzecz jasna umarli widzą wszystko to, co robicie. Następnym razem, kiedy wraz ze swą nową małżonką zabierzecie wasze dzieci do Disneylandu i będziecie stać w kolejce, pomyślcie o mnie. Pomyślcie o tym.

MAGIA DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Fox jest postacią telewizyjną, która jeszcze nie umarła. Ale umrze, i to wkrótce. Jest bohaterką serialu pod tytułem *Biblioteka*. Nigdy nie oglądaliście go w telewizji, ale założę się, że bardzo byście chcieli.

W jednym z odcinków *Biblioteki*, chłopiec nazwiskiem Jeremy Mars, lat piętnaście, siedzi na dachu swego domu w miejscowości Plantagenet w stanie Vermont. Jest ósma wieczorem, zwykła noc, zaś on i jego przyjaciółka Elizabeth powinni przygotowywać się do testu z matematyki, który ich nauczyciel, pan Cliff, zapowiada przez cały tydzień. Tymczasem zamiast się uczyć, wymknęli się na dach. Jest zimno. Nie wiedzą wszystkiego, co powinni wiedzieć na temat X, gdy X jest pierwiastkiem kwadratowym z Y. O Y też nie mają bladego pojęcia. Powinni wracać do domu.

Ale w telewizji nie ma niczego ciekawego, natomiast niebo jest przepiękne. Mają na sobie kurtki, a tam, w górze, gdzie zaczyna się nieboskłon, widać w ciemności plamki bieli, nieruchome w tym miejscu, w którym wysoko w górach znajduje się śnieg. Poniżej, pośród drzew koło domu jakieś zwierzę wydaje cichy, niepokojący odgłos: „Łaj kraj? Łaj kraj?”*

- A ten jak się nazywa? - pyta Elizabeth, wskazując kwadratową konfigurację gwiazd.

- To Struktura Parkingu - wyjaśnia Jeremy. - A tuż obok niej jest Wielki Hipermarket i Mały Hipermarket.

- A to Orion, tak? Orion, Łowca Promocji?

Jeremy mruży oczy.

- Nie, Orion jest tam. To Austriacki Kulturysta**. A to coś jakby owinięte wokół

* Why cry (czyt. : łaj kraj; ang.) - po co płakać?

** Aluzja do Arnolda Schwarzeneggera z pochodzenia Austriaka, gwiazdora kina akcji, a potem

jego kostki u nogi, to Zakochany Głowonóg.

Głodna, Bardzo Głodna Ośmiornica. Nie może się zdecydować, czy go zjeść, czy oddać się szalonym, ośmionożnym uciechom miłosnym. Znasz ten mit, prawda?

- Oczywiście - przytakuje Elizabeth. - Czy Karl nie wkurzy się, że nie zaprosiliśmy go, żeby się z nami uczył?

- Karl zawsze się o coś wkurza - stwierdza Jeremy. Stanowczo opiera się fantazjowaniu na temat Elizabeth. Czemu tu siedzą? Czy to był jego pomysł, czy jej? Czy są przyjaciółmi? Czy są wyłącznie dwojgiem przyjaciół, którzy siedzą na dachu i rozmawiają? A może Jeremy powinien spróbować ją pocałować? Dochodzi do wniosku, że chyba tak. A jeśli ją pocałuje, to czy nadal będą przyjaciółmi? Nie może spytać o to Karla. Karl nie uznaje pomagania innym. Karl uznaje wyśmiewanie się.

Jeremy nawet nie wie, czy chce pocałować Elizabeth. Nigdy się nad tym nie zastanawiał, aż do tej chwili.

- Powinam się już zbierać do domu - stwierdza Elizabeth. - Może w tej chwili leci nowy odcinek, a my nawet nie będziemy o tym wiedzieć.

- Ktoś by nas zawołał i powiedział - sugeruje Jeremy. - Moja mama wyszłaby i nas zawołała. - Jego mama to kolejna kwestia, jaką nie chciałby się zamartwiać, ale się zamartwia, i to bardzo.

Jeremy Mars sporo wie o planecie Mars, mimo iż nigdy na niej nie był. Zna natomiast parę dziewczyn, a mimo to nie wie na ich temat zbyt wiele. Chciałby, żeby istniały książki o dziewczynach, takie same jak książki o Marsie, żeby można było oglądać przez teleskop orbity i strukturę dziewczyn, nie narażając się na podejrzenia o to, że jest się zbrojcem. Kiedyś Jeremy czytał na głos Karlowi książkę o Marsie, ale tak, że słowo „Mars” zastępował słowem „dziewczyny”. („Dopiero w siedemnastym wieku poddano dziewczyny poważniejszym badaniom”. „Dziewczyny praktycznie nie posiadają wód powierzchniowych - ich temperatura jest nazbyt niska, atmosfera zaś zbyt rzadka”. I tak dalej). Karl za każdym razem pękał ze śmiechu.

Mama Jeremy'ego jest bibliotekarką. Jego ojciec pisze książki. Jeremy czytuje biografie. Gra na puzonie w orkiestrze dętej. Biega przez płotki w szkolnym dresie. A przy tym uwielbia serial telewizyjny, w którym zbuntowana bibliotekarka i czarodziejka, Fox, usiłuje ratować swój świat przed złodziejami, mordercami, kabalistami i piratami. Jeremy to głupek, ale trzeba przyznać, że jest głupkiem, który

dobrze wychodzi w telewizji. Powinni nakręcić o nim serial.

Jego przyjaciele wołają na niego Dżemik, choć on wolałby, żeby mówiono do niego Mars. Jego rodzice nie odzywają się do siebie od tygodnia.

Jeremy nie całuje Elizabeth. Gwiazdy nie spadają z nieba, a oni nie spadają z dachu. Idą do domu i kończą odrabianie lekcje.

Zmarł ktoś, kogo Jeremy nigdy nie poznał - kobieta nazwiskiem Cleo Baldrick. Jak dotąd wielu ludzi zdołało przeżyć swe życie i umrzeć, nie zaznajomiwszy się z Jeremym Marssem, ale Cleo Baldrick pozostawiła w testamencie jemu oraz jego matce coś osobliwego: budkę telefoniczną na autostradzie stanowej jakieś czterdzieści mil od Las Vegas oraz znajdującą się tam kapliczkę ślubną. Nosi nazwę „Piekielne Dzwony”. Jeremy nie bardzo wie, jacy ludzie biorą w niej śluby. Może motocykliści. Arcyłotry, dziwacy i sataniści.

Mama Jeremy'ego chce mu coś powiedzieć. Niewykluczone, iż jest to coś na temat Las Vegas i Cleo Baldrick, która jak się okazuje, była jej babką cioteczną. (Jeremy nigdy nie słyszał, żeby mama miała jakąś cioteczną babkę. Tajemnicza osoba z tej jego mamy.) Lecz z drugiej strony, może być to coś, co dotyczy jego ojca. Już od półtora tygodnia udaje się Jeremy'emu uniknąć tego, by przekonać się, co też trapi jego matkę. Łatwo jest nie wiedzieć różnych rzeczy, kiedy się należycie o to stara. Są próby orkiestry. W dni powszednie naumyślnie zbyt późno wstaje, żeby wykluczyć możliwość rozmowy przy śniadaniu, a wieczorami wchodzi na dach z teleskopem, by patrzeć w gwiazdy, by oglądać Marsa. Jego mama boi się wysokości. Wychowała się w Los Angeles.

Jest jasne, że cokolwiek ma Jeremy'emu do powiedzenia, nie jest to coś, co chce mu powiedzieć. Dopóki unika przebywania z nią sam na sam, jest bezpieczny.

Ale trudno mieć się na baczności przez cały czas. Jeremy wraca ze szkoły do domu z poczuciem, że ostatecznie chyba zaliczył ten test z matmy. Jest optymistą. Może w telewizji jest coś ciekawego. Siada z pilotem w dłoni na ulubionej kanapie ojca: ponadwymiarowej, nowo obitej w sztruks o barwie soku pomarańczowego, który sprawia, że wygląda jakby właśnie uciekła z więzienia o szczególnie zaostrożonych rygorach bezpieczeństwa dla zbrodniczo obłąkanych mebli. Ta kanapa sprawia wrażenie, jakby jej hobby było pożeranie dekoratorów wnętrz. Ojciec Jeremy'ego jest pisarzem horrorów, toteż nikt nie powinien się dziwić, że niektóre kanapy, jakie

poddaje renowacji, są odrażające i upiorne.

Do pokoju wchodzi mama, staje nad kanapą i spogląda na niego.

- Dżemik? - mówi. Wygląda na okropnie przygnębioną - w takim mniej więcej stanie jest od tygodnia.

Dzwoni telefon, toteż Jeremy zrywa się z miejsca.

Gdy tylko słyszy głos Elizabeth, wie, o co chodzi.

- Dżemik, właśnie leci. Kanał czterdziesty drugi. Nagrywam. - Odkłada słuchawkę.

- Leci! - entuzjazmuje się Jeremy. - Kanał czterdziesty drugi! W tej chwili!

Nim siada, mama włącza telewizor. Jako bibliotekarce serial *Biblioteka* jest szczególnie bliski jej sercu.

- Powinnam pójść po tatę - stwierdza, ale zamiast tego siada obok Jeremy'ego. I, rzecz jasna, teraz staje się jeszcze bardziej oczywiste, że coś niedobrego dzieje się pomiędzy jego rodzicami. Ale właśnie nadają *Bibliotekę*, a Fox jest bliska uwolnienia Księcia Skrzydło.

Kiedy odcinek się kończy, nie odwracając się, Jeremy potrafi stwierdzić, że mama płacze.

- Nie przejmuj się mną - pochlipuje i wyciera nos rękawem. - Sądysz, że ona naprawdę nie żyje?

Ale Jeremy nie może zostać i porozmawiać. Jeremy zastanawiał się wielokrotnie, jakie seriale telewizyjne oglądają serialowi bohaterowie. Postacie telewizyjne niemal zawsze mają ładniejsze fryzury, zabawniejszych przyjaciół, mniej skomplikowany stosunek do seksu. Wychodzą za magów, wygrywają na loterii, mają romanse z kobietami, które w torebkach noszą rewolwery. Regularnie, w ciągu jednej godziny, przytrafiają im się niesamowite rzeczy. Razem z Jeremym jesteśmy w stanie wybaczyć im te fryzury. Chcemy tylko spytać o ich ulubione seriale.

Jak zawsze, to Elizabeth w samą porę ustaliła, że leci nowy odcinek. Potem wszyscy zjawiają się u niej, żeby dokonać autopsji. Tym razem jest to prawdziwa autopsja. Dlaczego Książę Skrzydło zabił Fox? Dlaczego mu na to pozwoliła? Przecież jest dziesięć razy silniejsza.

Jeremy całą drogę pokonuje biegiem, uderzając swymi starymi butami o chodnik dla przyjemności wstrząsu, dla słodczy pieczenia. Lubi ów szorstki, mechaty ból w płucach. Jego trener twierdzi, że trzeba być po części masochistą, żeby lubić coś takiego jak bieganie. Nie ma się czego wstydzić. Należy to wykorzystać.

Drzwi otwiera mu Talis. Uśmiecha się do niego szeroko, lecz mimo to Jeremy spostrzega, że ona również płakała. Ma na sobie koszulkę z krótkim rękawem z napisem: JESTEM TAK GOTYCKA, ŻE SRAM WAMPIRKAMI.

- Hej - rzuca Jeremy. Talis kiwa głową. Nie jest tak bardzo gotycka, przynajmniej nie na tyle, na ile znają ją Jeremy i inni. Talis ma po prostu sporo koszulek. Jest zagadką opakowaną w tajemniczą koszulkę. Pewna kobieta zwróciła się kiedyś do Calvina Coolidge'a: „Panie Prezydencie, założyłam się z mężem, że skłonię pana do wypowiedzenia więcej niż dwóch słów”. „Przegrała pani”, odparł Coolidge. Jeremy potrafi wyobrazić sobie Talis w poprzednim życiu jako Calvina Coolidge'a. A może była jednym z tych psów, co to nigdy nie szczekają - basenji. Albo skałą - dolmenem. Był kiedyś taki odcinek *Biblioteki*, w którym tańczyły ponure dolmeny.

Za plecami Talis pojawia się Elizabeth. Jeśli Talis nie jest gotycka, to Elizabeth musi uchodzić za primabalerinę stylu gotyckiego. Lubi serduszka i czaszki, tatuaże czarnym atramentem, różowy tiul i Hello Kitty. Kiedy spytano kobietę, która wykreowała Hello Kitty, dlaczego postać ta jest tak popularna, odparła: „Ponieważ nie ma ust”. Usta Elizabeth są małe. Ma spierzchnięte wargi.

- To najokropniejszy odcinek ze wszystkich! Cały czas płakałam - skarży się. - Hej, Dżemik, mówiłam właśnie Talis, że odziedziczyłeś stację benzynową.

- Budkę telefoniczną - prostuje Jeremy. - W Las Vegas. Umarła ta prapraciotka. Jest tam też kapliczka ślubna.

- Hej! Dżemik! - pokrzykuje z salonu Karl. - Przymknij się i chodź tu! Leci ta reklama z gadającymi kotami...

- Zamknij się Karl - mówi Jeremy. Idzie do salonu i siada Karłowi na głowie. Trzeba mu od czasu do czasu pokazać, kto tu rządzi.

Amy zjawia się ostatnia. Była w sąsiednim miasteczku i kupowała komiksy. Nie widziała jeszcze nowego odcinka, toteż wszyscy przestają rozmawiać (nie licząc Talis, która i tak w ogóle się nie odzywa), a Elizabeth włącza film.

W poprzednim odcinku *Biblioteki* zamaskowani piraci - czarownicy oświadczyli, że sprzedadzą Księżciu Skrzydło lek na zakłęcie, które sprawiło, że włosy Wiernej Małgorzaty zostały opanowane przez miniaturowe, wredne, ziejące ogniem golemy. (Włosy Wiernej Małgorzaty wciąż się zapalają, ale ona nie zgadza się ich zgolić. Stanowią bowiem źródło całej jej magicznej mocy.)

Piraci-czarownicy zwabili Księcia Skrzydło w pułapkę na sto czterdziestym piętrze Biblioteki Wolnego Ludu Drzewoświata, która była tak oczywista, iż zdawało się, że to

w ogóle niemożliwe, by była to pułapka. Użyli magii palców, by zmienić go w porcelanowy imbryczek, do którego włożyli dwie torebki herbaty Earl Grey, zalali je wrzątkiem, wzniesli toast za Przedłużone Na Wieczność i Zaległe Rządy Ksiąg Zakazanych, jednym haustem wypili herbatę, czknęli, cisnęli swymi pamiątkowymi pirackimi kubkami o ziemię, po czym roztrzaskali imbryczek, który jeszcze niedawno był Księciem Skrzydło, na setki kawałków. Następnie owi nikczemni piraci-czarownicy starannie zgarnęli kawałki zarówno Księcia Skrzydło, jak i kolekcjonerskich kubków do pudełka po cygarach i zakopali je w Parku Imienia Angeli Carter na siedemnastym piętrze Biblioteki Drzewoświata, po czym wzniesli nad nim posąg Jerzego Waszyngtona.

Tak więc Fox musiała wyruszyć na poszukiwania Księcia Skrzydło. Kiedy nareszcie odkryła park na siedemnastym piętrze Biblioteki, posąg Jerzego Waszyngtona zszedł ze swego cokołu i wdał się z nią w ostrą walkę. I to ostrą dosłownie, toteż wszyscy zgodnie orzekli, że było coś szczególnie koszmarnego w owym gryzącym, drapiącym posągu Jerzego Waszyngtona o długich, ostrych jak brzytwy metalowych kłach, które miotały iskry, ilekroć nimi zazgrzytał. Posąg Jerzego Waszyngtona odgryza mały palec Fox, zupełnie jak Gollum, który odgryzł palec Froda na szczycie Góry Przeznaczenia. Ale oczywiście, gdy tylko zakosztował magicznej krwi Fox, z miejsca się w niej zakochał. Od tej pory stał się jej sprzymierzeńcem.

W nowym odcinku rolę Fox gra młoda latynoska aktorka, która wydaje się Jeremy'emu znajoma. Wcześniej była nadętą, ale kierującą się dobrymi intencjami bibliotekarką z czwartego piętra w odcinku o epidemii zatrucia pokarmowego, które wywoływało ataki niewidzialności i/lub lewitacji. Grała też nieszczęśliwie zakochaną kapłankę Niedźwiedziej Sekty o skłonnościach samobójczych w odcinku, w którym Książę Skrzydło odkrył, że jego matka jest jedną z Zakazanych Ksiąg.

To właśnie jest najlepsze w *Bibliotece*, sposób, w jaki obsada zamienia się rolami, wszyscy z wyjątkiem Wiernej Małgorzaty oraz Księcia Skrzydło, którzy jako jedyni zawsze pozostają sobą. Wierna Małgorzata oraz Książę Skrzydło to postacie, wokół których rozgrywa się wątek miłosny, a przy tym główni bohaterowie, toteż, jak to zwykle bywa, są największymi nudziarzami, mimo to jednak Amy podkochuje się w Księciu Skrzydło.

Fox oraz owego jurnego, ale zdradzieckiego pirata-czarodzieja zwanego Dwoma Diabłami nigdy nie grają ci sami aktorzy dwukrotnie, choć w dwudziestym trzecim odcinku *Biblioteki* jedna kobieta zagrała obie te role. Jeremy przypuszcza, że taki

sposób obsadzania ról może bezustannie wprawiać w dezorientację, ale dzieje się zupełnie odwrotnie, sprawia, że umysł się rozpala. To prawdziwa magia.

Fox można zawsze poznać po kostiumie (za mała zielona koszulka z krótkim rękawem, za długie obszerne spódnice, które nosi, by ukryć ogon), teatralnej gestykulacji i języku ciała, oraz miękkim, nieco zasapanym, piskliwym głósikiem, jakiego używają aktorzy, kiedy się w nią wcielają. Jest zabawna, niebezpieczna, wybuchowa, flirciarska, chciwa, niechlujna, pełna wdzięku, często ulega wypadkom, a do tego jej przeszłość owiana jest mgłą tajemnicy. W niektórych odcinkach grają ją mężczyźni, lecz mimo to jej głos zawsze brzmi, jak należy. I zawsze jest piękna. W każdym odcinku widzowi wydaje się, że oto bez dwóch zdań widzi najpiękniejszą Fox, a tymczasem Fox z następnego odcinka okaże się jeszcze piękniejsza.

W telewizji, w Bibliotece Wolnego Ludu Drzewoświata jest noc. Wszyscy bibliotekarze śpią, wsunięci w swe trumny, pochwy na miecze, sekretne pokoiki, dziurki na guziki, kieszenie, ukryte kredensy, pomiędzy stronami swych zaklętych powieści. Blask księżycy wlewa się poprzez wysokie, łukowate okna Biblioteki i pada w przejścia pomiędzy półkami, do parku. Fox klęczy, wbijając się w błotnistą ziemię gołymi rękoma. Posąg Jerzego Waszyngtona klęczy obok i jej pomaga.

- Więc to jest Fox, zgadza się? - dopytuje się Amy. Nikt nie mówi jej, żeby się przymknęła. Nic by to nie dało. Amy ma wielkie serce i jeszcze większą buzię. Kiedy pada deszcz, Amy ratuje dżdżownicę z chodnika. Kiedy ktoś znuży się skrywaniem jakiegoś sekretu, zdradza go Amy.

Zrozumcie: Amy nie jest jakoś szczególnie głupsza niż ktokolwiek inny w tym opowiadaniu. Po prostu myśli na głos. Do salonu wchodzi mama Elizabeth.

- Hej, dzieciarnia - rzuca. - Cześć, Jeremy. Czy ja dobrze słyszałam, że twoja mama odziedziczyła kapliczkę ślubną?

- Tak, psze pani - odpowiada Jeremy. - W Las Vegas.

- Las Vegas - wzdycha tęsknie mama Elizabeth. - Wygrałam tam kiedyś trzysta dolarów. Wydałam je na przelot helikopterem nad Wielkim Kanionem. Ile razy możecie oglądać ten sam odcinek jednego dnia? - Ale sama siada, żeby pooglądać. - Myślicie, że ona naprawdę nie żyje?

- Kto nie żyje? - dopytuje się Amy. Nikt nic nie mówi.

- Jeremy nie jest pewien, czy jest gotów znów oglądać ten odcinek, w każdym razie nie z Amy. Idzie więc na górę i bierze prysznic. Rodzina Elizabeth posiada ogromną, a przy tym frapującą kolekcję szamponów. Nie ma nic przeciwko temu, by Jeremy

korzystał z łazienki.

Jeremy, Karl i Elizabeth znają się od początku przedszkola. Amy i Talis są rok młodsze. Cała piątka nie zawsze się przyjaźniła, z wyjątkiem Jeremy'ego i Karla. Talis znana jest z tego, że jest samotniczką. Wszystkim wiadomo, że nie słucha muzyki, nie nosi zbyt wielu czarnych rzeczy, nie jest jakoś szczególnie dobra (ani słaba) z matmy czy angielskiego, nie pije, nie wdaje się w dyskusje, nie robi na drutach, ani nie odmawia jedzenia mięsa. Jeśli prowadzi swój blog, nigdy nikomu nie przyznała się do tego.

Serial *Biblioteka* sprawił, że Jeremy, Karl, Talis, Elizabeth i Amy zostali przyjaciółmi. Nikt inny w szkole nie jest mu tak żarliwie oddany. Poza tym, każde z nich jest dzieckiem byłych hipisów, a miasteczko jest małe. Mieszkają w odległości kilku przecznic od siebie, w zapuszczonych domach w stylu wiktoriańskim z wysokimi sufitami bądź w parterowych domach z położonymi niżej salonami. I mimo że nie zawsze byli przyjaciółmi, dorastając, kąpali się na golasa w jeziorach w letnie noce i dokazywali na złamanie karku na swoich trampolinach. Pewnego razu, podczas dyskusji na temat psich imion, Elizabeth, która jest z natury porywcza, próbowała przejechać Jeremy'ego swoim rowerem z dziesięcioma przerzutkami, innym razem Karl upił się na przyjęciu jabłkowym sznapsem i próbował pocałować Talis, a raz, przez pięć miesięcy w siódmej klasie, Karl i Jeremy komunikowali się wyłącznie za pomocą gniewnych e-maili pisanych od początku do końca wersalikami. Nie wolno mi zdradzić, o co się pokłócili.

Obecnie cała piątka jest nierozłączna i niepokonana. Wyobrażają sobie, że życie zawsze takie będzie - niczym serial telewizyjny w wiecznej syndykacji - a oni zawsze będą razem. Używają tego samego słownictwa. Pożyczają sobie książki i muzykę. Dzielą się obiadami, i nigdy nic nie mówią, kiedy Jeremy przychodzi i bierze prysznic. Wiedzą, że jego ojciec jest ekscentrykiem. Tego się po nim spodziewają. Wszak jest pisarzem.

Kiedy Jeremy schodzi z powrotem na dół, Amy stwierdza: - Zawsze uważałam, że Księżę Skrzydło ma w sobie coś niegodziwego. Tę przygłup, a do tego wygląda, jakby miał cuchnący oddech. Tak naprawdę to nigdy go nie lubiłam.

- Nie znamy jeszcze całej fabuły - mówi Karl. - Może odkrył; coś na temat Fox, kiedy był imbryczkiem.

- Jest pod wpływem zaklęcia - wtrąca mama Elizabeth. - Mogę się z wami założyć.
- Będą o tym dyskutować przez cały tydzień.

Talis jest w kuchni, robi kanapkę z serkiem topionym Velveeta i korniszonami.

- No i co sądzisz? - pyta Jeremy. Wciągnięcie Talis w rozmowę to coś jak posiadanie hobby, tylko jeszcze bardziej bezcelowe. - Czy Fox faktycznie nie żyje?

- Bo ja wiem - bąka Talis. A po chwili dodaje. - Miałam sen.

Jeremy czeka. Talis również zdaje się czekać.

- O tobie - stwierdza. Po czym znowu milknie. Jest coś onirycznego w sposobie, w jaki robi kanapkę. Jakby faktycznie robiła coś, co w ogóle nie jest kanapką; jak gdyby tworzyła coś daleko bardziej wymownego i tajemniczego. Albo jak gdyby wkrótce miała się obudzić i uzmysłwić sobie, że coś takiego jak kanapka nie istnieje.

- Ty i Fox - mówi Talis. - Ten sen był o was. Powiedziała mi. Żeby ci powiedzieć. Żebyś do niej zadzwonił. Podała mi numer telefonu. Miała kłopoty. Mówiła, że ty masz kłopoty. Powiedziała, żeby „być w kontakcie”.

- Niesamowite - mruczy Jeremy i zaczyna roztrząsać tę kwestię. *Biblioteka* nigdy mu się nie śniła. Zastanawia się, kto zagrał Fox we śnie Talis. Kiedyś śniła mu się Talis, ale nie był to sen z gatunku tych, o których rozmawia się z innymi. Po prostu siedzieli sobie razem i nic nie mówili. Nawet koszulka Talis nic nie mówiła. Talis trzymała go za rękę.

- Nie czułam się jak we śnie - dodaje Talis.

- No więc co to był za numer? - pyta Jeremy.

- Zapomniałam - wyznaje Talis. - Obudziłam się i nie pamiętałam.

Mama Kafla pracuje w banku. Tato Talis trzyma w piwnicy sprzęt do karaoke i zna w całości teksty „Like a Virgin” oraz „Holiday”, a także słowa wszystkich piosenek z musicali *Godspell* i *Kabaret*. Mama Talis jest zawodową terapeutką, która układa osobowościowe testy wielokrotnego wyboru do czasopism dla kobiet. „Przekonaj się, jaką postać telewizyjną przypominasz najbardziej” i tym podobne. Rodzice Amy poznali się w komunie w miejscowości Ithaca. Amy nosiła imiona Galadriel Moon* Shuyler, zanim jej rodzice się opamiętali i zmienili je urzędowo. Wszyscy przysięgli zachować to w tajemnicy, co zakrawa na ironię, biorąc pod uwagę fakt, że chodzi o tę gadułę Amy.

* Moon (ang.) - księżyc.

Za to ojciec Jeremy'ego nazywa się Gordon Strangle** Mars. Pisze powieści o gigantycznych pająkach, olbrzymich pijawkach, monstualnych ćmach, a raz nawet napisał o mięsożernym krzaku róży, który rośnie w pewnej posiadłości w północnej części stanu Nowy Jork i zakochuje się w dziełnej, cierpiącej na szmery serca nastolatce. Pająki wielkości bernardyna uganiają się po ciemnych, wyboistych drogach za samochodami jego bohaterów, którzy walczą z nimi za pomocą raketek do badmintonu, narzędzi ogrodowych i fajerwerków. Powieści o pająkach są bestsellerami.

Kiedyś pewien miłośnik twórczości Gordona Strangle Marsa włamał się do domu Marsów. Ukradł kilka pierwszych niemieckich wydań powieści Gordona Strangle, szczotkę do włosów oraz używany kubek, w którym znajdowały się dwie wiekowe wyschnięte torebki herbaty. Ów fan zostawił zawieszony i obelżywy list złożony z serii żółtych, samoprzylepnych karteczek oraz rękopis własnej powieści, napisanej z punktu widzenia góry lodowej, która zatopiła „Titanica”. Jeremy i jego mama czytali ją sobie na głos. Zaczyna się tak: „Góra lodowa wiedziała, że ma swoje przeznaczenie”. Ulubiony fragment Jeremy'ego rozgrywa się w chwili, kiedy góra widzi, jak zbliża się skazany na zgon okręt i komentuje to z tęsknym westchnieniem: „Dobry Boże, czyżby kapitan nie wiedział, jak wielkie i nieprzebyte jest moje podnóże?”.

Jakiś czas potem Jeremy odkrył, że ów fan, autor powieści, wystawił używane torebki po herbacie oraz szczotkę do włosów Gordona Strangle Marsa na licytację internetową, a ktoś zapłacił za nie czterdzieści dwa dolary i sześćdziesiąt osiem centów, co nie tylko było czymś głęboko odrażającym, lecz Jeremy wciąż tak uważa, trochę tanio. Ale, rzecz jasna, jest to jak najbardziej na miejscu, bowiem ojciec Jeremy'ego słynie ze skąpstwa i zwykłego dziwactwa w sprawach pieniędzy.

Pewnego razu Gordon Strangle Mars wydał osiem tysięcy dolarów na japoński śpiewający sedes. Przyjaciele Jeremy'ego uwielbiali go. Mama Jeremy'ego posiada obraz kobiety w czerwonej sukni pędzla jakiegoś artysty, którego nazwiska Jeremy nigdy nie pamięta. Podarował go jej ojciec Jeremy'ego. Kobieta na obrazie jest piękna, a patrzy wprost na widza, jak gdyby to on był obrazem, nie ona. Jakby to on był piękny. W jednej dłoni trzyma jabłko, w drugiej nóż. Niewykluczone, że obraz wart jest więcej niż cały dom wraz z wyposażeniem, w tym śpiewającym sedesem. Ale prócz sztuki i sedesów Marsowie kupują większość swych ubrań w sklepach z używaną odzieżą.

** Strangle (ang.) - dusić.

Ojciec Jeremy'ego wycina kupony promocyjne z gazet.

Z drugiej strony, kiedy Jeremy miał dwanaście lat i błagał rodziców, żeby wysłali go na obóz bejsbolowy na Florydę, ojciec wyłożył pieniądze. A na poprzednie urodziny Jeremy'ego podarował mu kanapę nowo obitą w kilkanaście metrów grubego materiału z motywami z *Gwiezdných wojen*. To były dobre urodziny.

Kiedy pisanie idzie mu dobrze, Gordon Strangle Mars lubi wstawać o szóstej rano i udawać się na przejażdżkę autem. Obmyśla nowe wątki o gigantycznych pajakach i wypatruje porzuconych kanap, które zaciąga na tył swojej furgonetki. Następnie przez resztę dnia oddaje się pisaniu. W weekendy tapiceruje owe wyrzucone kanapy resztkami przecenionych materiałów. Kilka lat temu Jeremy przeszedł się po domu i naliczył czternaście kanap, osiem kozetek oraz rachityczny szezlong. Kiedyś Jeremy miał sen o tym, że jego ojciec połączył obie swoje profesje i zajął się tapicerką gigantycznych pajaków.

Wszystkie światła w domu Marsów ustawione są tak, że po piętnastu minutach wyłączają się, na wypadek, gdyby Jeremy albo jego mama zapomnieli je zgasić. Powoduje to zamęt, a niekiedy panikę, podczas owych nieczęstych okazji, kiedy Marsowie wydają prośzone obiady.

Każdy wyobraża sobie, że pisarze są bogaci, ale Jeremy'emu wydaje się, że jego rodzina jest bogata tylko czasami. A czasami nie jest.

Ilekroć Gordon Mars grzęźnie w powieści Gordona Strangle Marsa, martwi się o pieniądze. Zamartwia się, że właściwie to nie uda mu się ukończyć powieści, nad którą obecnie pracuje. Gnębi się, że będzie okropna. Zadręcza się tym, że nikt jej nie kupi i nie przeczyta, a ci, którzy mimo wszystko zdecydują się na jej lekturę, zażądadają zwrotu pieniędzy. Wyznał Jeremy'emu, że oczyma wyobraźni widzi owych wściekłych czytelników, gdy z pochodniami i łomami ciągną na dom Marsów.

Jeremy'emu i jego matce byłoby łatwiej, gdyby Gordon Mars pracował poza domem. Niełatwo jest wziąć prysznic, wiedząc, że ojciec wylicza wam czas i snuje czarne myśli na temat rachunku za wodę, zamiast skoncentrować się na scenie w najnowszej powieści Gordona Strangle Marsa, w której gigantyczne pająki powróciły na swoje dawne żerowisko pośród drzew otaczających dziewiąty dołek przeklętego pola golfowego, gdzie posępnie sycą się wywleczonymi na wierzch wnętrzościami parki niefortunnych pudli oraz ich właścicielki.

Podczas owych okresów, Jeremy bierze prysznic w szkole, po WF-ie lub w domach swoich przyjaciół, mimo . iż dla jego matki jest to dość przykre. Uważa ona, że ojca

należy niekiedy po prostu ignorować. Sama bierze wyjątkowo długie prysznice i często się kąpie. Utrzymuje, że kąpiele sprawiają jeszcze większą przyjemność, kiedy ma się świadomość, że ojciec martwi się o rachunek za wodę. Mama Jeremy'ego ma skłonności do okrucieństwa.

W kąpielach pod prysznicem Jeremy najbardziej lubi to, że będąc otoczonym przez wodę, a mimo to całkowicie niezagrożonym utonięciem - nie myśli się o takich sprawach, jak to, czy spieprzyło się pracę domową z hiszpańskiego, czy nie, albo dlaczego mama jest taka zmartwiona. Można za to rozmyślać sobie o tym, czy na Marsie jest woda, i czy Karl się goli, czy nie, a jeśli tak, to kogo próbuje oszukać, i co posąg Jerzego Waszyngtona miał na myśli, mówiąc do Fox, podczas ich rozpaczliwej, krwawej walki, „Masz przed sobą długą podróż” i „Wszystko zależy od niej”. I czy Fox naprawdę nie żyje?

Kiedy Fox wykopała już z ziemi pudełko po cygarach, a Jerzy Waszyngton pomógł jej starannie oddzielić kawałki kubka od imbryczka, kiedy posklejali setki fragmentów porcelany, i kiedy Fox zmieniała rozklekotany imbryk z powrotem w Księcia Skrzydło, wyglądał o jakieś sto lat starzej, a do tego tak, jakby wciąż brakowało kilku kawałków. Był blady. Kiedy ujrzał Fox, pobladł jeszcze bardziej, jak gdyby nie spodziewał się ujrzeć jej przed sobą. Porwał swój lewiatanowy miecz, który Fox mu przechowywała - ten, który, jak wiedzą wszyscy wierni widzowie, wyrzeźbiono z zęba olbrzymiego, prastarego potwora morskiego żyjącego szczęśliwie i spokojnie (dopóki Książę Skrzydło nie został podstępnie skłoniony do zabicia go) w zakętym podziemnym morzu trzeciego piętra - i nadział statuę Jerzego Waszyngtona na ostrze niczym kebab, po czym przygwoździł ją do drzewa. Kopnięciem w głowę powalił Fox na ziemię i przywiązał ją do katalogu. Do ust wepchnął jej garść mchu i ziemi, żeby nie mogła nic powiedzieć, po czym oskarżył ją o knucie spisku, mającego na celu zabójstwo Wiernej Małgorzaty za pomocą magii. Oświadczył, że Fox jest bardziej kłamliwa niż którakolwiek z Zakazanych Książ. Odciął jej ogon i uszy, aż w końcu przebił ją nożem o zatrutym ostrzu i rękojeści z psią głową, który wraz z Fox skradli niegdyś z sekretnego domu jego matki. Potem zostawił ją tam, przywiązaną do bibliotecznego katalogu, odrętwiałą i zakrwawioną, - jej piękna głowa wisiała bezwładnie. Kichnął (Książę Skrzydło ma alergię na szermierkę) i odszedł ku półkom z książkami. Ze swoich kryjówek powychodzili bibliotekarze. Rozwiązali Fox i oczyścili jej twarz. Do ust przystawili jej lusterko, ale na jego powierzchni nie pojawiła się para.

Kiedy bibliotekarze wyciągnęli lewiatanowy miecz Księcia Skrzydło z pnia drzewa,

posąg Jerzego Waszyngtona zatoczył się i wziął Fox w ramiona. Jej uszy i ogon wsunął do pojemnych kieszeni swego obsranego przez ptaki, patynowego płaszcza. Zniósł Fox siedemnaście pięter niżej, mijając po drodze zakłęta i nieprzyjemną Sfinks na ósmym piętrze, zakłęte i burzliwe podziemne morze na trzecim, i jeszcze bardziej zakłęta wypożyczalnię na parterze, po czym wyszedł kutymi mosiężnymi drzwiami Biblioteki Wolnego Ludu Drzewoświata. Nikt nigdy w serialu, w ani jednym odcinku, nie wychodził na zewnątrz. *Biblioteka* zawiera w sobie wszystkie te rzeczy, dla których człowiek wychodzi z domu, by się nimi cieszyć: drzewa, jeziora, grotty, pola, góry i urwiska (a przy tym pełna jest przedmiotów, które trzyma się w domu, jak, rzecz jasna, książki). Na zewnątrz, wokół Biblioteki, wszystko jest zapyłone, czerwone i obce, jak gdyby Jerzy Waszyngton wyniósł Fox z budynku wprost na powierzchnię Marsa.

- Poszedłbym teraz na dobrą, zimną Euforię - stwierdza Jeremy. Wraz z Karlem idą właśnie do domu.

Euforia to *Tottik Bibliotekarza - Gdy Czujność Nie Wystarcza*. W serialu *Biblioteka* często pojawiają się reklamy Euforii, choć nikt nie jest do końca pewien, czemu ona służy, czy jest to napój alkoholowy, czy kofeinowy, jak smakuje, czy jest trujący, czy wyśmienity, ani nawet tego, czy jest gazowany. Każdy, również i Jeremy, raz na jakiś czas marzy o szklaneczce Euforii.

- Mogę cię o coś spytać? - rzuca Karl.

- Czemu zawsze to powtarzasz? - irytuje się Jeremy. - Co mam powiedzieć? Nie, nie możesz mnie o nic spytać?

- O co chodzi między tobą a Talis? - pyta Karl. - O czym rozmawialiście w kuchni? - Jeremy zauważa, że Karl był Czujny.

- Miała o mnie sen - wyjaśnia z pewnym zażenowaniem.

- Więc ona ci się podoba? - dopytuje się Karl. Jego podbródek wygląda na pokaleczony. Jeremy nabiera teraz pewności, że Karl - próbował się golić. - Bo nie wiem, czy pamiętasz, ale ona mnie pierwszemu się spodobała.

- Po prostu rozmawialiśmy - stwierdza Jeremy. - Goliłeś się? Bo jakoś nie zauważyłem u ciebie zarostu na twarzy. Karl, pomysł z goleniem jest żałosny. Jak zagłosowanie na Republikanów, gdybyśmy mieli tyle lat, że moglibyśmy głosować. Albo pierdzenie na lekcjach muzyki.

- Nie próbuj zmieniać tematu - krzywi się Karl. - Czy ty i Talis w ogóle wcześniej

rozmawialiście ze sobą?

- Raz rozmawialiśmy o książce Diany Wynne Jones, którą wypożyczyła z biblioteki. Przez przypadek upuściła ją do wanny w czasie kąpieli. Pytała, czy mógłbym powiedzieć o tym mojej mamie - wyznaje Jeremy. - Kiedyś rozmawialiśmy o recyklingu.

- Zamknij się, Dżemik - wścieka się Karl. - A poza tym, co z Elizabeth? Myślałem, że to ona ci się podoba!

- A kto tak powiedział? - zdumiewa się Jeremy. Karl obrzuca go piorunującym spojrzeniem.

- Amy mi mówiła - stwierdza.

- Nigdy nie mówiłem Amy, że Elizabeth mi się podoba - stwierdza Jeremy. Więc teraz wychodzi na to, że Amy jest nie tylko papłą, ale w dodatku i telepatką. Cóż za straszne, zabójcze połączenie!

- Wiem - odburkuje niechętnie Karl. - Elizabeth powiedziała Amy, że jej się podobasz, więc pomyślałem, że ona podoba się tobie na zasadzie wzajemności.

- Podobam się Elizabeth? - dziwi się Jeremy.

- Wychodzi na to, że wszystkim się podobasz - stwierdza Karl. W jego głosie pobrzmiwa nuta żalu dla samego siebie. - Co ty masz w sobie takiego? Przecież nie jesteś jakiś nadzwyczajny. Masz taki dziwaczny nos i te kretyńskie włosy.

- Dzięki, Karl. - Jeremy zmienia temat. - Myślisz, że Fox naprawdę nie żyje? - pyta. - Na dobre? - Idzie szybkim krokiem, toteż Karl musi nieomal biec, żeby za nim nadążyć. Obecnie Jeremy jest sporo wyższy od Karla, więc zamierza nacieszyć się tym stanem, dopóki będzie trwał. Znając Karla albo on również podrośnie, albo obetnie Jeremy'emu nogi w kolanach.

- Użyją magii - stwierdza Karl. - A może to wszystko było snem. Zrobią tak, że znowu będzie żywa. Nigdy im nie wybaczę, jeśli zabili Fox. A jeśli podoba ci się Talis, to tobie też nigdy tego nie wybaczę. I wiem, co sobie myślisz. Myślisz sobie, że nie żartuję, ale jak przyjdzie co do czego, to w końcu ci wybaczę i znów będziemy przyjaciółmi, jak w siódmej klasie. Ale się mylisz. Nie wybaczę ci i nie będziemy przyjaciółmi. W ogóle nigdy już nie będziemy przyjaciółmi.

Jeremy milczy. Jasne, że Talis mu się podoba. Po prostu wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy. Aż do dziś. Kiedy Karl zaczął o tym mówić. Elizabeth również podoba się Jeremy'emu, ale jak można porównywać ją z Talis? Nie można. Elizabeth to Elizabeth, a Talis to Talis.

- Kiedy próbowałeś ją pocałować, rąbnęła cię boa dusicielem - stwierdza. - Wężem Amy. Najprawdopodobniej był to wypadek. Karl nie powinien próbować całować kogoś, kto akurat trzyma boa dusiciela.

- Lepiej zapamiętaj, co przed chwilą powiedziałem - mówi Karl. - Niech ci się podoba, kto chce. Byle nie Talis.

Serial *Biblioteka* obecny jest w telewizji już od dwóch lat. Nie umieszcza się go regularnie w ramówce. Czasami nadawany jest o dwóch różnych porach w jednym tygodniu, a potem nie pojawia się przez kolejne kilkanaście dni. Często nowe odcinki pokazywane są po raz pierwszy w środku nocy. Istnieje spora wspólnota internetowa, której członkowie godzinami przeszukują kanały; wysyłają sygnały alarmowe oraz fałszywe alarmy. Fani wymieniają się teoriami, taśmami, plikami, uprawiają własną, inspirowaną serialem twórczość literacką. Elizabeth ustawiła swój komputer tak, że krzyczy: „Obudź się, Elizabeth! Telewizor się pali!”, kiedy wiarygodne, śledzące program strony internetowe odkryją nowy odcinek.

Biblioteka to serial piracki. Raz lub dwa pokazali go na większości ogólnodostępnych kanałów, ale zwykle pojawia się na tych częstotliwościach, które Jeremy uznaje za coś w rodzaju kanałów widmo. Te, na których po prostu widać śnieżenie, póki nie wykupi się pakietu kabłówki z kilkuset kanałami. W serialu pojawiają się przerwy na reklamę, ale reklamowane produkty są jak Euforia. Nigdy nie pochodzą z prawdziwych firm ani nie są przedmiotami, które można kupić naprawdę. Często reklamy nie są nawet po angielsku ani w żadnym rozpoznawalnym języku, mimo iż hasła są chwytliwe, bez względu na to, czy mają sens, czy nie. Zapadają w pamięć.

Odcinki *Biblioteki* nie mają regularnych pór nadawania, listy plac, a czasami nawet dialogów. Akcja jednego z odcinków rozgrywa się wewnątrz górnej szuflady katalogu bibliotecznego, w całkowitej ciemności, a wszystko przekazywane jest za pomocą alfabetu Morse'a i tłumaczone w napisach. Nic więcej. Nikt nigdy nie przyznał się do autorstwa serialu. Nikt nigdy nie zrobił wywiadu z żadnym z aktorów ani nie trafił na plan, nie spotkał ekipy, nie czytał scenopisu, choć w jednym z odcinków przedstawionym w konwencji dokumentu aktorzy sfilmowali ekipę, której wszyscy członkowie mieli na głowach papierowe torby.

Kiedy Jeremy wraca do domu, ojciec piecze na kolację „pizzę do góry nogami”^{*}.

Kiedy poznaje się pisarzy osobiście, zwykle w najlepszym razie przynosi to rozczarowanie. Pisarze, którzy tworzą ekscytujące dreszczowce, sami niekoniecznie są ekscytujący i nie wywołują dreszczy. Swoją drogą pisarze książek dla dzieci mogą wyglądać bardziej jak księgowi albo mordercy z siekierą. Twórcy horrorów bardzo rzadko sami wzbudzają strach swoim wyglądem, choć często bywają dobrymi kucharzami.

Ale Gordon Strangle Mars rzeczywiście wygląda przerażająco. Ma długie, chude palce - obecnie upaprane sosem do pizzy - i to w związku z nimi obrał sobie „Strangle” jako zmyślane drugie imię. Ma białoblond włosy, które mierzwi podczas pisania, póki nie zaczną sterczeć do góry. Ma też paskudny zwyczaj niespodziewanego pojawiania się za plecami innych, kiedy nie zdają sobie nawet sprawy z tego, że znajduje się on w tej samej części domu. Ma też głęboko osadzone oczy, którymi rzadko mruga. Karl twierdzi, że kiedy poznaje się ojca Jeremy'ego, przypatruje się on tak, jakby wyobrażał sobie was unieruchomionych i zamkniętych w spizarni jakiegoś gigantycznego pająka. Co, być może, nie jest dalekie od prawdy.

Ludzie, którzy czytają książki, nigdy nie zadają sobie trudu zastanowienia się nad tym, czy ich ulubieni pisarze są również dobrymi rodzicami. Czemu niby mieliby to robić?

Gordon Strangle Mars uprawia rekreacyjne kradzieże sklepowe. Ma specjalną, skomplikowaną i cichą umowę z miejscową księgarnią, której właściciele, w zamian za podpisanie tyłu książek Gordona Strangle Marsa, ile zdołają sprzedać, bez słowa sprzeciwu pozwalają mu kraść książki. Wcześniej czy później zjawia się mama Jeremy'ego i wypisuje czek.

Uczucia Jeremy'ego w stosunku do ojca są złożone. Jego ojciec jest sknerą i drobnym złodziejaszkiem, a mimo to Jeremy go lubi. Ojciec rzadko kiedy traci wobec niego cierpliwość, zawsze wykazuje zainteresowanie jego życiem, a przy tym udziela mu ciekawych (acz zagmatwanych) rad, gdy go o nie prosi. Na przykład, gdyby Jeremy spytał ojca o całowanie się z Elizabeth, ten zapewne zaproponowałby, żeby nie przejmował się gigantycznymi pajakami, kiedy będzie się z nią całował. Rady ojca Jeremy'ego zwykle mają jakiś związek z gigantycznymi pajakami.

Kiedy Jeremy i Karl nie odzywali się do siebie, to właśnie ojciec Jeremy'ego ich pogodził. Zwabił Karla, po czym zamknął obu w swoim gabinecie. Nie chciał ich

^{*} Rodzaj zapiekanki.

wypuścić, dopóki znów nie będą ze sobą rozmawiać.

- Przyszedł mi do głowy świetny pomysł na twoją książkę - mówi Jeremy. - Co by było, gdyby jeden z pajaków uplotł sieć w bramce, na boisku piłkarskim? I co by się stało, gdyby bramkarz zauważył ją dopiero w środku meczu? Czy ktoś potrafiłby zabić pajaka piłką, gdyby kopnął wystarczająco mocno? Czy eksplodowałby? Albo jeszcze lepiej, pajak mógłby przedziurawić piłkę swoimi zębiskami. Tak też byłoby super.

- Mama jest w garażu - oznajmia Gordon Strangle Mars synowi. - Chce z tobą porozmawiać.

- Ojej - wzdycha Jeremy. Ni z tego, ni z owego przychodzi mu na myśl sen Talis i Fox, która usiłuje dodzwonić się do niego. Próbuje go ostrzec. Zupełnie irracjonalnie zaczyna naraz przeczuwać, że to jego rodzice ponoszą winę za śmierć Fox, jak gdyby to oni ją zabili. - Chodzi o was? Rozwodzicie się?

- Nie wiem - przyznaje ojciec. Kuli ramiona. Krzywi się. To mina, jaką często przybiera, a tym razem jeszcze bardziej niż zwykle wygląda na winnego i godnego pożałowania.

- Co zrobiłeś? - dopytuje się Jeremy. - Dales się przyłapać na kradzieży w Wal-Marcie?

- Nie - zaprzecza ojciec.

- Miałeś romans?

- A skąd! - protestuje. Teraz wygląda, jakby czuł obrzydzenie albo do siebie, albo do Jeremy'ego za to, że zadał mu takie okropne pytanie. - Schrzaniłem sprawę. Zostawmy to na razie.

- Jak idzie książka? - pyta Jeremy. W głosie ojca pobrzmiewa jakaś nuta, która sprawia, że ma ochotę coś kopnąć, ale gigantycznych pajaków nigdy nie ma pod ręką, kiedy są potrzebne.

- O tym też wolałbym nie rozmawiać - odpowiada ojciec i, o ile to w ogóle możliwe, sprawia wrażenie jeszcze bardziej zawstydzonego. - Idź, powiedz mamie, że kolacja będzie gotowa za pięć minut. Może po kolacji obejrzysz ze mną nowy odcinek *Biblioteki*, o ile już nie obejrzałeś go z tysiąc razy?

- Wiesz, jak się kończy? Czy mama mówiła ci, że Fox...

- Cholera - przerywa mu ojciec. - Zabili ją?

Jeremy wie, że na tym właśnie polega problem z pisarzami. Nawet największe i najbardziej przerażające zwroty akcji nie są dla nich zaskoczeniem. Wiedzą, jak układa się każda historia.

Mama Jeremy'ego jest sierotą. Jego ojciec utrzymuje, że została wychowana przez zdziczałe gwiazdy niemego kina, i jest to prawda, wygląda bowiem jak bohaterka filmów z Haroldem Lloydem. Jej aparycja charakteryzuje się jakimś atrakcyjnym nieładem, jak gdyby ktoś właśnie albo przywiązał ją, albo odwiązał od szyn kolejowych. Poznała Gordona Marsa (nim jeszcze dodał sobie „Strangle” i sprzedał swoją pierwszą powieść) w części restauracyjnej centrum handlowego w New Jersey i zakochała się w nim, zanim zdała sobie sprawę z tego, że jest on pisarzem i uprawia rekreacyjne kradzieże. Z jego twórczością miała okazję zapoznać się dopiero po ślubie, co ze strony ojca Jeremy'ego było typowym sprytnym posunięciem.

Mama Jeremy'ego nie czytuje horrorów. Nie lubi opowieści o duchach czy też niewyjaśnionych zjawiskach ani nawet takich, które wymagają nazbyt technicznych objaśnień, na przykład mikrofales, samolot. Nie lubi Halloween ani halloweenowych słodczy. Ojciec Jeremy'ego daje jej specjalne wydania swoich powieści, w których strony zawierające przerażające sceny zostały posklejane.

Mama Jeremy'ego najczęściej jest milcząca. Ma na imię Alice. Czasami Jeremy zastanawia się nad tym, że dwie najbardziej milczące osoby, jakie zna, to Alice i Talis. Ale jego mama i Talis są milczące na różne sposoby. Mama Jeremy'ego jest osobą, która zdaje się coś ukrywać, jakąś tajemnicę, podczas gdy Talis sama stanowi tajemnicę. Mama Jeremy'ego bez problemu mogłaby okazać się tajną agentką. A tymczasem Talis jest promieniem śmierci, kluczem do nieśmiertelności bądź czymkolwiek, co tajni agenci muszą trzymać w tajemnicy. Spędzanie czasu z Talis jest jak spędzanie czasu z nastoletnią czarną dziurą.

Mama Jeremy'ego siedzi na podłodze garażu przy olbrzymim tekturowym pudle. W dłoniach trzyma album ze zdjęciami. Jeremy przysiadł koło niej.

Są w nim fotografie kota na murku oraz czegoś rozmazanego, co wygląda jak wieloryb, zeppelin albo bochenek chleba. Jest też fotografia małej dziewczynki, która siedzi obok jakiejś kobiety. Kobieta ta ma na sobie futrzany kołnierz z niewielkim, ostrym pyszczkiem, czterema łapami i ogonem, toteż Jeremy odczuwa gwałtowny skurcz. Fox jest pierwszą nieżyjącą osobą, o którą naprawdę się martwił, ale nie jest kimś rzeczywistym. Dziewczynka na fotografii wygląda na całkowicie pograżoną w osłupieniu, jakby ktoś dopiero co zdzielił ją młotkiem. Jak gdyby osoba z aparatem fotograficznym powiedziała właśnie: „Uśmiechnij się! Twoi rodzice nie żyją!”.

- Cleo - odezwała się mama, wskazując kobietę na zdjęciu. - To jest Cleo. Była

ciotką mojej matki. Mieszkała w Los Angeles.

Przeprowadziłam się do niej, kiedy umarli moi rodzice. Miałam cztery lata. Wiem, że nigdy o niej nie mówiłam, ale nigdy nie przychodziło mi do głowy, co mogłabym o niej powiedzieć.

- Była miła? - pyta Jeremy.

- Próbowała - odpowiada mama. - Nie spodziewała się, że zostanie obarczona małą dziewczynką. Co za dziwne słowo - „obarczony”. Jakby była koniem. Jak gdyby ktoś wsadził mnie jej na grzbiet, a ja nigdy z niego nie zesłam. Lubiła kupować mi ubrania. Lubiła ciuchy. Nie miała szczęśliwego życia. Sporo piła. Popołudniami lubiła chodzić do kina, a wieczorami na seanse spirytystyczne. Miała facetów. Niektórzy z nich byli palantami. Miłością jej życia był jakiś drobny gangsterzyna. Zmarł, a ona nigdy nie wyszła za mąż. Zawsze powtarzała, że małżeństwo to żart, życie jest jeszcze większym żartem, a jej pech polega na tym, że brakuje jej poczucia humoru. Więc to dziwne, kiedy pomyśli się o tym, że przez wszystkie te lata prowadziła kapliczkę ślubną.

Jeremy patrzy na matkę. Na wpół uśmiecha się, na wpół krzywi, jakby bolał ją żołądek.

- Uciekłam, kiedy miałam szesnaście lat. I nigdy więcej jej już nie widziałam. Raz przysłała mi list na adres wydawców ojca. Napisała, że przeczytała wszystkie jego książki - pewnie w ten sposób mnie znalazła, bo wciąż mi je dedykował. Pisała, że ma nadzieję, że jestem szczęśliwa i że myśli o mnie. Odpisałam. Wysłałam jej twoje zdjęcie. Ale nigdy więcej już się nie odezwała. To wszystko brzmi jak odcinek *Biblioteki*, prawda?

- To o tym chciałaś mi opowiedzieć? - pyta Jeremy. - Tato mówił, że chcesz mi coś powiedzieć.

- To tylko część prawdy - wyjaśnia mama. - Muszę pojechać do Las Vegas, żeby pozatwierać parę spraw związanych z tą kaplicą ślubną. „Piekielne Dzwony”. Chciałbym, żebyś pojechał ze mną.

- O to chciałaś mnie spytać? - dopytuje się Jeremy, choć wie, że jest jeszcze coś. Na jej twarzy wciąż widać ów smutny półuśmiech.

- Dżemik - mówi mama. - Wiesz, że kocham twojego tatę, prawda?

- Dlaczego pytasz? - pyta Jeremy. - Co zrobił?

Mama przekartkowuje album ze zdjęciami.

- Popatrz - mówi. - Zostało zrobione, kiedy się urodziłeś. - Na zdjęciu ojciec

trzyma Jeremy'ego w taki sposób, jakby ktoś właśnie podał mu zaczarowany porcelanowy imbryczek. Ojciec uśmiecha się, ale wygląda też na przestraszonego. Wygląda jak dziecko. Przerazające przerażone dziecko.

- Mnie też nie chciał powiedzieć - stwierdza Jeremy. - Więc sytuacja jest chyba naprawdę niewesoła. Jeśli macie zamiar się rozwieść, powinna mi o wszystkim opowiedzieć.

- Nie rozwodzimy się - wyjaśnia mama - ale byłoby dobrze, gdybyś pojechał ze mną do Las Vegas. Moglibyśmy posiedzieć tam kilka miesięcy, a ja uporządkowałabym sprawy związane ze spadkiem. Zajęłabym się majątkiem Cleo. Mam zamiar porozmawiać z twoimi nauczycielami. W bibliotece złożyłam już wymówienie. Pomyśl o tym jako o przygodzie. - Dostrzega wyraz twarzy Jeremy'ego. - Nie, przepraszam. Nie powinnam mówić takich głupot. Wiem, że to nie jest przygoda.

- Nie chcę wyjeżdżać - oświadcza Jeremy. - Tu są wszyscy moi przyjaciele! Nie mogę tak po prostu sobie wyjechać i zostawić ich. To byłoby okropne! - Przez cały czas przygotowywał się na ową najokropniejszą rzecz, jaką potrafi sobie wyobrazić. Oczyma duszy widział rozmowę z mamą, w której wyjawia ona swoją straszliwą tajemnicę, a w owej wizji on sam jest spokojny i rozsądny. Jego wyimaginowani rodzice płakali i prosili go o zrozumienie. Wyimaginowany Jeremy zrozumiał. Wyobraził sobie, że potrafi wszystko zrozumieć. Ale teraz, kiedy jego mama mówi do niego, serce bije mu coraz szybciej, a płuca wypełniają się powietrzem, jak gdyby biegł. Zaczyna się pocić, mimo iż podłoga garażu jest zimna. Chciałby teraz siedzieć na dachu z teleskopem. Może ujrzałby niewidzialne gołym okiem meteory, które wirują na niebie i pędzą ku ziemi. Fox nie żyje. Wszystkich, których zna, czeka zguba. Nawet w chwili, kiedy jeszcze o tym myśli, wie, że reaguje nazbyt emocjonalnie. Ale prawda ta nie przynosi ulgi.

- Wiem, że to okropne - zapewnia mama. Posiada pewną wiedzę w tej materii.

- No więc czemu nie mogę tu zostać? - pyta Jeremy. - Ty pojedziesz pozalać sprawę w Las Vegas, a ja zostanę z tatą. Czemu nie mogę zostać?

- Bo umieścił cię w książce! - wyznaje w końcu mama. Wypluwa z siebie te słowa. Nigdy jeszcze nie słyszał takiej wściekłości w jej głosie. Jego mama nigdy się nie złości. - Umieścił cię w jednej ze swoich książek! Byłam w jego gabinecie, a rękopis leżał na biurku. Zobaczyłam twoje imię, więc wzięłam go i zaczęłam czytać.

- No i co z tego? - dziwi się Jeremy. - Już nieraz opisywał mnie w swoich książkach. Na przykład to, co mówiłem. Jak wtedy, kiedy miałem osiem lat, dostałem

gorączki i powiedziałem mu, że na drzewach pełno jest nieżywych ludzi w takich papierowych czapczkach, jakie nosi się na przyjęciach. Albo jak wtedy, kiedy niechcący podпалиłem jego pracownię.

- Teraz to co innego - tłumaczy mama. - To ty. Naprawdę ty. Nawet nie zmienił twojego imienia. Ten chłopiec w książce skacze przez płotki, chce zostać konstruktorem raket i polecieć na Marsa, i jest śliczny, zabawny i słodki, a jego najlepsza przyjaciółka, Elizabeth, jest w nim zakochana, a do tego on mówi, tak jak ty, tak samo wygląda, a potem umiera. Ma guza mózgu i umiera. Umiera. Nie ma żadnych gigantycznych pajaków. Jesteś tylko ty i umierasz.

Jeremy milczy. Wyobraża sobie, jak ojciec pisze scenę, w której chłopiec imieniem Jeremy umiera, i popłakuje, ale tylko trochę. Wyobraża sobie tego chłopca, Jeremy'ego. Bohater, który umiera. Biedny, pokręcony małolat. Teraz Jeremy i Fox mają coś wspólnego. Oboje są wymyślonymi postaciami. Oboje nie żyją.

- Elizabeth się we mnie kocha? - pyta. Z zasady nigdy nie wierzy w to, co mówi Karl. Ale skoro tak jest w książce, więc może to prawda.

- Cholera - złości się mama. - Naprawdę nie chciałam tego powiedzieć. Jestem po prostu na niego wściekła. Jesteśmy małżeństwem od siedemnastu lat. Byłam tylko cztery lata starsza od ciebie, kiedy go poznałam. Miałam dziewiętnaście lat. A on miał zaledwie dwadzieścia. Byliśmy dziećmi. Wyobrażasz to sobie? Potrafię znieść śpiewający sedes, kradzieże sklepowe i kanapy, i potrafię wytrzymać z tym jego dziwactwem na punkcie pieniędzy. Ale on cię zabił, Jeremy. Opisał cię w książce i zabił. A w dodatku wie, że to było nie w porządku. Jest mu teraz wstyd. Nie chciał, żebym ci o tym mówiła. A ja nie miałam zamiaru tego robić.

Jeremy siedzi i myśli. - I tak nie chcę jechać do Las Vegas - oznajmia. - Może wobec tego moglibyśmy wysłać tam tatę?

- Niezły pomysł - stwierdza mama. Ale Jeremy wie, że ona już szczegółowo planuje ich wyjazd.

W jednym z odcinków *Biblioteki* wszyscy są niewidzialni. Nie widać aktorów, widać jedynie książki i półki, biurka dla czytelników na piątym piętrze, gdzie czarodzieje na monety przychodzą flirtować i ćwiczyć swoje zaklęcia. Niewidzialne Zakazane Księgi walczyły z niewidzialnymi piratami-czarownikami, oni zaś walczyli z Fox i jej przyjaciółmi, którzy również byli niewidzialni. Walka była niezdarna, miały miejsce liczne wypadki śmiertelne. Słysząc było jej odgłosy. Wywracały się półki.

Fruwały książki. Niewidzialni ludzie potykali się o niewidzialne ciała, ale aż do następnego odcinka nie sposób było stwierdzić, kto zginął. Kilku bohaterów - Przypadkowy Miecz, Kudłaty Pete i Ptolemeusz Kryl, który (podobnie jak Vogoni w *Autostopem przez galaktykę* Douglasa Adamsa) pisał tak okropne wiersze, że zabijały każdego, kto je przeczytał - zniknęło na dobre, i nikt nie wie na pewno, czy zginęli, czy nie.

W innym odcinku Fox wykradła Nornom - wieszczącemu zespołowi dziewczęcemu, który stanowi gwóźdź programu kabaretu na antresoli Biblioteki Wolnego Ludu Drzewoświata - magiczny lek. Przez pomyłkę wstrzyknęła go sobie, zaszła w ciążę i powiła gromadkę węży, które doprowadziły ją do pewnej półki, a tam zbuntowani bibliotekarze nieopatrznie odłożyli starożytną i straszliwą księgę magii. Nie została ona przetłumaczona, dopóki Fox nie poprosiła węży o pomoc. Węże wily się i skręcały na ziemi, przedstawiając słowa, litera po literze, własnymi ciałami. Kiedy już przetłumaczyły księgę dla Fox, z sykiem wyparowały. Zmieniły się w ogniste linie na ziemi, po czym wypaliły się do cna. Fox płakała.

Był to jedyny raz, kiedy można było zobaczyć, jak roni łzy. Nie jest taka, jak Książę Skrzydło. Bo Książę Skrzydło to beksa.

Jednym ze specyficznych aspektów *Biblioteki* jest to, że kiedy postacie umierają, nie pojawiają się już ponownie. Jak gdyby śmierć była prawdziwa. Więc może Fox naprawdę nie żyje i naprawdę już się więcej nie pojawi. Jest parę duchów, które snują się wokół Biblioteki w poszukiwaniu krwawej uczty, ale one zawsze były duchami, od samego początku serialu. Nie ma też żadnych nikczemnych sobowtórów ani wampirów. Choć miejmy nadzieję, że pewnego dnia nikczemne sobowtóry się pojawiają. Któż bowiem ich nie kocha?

- Mama powiedziała mi, że mnie opisałeś - mówi Jeremy. Mama wciąż siedzi w garażu. A on czuje się jak piłeczka tenisowa podczas gry - zawodnicy ogromnie go kochają nawet wówczas, gdy lobują i smeczują, posyłając go tam i z powrotem, w tę i z powrotem.

- Mówiła, że ci o tym nie powie - stwierdza ojciec - ale właściwie to cieszę się, że to zrobiła. Przepraszam, Dzemik. Jesteś głodny?

- W przyszłym tygodniu wyjeżdża do Las Vegas. Chce, żebyśmy z nią jechał - ciągnie Jeremy.

- Wiem - przyznaje ojciec, wciąż trzymając w ręku półmisek z pizzą „do góry

nogami”. - Jeśli potrafisz, spróbuj się tym nie martwić. Pomyśl o tym jako o przygodzie.

- Mama powiedziała, że to głupota tak mówić. Pozwolisz mi przeczytać tę książkę o mnie? - pyta.

- Nie - odpowiada ojciec, patrząc wprost na Jeremy'ego. - Spaliłem ją.

- Naprawdę? - dziwi się Jeremy. - Komputer też podпалиłeś?

- No nie - tłumaczy ojciec. - Ale nie możesz jej przeczytać. I tak była do niczego. Chcesz pooglądać za mną *Bibliotekę!* I zjedz chociaż kawałek tej cholernej pizzy. Nawet jeśli marny ze mnie ojciec, to przynajmniej jestem dobrym kucharzem. A jeśli mnie kochasz, zjesz to cholerstwo i będziesz mi wdzięczny.

- Siadają więc na pomarańczowej kanapie, a Jeremy zajada pizzę i po raz drugi i pół ogląda z ojcem *Bibliotekę*. Za sprawą czasowego zegara gasną światła w salonie, a Książę Skrzydło zabija Fox. A potem Jeremy idzie do łóżka. Ojciec idzie pisać bądź palić. Wszystko jedno. Mama nadal nie wychodzi z garażu.

Na biurku Jeremy'ego leży świstek papieru z numerem telefonu. Gdyby zechciał, mógłby zadzwonić do swojej budki. Po wybraniu numeru przez dłuższy czas słychać jedynie sygnał. Jeremy siedzi po ciemku na łóżku i wsłuchuje się w ten dźwięk. Już prawie odkłada słuchawkę, gdy nagle ktoś odbiera, . Ów ktoś nic nie mówi, więc Jeremy zaczyna nieśmiało:

- Halo? Halo?

Na drugim końcu linii ktoś sapie do telefonu. Wreszcie odzywa się miękkim, śpiewnym, piskliwym głosem:

- Nie mogę teraz rozmawiać, mały. Oddzwonię później. - Po czym rozłącza się.

Jeremy'emu śni się, że siedzi obok Fox na kanapie, którą jego ojciec obił pajęczym jedwabiem. Kradł pajęczyny z hipermarketu gigantycznych pajaków. Z jego własnych książek. Czy należy to zakwalifikować jako kradzież sklepową, czy autoplgiat? Kanapa jest miękka, szara i nieco lepka. Fox siedzi po jego obu stronach. Rolę tej po prawej stronie gra Talis. Zaś Elizabeth jest Fox po lewej. Obie patrzą na niego z wielkim współczuciem.

- Jesteście nieżywe? - pyta Jeremy.

- A ty? - pyta Fox, grana przez Elizabeth, owym charakterystycznym głosem, który jak stwierdził kiedyś ojciec Jeremy'ego, brzmi niczym seksowny i obłąkany balon na hel. To, że wydobywa się on z ust Elizabeth, wywołuje dotkliwy ból pod czaszką

Jeremiego.

Fox, która wygląda jak Talis, nic nie mówi. Napis na jej koszulce jest tak maleńki i w tak egzotycznym języku, że Jeremy nie jest w stanie go odczytać bez poczucia, że gapi się na jej biust. Niewykluczone, iż jest to coś, co powinien wiedzieć, ale nigdy nie zdoła odczytać napisu. Jest zbyt kulturalny, a poza tym słabo zna języki obce.

- Hej, popatrz - rzuca Jeremy. - Jesteśmy w telewizji! - Widać go na ekranie telewizora, jak siedzi na szarej, lepkiej kanapie na polu maku pomiędzy dwiema Fox. - Czy jesteśmy w Las Vegas?

- Nie jesteśmy w Kansas* - odpowiada Fox-Elizabeth. - Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił.

- Co takiego? - pyta Jeremy.

- Jeśli powiem ci to we śnie - ciągnie Fox-Elizabeth - zapomnisz. Musisz pamiętać, żeby do mnie zadzwonić, jak się obudzisz. Dzwon, póki mnie nie złapiesz.

- Jak zapamiętam, żeby do ciebie zadzwonić? - dziwi się Jeremy - Skoro nie pamiętam, co mówisz mi w tym śnie? Czemu potrzebujesz mojej pomocy? Co tu robi Talis? Co jest napisane na jej koszulce? Czemu obie jesteście Fox? Czy to Mars?

Fox-Talis nadal ogląda telewizję. Fox-Elizabeth ponownie otwiera swoje uprzejme i piękne usta, zupełnie nie w stylu Hello Kitty. Opowiada Jeremy'emu całą historię. Wszystko mu objaśnia. Tłumaczy napis na koszulce Fox-Talis, który jak się okazuje, wyjaśnia wszystko to na temat Talis, nad czym kiedykolwiek Jeremy się zastanawiał. Odpowiada na każde pytanie na temat dziewczyn, jakie kiedykolwiek nurtowało Jeremy'ego. I wówczas Jeremy budzi się...

Jest ciemno. Jeremy włącza światło. Sen coraz bardziej oddala się od niego. To było coś o Marsie. Elizabeth pytała go, kto jego zdaniem jest ładniejszy - Talis czy ona. Śmiały się. Obie miały spiczaste lisie uszka. Chciały, żeby coś zrobił. Był tam jakiś numer telefonu, pod który miał zadzwonić. Było też coś, co miał zrobić.

Za dwa tygodnie, piętnastego kwietnia, Jeremy oraz jego mama wsiądą do jej minibusu i ruszą w drogę do Las Vegas. Co rano, przed szkołą, Jeremy bierze długie prysznice, a jego ojciec nie komentuje tego ani słowem. Czasami jest tak, jakby między jego rodzicami nie działo się nic złego. Kiedy indziej nawet nie chcą na siebie spojrzeć. Ojciec Jeremy'ego nie wychodzi ze swojego gabinetu. Któregoś dnia Jeremy

* Odniesienie do powieści Franka L. Bauma *Czarnoksiężnik z krainy Oz*.

wraca do domu i zastaje swoją matkę, jak siedzi ojcu na kolanach. Uśmiechają się tak, jakby znali jakiś głupi sekret. Nawet go nie zauważają, kiedy przechodzi przez pokój, choć woli już to, niż sposób, w jaki się zachowują, kiedy go zauważają. Ich zachowanie jest wówczas przepełnione poczuciem winy i jakieś dziwne, tak jakby za chwilę mieli zrujnować mu życie. Codziennie rano Gordon Mars smaży naleśniki, a co wieczór, na kolację, ulubione danie Jeremy'ego - makaron z serem. Mama planuje szczegółowo ich podróż. Będą zatrzymywać się w bibliotekach w całym kraju, ponieważ uwielbia biblioteki. Ale kupiła również nowy, dwuosobowy namiot oraz dwa śpiwory, a także kuchenkę turystyczną, żeby mogli zatrzymywać się na biwaki, o ile Jeremy będzie miał na to ochotę, mimo że sama nie znosi biwakować pod gołym niebem.

Wkrótce po tym Gordon Mars spędza cały weekend w garażu. Nie pozwala nikomu zobaczyć, co robi, a kiedy już wpuszcza ich do środka, okazuje się, że usunął tylne siedzenia z minibusa i zainstalował dwie ze swoich kanap, jedną po każdej stronie, obie obite sztucznym futrem w kolorze metalicznego błękitu.

Muszą gramolić się przez tylne drzwi części bagażowej, ponieważ jedna z kanap blokuje przesuwane drzwi boczne. Wyraźnie zadowolony z siebie ojciec Jeremy'ego mówi:

- Teraz nie będziecie musieli biwakować na powietrzu, chyba że będziecie mieli na to ochotę. Można spać w aucie. Pod spodem jest miejsce na walizki. Te kanapy mają nawet pasy bezpieczeństwa.

Nad kanapami ojciec Jeremy'ego umieścił niewielkie drewniane półki na łańcuchach, które można opuszczać ze ścian i używać jako stolików. Z sufitu dynda niewielka kula dyskotekowa, a z tyłu fotela kierowcy przymocowany jest drewniany panel z rzepami oraz pikowaną poduszczką, do którego, jak tłumaczy ojciec, będą mogli przyczepić obraz kobiety z jabłkiem i nożem.

Samochód wygląda jak gadżet żywcem wyjęty z jednego z odcinków *Biblioteki*. Mama Jeremy'ego wybucha płaczem i biegnie z powrotem do domu. - Chciałem ją tylko rozbawić - stwierdza bezradnie ojciec.

Jeremy ma ochotę powiedzieć: - Nienawidzę was oboje. - Ale ani tego nie mówi, ani nie czuje do nich nienawiści. Byłoby łatwiej, gdyby czuł, Kiedy Jeremy opowiedział Karlowi o Las Vegas, tamten uderzył go pięścią w brzuch. Po czym spytał:

- Powiedziałeś Talis?

- Powinieneś być dla mnie miły - stwierdził Jeremy. - Powinieneś powiedzieć mi, żebym nie jechał i że to pomysł do dupy, a ni«ś bić mnie w brzuch. Czemu mnie

uderzyłeś? Czy ty w ogóle myślisz o czymś innym oprócz Talis?

- Powiedzmy - mruknął Karl, - Zazwyczaj nie. Przepraszam, Dżemik, oczywiście chciałbym, żebyś nie musiał jechać, no i mnie też to wkurza. Niby jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, ale ty ciągle robisz różne rzeczy, których ja nigdy nie mogę zrobić. Nigdy nie jechałem przez całe Stany ani nie byłem w Las Vegas, chociaż naprawdę bardzo bym chciał. Nie potrafię cię żałować, bo mogę się założyć, o co chcesz, że jak tam pojedziesz, to wkręcisz się do jakiegoś kasyna, zagrasz na automacie i wygrasz milion dolców. To ty mnie powinieneś żałować. To ja tu muszę zostać. Pożyczysz mi motor?

- Jasne - mówi Jeremy.

- A teleskop? - pyta Karl.

- Zabieram go ze sobą - informuje Jeremy.

- W porządku. Masz codziennie do mnie dzwonić - mówi Karl. - I pisać e-maile. Musisz mi opowiedzieć o tancerkach rewiowych z Las Vegas. Chcę się przekonać, czy faktycznie są takie wysokie. Czyj to numer telefonu?

Karl trzymał w ręku ów świstek papieru z numerem budki telefonicznej Jeremy'ego.

- Mój - odpowiada Jeremy. - To moja budka telefoniczna. Ta, którą odziedziczyłem.

- Dzwoniłeś do niej? - spytał Karl.

- Nie - skłamał Jeremy. Już kilkakrotnie do niej dzwonił. ale to nie była zabawa. Karl pewnie uznałby, że jest.

- Fajowo - przyznał Karl i zabrał się za wybieranie numeru, - Halo? - rzucił do słuchawki. - Chciałbym rozmawiać z kimś, kto zarządza życiem Jeremy'ego. Mówi Karl, jego najlepszy przyjaciel.

- To nie jest śmieszne - stwierdził Jeremy.

- Moje życie jest nudne - poskarżył się Karl do telefonu. - Nigdy niczego nie odziedziczyłem. Dziewczyna, która mi się podoba, nie chce ze mną rozmawiać. Jest tam kto? Czy ktoś ma ochotę ze mną porozmawiać? Czy ktoś ma ochotę porozmawiać z moim przyjacielem, Panem Budki Telefonicznej? Jeremy, oni domagają się, żebyś zrzekł się władzy nad budką.

- To dalej nie jest śmieszne - powiedział Jeremy, a Karl odłożył słuchawkę.

Jeremy powiedział Elizabeth. Siedzieli na dachu domu Jeremy'ego, a on

opowiedział jej o wszystkim. Nie tylko o Las Vegas, lecz również o tym, jak ojciec opisał go w książce, w której nie było gigantycznych pajaków.

- Czytałeś ją? - spytała Elizabeth.

- Nie - odparł. - Nie pozwolił mi. Nie mów Karłowi. Powiedziałem mu tylko, że muszę wyjechać z mamą na kilka miesięcy, żeby pozłatwić sprawy związane z tą kaplicą ślubną.

- Nie powiem Karłowi - obiecała Elizabeth. Pochyliła się do przodu i pocałowała Jeremy'ego, ale po chwili już było po wszystkim. Odbyło się to błyskawicznie i niespodziewanie, nie spadli jednak z dachu. W tym opowiadaniu nikt nie spada z dachu. - Podobasz się Talis - oświadczyła Elizabeth. - Tak twierdzi Amy. Może ona też się tobie podoba. Nie wiem. Ale pomyślałam, że powinnam zdobyć się na odwagę i cię pocałować. Tak na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że nie uda mi się pocałować cię jeszcze raz.

- Możesz pocałować mnie jeszcze raz - zaproponował Jeremy. - Chyba nie podobam się Talis.

- Nie - powiedziała Elizabeth. - To znaczy nie posuwajmy się za daleko. Chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi, a to jest wystarczająco trudne, Dżemik. Na przykład ty i Karl.

- Nigdy bym go nie pocałował - stwierdził Jeremy.

- Wesoły jesteś, Dżemik. Powinniśmy urządzić ci przyjęcie niespodziankę, zanim wyjedziesz - zaproponowała Elizabeth.

- Teraz to już nie będzie żadna niespodzianka - odparł Jeremy. Może jeden pocałunek jej wystarczył.

- Właściwie to jak tylko powiem Amy, i tak nie będzie to przyjęcie niespodzianka - przyznała Elizabeth. - Rozerwałoby ją na milion kawałeczków, a każdy z nich zacząłby krzyżeć. „Zgadnij, co robimy? No, zgadnij? Przygotowujemy przyjęcie niespodziankę dla ciebie, Jeremy!” Ale tylko dlatego, że mówię ci w sekrecie o jednej niespodziance, nie znaczy, że nie będzie innych.

- Właściwie to nie lubię niespodzianek - przyznał się Jeremy.

- A kto lubi? - dodała Elizabeth. - Tylko ci, którzy sami je robią. Czy możemy urządzić to przyjęcie u ciebie w domu? Wydaje mi się, że powinno to być coś takiego jak Halloween, bo tu jest zawsze taka atmosfera. Moglibyśmy wszyscy przyjść w kostiumach, oglądać wiele starych odcinków *Biblioteki* i opychać się lodami.

- Jasne - zgodził się Jeremy, a po chwili dodał - To okropne! A co jeśli będzie nowy

odcinek *Biblioteki*, jak wyjadę? Z kim będę go oglądał?

I w tym sposobem przedstawił doskonały argument. Elizabeth zrobiło się tak bardzo żal Jeremy'ego, który będzie musiał oglądać nowy odcinek *Biblioteki* zupełnie sam, że ponownie go pocałowała.

W żadnym z odcinków *Biblioteki* ani razu nie pojawiły się gigantyczne pająki, choć raz Fox uległa zmniejszeniu, toteż Ptolemeusz Kryl nosił ją wszędzie w swojej kieszeni. Musiała urwać kawałek jednej z jego chusteczek do nosa i zawiązać sobie oczy, żeby przez przypadek nie przeczytać notatek do jego okropnych wierszydeł. I wówczas okazało się, że Kryl, prócz poezji, skrywał również w kieszeni rzadki okaz rogatej stonogi Anubis, która nie była odpowiednio chroniona. Jak się okazało, Ptolemeusz Kryl nie dbał o swój słoik do zabijania owadów. Stonoga była bliska pożarcia Fox, ale ostatecznie została jej przyjaciółką. Do dziś przysyła jej kartki na Boże Narodzenie.

Oto dwie najważniejsze cechy, jakie łączą Jeremy'ego i jego przyjaciół: położenie geograficzne oraz uwielbienie dla pewnego serialu telewizyjnego o bibliotece. Gdy tylko Jeremy wraca ze szkoły do domu, włącza telewizor. Skacze po kanałach, popatrując na powtórki *Star Treka* oraz *Prawa i porządku*. Jeśli nowy odcinek *Biblioteki* pojawi się, zanim wraz z mamą pojedzie do Las Vegas, wszystko będzie, jak należy. Wszystko się uda.

- Oglądasz za dużo telewizji - stwierdza jego mama. Ale on dalej pstryka po kanałach. Potem idzie na górę do swojego pokoju i telefonuje.

- Nowy odcinek musi pojawić się niedługo, bo szykujemy się do wyjazdu. Dobrze byłoby dziś wieczorem. Powiedziałabyś mi, gdyby dziś wieczór miał lecieć nowy odcinek, prawda?

Cisza.

- Czy mam to rozumieć jako „tak”? Byłoby łatwiej, gdybym miał brata - mówi Jeremy swojej budce telefonicznej. - Halo? Jesteś tam? Albo siostrę. Jestem już zmęczony grzecznym zachowaniem. Gdybym miał rodzeństwo, wtedy moglibyśmy być grzeczni na zmianę. Gdybym miał starszego brata, mógłbym być lepszy w niegrzecznym zachowaniu, w złości się. Karl jest naprawdę w tym dobry. Nauczył się od swoich braci. Oczywiście nie chciałbym takich braci, jak jego, ale to do

bani musieć tak kombinować ciągle samemu. A do tego im bardziej próbuję być normalny, tym bardziej moi rodzice są przekonani, że się zgrywam. Sądzą, że to taki okres, z którego wyrosnę. Uważają, że bycie normalnym jest nienormalne. Bo nie ma czegoś takiego jak normalność.

- I ta cała historia z książką. Mój ojciec ukradł moje życie tak, jak kradł różne rzeczy w sklepach. Nie chodzi o to, że to ja zachowuję się melodramatycznie. On rzeczywiście tak zrobił! Opowiadałem ci, jak kiedyś ukradł fretkę ze sklepu zoologicznego, bo zrobiło mu się jej żal, a potem wypuścił ją w naszym domu i okazało się, że zwierzak jest w ciąży? Przyszła taka jedna kobieta zrobić wywiad z tatą i usiadła na jednej z tych...

Ktoś puka do drzwi jego pokoju.

- Jeremy? - woła mama. - Czy jest z tobą Karl? Przeszkadzam?

- Nie - odkrzykuje Jeremy i odkłada słuchawkę. Nabrał nawyku codziennego telefonowania do swojej budki. Kiedy dzwoni, przez dłuższy czas słycać sygnał, który następnie urywa się, jak gdyby ktoś odebrał. Po drugiej stronie jest tylko cisza, żadnego piskliwego, naśladowującego Fox głosu, ale jest to cisza spokojna, jakby zainteresowana rozmową. Jeremy narzeka na wszystko, na co tylko można, zaś milcząca osoba na drugim końcu tylko słucha. Może to Fox stoi w jego budce i cierpliwie wysłuchuje. Zastanawia się, które to jej wcielenie. Jedna rzecz na temat Fox: nigdy nie uzala się nad sobą. Zwykle jest zbyt zapracowana. Gdyby to była prawdziwa Fox, rzuciłaby słuchawkę. Jeremy otwiera drzwi.

- Rozmawiałem przez telefon - wyjaśnia. Mama wchodzi do pokoju i siada na łóżku. Ma na sobie jedną z flanelowych koszul ojca.

- Spakowałeś się? - pyta.

Jeremy wzrusza ramionami.

- Chyba - pomrukuje pod nosem. - Czemu rozplakałaś się, gdy zobaczyłaś, co tato zrobił z minibusem? Nie podoba ci się?

- To przez ten cholerny obraz - tłumaczy mama. - To była pierwsza ładna rzecz, jaką mi podarował. Mieliśmy wydać te pieniądze na ubezpieczenie zdrowotne, nowy dach i artykuły spożywcze, a tymczasem on kupił obraz. No więc zezłościłam się. Zostawiłam go. Zabrałam obraz i wyniosłam się do hotelu, w którym przesiadziałam parę dni. Miałam zamiar go sprzedać, ale się w nim zakochałam, więc wróciłam do domu i przeprosiłam za moją ucieczkę. Zaszłam w ciążę z tobą, często chciało mi się jeść i marzyłam sobie, że ktoś daje mi piękne jabłko, jak to, które ona trzyma w ręku.

Kiedy powiedziałam o tym twojemu ojcu, stwierdził, że jej nie ufa, że wyciąga to jabłko jako przynętę, a kiedy się po nie zbliżysz, żeby je od niej wziąć, dźgnie cię swoim nożem do obierania. Ojciec uważa, że to twarda, stara baba, więc zaopiekuje się nami, jak będziemy w podróży.

- Naprawdę musimy wyjeżdżać? - pyta Jeremy. - Jeśli pojedziemy do Las Vegas, mogę popaść w kłopoty. Mogę zacząć brać narkotyki, uprawiać hazard czy coś takiego.

- Oj, Dżemik. Tak bardzo chcesz uchodzić za grzeczne dziecko - mówi mama. - Może Vegas dobrze nam zrobi. Zabierasz ze sobą te książki?

- Jeremy wzrusza ramionami. - Nie wszystkie. Nie mogę się zdecydować, które powinienem zabrać, a które mogę zostawić. Mam przeczucie, że cokolwiek zostawię, to zostawię na dobre.

- Nonsens - obrusza się mama. - Wrócimy. Obiecuję. Twój ojciec i ja doprowadzimy wszystko do ładu. Jeśli zostawisz coś, co będzie ci potrzebne, wyśle ci pocztą. Myślisz, że w bibliotekach w Las Vegas są automaty do gry? Rozmawiałam z kobietą z kapliczki „Piekielne Dzwony” i mówiła, że mają tam coś, co się nazywa „Biblioteka Sztuki i Lovecrafta”, w której przechowują należący do Cleo zbiór horrorów, powieści gotyckich i podróbek *Necronomiconu*. Do środka wchodzi się przez sekretne obrotowe drzwi w półce z książkami. Ludzie biorą tam śluby. Jest tam Laboratorium Miłosne Dr Frankensteina, Sala Balowa Czerwonego Moru i coś, co po prostu nazywa się Krypta. Aha, jest jeszcze Wampirze Patio i Grota Czarnej Laguny, w której można brać ślub przy świetle księżycy.

- Przecież nie znosisz takich rzeczy - stwierdza Jeremy.

- Nie przepadam za nimi - przyznaje mama, po czym dodaje - O której wszyscy przychodzą dziś wieczorem?

- Koło ósmej - informuje Jeremy. - Masz zamiar się za kogoś przebrać?

- Nie muszę się przebierać - oświadcza mama. - Jestem bibliotekarką, zapomniałeś?

Gabinet ojca Jeremy'ego znajduje się nad garażem. Teoretycznie nikt nie ma prawa mu przeszkadzać podczas pracy, ale w praktyce uwielbia on nade wszystko, kiedy mu się przeszkadza, o ile tylko ten, kto się tego dopuszcza, przynosi coś do jedzenia. Kto będzie przynosił mu jedzenie, kiedy Jeremy i jego mama wyjadą? Jeremy powściąga wzruszenie.

Podłogę pracowni pokrywają książki, nity oraz próbki tkanin do tapicerki. Ojciec

Jeremy'ego leży na podłodze twarzą w dół ze stopami opartymi na rolce tkaniny, co oznacza, że myśli, jak również to, że bolą go plecy. Twierdzi, że myśli mu się najlepiej, kiedy jest bliski zaśnięcia.

- Przyniosłem ci miskę płatków owocowych - mówi Jeremy.

Ojciec przekręca się i spogląda do góry.

- Dzięki - rzuca. - Która to godzina? Czy wszyscy już przyszli? To twoje przebranie? Masz na sobie moją marynarkę od smokingu?

- Jest koło piątej. Jeszcze nikt nie przyszedł. Podoba ci się? - pyta Jeremy. Jest przebrany za Zakazaną Księżę. Marynarka ojca jest za duża, ale mimo to czuje się bardzo elegancki. Bardzo złowieszczy. Mama użyczyła mu swojej szminki, piór i butów na koturnie.

- Ciekawe - przyznaje ojciec. - I nieco przerażające.

Jeremy odczuwa jakieś niejasne zadowolenie, mimo iż zdaje sobie sprawę z tego, że ojciec jest bardziej ubawiony niż przestraszony.

- Wszyscy pewnie przyjdą przebrani za Fox albo Księcia Skrzydło. Oprócz Karla. Przebiera się za Ptolemeusza Kryła. Nawet napisał jakiś okropny wiersz. Chciałem cię spytać o coś, zanim jutro wyjedziemy.

- Wal - rzuca ojciec.

- Czy naprawdę zniszczyłeś tę powieść o mnie?

- Nie - wyznaje ojciec. - Miałem wrażenie, że to coś pechowego. Pechowo zatrzymać ją, pechowo nie zatrzymywać. Nie wiem, co z nią zrobić.

- Cieszę się, że się jej nie pozbyłeś - stwierdza Jeremy.

- Nie ma w tym nic dobrego, wiesz - mówi ojciec. - Dlatego cała sytuacja jest jeszcze gorsza. Zaczęło się od tego, że znudziłem się gigantycznymi pajakami. Miało to być coś wesołego, żeby ci pokazać. Ale potem napisałem, że masz guza mózgu i przestało być wesoło. Pomyślałem, że mógłbym cię uratować, ostatecznie jestem autorem, ale coraz bardziej chorowałeś. Przechodziłeś okres buntu. Często uciekałeś z domu i uderzyłeś matkę. Byłeś prawdziwym gnojkiem. Ale okazało się, że masz guza mózgu i to on sprawiał, że zachowywałeś się dziwnie.

- Mogę cię jeszcze o coś spytać? - mówi Jeremy. - Wiesz, jak bardzo lubisz kraść różne rzeczy. I że jesteś w tym naprawdę bardzo dobry.

- No tak - przyznaje ojciec.

- Mógłbyś przez jakiś czas tego nie robić, gdybym cię o to poprosił? - pyta Jeremy.

- Mama nie będzie mogła zapłacić za książki i inne rzeczy, które zwiniesz. Nie

chciałbym, żebyś trafił do pudła dlatego, że pojechaliśmy do Las Vegas.

Ojciec przymyka oczy, jak gdyby miał nadzieję, że Jeremy zapomni o swojej prośbie i pójdzie sobie. Jeremy milczy.

- No dobrze - mówi wreszcie ojciec. - Nie będę niczego kradł w sklepach, dopóki nie wrócicie.

Matka Jeremy'ego biega po całym domu i robi wszystkim zdjęcia. Talis i Elizabeth zjawily się jako Fox, choć Talis przebrała się za martwą Fox. Swoje sztuczne, futrzane uszka i ogon nosi w maleńkiej, przezroczystej, plastikowej torebce. Przynosi ze sobą również miecz, który zostawia w kuchni na stojaku na parasole. Jeremy i Talis prawie nie rozmawiali ze sobą od czasu jej snu o nim i odkąd wyznał jej, że wyjeżdża do Las Vegas. Nie odezwała się ani słowem na ten temat. Ale to jest całkowicie normalne w przypadku Talis.

Karl wygląda znakomicie jako Ptolemeusz Kryl. Wszyscy podziwiają kostium Zakazanej Księgi Jeremy'ego.

Kostium Wiernej Małgorzaty, który ma na sobie Amy, jest prawie tak dobry, jak wszystko, co Wierna Małgorzata nosi w telewizji. Są nawet efekty specjalne: Amy wymodelowała sobie włosy czerwonymi wstążkami oraz drucikami, koloryzującym sprejem i białkami jajek, toteż wyglądają tak, jakby płonęły, a do tego są w nich maleńkie golemki z masy papierowej, które stroją okropne miny. Tańczy polkę z ojcem Jeremy'ego. Wierna Małgorzata ma fioła na punkcie polki.

Nikt nie przebrał się za Księcia Skrzydło.

Oglądają odcinek z opętanymi kurczakami, inny ze Słoną Żoną, oraz taki, w którym Książę Skrzydło i Wierna Małgorzata ulegają zaklęciu, na skutek którego zamieniają się ciałami i po raz pierwszy uprawiają seks. Oglądają odcinek, w którym Fox pierwszy raz ratuje życie Księciu Skrzydło.

Ojciec Jeremy'ego przyrządza dla wszystkich mrożone koktajle mleczne o smaku czekoladowym, mango oraz kawy espresso. Nikt spośród przyjaciół Jeremy'ego, z wyjątkiem Elizabeth, nie wie o powieści. Wszyscy są przekonani, że Jeremy i jego mama po prostu chcą przeżyć przygodę. Uważają, że Jeremy wróci pod koniec lata.

- Ciekawa jestem, w jaki sposób wynajdują aktorów - zastanawia się Elizabeth. - To nie są prawdziwi aktorzy. To na pewno zwykli ludzie. Wydawałoby się, że gdzieś jest ktoś, kto ich zna. Że ktoś w Internecie napisałby: „Hej, to moja siostrą”! Albo że to

małolat z mojej szkoły, który zwymiotował na WF-ie. No wiecie, czasami ludzie mówią takie rzeczy albo niekiedy udają, że wiedzą coś na temat *Biblioteki*, ale zawsze okazuje się, że to ścierna. Po prostu ktoś, kto chce się pod kogoś podszyć.

- A co z facetem, który to wszystko pisze? - pyta Karl.

- Kto powiedział, że to facet? - pyta Talis, a Amy dodaje: - Właśnie. Dlaczego ty, Karl, zawsze zakładasz, że to pisze facet?

- Może nikt tego nie pisze - spekuluje Elizabeth. - Może to magia albo przekaz z kosmosu. Może to dzieje się naprawdę. To dopiero byłaby jazda, co?

- Nie - mówi Jeremy - bo wtedy Fox naprawdę by nie żyła. A to byłoby do dupy.

- Co mi tam - mówi Elizabeth. - I tak wolałabym, żeby to działo się naprawdę. Może to gdzieś rzeczywiście się wydarzyło, jak Król Artur albo Robin Hood, a cały serial jest tylko jedną z wersji tych wydarzeń. Jak coś w rodzaju magicznego szkolnego filmu edukacyjnego.

- Nawet jeśli to nie jest prawda - zauważa Amy - niektóre jego elementy mogłyby istnieć naprawdę. Na przykład Biblioteka Drzewoświata. A może *Bibliotekę* zmyślono, ale postać Fox jest oparta na kimś, kogo scenarzysta zna. Pisarze stale tak robią, prawda? Jeremy, uważam, że twój tato powinien napisać książkę o mnie. Mogłabym zostać pożarta przez gigantyczne pająki. Albo uprawiać z nimi seks i mieć pajączkę dzidziusia. Myślę, że byłoby to coś niesamowitego.

- Więc Amy ma jednak zdolności telepatyczne, chociaż przy odrobinie szczęścia nigdy się o tym nie dowie. Kiedy Jeremy sprawdza własne potencjalne zdolności telepatyczne, niemal czuje obecność swojego ojca, jak kręci się gdzieś w pobliżu salonu, słucha tej rozmowy i może nawet robi notatki. Tak właśnie robią pisarze. Ale Jeremy nie jest tak naprawdę telepatą. Po prostu jego ojciec zawsze czai się, kręci w pobliżu i pojawia zniemacka, kiedy nikt się go nie spodziewa, tak samo jak ciągle kradnie po sklepach i gotuje. Jeremy modli się do wszystkich mrocznych bogów, żeby nigdy nie otrzymać daru czytania ludzkich myśli. To pogrążona w ciemności droga, która kończy się w pułapce nocnych programów telewizyjnych przed niewidzialną publicznością złożoną z cierpiących na depresję i bezsenność maniaków w czapeczkach z folii aluminiowej, z których każdy chce zapłacić wam dziewięć dziesięćdziesiąt dziewięć centów za minutę, żebyście opisali w najdrobniejszych, strasznych szczegółach, o czym w tej chwili myśli ich zdechły kot. Co to za przyszłość? On chce polecieć na Marsa. Kiedy Elizabeth znowu go pocałuje? Nie można przecież pocałować kogoś dwa razy, a potem już nigdy więcej. Stara się nie myśleć o Elizabeth i

całowaniu, na wypadek, gdyby Amy czytała jego myśli. Uświadamia sobie, że przypatruje się piersiom Talis, wobec czego spogląda na Elizabeth, która ogląda telewizję. W tym samym czasie Karl obrzuca go piorunującym spojrzeniem.

W telewizorze Fox tańczy w Niewidzialnym Klubie z Wierną Małgorzatą, której włosy za chwilę znów staną w ogniu. Nomy grają własną, piskliwą wersję utworu „Come On, Eileen”. Nomy znają tylko dwie piosenki: „Come On, Eileen” oraz „Everybody Wants to Rule the World”. Nie grają na prawdziwych instrumentach, lecz na popiskujących psich zabawkach oraz zaczarowanej wannie, choć nikt nie wie, kto ją zaczarował, dlaczego i w jakim celu.

- Co byście woleli - pyta Jeremy - gdybyście musieli wybrać tylko jedno, niewidzialność czy zdolność latania?

Wszyscy spoglądają na niego. - Tylko zбочeńcy chcą być niewidzialni - oświadcza Elizabeth.

- Gdybyś był niewidzialny, musiałbyś chodzić nago - dodaje Karl. - Bo inaczej ludzie widzieliby twoje ubranie.

- Gdybyś umiał latać, musiałbyś nosić ocieplaną bieliznę, bo w górze jest zimno. Więc zależy, czy lubisz nosić długą bieliznę, czy chodzić nago - stwierdza Amy.

Jest to jedna z tych rozmów, jakie toczą bez przerwy. Sprawia ona, że Jeremy tęskni za domem, choć nigdzie jeszcze nie pojechał.

- Może napiekę trochę ciasteczek czekoladowych - proponuje Jeremy. - Elizabeth, chcesz mi pomóc przy pieczeniu?

- Ciii - mruczy Elizabeth. - To świetny moment.

W telewizorze Fox i Wierna Małgorzata obściskują się. Przydomek Małgorzaty jest raczej ironiczny.

Rodzice Jeremy'ego kładą się spać o pierwszej. Amy i Elizabeth leżą bez świadomości na kanapie, Karl poszedł na górę, żeby sprawdzić pocztę elektroniczną na iBooku Jeremy'ego. W telewizji po tundrze Biblioteki Wolnego Ludu Drzewoświata na czterdziestym piętrze wałęsają się wilki. Obficie sypie śnieg, a bibliotekarze palą książki, żeby się ogrzać, ale tylko te najnudniejsze i nieprzydatne dzieła literatury.

Jeremy nie ma pewności, czy Talis poszła już do domu, więc idzie jej poszukać. Nie zawędrowała daleko. Jest na półpiętrze, wpatruje się w puste miejsce na ścianie, gdzie powinien wisieć należący do Alice Mars obraz. Talis ma ze sobą swój miecz oraz maleńką plastikową torebkę. W łazience za półpiętrzem śpiewający sedes wciąż

podśpiewuje po niemiecku.

- Zabieramy obraz ze sobą - informuje Jeremy. - Tato nalegał, na wypadek, gdyby pod naszą nieobecność niechcący puścił dom z dymem. Chcesz go zobaczyć? Miałem zamiar pokazać go wszystkim, ale już posnęli.

- Jasne - mówi Talis.

Więc Jeremy bierze latarkę, prowadzi Talis do garażu i pokazuje jej minibus. Talis wchodzi do środka i siada na jednej z obitych niebieskim futrem kozetek. Rozgląda się dookoła, a Jeremy zastanawia się, o czym myśli. Jest ciekaw, czy sedesowa piosenka zapadła jej w pamięć.

- To wszystko zrobił mój tato - wyjaśnia Jeremy. Włącza latarkę i podświetla nią dyskotekową kulę. Światło rozpryskuje się niepokojącymi, niestabilnymi orbitami. Jeremy pokazuje Talis, w jaki sposób jego ojciec zawiesił obraz. Wygląda zupełnie nie na miejscu w tym minibusie, jak gdyby umieścił go tam ktoś obłąkany. Zwłaszcza w owym odbijającym się od dyskotekowej kuli świetle. Kobieta na obrazie wygląda na dezorientowaną i zakłopotaną, jakby ojciec Jeremy'ego przez przypadek zniszczył jej ochronne moce. Może kula dyskotekowa to jej kryptonit.

- Pamiętasz, jak miałaś ten sen o mnie? - pyta Jeremy. Talis kiwa potakująco głową. - Wydaje mi się, że ja miałem sen o tobie, w którym byłaś Fox.

Talis rozwiera ramiona i ogarnia nimi swój kostium, miecz i plastikową torebkę, w której są ogon i uszka biednej Fox.

- Było coś, co chciałaś, żebym dla ciebie zrobił - mówi Jeremy. - Miałem cię w jakiś sposób uratować.

Talis spogląda na niego.

- Czemu ty nigdy nic nie mówisz? - pyta Jeremy. Wszystko to zaczyna być irytujące. Dawniej czuł się normalnie w towarzystwie Elizabeth, jak z przyjacielem, teraz wszystko stało się dziwaczne i nieswoje. Dawniej to, że w towarzystwie Talis czuł się zakłopotany, sprawiało mu przyjemność, a teraz nagle przestało. Pewnie o to chodzi w seksie. Przestań myśleć o seksie, nakazuje sobie.

Talis otwiera usta, po czym z powrotem je zamyka. Po chwili mówi:

- Nie wiem. Amy tyle mówi. Wszyscy dużo mówicie. Ktoś musi być tą osobą, która siedzi cicho. Tą, która słucha.

- Aha - mówi Jeremy. - Myślałem, że może ukrywasz jakąś przykrą tajemnicę. Że może kiedyś się jąkałaś. Tyle że tajemnice nie mogą mieć tajemnic, bo same nimi są.

- Nie, skąd - wyjaśnia Talis. - Takie milczenie to coś takiego jak bycie

niewidzialnym, wiesz?

- Ale przecież nie jesteś niewidzialna - stwierdza Jeremy. - Nie dla mnie. Nie dla Karla. Bardzo mu się podobasz. Uderzyłaś go specjalnie boa dusicielem?

Ale Talis mówi:

- Szkoda, że wyjeżdżasz. - Kula dyskotekowa nie przestaje się obracać, co sprawia, że Jeremy zaczyna czuć coś w rodzaju choroby lokomocyjnej, jakby dostał skrzęcej się, dyskotekowej wysypki. Nie reaguje na słowa Talis tylko dlatego, żeby się przekonać, jakie to uczucie. Tyle że być może jest to niegrzeczne. A może niegrzeczne jest to, że wszyscy wiecznie gadają i nie pozwalają Talis dojść do słowa.

- Przynajmniej szkoła ci się upiecze - stwierdza w końcu Talis.

- No tak - pomrukuje Jeremy. Celowo robi pauzę, ale tym razem Talis nic nie mówi. - Mamy zamiar zatrzymywać się we wszystkich tych muzeach i innych miejscach po całym kraju. Mam prowadzić blog dla szkoły, w którym będę opisywał różne rzeczy. Zamierzam sporo nazmyślać, żeby było to coś takiego jak zajęcia z twórczości literackiej, a nie jak praca domowa.

- Powinieneś zrobić listę wszystkich tych miasteczek o dziwacznych nazwach - podpowiada Talis. - Miasteczko Koniogłowy. Naprawdę istnieje.

- Plantagenet - stwierdza Jeremy. - Też istnieje. Miałem ci coś bardzo dziwnego do powiedzenia.

Talis milczy, jak zawsze.

- Zadzwoiłem do mojej budki telefonicznej - zaczyna Jeremy - tej, którą odziedziczyłem, i ktoś odebrał telefon. Ta osoba miała głos zupełnie jak Fox i powiedziała mi... Powiedziała, żebym zadzwonił do niej później. Więc dzwoniłem jeszcze parę razy, ale już jej nie zastałem.

- Fox nie jest prawdziwą osobą - stwierdza Talis. - *Biblioteka* to tylko telewizja - ale w jej głosie pobrzmiewa niepewność. Na tym polega cały problem z *Biblioteką* - nikt nie wie niczego na pewno. Każdy, kto ogląda ten serial, pragnie, żeby nie było to wyłącznie aktorstwo, ale magia, prawdziwa magia.

- Wiem - mówi Jeremy.

- Chciałabym, żeby Fox była prawdziwa - mówi Fox-Talis.

Siedzą w minibusie już dość długo. Jeśli Karl zacznie ich szukać i nie będzie mógł znaleźć, zacznie podejrzewać, że się obściskują. Zabije Jeremy'ego. Kiedyś Karl próbował udusić inne dziecko za to, że niechący nasikało mu na buty. Jeremy mógłby równie dobrze pocałować Talis. Tak też więc robi, mimo że ona wciąż trzyma

miecz. Nie uderza go nim. Jest ciemno, a on ma zamknięte oczy i niemal sobie wyobraża, że całuje Elizabeth.

Karl zasnął na łóżku Jeremy'ego. Talis jest na dole - przewija do przodu odcinek, w którym jacyś bibliotekarze wypili za dużo Euforii i postanowili znieść Godzinę Opowieści. Nie tylko zwyczaj odbywania Godziny Opowieści, ale całą Godzinę. Amy i Elizabeth wciąż pochrapują na kanapie. Śpiąca Amy to osobliwy widok. Nie mówi przez sen.

Karl chrapie. Jeremy mógłby wyjść na dach i popatrzeć w gwiazdy, ale spakował już swój teleskop. Mógłby spróbować obudzić Elizabeth i wejść na dach razem z nią, ale jest tu Talis. Mógłby więc pójść na dach z Talis, ale nie ma ochoty tam się z nią całować. Składa uroczystą przysięgę, że na dachu będzie się całował wyłącznie z Elizabeth.

Bierze swój telefon. Może mógłby zadzwonić do swojej budki i troszkę ponarzekać, nie budząc przy tym Karla. Tato dostanie szalu na widok rachunku za telefon. Wszystkie te telefony do Nevady. Jest czwarta nad ranem. Jeremy planuje w ogóle się nie kłaść. Jego przyjaciele to mięczaki.

W słuchawce przez dłuższy czas rozbrzmiewa sygnał, a potem ktoś odbiera. Jeremy rozpoznaje tę ciszę po tamtej stronie.

- Wszyscy przyszli do mnie i posnęli - szepcze Jeremy. - Dlatego mówię szeptem. Chyba nawet mają to gdzieś, że wyjeżdżam. I bolą mnie stopy. Pamiętasz, że miałem przebrać się za Zakazaną Księgę? Buty na koturnie są niewygodne. Karl uważa, że włożyłem je specjalnie, żebym był jeszcze wyższy od niego niż zwykle. A do tego zapomniałem, że jestem umalowany szminką, kiedy całowałem Talis i umazałem ją po całej twarzy, więc dobrze, że wszyscy spali, bo inaczej ktoś by zobaczył. A mój tato obiecał, że nie będzie kradł, jak wyjedziemy z mamą, ale nie można mu ufać. A ta tapicerka ze sztucznego futra linieje jak...

- Jeremy - przerywa mu miękko ów dziwnie znajomy, słodko-rdzawy i piskliwy jak zawiasy u drzwi głos. - Przestań nadawać. Potrzebuję twojej pomocy.

- O kurde! - rzuca Jeremy, i to nie szeptem. - O kurde, a niech to! Czy to Fox? Czy naprawdę jesteś Fox? Czy to żart? Jesteś prawdziwa? Nie żyjesz? Co robisz w mojej budce telefonicznej?

- Wiesz, kim jestem - stwierdza Fox, a Jeremy całym serce czuje, że to naprawdę ona. - Musisz coś dla mnie zrobić.

- Co? - pyta Jeremy. Na łóżku Karl zaczyna się śmiać przez sen, jak gdyby pomyślał, że Jeremy musi zrobić coś dla Fox, rozbawił go. - Co mógłbym zrobić?

- Chcę, żebyś ukraść trzy książki - oświadcza Fox. - Z biblioteki w miejscu, które nazywa się Iowa.

- Znam Iowa - mówi Jeremy. - To znaczy nigdy tam nie byłem, ale to miejsce, które istnieje naprawdę. Mógłbym tam pojechać.

- Podam ci tytuły książek, które musisz ukraść - ciągnie Fox.. - Autora, tytuł i nutę sygnalizacji bibliotecznego.

- Numer sygnatury - poprawia Jeremy. - W prawdziwych bibliotekach to się nazywa „numer sygnatury bibliotecznego”.

- Serio? - w głosie Fox znać rozbawienie. - Musisz je wszystkie sobie zanotować i to, jak dojechać do tej biblioteki. Musisz ukraść te trzy książki i mi je dostarczyć. To bardzo ważne.

- Czy to niebezpieczne? - pyta Jeremy. - Czy Zakazane Księgi coś knują? A co jeśli przyłapią mnie na kradzieży?

- Dla ciebie nie jest to niebezpieczne - wyjaśnia Fox. - Po prostu nie daj się złapać. Pamiętasz odcinek *Biblioteki*, w którym byłam tą małą staruszką z ulem i ukradłam sztuczną szczękę Biskupa Tweedle'a, kiedy czytał zapowiedzi o ślubie Wiernej Małgorzaty z Sir Petronellą Młodszym? Pamiętasz, że nawet tego nie zauważył?

- Nigdy nie widziałem tego odcinka - przyznaje Jeremy, chociaż, o ile nie zawodzi go pamięć, nie opuścił ani jednego. Nigdy nawet nie słyszał o Sir Petronelli.

- Ojej - martwi się Fox. - Może to retrospekcja w późniejszym odcinku czy coś takiego. To świetny odcinek. Nasz los jest w twoich rękach, Jeremy. Musisz ukraść te książki. Zawierają straszliwe - tajemnice. Nie mogę nawet wypowiedzieć tytułów na głos. Przeliteruję je.

Więc Jeremy sięga po notatnik a Fox literuje mu tytuł każdej książki po dwa razy. (Nie są to tytuły, które można tu podać. O niektórych książkach bezpieczniej jest nawet nie myśleć.) - Mogę cię o coś zapytać? - prosi Jeremy. - Mogę o tym komuś opowiedzieć? Nie Amy, ale na przykład Karlowi albo Elizabeth? Albo Talis? Mogę powiedzieć mamie? Gdybym obudził teraz Karla, porozmawiałabyś z nim przez chwilę?

- Nie mam zbyt wiele czasu - mówi Fox. - Muszę już iść. Przykro mi, Jeremy, ale proszę cię, żebyś nikomu o tym nie mówił.

- Czy to przez Zakazane Księgi? - dopytuje się Jeremy. Co pomyślałaby Fox, gdyby zobaczyła jego przebranie, które wciąż ma na sobie, wszystko z wyjątkiem butów na koturnie? - Uważasz, że nie powinienem ufać moim przyjaciołom? Ale ja ich znam całe życie!

Fox wyduje coś w rodzaju pełnego bólu szczenięcia.

- Co się dzieje? - pyta Jeremy. - Nic ci nie jest?

- Muszę już iść - oznajmia Fox. - Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Nie podawaj nikomu tego numeru. Nie mów nikomu o swojej budce telefonicznej. Ani o mnie. Obiecujesz, Dżemik?

- Tylko pod warunkiem, jak ty mi obiecasz, że nie będziesz mówić do mnie Dżemik - oświadcza Jeremy, czując się strasznie głupio. - Nie znoszę, kiedy mnie tak nazywają. Mów mi Mars.

- Mars - rzuca Fox, a brzmi to egzotycznie, dziwnie i odważnie, jak gdyby Jeremy stał się właśnie kimś innym, kimś nazwanym jak cała planeta, kimś, kto całuje się z dziewczynami i rozmawia z Fox.

- Nigdy niczego nie ukradłem - przyznaje Jeremy.

Ale Fox odłożyła już słuchawkę.

Możliwe, że gdzieś daleko jest ktoś, komu pożegnania sprawiają przyjemność, ale Jeremy nie zna nikogo takiego. Wszyscy jego przyjaciele są nabzdyczeni i mają czerwone oczy, ale nie od płaczu. Z braku snu. Od zbyt długiego oglądania telewizji. Wokół ust Talis wciąż widać nikielne czerwone ślady, toteż gdyby inni nie byli na wpeł przytomni, zauważyliby, że jest to szminka Jeremy'ego. Karl daje Jeremy'emu garść ćwierćdolarówek, dziesięcio-, pięcio- i jednocentówek. - Do automatów - wyjaśnia. - Jeżeli coś wygrasz, możesz zatrzymać jedną trzecią.

- Połowę - rzuca automatycznie Jeremy.

- Niech będzie - zgadza się Karl. - To wszystko i tak pochodzi z kanap twojego taty. Jeszcze jedno. Przestań rosnać. Nie rośnij przez ten czas, jak tam będziesz. Dobrze? - Ścisła mocno Jeremy'ego; tak mocno, jakby znów miał go uderzyć. Nic dziwnego, że Talis rzuciła w niego boa dusicielem.

Talis i Elizabeth ścisną Jeremy'ego na pożegnanie. Teraz Talis wygląda jeszcze bardziej tajemniczo niż wtedy, kiedy siedzieli pod dyskotekową kulą i się obściskiwali. Później Jeremy odkryje, że Talis zostawiła swój miecz pod obitą błękitnym futrem kanapą i będzie się zastanawiał, czy zrobiła to celowo.

Talis oczywiście się nie odzywa, za to Amy nie zamyka się buzia, nawet wówczas, kiedy go całuje. To osobliwe uczucie być całowanym przez kogoś, kto przez cały czas papla, choć sam fakt, że Amy go całuje, nie powinien stanowić niespodzianki. Wyobraża sobie, że później wszystkie trzy będą porównywać swoje notatki.

- Obiecuję, że będę nagrywała każdy odcinek *Biblioteki*, żebyśmy mogli oglądać je wszyscy razem, kiedy wrócisz - mówi Elizabeth. - Obiecuję, że zadzwonię do ciebie w Vegas, bez względu na porę, gdy pojawi się nowy odcinek.

Ma potargane włosy i nieco nieświeży oddech. Jeremy żałuje, że nie może jej wyznać, jaka jest piękna.

- Będę pisał marne wiersze i wysyłał ci - mówi.

Mama Jeremy'ego wygląda okropnie pogodnie, kiedy wchodzi i wychodzi z domu, upewniając się, że niczego nie zapomniała. Uwielbia długie podróże samochodem. Ani trochę nie przeszkadza jej to, że wraz z synem rezygnują z całego dotychczasowego życia. Podaje Jeremy'emu wypchaną mapami papierową teczkę. - Odpowiadasz za to, żebyśmy się nie zgubili - oznajmia. - Schowaj je w jakimś bezpiecznym miejscu.

- Znalazłem w Internecie jedną bibliotekę, do której chciałbym pojechać - mówi Jeremy. - W Iowa. Na fasadzie budynku mają tam mozaikę z kukurydzy, która przedstawia tańczące na polu kukurydzy nagie boginie i bogów. Ktoś chce ją usunąć. Pojedziemy tam najpierw?

- Jasne - deklaruje mama.

Ojciec Jeremy'ego wypchał całą torbę na zakupy kanapkami. Jego włosy wiszą bezwładnie, toteż jeszcze bardziej niż zwykle wygląda jak morderca z siekierą. Gdyby to był film, można by pomyśleć, że Jeremy i jego mama uciekają w ostatniej chwili.

- Dbaj o mamę - mówi do Jeremy'ego.

- Jasne - obiecuje Jeremy. - A ty dbaj o siebie.

Tato przygarbia się. - Ty też o siebie dbaj. - A więc postanowione. Każdy ma dbać o siebie. Czemu po prostu nie mogą zostać w domu i dbać o siebie nawzajem; aż Jeremy będzie już całkiem gotowy, żeby iść do college'u? - Mam jeszcze jedną torbę kanapek w kuchni - mówi tato. - Pójdę po nie.

- Zaczekaj - zatrzymuje go Jeremy. - Muszę cię o coś spytać, zanim pojedziemy. Przypuśćmy, że musiałbym coś ukraść. To znaczy oczywiście nie muszę niczego kraść, bo wiem, że to coś złego, nawet, kiedy ty to robisz, więc sam nigdy bym niczego nie ukradł. Ale gdybym musiał? Jak to robisz? W jaki sposób nie dajesz się złapać?

Ojciec wzrusza ramionami. Niewykluczone, że właśnie się zastanawia, czy Jeremy

to faktycznie jego syn. Gordon Mars odziedziczył swoje nienaturalne z wyglądu, charakteryzujące się oburęczną sprawnością i długimi palcami dłonie po długiej linii złodziei sklepowych, ludzi piorących pieniądze i drobnych kryminalistów. Wszyscy oni wstydzą się głęboko za ojca Jeremy'ego. Gordon Mars miał talent, który zaprzepaścił na rzecz pisarstwa. - Nie wiem - odpowiada. Ujmuje dłoń Jeremy'ego i ogląda ją, jak gdyby nigdy dotąd nie zauważył, że synowi coś zwisa na końcach nadgarstków. - Po prostu to robisz. Robisz to tak, jakbyś w ogóle niczego nie robił. Robisz to, myśląc o czymś innym, i zapominasz o tym, co robisz.

- Aha - pomrukuje Jeremy i cofa dłoń. - Nie planuję żadnej kradzieży. Po prostu byłem ciekaw.

Ojciec przygląda mu się. - Dbaj o siebie - powtarza, jak gdyby naprawdę było to dla niego ważne i mocno ściska syna.

Potem idzie po kanapki (jest ich tyle, że Jeremy i jego mama będą jedli je przez pierwsze trzy dni, a i tak trzeba będzie połowę wyrzucić). Wszyscy machają. Jeremy i jego mama gramolą się do minibusa. Mama włącza odtwarzacz płyt kompaktowych. Bob Dylan śpiewa o małpach. Mama uwielbia Boba Dylana. Odjeżdżają.

Wicie, jak to czasami jest, kiedy w przerwie na reklamy waszego ulubionego serialu telewizyjnego dzwoni wasza najlepsza przyjaciółka i chce pogadać o swoim chłopaku, a kiedy próbujecie odłożyć słuchawkę, zaczyna płakać, więc usiłujecie ją pocieszyć i kończy się na tym, że tracicie mniej więcej połowę odcinka? A potem, nazajutrz, kiedy jedzicie do pracy, musicie prosić człowieka, który siedzi obok, żeby opowiedział wam, co się wydarzyło? To właśnie jest dobre, jeśli chodzi o książki. Można zaznaczyć sobie miejsce, w którym się skończyło czytać. Ale przecież to nie książka. To serial telewizyjny.

W jednym z odcinków *Biblioteki* kilkunastoletni chłopiec podróżuje samochodem ze swoją mamą przez całe Stany. Muszą zmienić oponę. Chłopiec ćwiczy się w podbieraniu mamie różnych rzeczy z torebki i wkładaniu ich z powrotem na miejsce. Kradnie butelkę coca-coli ze sklepiku spożywczego i zostawia ją w innym sklepiku. Chłopiec i jego mama zatrzymują się w wielu bibliotekach, a on prowadzi blog, ale pomija epizod w bibliotece w Iowa. Na blogu pisze o tym, co czyta, ale nie czyta książek, które ukradł w Iowa, ponieważ zabroniła mu tego Fox i musi ukrywać je przed swoją matką. No dobrze, podczytuje parę stron. A właściwie przebiega po nich

pobieżnie wzrokiem. Chowa je pod obitą błękitnym futrem kanapą. Jadą na kamping w Utah, gdzie chłopiec rozstawia swój teleskop. Dostrzega trzy spadające gwiazdy i kojota. Ani razu nie napotyka nikogo, kto wyglądałby jak Zakazana Księga, choć raz, w Indianie, zauważa, jak do damskiej toalety na parkingu wchodzi transwestyta. Dzwoni do znajdującej się w pobliżu Las Vegas budki telefonicznej, ale ani razu nikt nie odbiera. Od czasu do czasu odbywa krótkie rozmowy ze swoim ojcem. Zastanawia się, co też ojciec porabia. Chciałby móc mu powiedzieć o Fox i książkach. Któregoś razu mama znajduje w ich namiocie olbrzymiego pająka wielkości kruchego ciasteczka. Dostaje histerycznego ataku śmiechu. Robi mu zdjęcie aparatem cyfrowym, a chłopiec umieszcza je na swoim blogu. Niekiedy chłopiec zadaje pytania, a mama opowiada mu o swoich rodzicach. Pewnego razu płacze. Chłopiec nie wie, co powiedzieć. Rozmawiają o swoich ulubionych odcinkach *Biblioteki* oraz tych, które im się w ogóle nie podobały, a mama pyta go, czy uważa, że Fox naprawdę nie żyje. Odpowiada, że jego zdaniem nie.

Któregoś razu jakiś człowiek próbuje włamać się do minibusu, kiedy w nim śpią. Ale potem odchodzi. Może chroni ich obraz kobiety z nożem do obierania.

Ale ten odcinek już oglądaliście.

Jest piątego maja - Cinco de Mayo. Zbliża się siódma wieczór, słońce chyli się ku zachodowi. Jeremy i jego mama są na pustyni, a gdzieś przed nimi znajduje się Las Vegas. Ilekroć mijają jadący z naprzeciwka samochód, Jeremy próbuje zgadnąć, czy kierowca właśnie wygrał, czy też stracił fortunę. Wszystko jest tu płaskie i jakby pochylone, z wyjątkiem tego, co widać w dalszej odległości, gdzie teren raptownie podnosi się do góry, jak gdyby ktoś zaczął składać mapę. Gdzieś w pobliżu znajduje się Wielki Kanion, bez wątpienia stanowiący nie lada niespodziankę dla tych, którzy kiedyś ujrzeli go pierwsi.

- Jesteś pewien, że najpierw musimy to załatwić? - pyta mama Jeremy'ego. - Nie moglibyśmy poszukać twojej budki potem?

- Pojedźmy tam teraz - prosi Jeremy. - Napisałem na moim blogu, że tak zrobię. To coś jak misja, którą muszę zakończyć.

- W porządku - zgadza się mama, - Powinna tu gdzieś być. Teoretycznie jakieś cztery i pół mili za zjazdem z autostrady, który jest przed nami.

- Znalezienie budki okazuje się łatwe. Wokół nie ma prawie nic. Jeremy powinien czuć się podekscytowany na jej widok, ale właściwie jest rozczarowany. Już wcześniej

widywał budki telefoniczne. Spodziewał się, że będzie jakoś inaczej. Przede wszystkim czuje się znużony podróżowaniem i drogami, a po prostu jest bardzo, bardzo zmęczony. Rozgląda się dokoła, żeby przekonać się, czy Fox jest gdzieś w pobliżu, ale w oddali widać tylko pieszego turystę. Jakiś małolat.

- W porządku, Dżemik - mówi mama. - Załatw to prędko.

- Muszę wziąć mój plecak z tylnej części auta - stwierdza Jeremy.

- Chcesz, żebym z tobą poszła? - pyta mama.

- Nie - odpowiada Jeremy. - To raczej sprawa osobista. Mama wygląda tak, jakby próbowała powstrzymać śmiech.

- Tylko się pospiesz. Muszę iść na siusiu.

Kiedy Jeremy dociera do budki telefonicznej, odwraca się. Mama nie gasi światła w aucie. Wygląda, jakby śpiewała razem z radiem. Ma okropny głos.

Kiedy wchodzi do budki, nie spostrzega w niej niczego magicznego. Z wnętrza bije smród, jakby mieszkało tu jakieś zwierzę. Szyby są brudne. Z plecaka wyjmuje skradzione książki i kładzie je na półce, z której ktoś ukradł książkę telefoniczną. Potem czeka. Może Fox zadzwoni do niego. Może powinien poczekać, póki nie zadzwoni. Ale telefon milczy. Czuje się samotny. Nikomu nie może o tym opowiedzieć. Czuje się jak idiota, ale odczuwa też coś w rodzaju dumy. Ponieważ tego dokonał. Przejechał z matką przez cały kraj i uratował wymyśloną postać.

- No i jak tam ta twoja budka? - pyta go mama.

- Świetnie! - mówi, po czym znów oboje milczą. Przed nimi rozciąga się Las Vegas, a wszystko wokół jest rozświetlone, jakby się znajdowali wewnątrz flipera. Wszystkie drzewa wydają się sztuczne. Jakby ktoś za dużo naczytał się książek doktora Seussa i podłapał parę pomysłów. Po trotuarach chodzą ludzie. Niektórzy wyglądają normalnie. Inni sprawiają wrażenie, jakby właśnie uciekli z balu przebierańców w zakładzie dla umysłowo chorych. Jeremy ma nadzieję, że wygrali dużo pieniędzy i dlatego wyglądają na takich zdumionych, takich ekscentrycznych. A może to wszystko wampiry.

- W lewo - pilotuje matkę. - Tutaj skręć w lewo. Uważaj na wampiry na przejściu dla pieszych. A potem od razu w prawo. - Cztery razy mama pozwoliła mu prowadzić minibus: raz w Utah, dwa razy w Południowej Dakocie, raz w Pensylwanii. Auto zalatuje jak stare opakowania po hamburgerach oraz sztuczne futro, i nic nie pomaga to, że Jeremy przyzwyczyił się do tego zapachu. Od kilku nocy kobieta na obrazie ma

zboleły wyraz twarzy, a kula dyskotekowa straciła kilka lustrzanych kawałeczków, ponieważ Jeremy co rano uderzał w nią głową. Jeremy i jego mama nie kapali się od trzech dni.

A oto przed nimi na końcu długiego podjazdu wznosi się ślubna kapliczka. Fioletowe elektryczne światła rozświetlają znak, na którym widnieje napis PIEKIELNE DZWONY. Jest tam ogrodzenie z kutego żelaza i ogródek obsadzony ociekającymi luizjańskim mchem drzewami. Pod nimi znajdują się kamienie nagrobne i miniaturowe grobowce.

- Myślisz, że są prawdziwe? - pyta mama. W jej głosie z lekka pobrzmiwa zaniepokojenie.

- Harry Dzwon, Świeży Zgon - czyta Jeremy. - Nie sędzę.

Na podejździe stoi karawan z niewielką tabliczką z tyłu, na której napisane jest: DZISIAJ GRÓB ŚLUB. Kapliczka to wiktoriański dom z dzwonnica. Pewnie pełno w niej nietoperzy. Albo olbrzymich pajaków, Ojciec Jeremy'ego byłby zachwycony tym miejscem. Mama będzie nim zdegustowana.

Ktoś stoi na progu kapliczki w otwartych drzwiach i popatruje w ich stronę. Ale kiedy Jeremy i jego mama wysiadają z minibusa, odwraca się, wchodzi do środka i zamyka drzwi.

- Uwważaj - ostrzega mama. - Pewnie poszli wstawić wrzący olej do mikrofalówki.

Z determinacją naciska dzwonek u drzwi. Zamiast dzwonienia odzywa się nagranie krakania wron. Kra, kra, kra. W wiktoriańskim domu gasną wszystkie światła. Po chwili znów się zapalają. Drzwi otwierają się, a Jeremy mocniej zaciska dłoń na plecaku - na wszelki wypadek.

- Dobry wieczór pani. Młodzieńcze - odzywa się jakiś mężczyzna. Jeremy spogląda w górę, coraz wyżej i wyżej; Mężczyzna w drzwiach musi się schylić, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Ma dłonie wielkie niczym opiekacze. Wygląda tak, jakby na nogach nosił trumny dla piesków chihuahua. Z obu stron jego głowy wystają nazbyt realistycznie wyglądające nity. Ma na sobie makijaż z zielonego podkładu, zielony brokatowy cień do powiek, a jego rzęsy są tak długie, grube i zielone jak sztuczna trawa. - Nie spodziewaliśmy się was tak wcześnie.

- Powinniśmy wcześniej zadzwonić - stwierdza mama Jeremy'ego. - Najmocniej przepraszam.

- Superkostium - stwierdza Jeremy. Frankenstein posępnie wykrzywia usta.

- Dziękuję - mówi. - Proszę nazywać mnie Panną Stwór.

- Ja jestem Jeremy - przedstawia się Jeremy. - A to moja mama.

- Daj spokój - nie dowierza Panna Stwór. Nawet powiekami mruga posępnie. - Podpuszczasz mnie. Jest za młoda na twoją mamę.

- To ty daj spokój - mówi mama Jeremy'ego.

- Wy dwoje, pospieszcie się - rzuca ktoś gdzieś z wnętrza „Piekielnych Dzwonów”.

- Kiedy tak zthoicie tam i paplacie, diabeł krąży dookoła jak lew i szuka sposobu, żeby wejść do środka. Macie zamiar tak zthać i trzymać mu drzwi otwarte na oścież?

Więc wszyscy wchodzą do środka.

- Czy to nareszcie Jeremy Marthz? - pyta głos. - Ziemia do Marthza, Ziemia do Marthza. Marthzzz, Jeremy Marthzzz, ktoś chce rozmawiać z Jeremy'm Marthzem. Dzwoniła już trzy razy w ciągu ostatnich dziesięciu minut, Jeremy Marthzzz.

Jeremy jest przekonany, że to Fox. Oczywiście, że to Fox! Jest w budce telefonicznej. Ma książki i powie mi, że uratowałem to, co miałem uratować. Kieruje się ku pobzykującemu głosowi, podczas gdy Panna Stwór i jego mama idą z powrotem do auta.

Przechodzi przez jakiś pokój pełen pomysłowo upiętych pajęczyn oraz kandelabrow, w których wyginają się ociekające parafiną świece. Ktoś skryty za drewnianym parawanem przygrywa na organach. Idzie korytarzem i wchodzi do długiej klatki schodowej.

Balustrady ozdobione są rzeźbieniami twarzyczek. Sowami, lisami i brzydkimi dziećmi. Głos nadal pokrzykuje:

- U-hu, Jeremy, schodami w górę, bahhdo dobrze. Teraz do środka, wprost przed siebie! Nie tam, tutaj, tutaj! Nie bój się ciemności, my lubimy ciemność, patrz tylko pod nogi. - Jeremy wyciąga przed siebie rękę. Dotyka czegoś, daje się słyszeć pstryknięcie, a wówczas znajdująca się przed nim półka z książkami wolno przesuwa się do tyłu. Teraz pokój jest trzy razy większy i znajduje się w nim jeszcze więcej półek z książkami. Jest w nim również kobieta w ciemnych okularach, która siedzi na kanapie. W jednej ręce trzyma megafon, w drugiej telefon.

- Do ciebie, Jeremy Marth - mówi. Jest najbledszą osobą, jaką Jeremy widział w życiu, a oba jej kły wystają tak bardzo, że nieco sepleni, kiedy mówi. Przez megafon owo seplenienie brzmiało złowieszczo, ale teraz sprawia, że jej głos jest irytujący.

Podaje mu telefon. - Halo? - mówi Jeremy. Nie spuszcza z wampirzycy oka.

- Jeremy! - krzyczy Elizabeth. - Jest, jest, jest! Właśnie się zaczął. Siedzimy tu. Wszyscy. Co się stało z twoją komórką? Dzwoniliśmy na nią.

- Mama zostawiła ją w centrum informacji turystycznej w Syjonie - wyjaśnia Jeremy.

- W każdym razie już dotarliście na miejsce. Zorientowaliśmy się, że już jesteście blisko Vegas po tym, co pisałeś na blogu. Amy mówi, że miała przeczucie, że będziecie na czas. Kazała nam ciągle dzwonić. Zostań przy aparacie. Będziemy mogli oglądać wszyscy razem, dobra? Zaczekaj.

Słuchawkę przejmuje Karl.

- Hej, Dżemik. Nie dostałem ani jednej pocztówki - skarży się. - Zapomniałeś, jak się pisze, czy co? Zaczekaj chwilę. Ktoś chce z tobą porozmawiać. - Potem przez jakiś czas słyhać tylko jego śmiech. Wreszcie podaje telefon komuś, kto w ogóle się nie odzywa.

- Talis? - pyta Jeremy.

Może to nie Talis. Może to znów Elizabeth. Myśli o tym, że jego usta są teraz tak blisko jej ucha. A może to ucho Talis.

Wampirzyca na sofie już przeskakuje po kanałach. Jeremy chciałby jej wyrwać pilota, ale to nie najlepszy pomysł próbować zabrać coś wampirowi. Jego mama oraz Panna Stwór wchodzi po schodach i trafiają do pokoju, który naraz zaczyna sprawiać wrażenie dosłownie przepełnionego ludźmi, jak gdyby Karl, Amy, Elizabeth i Talis też się w nim zjawiali. Panna Stwór mocno trzyma należącego do matki Jeremy'ego obraz, jak gdyby mógł spróbować ucieczki. Mama wygląda na zmęczoną. Przez ostatnie trzy dni nosiła włosy uczesane w warkoczyki. Wydaje się Jeremy'emu młodsza, jakby podróżowali w czasie w przeszłość, a nie przez całe Stany. Uśmiecha się do Jeremy'ego pełnym oszołomienia i znużenia uśmiechem. Jeremy odwzajemnia go.

- To *Biblioteka* - stwierdza Panna Stwór. - Nowy odcinek?

Jeremy siada na kanapie obok wampirzycy, wciąż trzymając w dłoni telefon. Ręka zaczyna mu cierpnąć.

- Jestem - mówi do Talis albo Elizabeth, czy też tego, kto akurat znajduje się po tamtej stronie linii. - Jestem. - A potem już nic nie mówi. Czeka wraz z innymi, aż wampirzyca znajdzie właściwy kanał, by wszyscy mogli się przekonać, czy uratował Fox, czy Fox żyje, czy nadal żyje.

CHWILA CISZY

W rozmowie nastąpiła chwila ciszy. Siedzieliśmy w piwnicy wokół pokrytego zielonym sukniem stołu. W jednej ręce trzymaliśmy butelki z ciepłym piwem, w drugiej karty. Nie były zbyt mocne. Widzieliśmy to wyraźnie, patrząc po swoich twarzach.

Byliśmy zmęczeni. Jeszcze bardziej męczyło nas patrzenie jeden na drugiego, kiedy dostrzegaliśmy, że nic a nic nie uchodzi nam płazem. Nie mieliśmy żadnych tajemnic.

Nie widzieliśmy się przez jakiś czas, ale było jasne, że nie zmieniliśmy się na lepsze. Byliśmy w trakcie szukania pracy albo też utknęliśmy w takich pracach, których nie znosiliśmy. Miewaliśmy romanse, o których wiedziały nasze żony, ale miały to gdzieś. Niektórzy z nas sypiali z żonami innych. Wiele spraw się nie ułożyło, a my nie bardzo wiedzieliśmy, kogo za to winić.

Rozmawialiśmy o sprawach, które potoczyły się wstecz zamiast do przodu. O takich, które zdołały potoczyć się w obu kierunkach naraz. O podróżnikach w czasie. O ludziach, którzy nie utknęli w miejscu, jak my. Leciał wtedy ten nowy film, którego akcja rozgrywa się wstecz. Wówczas Jeff nastawił muzykę, w której wszystkie teksty składały się z palindromów. Podrzucił mu to jego dzieciak. Miał na imię Stan i był znacznie fajniejszy niż my kiedykolwiek w przeszłości. Jeff opowiadał, że syn ciągle przynosił coś do domu i twierdził: „Musisz tego posłuchać. Albo tego, posłuchaj. Goście są dobrzy”.

Stan był jednym z tych małych, którzy dostarczają prochy innym, kiedy kroi się impreza. Staraliśmy się zaledwie tym nie przejmować. Ufaliśmy naszym dzieciom i mieliśmy nadzieję, że one ufają nam i że nie robimy im zbyt dużego obciachu. Nie byliśmy fajni. Pragnęliśmy być lubiani. To by nam wystarczyło.

Stan był do tego stopnia fajny, że nie miał nawet nic przeciwko temu, żeby opiekować się niektórymi z nas, rodzicami swoich przyjaciół (przyjaciółmi swoich rodziców), choć niekiedy bez ogródek przetrząsaliśmy szuflady naszych dzieci i

zaglądaliśmy pod materace. Niewiele się to różniło od podbierania im słodyczy z torebek w Halloween, co również nam się zdarzało, kiedy były młodsze i kładły się spać przed nami.

Obecnie Stan nie interesował się już tymi sprawami. Żadne z dzieci się nimi nie interesowało. Teraz pochłaniała je muzyka.

Muzyki tej nie można było zdobyć na płycie kompaktowej. Taki był zamysł. Ukazywała się wyłącznie na kasetach. Puszczano się jedną stroną, a na drugiej wszystkie utwory leciały od tyłu, teksty zaś w kółko do przodu i do tyłu w jednym długim nieskończonym zapętleniu. La alla ha Hal. Czy, ah, czy ah, czy, ah, chcesz?

Bones naprawdę się w to wciągnął.

- Czy, czy chcesz zatańczyć, chcesz, chcesz - podśpiewywał, śmiał się i odchyłał do tyłu na krześle. - Ala boski miks obala!

Ktoś wspomniał o restauracji w śródmieściu, w której należy najpierw zamówić deser, a dopiero potem dostaje się kolację.

- Zbieram się - oznajmił Ed. Rzucił karty na stół.

Ed lubował się w wymyślaniu gier. Ludzie płacili mu za to. Dawniej, kiedy regularnie grywaliśmy wieczorami w pokera, zawsze uczył nas jakiejś nowej gry, która była oparta na programie telewizyjnym albo śnię, jaki go nawiedził.

- Spróbujmy czegoś nowego. Rozdam wszystkie karty, całą talię, a potem będziemy musieli je wszystkie ułożyć. Przez cały czas, wykładając karty, będziemy patrzeć sobie na ręce. Zaczynamy od najmłodszej. I będziemy się wymieniać. Tak, może coś z tego wyjdzie. Jest jeszcze coś - karta, która zastępuje wszystkie inne, tak jak dzoker, ale do samego końca nie będziemy wiedzieli, jaka nią była. Będziemy musieli grać szybko - bez zastanawiania się - po prostu robić to, co wam mówię.

- Jak ją nazwiemy? - rzucił, choć nie jako pytanie, ale w taki sposób, jakbyśmy to my go spytali, choć przecież tak nie było. Tasował talię, trzymając karty blisko siebie, jakbyśmy chcieli mu je zabrać. - DNA Hand*. Łapiecie?

- To gówniany pomysł - stwierdził Jeff. To była jego piwnica, jego stół do pokera i jego piwo. Toteż musiał mówić podobne rzeczy. Można było dostrzec, że według niego Ed wygląda na bardziej zadowolonego, niż powinien. Sądził, że Ed powinien pamiętać o swoim miejscu na świecie, a może należało mu o nim przypomnieć. O jego nowym miejscu. Większość z nas odczuła ulgę, widząc, że wygląda całkiem w porządku. Gdyby tak nie wyglądał, też byłoby w porządku. Rozumieliśmy. Paskudne rzeczy

* Hand (ang.) - ręka.

przytrafiały się nam wszystkim.

Rozmyślaliśmy nad tymi sprawami, a w pewnej chwili taśma przekłada się na drugą stronę i zaczyna grać od nowa.

To coś, co wpada w ucho. Moglibyśmy tego słuchać przez całą noc.

- A teraz śpiewamy razem i wywołujemy diabła - oznajmia Bones. - Zawsze mnie korciło, żeby to zrobić.

Już od pewnego czasu ma w czubie. Zmierzwione włosy sterczą mu, a poczerwieniała twarz lśni. Maluje się na niej tępy, głupawy uśmiech. Nie zwracamy na niego uwagi. Żona Bonesa jest taka sama - hałaśliwa i beznadziejna. Tym, co napawa resztę z nas prawdziwym niesmakiem, jest fakt, że ich dzieci są najmilsze, najinteligentniejsze, najzabawniejsze i najlepsze. Nie potrafimy tego pojąć. Nie zasługują na takie dzieci.

Brenner pyta Eda, czy ten znalazł jakieś nowe lokum. Owszem, znalazł.

- Za autostradą, w pobliżu tej stacji Texaco, w sadach. Jeden facet zbudował drogę, a na samym jej końcu postawił dom. Dosłownie, prask, na samym środku drogi. Tak jakby szedł tamtędy z domem na plecach, zmęczył się i go postawił.

- Nie za dobre feng shui - stwierdza Pete.

Pete przeczytał pewną książkę. Ma teorię na temat podrywania kobiet, którą stale nam podsuwa. Podczas przerwy obiadowej chodzi do księgarni Barnes&Noble i krąży wokół ekspozycji z książkami o domach i wystroju wnętrz, a przy tym przegląda wydawnictwa poświęcone architekturze. Twierdzi, że od tego nabiera się inteligentnego wyglądu oraz odpowiedniego „udomowienia”. Mężczyzna, który ogląda fotografie domów, jest dla kobiet pociągający.

Nigdy nie spytaliśmy, czy przynosi mu to jakieś rezultaty.

Tymczasem wiemy, że jego żona wiecznie go goni, żeby włąził na dach i przepychał rynny, na nowo pokrywał go gontem, latał i malował. *Pete* nie bardzo się na tym zna. Wyimaginowane domy są pociągające. Prawdziwe oznaczają wysiłek.

Mimo to kupił lustro w Pottery Barn i zawiesił je dokładnie w samym środku drzwi wejściowych, inaczej bowiem, twierdził, złe duchy wpadają po schodach na górę, wprost do sypialni. Potem trudno je stamtąd wygonić.

Lustro działa w ten sposób, że kiedy duchy zaczynają się zjawiać, spoglądają w

jego taflę i myślą, że w ten dom jest już zamieszkały przez jakiegoś diabła. Więc uciekają. Diabły mogą wyglądać jak każdy - akwizytorzy, mormoni, ludzie, którzy zajmują się koszeniem waszego trawnika, a nawet członkowie waszych rodzin. Toteż trzeba mieć lustro.

- Miejsce, w którym znajduje się ten dom, to pierwsza osobliwość - opowiada Ed. - Druga to sam dom. Wygląda tak, jakby grupa architektów sfiksowała, przepiłowała dwa różne budynki na pół, a potem sklepiła je ze sobą. Casa Del Guggenstein. Frontowa połówka jest naprawdę wiekowa, ma ze sto lat, a ta druga ma aluminiowy siding.

- Pewnie sporo zeszli z ceny wyjściowej - wtrąca Jeff.

- Ano - mówi Ed. - A druga sprawa to te wszystkie drzwi. Jedne z przodu, jedne z tyłu, a jeszcze dwoje po obu stronach, dokładnie w miejscu, gdzie zaczyna się ten aluminiowy siding. Dziwaczne, wysokie i wąskie drzwi, jak gdyby zostały zrobione dla koszykarzy. Albo kosmitów.

- Albo palm - dodaje Bones.

- Właśnie - przytakuje Ed. - Jasne. Dla palm. I jeszcze jedne drzwi, ostatnie, te szczątkowe, na górze, w głównej sypialni. Nie są to drzwi, przez które się wchodzi do szafy ściennej albo do łazienki. Otwierają się, a za nimi niczego nie ma. Żadnych schodów, żadnego balkonu, zupełnie bez sensu. To drzwi Tarzana.

- W koronach drzew. Otwieracie je, a do środka może wlecieć sowa. Albo nietoperz. Poprzedni lokator zamykał je na klucz - pewnie bał się lunatykowania.

- Fantastycznie - stwierdza Brenner. - Budzisz się w środku nocy, idziesz do łazienki i możesz nalać na własny dom.

Otwiera ostatnie piwo i strząsa doń szczyptę pieprzu. Brenner ma coś na punkcie pieprzu. Nawet lody nim posypuje. Pete przysięga, że jednego razu podczas imprezy trafił przypadkiem do sypialni Brennera i zajrzał do szuflady nocnego stolika. Twierdzi, że znalazł w niej pudełko kondomów i młynek do pieprzu. Kiedy spytaliśmy, co robił w sypialni Brennera, puścił oko, po czym przyłożył do ust dwa palce i przejechał po nich, jak gdyby zapinał zamek błyskawiczny.

Brenner ma niewielką, spiczastą bródkę hiszpańską. Bywa, że niektórzy wyglądają z nią głupio, ale nie Brenner. Jego słabość do pieprzu może i jest głupawa, ale nawet Jeff nie dokucza mu z tego powodu.

- Przypominam sobie ten dom - stwierdza Alibi.

Nazywamy go Alibi, ponieważ jego żona wiecznie wydzwaniała, żeby go sprawdzić.

Pyta: „No więc, czy Alec poszedł z wami pograć w bilard tamtego wieczoru?”. Na co odpowiadamy: „Ależ oczywiście, Glorio”. Kłopot tkwi w tym, że niekiedy Alibi zdążył już opowiedzieć jej jakąś zupełnie inną historię, a ona nas sprawdza. Ale to ani nasz problem, ani nasza wina. I ona, i on nigdy nie mają nam tego za złe.

- Dawniej chodziliśmy nocą do tamtych sadów i urządzaliśmy wojny. Obrzucaliśmy się zgniłymi jabłkami. Były tam też pawie. Kupiłeś ten dom w sadzie?

- Zgadza się - odpowiada Ed. - Muszę zrobić coś z tym sadem. Wszystkie jabłka spadają z drzew, a potem tylko gniją na ziemi. Pawie je zjadają i popadają w stan upojenia alkoholowego. Są tam też pijane osy. Jak tam pójdziecie, zauważycie, że osy fruwały w kółko w pętlach, a pawie chwytają je bezpośrednio z powietrza. Maleńka zakrapiana przystawka z osy. Wszystko zalatuje jabłczaną zgnilizną. Przez całą noc śni mi się, że zjadam robaczywe jabłko.

- Przez sekundę obawiamy się, czy aby Ed nie zechce opowiedzieć nam swojego snu. Nie ma nic gorszego niż ktoś, kto opowiada wam swój sen.

- A o co chodzi z tymi pawiami? - pyta Bones.

- To długa historia - odpowiada Ed.

No więc wiecie, że droga do tego domu jest prywatna. Zjeżdżacie na nią z autostrady, a ona wije się pod górkę przez jakiś czas, póki nie zajedziecie pod sam dom. Któregoś dnia zajadę do domu i zaparkuję w salonie.

Jest tam wielki znak z napisem WŁASNOŚĆ PRYWATNA. Ale ludzie jadą do samego zjazdu, gubią się, szukając miejsca na piknik, albo ustronia, żeby zjechać z szosy i się pobzykać. Zanim usłyszy się nadjeżdżający samochód, słychać pawie. W sumie tak to było zaplanowane, bo facet, który to wybudował, był prawdziwym pustelnikiem, odludkiem.

Ludzie z miasteczka opowiadali o nim niestworzone historie. Nikt niczego o nim nie wiedział. Ale też i on nie chciał, żeby ktokolwiek coś wiedział.

Pawie były tam po to, żeby sygnalizować, że ktoś zbliża się do domu. Zaczynają pokrzykiwać, zanim jeszcze widać samochód. Więc pamiętajcie: za tylnymi drzwiami droga biegnie w dół, przez sady, dalej jest brama i znów wyjeżdżacie na autostradę. A ten facet, ten pustelnik, miał dwa samochody. W tamtych czasach nikt nie miał dwóch aut. Ale on trzymał jedno zaparkowane od frontu domu, a drugie z tyłu, toteż bez względu na to, z której strony ktoś się zbliżał, mógł prędko czmychnąć na drugą stronę i odjechać, zanim jego gość zbliżył się do budynku.

Umówił się z właścicielem sklepu spożywczego, żeby ten co dwa tygodnie posyłał do jego domu chłopaka z zakupami, który miał też dostarczać pocztę, ale i tak facet nigdy nie dostawał żadnych listów.

Pustelnik zamalował szyby swoich samochodów na czarno, zostawił tylko takie małe otwory, żeby mógł przez nie patrzeć. Nie dało się zajrzeć do środka. Ale podobno zwykle jeździł w nocy. Ludzie twierdzili, że go widzieli. Albo że go nie widzieli. O to właśnie chodziło.

Agentka biura nieruchomości opowiadała, że słyszała, iż pewnego razu facet musiał iść do lekarza. Miał jakąś narośl czy coś. Zjawił się w gabinecie lekarskim ubrany w damski kapelusz z długą czarną woalką, toteż nie można było zobaczyć jego twarzy. W gabinecie rozebrał się, ale kapelusza nie zdjął.

Pewnej nocy połowa domu zawaliła się. Ludzie w całym miasteczku widzieli światła nad sadem, jakby fajerwerki albo błyskawice. Niektórzy zarzekali się, że widzieli coś ogromnego, rozświetlonego, co poleciało do nieba; jakby eksplozję, ale bezgłośnie. Tylko światła. Nazajutrz ludzie udali się do sadu. Pustelnik czekał na nich - miał na sobie swoją woalkę. Od strony frontowej dom wyglądał w porządku. Ale można było stwierdzić, że coś się paliło. Dawało się to wyczuć w powietrzu, jak ozon.

Pustelnik oznajmił, że to był piorun. Sam odbudował dom. Dostarczono mu drewno i wszystkie niezbędne rzeczy. Podobno dzieciaki włożyły po kryjomu na drzewa w sadzie i przyglądały się, jak pracuje, ale zawsze miał na sobie swój kapelusz z woalką.

Zmarł dawno temu. Chłopak ze sklepu spożywczego zauważył, że coś jest nie tak, bo pawie wchodziły i wychodziły przez okna domu i pokrzykiwały.

Teraz też były w sadach i na werandzie, nadal też wchodziły przez okna i bałaganily, jeśli Ed zapomniał i zostawił zbyt szeroko otwarte okna. W zeszłym tygodniu za jednym z pawi do domu wszedł lis. Nie przyszłoby wam do głowy, że lis pogoni za czymś tak dużym i wrednym. Pawie są wredne.

Ed siedział wtedy na dole i oglądał telewizję.

- Słyszałem, jak ptak wchodzi do środka - opowiadał - a potem usłyszałem głucho uderzenie i pacnięcie, jakby upadło krzesło, a kiedy poszedłem sprawdzić, co się stało, zobaczyłem ciągnącą się po podłodze aż do okna smugę krwi. Lis wymykał się właśnie przez okno z pawiem w pysku, wszystkie pióra ptaka wlokły się co parapecie, jak na jednym z obrazów Susan.

Żona Eda, Susan, uczęszczała przez jakiś czas na zajęcia plastyczne. Nauczycielka

uznała, że ma talent. Brenner pozował jej, podobnie jak niektóre z naszych dzieci, lecz większość obrazów Susan stanowiły portrety jej brata, Andrew. Mieszkał z nią i Edem przez jakieś dwa lata. Dla Eda nie było to łatwe, chociaż nigdy się nie uskarżał. Wiedział, że Susan kocha brata. Wiedział, że ma on kłopoty.

Andrew nie potrafił utrzymać pracy. Co jakiś czas trafiał na odwyk, a kiedy z niego wychodził, zadawał się z naszymi dziećmi, które uważały go za równego gościa. Im mniej go lubiliśmy, tym więcej czasu spędzały z nim nasze dzieci. Niewykluczone, że byliśmy trochę o niego zazdrośni.

Syn Jeffa, Stan, i Andrew znali się jak łyse konie. To właśnie on znalazł Andrew i zadzwonił po pogotowie. Susan nigdy nic nie mówiła, ale niewykluczone, że winiła Staną. Wszyscy wiedzieli, że to on załatwia Andrew prochy.

Inna sprawa, o której się nie mówiło: to, co przytrafiło się Andrew, prawdopodobnie na dłuższą metę wyszło dzieciakom na dobre.

Owe obrazy - malarstwo Susan - były dziwaczne. Każda z postaci na nich wyglądała na niespokojną, a do tego Susan nie potrafiła malować dłoni. I zawsze na jej płótnach były zwierzęta, które wyglądały tak, jakby zostały zastrzelone bądź wypatroszone, a jeśli nie wyglądały na martwe, z pewnością sprawiały wrażenie chorych na wściekliznę. Oglądający aż martwił się o postacie na obrazach.

Przez jakiś czas wieszala je w domu, ale nie było to malarstwo wywołujące pozytywne emocje. Nie sposób było oglądać telewizji w pokoju, w którym się znajdowały. A do tego Andrew miał taki zwyczaj, że siadywał na sofie pod swoim portretem, nad telewizorem zaś wisiał jeszcze jeden. Trzech Andrew to już było za wiele. Pewnego razu Ed przyprowadził Andrew na pokerowy wieczór. Tamten posiedział chwilę w milczeniu, po czym oznajmił, że idzie na górę przynieść więcej piwa i tyle go widzieli. Trzy dni później drogówka znalazła samochód Eda zaparkowany pod mostem. Stan i Andrew wrócili do domu dwa dni po tym incydencie, Andrew zaś trafił z powrotem na odwyk. Susan chodziła do niego w odwiedziny i zabierała ze sobą Staną - miała też ze sobą swój szkicownik. Andrew siedział, a Susan rysowała go i nikt nigdy nie odzywał się ani słowem.

Kiedy zajęcia się skończyły - w tym czasie Andrew wciąż przebywał na odwyku - Susan zaprosiła nas wszystkich na przyjęcie do studia swojej nauczycielki. Utkwiło nam w pamięci to, że Pete się urzynał i przystawiał się do niej, owej kobiety o ostrych rysach i wielkich zwisających kolczykach. Byliśmy nieco zaskoczeni - nie tylko dlatego, że zrobił to na oczach swojej żony, ale dlatego, że wszyscy akurat oglądaliśmy

jej obrazy. Wszystkie te jelenie i sarny, ptaki i krowy porozwieszane nad stołem w jadalni, nad sofami, flaki na wierzchu, lśniące i nieruchome gałki oczne - przynajmniej wyjaśniało to tematykę obrazów Susan.

Jesteśmy ciekawi, co Susan zrobiła z pracami przedstawiającymi Andrew.

- Zastanawiam się, czy nie wziąć sobie psa - oznajmia Ed.

- Do dupy - odpowiadamy. - Pies to duża odpowiedzialność. - Latami powtarzaliśmy to naszym dzieciom.

Muzyka z taśmy zapętała się. Leciła już po raz drugi. Siedzieliśmy i słuchaliśmy jej. Jeszcze przez jakiś czas będziemy siedzieć i słuchać.

- Ten facet - mówi Ed - ten, który wynajmował dom przede mną, zajmował się jakimiś nawiedzonymi rzeczami. Na podłogach i na ścianach pełno jest wymalowanych mandal i pentagramów. Między innymi dlatego trafił mi się tak tanio. Nie mieli ochoty zawracać sobie głowy drapaniem ścian i malowaniem. Ten facet pewnego dnia po prostu się ulotnił, a przy tym zwinął sporo mebli. Do swojej ciężarówki upchał tyle rzeczy, ile się zmieściło.

- Czyli masz zero mebli? - pyta Pete. - Susan zabrała stół z jadalni i krzesła? A łóżko? Śpisz w śpiworze? Jesz fasolkę z mięsem z puszki?

- Mam materac - wyjaśnia Ed. - A poza tym mam stolik do pracy, telewizor i takie tam. Chodzę do sadu, grilluję na hibachi*. Wpadnijcie do mnie. Pracuję nad nową grą wideo - o nawiedzonym domu - obecnie to naprawdę spory rynek. Dlatego to miejsce tak świetnie mi pasuje. Mogę wszystko wykorzystać. W przyszły weekend? Przygotuję hamburgery, a wy, chłopaki, usiądziecie sobie w domu, pełny luzik, będziecie sączyć browar i przetestujecie dla mnie tę grę. Będziecie wyszukiwać błędy.

- Błędy są zawsze - stwierdza Jeff. Uśmiecha się szyderczo. Nie jest zbyt przyjemny, kiedy popije. - Takie jest życie. To mamy zwalić się z dzieciarnią? Z żonami? Czy to impreza rodzinna? Ellie pytała o ciebie. Wciąż siedzi na tym ustroniu, dzwoniła któregoś dnia z lasu. W kółko nawijała o swoim poprzednim życiu. Zajmowała się w nim handlem używanymi samochodami. Twierdzi, że jej obecne życie jest reakcją karmiczną, że niby małżeństwo ze mną, rozumiecie? Wraca do domu pojutrze. Zgadajmy się, może Ellie mogłaby cię z kimś ustawić. Teraz, jako wolny mężczyzna, powinieneś trochę poużywać.

* Tradycyjne japońskie naczynie do gotowania.

- Jasne - odpowiada Ed, po czym wzrusza ramionami. Widzimy, że ma ochotę, aby Jeff się przytknął, ale Jeff nie ma takiego zamiaru.

- Któregoś dnia widziałem w spożywczym Susan - ciągnie Jeff. - Wyglądała bombowo. Nie chodzi o to, że nie była już przygnębiona, nie tylko pozbierała się po tym wszystkim, ale była wręcz rozpromieniona, wiesz? Bił od niej taki szczególnie blask. Jak od Joanny D'Arc. Jak gdyby coś wiedziała. Tak jakby wygrała na loterii.

- No tak - przyznaje Ed. - Taka jest Susan. Nie żyje przeszłością. Dostała tę nową pracę, jakiś projekt badawczy. Próbuje nawiązać kontakt z kosmitami. Wykorzystują sprzęty gospodarstwa domowego: talerze telewizji satelitarnej, telefony komórkowe, radia samochodowe, nawet lodówki. Nie za bardzo wiem, w jaki sposób. Nie jestem pewien, co mają zamiar im powiedzieć. Ale dostają kupę szmalu z grantów. Najęli nawet kogoś do pisania przemówień.

- Ciekawe, co się mówi kosmitom - zastanawia się Brenner. - „Cześć kochanie, już jestem. Co na obiad?”

- „Idziemy do ciebie czy do mnie?” - dodaje Pete. - „Co taka miła kosmitka robi w tej galaktyce?”

- „Gdzieś ty się podziewała? Umierałem z niepokoju” - dorzuca Alibi.

- Jeff podnosi kartę, ustawia ją bokiem na zielonym suknie. Bierze następną, opiera ją o tę pierwszą.

- Ty i Susan zawsze świetnie prezentowaliście się razem - stwierdza. - Idealne małżeństwo, idealne życie. A teraz? Popatrz na siebie: ona gada z kosmitami, a ty mieszkasz w nawiedzonym domu. Jesteś dla nas wszystkich przykładem, Ed. Fajny facet, taki jak ty, któremu przytrafiają się niefajne rzeczy. Susan rzuca takiego klawego gościa, jaka z tego nauka? Zastanawiałem się nad tym przez cały rok. W poprzednim życiu ty i Ellie musieliście pracować w tym samym autokomisie.

Nikt nic nie mówi. Ed milczy, ale po tym, jak spogląda na Jeffa, potrafimy wywnioskować, że w tej grze o nawiedzonym domu będzie postać, która w sposobie poruszania się i mówienia będzie bardzo przypominać Jeffa. Jeffopodobna postać będzie wpadać w panikę, biegać w kółko po ekranach telewizorów użytkowników i gubić się.

Będzie potykać się i wpadać w pułapki oraz upadać na noże. Jego wnętrzności będą wypływać na wierzch. Zombie będą łamać z trzaskiem kości jego nóg i wysysać szpik. Diabełki o małpich mordkach unieruchomią jego powieki małymi szwami, a następnie będą wstrzykiwać strumień kwasu do jego oczu.

Piękne kobiety będą gwałcić owego rysunkowego Jeffa ogrodowymi nożycami w tyłek. A kiedy postać zacznie wrzeszczeć, będzie to bardzo przypominało krzyk Jeffa. Ed jest dobry w takich szczegółach. Dzieciaki, które kupują jego gry, uwielbiają to. Kupują je właśnie dla takich rzeczy.

Jeffowi pewnie będzie to pochlebiać.

Jeff zaczyna skarżyć się na rachunek telefoniczny Staną, owe czterysta dolarów za komórkę. Kiedy go o to spytał, Stan jak gdyby nigdy nic wręczył mu zwitek dwudziestek. Małolat wiecznie ma wolny szmal.

Stan podał również Jeffowi pewien numer telefonu. Wyjaśnił mu, że to coś takiego jak sekstelefon, ale z elementem zaskoczenia. Dzwonicie i prosicie dziewczynę o imieniu Gwiazdeczka, a ona opowiada wam różne erotyczne historyjki, ale tylko wtedy, jeśli macie na to ochotę, bo wcale nie muszą być erotyczne. Mogą to być dowolne historie, jakie tylko przyjdą wam do głowy. Mówicie jej, co chcielibyście usłyszeć, a ona to wymyśla. Stan twierdzi, że to połączenie Stephena Kinga, fantastyki naukowej, *Baśni z tysiąca i jednej nocy* oraz listów erotycznych „Penthouse'a”.

- Masz ten numer? - przerywa Jeffowi Ed.

- Co? - pyta Jeff.

- Właśnie zapłacili mi za ostatnią grę - tłumaczy Ed. - Tę z niemowlęcymi głowami i panienkami-ośmiorniczkami, Marsjański hokej bojowy. Zadzwońmy pod ten numer. Zapłacę, Dacie ją na głośniki i wszyscy posłuchamy, ja stawiam, okay? Skoro ze mnie taki równy gość.

Bones stwierdza, że jego zdaniem pomysł jest do dupy - pewnie dlatego Jeff poszedł po rachunek telefoniczny oraz kolejny sześciopak piwa. Każdy bierze po następnym browarze.

Jeff przycisza sprzęt:

Madame jam Adam
Och, Madame mój Adam.

Na środku stołu stawia telefon. Tkwi tam, pośród całej tej zieloności, niczym jakaś wyspa czy coś w tym rodzaju. Pozostawiony samemu sobie. Jeff podłącza go do głośnika.

- Cztery dolce za minutę - oznajmia, wzrusza ramionami, po czym wybiera numer.

- No - mówi Ed - podaj mi go.

Daje się słyszeć sygnał, a my wsłuchujemy się weń, po chwili zaś niezwykle przyjemny, kobiecy głos mówi: „Witam” i pyta, czy Ed ma ukończone osiemnaście lat. Ed odpowiada, że ma. Podaje jej numer swojej karty kredytowej. Kobieta pyta, czy chciałby rozmawiać z jakąś konkretną osobą.

- Z Gwiazdeczką - oznajmia Ed.

- Chwileczkę - mówi tamta. Słyszymy kliknięcie, a po chwili na linii jest już Gwiazdeczka. Wiemy, że to ona, ponieważ się przedstawia.

- Cześć, mam na imię Gwiazdeczka - mówi. - Opowiem ci historyjkę erotyczną. Chcesz wiedzieć, co mam na sobie?

Ed chrząka. Wzrusza ramionami. Krzywi się do nas. Przydałby mu się fryzjer. Dawniej Susan obcinała mu włosy, co wydawało nam się urocze. On i Andrew oraz ich identyczne, nierówne fryzury. Było w tym coś głupawego.

- Mogę mówić do ciebie Susan? - pyta Ed.

Wydaje nam się to dziwne.

- Jeśli ci na tym zależy - odpowiada Gwiazdeczka. - Ale ja naprawdę mam na imię Gwiazdeczka. Nie uważasz, że ładnie?

Jej głos brzmi jak głos dziecka. Małej dziewczynki - nawet nie dziewczyny, ale małego dziecka. Ani trochę nie przypomina głosu Susan. Od czasu rozwodu nie widywaliśmy jej często, choć niekiedy dzwoni, żeby pogadać z naszymi żonami. Trochę niepokoimy się tym, co im mówi.

- W sumie tak - stwierdza Ed. Jest dla nas jasne, że Ed mówi tak wyłącznie z grzeczności, ale Gwiazdeczka śmieje się, jak gdyby opowiedział jej kawał. Ten dziecinny śmiech wydaje nam się dziwaczny tutaj, na dole.

- Więc opowiesz mi jakąś historię? - pyta Ed.

- Po to tu jestem - odpowiada Gwiazdeczka. - Ale zwykle faceci chcą wiedzieć, co mam na sobie.

Ed: - Chcę usłyszeć opowieść o czirliderce i Diabie.

Bones: - No więc co ona ma na sobie?

Pete: - Zrób tak, żeby akcja opowieści toczyła się do tyłu.

Jeff: - Dodaj jakiś element grozy.

Alibi: - I erotyzmu.

Brenner: - Chcę, żeby była o walce dobra ze złem i prawdziwej miłości, a przy tym, żeby była śmieszna. Żadnych gadających zwierząt. I nie za wiele motania struktury narracyjnej. Zakończenie powinno być szczęśliwe, ale jednocześnie realistyczne,

wiarygodne, rozumiesz? I żeby nie było morału, choć powinniśmy móc później sięgnąć do tej historii pamięcią i doznać czegoś w rodzaju olśnienia. Żadnych takich i *nagle obudzili się i odkryli, że wszystko było snem*. Rozumiesz?

Gwiazdeczka: - W porządku. Diabeł i czirliderka. Rozumiem. Zaczynamy.

DIABEŁ I CZIRLIDERKA

A zatem Diabeł jest na imprezie w domu czirliderki. Grają w butelkę. Jej chłopak właśnie wyszedł z szafy z jej najlepszą przyjaciółką. Nieco wcześniej czirliderka miała ochotę dać mu w twarz, a teraz wie, dlaczego. Butelka wskazała jej najlepszą przyjaciółkę, która tylko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. Potem butelka obracała się, a kiedy stanęła, znalazła się w dłoni jej chłopaka.

Wówczas, ni z tego ni z owego, zadzwonił minutnik do odmierzenia czasu gotowania jajek. Wszyscy zaczęli chichotać i wstawać, żeby podejść do szafy, jak gdyby mieli zamiar wcisnąć się do środka. Ale Diabeł podniósł się, ujął dłoń czirliderki i począł pociągać nią w przód i w tył.

Wiedziała więc, co dokładnie się wydarzyło i co miało się wydarzyć, a prócz tego różne inne rzeczy.

Jest to coś, co podoba jej się w poruszaniu się wstecz. Zaczynasz, mając wszystkie odpowiedzi, a po jakimś czasie ktoś się zjawia i zadaje ci pytania, ale nie musisz na nie odpowiadać. Tę część masz już za sobą. Było to coś, co stanowiło o atrakcyjności małżeństwa. Wszystko układało się coraz lepiej, aż niemal w ogóle już się nie znaliście. Następnie mówiliście „dobranoc” i szliście na randkę, a potem zostawialiście po prostu przyjaciółmi. Tak było łatwiej - taka jest urocza, słodka natura świata, który porusza się wstecz.

Chwileczkę, cofnijmy się na moment.

Coś się stało. Coś właśnie się wydarzyło. Ale nikt nigdy o tym nie mówił, a przynajmniej nie na takich imprezach. Już nie.

Wszyscy pili do białego rana, prócz Diabła, który jest abstynentem. Udaje, że popija wódkę z piersiówki. W tej chwili wszyscy uczestnicy imprezy mają już zdrowo w czubie i uważają, że równy z niego gość. Potem wytrzeźwieją. Uznają go za osobę pretensjonalną, palanta, który tylko udaje, że pije.

Wokół znajduje się sporo pustych butelek po piwie, kilka opróżnionych butelek po whisky. Widać, że wciąż jest jeszcze sporo do roboty. Używają jednej z butelek po

piwie - to właśnie nią kręcą. Później butelka będzie pełna, a oni nie będą musieli grać w tę głupią grę. Czirliderka domyśla się, że nie zaprosiła Diabła na tę imprezę. Nie należy do facetów, którym trzeba składać zaproszenie. Pewnie zjawi się sam z siebie. Ale teraz przez pięć minut będą razem w szafie. Chłopak czirliderki nie jest tym zachwycony, ale co niby może zrobić? Taka to już impreza. Taka z niej czirliderka.

Są znacznie młodszy niż dawniej. Podczas podobnych imprez byli starsi, zwłaszcza Diabeł. Pamięta wszystko po kolei, aż do końca świata. Wówczas czirliderka nie była czirliderka. Była mężatką, miała dzieci i męża.

Coś się wydarzy, a może już się wydarzyło. Nikt nigdy nie wspomina o tym ani słowem. Gdyby mogli, co by powiedzieli?

Ale owe imprezy końca świata były zwariowane. Ludzie pili na umór i nie mieli na sobie ubrań. W salonie leżały owe smętne kupki ciuchów, jak gdyby coś się stało, a ludzie zniknęli, wprost wyparowali ze swoich ubrań. Tymczasem ich właściciele znajdowali się w ogrodzie za domem, oczekując, aż nadejdzie pora, by udać się do domu. Stawali na trampolinie, podskakiwali i krzyczeli.

Była tam butelka oliwy z pierwszego tłoczenia, a wcześniej czy później ktoś miał ponownie ją napelnić i odłożyć na miejsce na półce w spizarni. Wokół znajdowali się owi śliscy, nadzy ludzie w średnim wieku, ślizgający się po trampolinie i tłustej trawie, a potem, na końcu, zostanie tylko butelka oliwy z oliwek, oliwki na drzewie, drzewo, sad, puste pole.

Diabeł stał, czując się niezręcznie, licząc, iż okaże się, że się spóźnił. '

Dzieci były na górze w swoich sypialniach, ale nie leżały w łóżkach - wyglądały przez okna i wspominały czasy, kiedy były starsze. Choć całkiem dorosłe nigdy nie były.

Ale świat jest obecnie młodszy. Wszystko jest prostsze. Teraz czirliderka ma własnych rodziców i musi tylko czekać, aż zjawią się w domu, a wówczas przyjęcie będzie mogło się skończyć.

Przed dwoma dniami odbył się pogrzeb. Było dokładnie tak, jak wszyscy przepowiedzieli.

Potem miała na głowie różne sprawy do załatwienia, ludzi, z którymi należało porozmawiać. Była zajęta.

Uściskała ciotkę i wuja na pożegnanie, a potem wprowadziła się do domu, w którym mieszkała do końca życia. Rozpakowała wszystkie pudełka, Armia Zbawienia zaś dostarczyła ubrania jej rodziców, meble, garnki i patelnie. Inni - przyjaciele

rodziców - pomogli jej wieszać ubrania matki w należącej do niej szafie ściennej. (Nie w tej.) Zmieniła materiał w dłoni i powąchała, ciekawa, głodna, przestraszona.

Podjeżdżając, przywołując w pamięci woń ozdobionych monogramami swetrów matki, że będą się kłócić o różne rzeczy. Chłopaków, muzykę, ciuchy, czirliderka nauczy się puszczać to wszystko w niepamięć.

Gdyby jej dzieci wciąż były w pobliżu, powiedziałyby, „A nie mówiłyśmy?”. Ale w istocie stwierdziły: „Po prostu poczekaj, aż będziesz mieć własnych rodziców, to zobaczysz”.

Czirliderka głaszcze się po brzuchu. Jesteście tam?

Przesunęła nieznane, zużyte meble tak, by dopasować je do miejsc na podłodze. Na siedzeniu widniał odbity ślad czyichś pośladków. Może było to ulubione krzesło jej ojca.

Przejrzała jego płyty. Jedna z nich obracała się na gramofonie, nie był to żaden utwór, który kiedykolwiek przedtem słyszała, toteż zdjęła ją i na powrót umieściła w pustej, białej okładce. Przyglądała się uważnie aktom zgonu. Usiłowała wymyślić, co tu powiedzieć rodzicom o ich wnukach, co takiego chcieliby wiedzieć.

W radiu leciała właśnie po raz ostatni jej ulubiona piosenka. Wiele lat temu tańczyła przy niej na swoim weselu. Teraz wszystko przeminęło, z wyjątkiem owego uczucia, jakiego niegdyś doznawała, kiedy ją słyszała. Niekiedy wciąż się pojawiało, ale nie istniało już na nie żadne określenie.

Tego wieczoru, za kilka godzin, ukaże się wrak samochodu, a potem jej rodzice będą szli do domu. Do tego czasu wszystkie jej przyjaciółki zdążą już się ulotnić, zabierając ze sobą sześciopaki, swoich chłopaków i świeżo nałożone warstwy lakieru do włosów oraz szminek.

Wydaje jej się, że nieco przypomina swoją matkę.

Nim ktokolwiek się zjawiał, kiedy na dole wszystko wciąż było w stanie ruiny, nim przybyli policjanci, żeby powiedzieć to, co musieli przekazać, stała w sypialni rodziców. Spoglądała w lustro.

Z kubelka na śmieci wyjęła pomarańczowo-czerwoną szminkę, która będzie jej ulubioną, ponieważ został z niej jedynie maleńki półksiężyc. Lecz kiedy przyjrzała się w lustrze, okazało się, że szminka nie pasuje. Nie należała do niej. Położyła dłoń na mostku, mocno ją przycisnęła, poczuła, jak serce bije jej coraz szybciej. Nie potrafiła użyć szminki matki, podczas gdy ona leżała w kostnicy na stole na kółkach, czekając,

aż zostanie zszyta, aż z powrotem opnie ją ubranie, aż złapie oddech, ocknie się, ujrzy, jak samochód ześlizguje się po drugiej stronie pasa rozdzielczego, aż zobaczy swego męża, człowieka, którego kiedyś poślubi, aż wróci do domu, żeby poznać swoją córkę.

Niedawno zmarli zawsze są wyczerpani. Tyle jest do przyswojenia, tyle spraw, których skutki trzeba odwrócić. Każdy z nich ma przed sobą całe swoje życie.

Najlepsza przyjaciółka czirliderki puszcza do niej oko. Diabeł ma latarkę z dwoma zużytymi bateriami. Ktoś zamyka za nimi drzwi.

Niebawem, wkrótce, niemal w tej właśnie chwili, baterie w latarce Diabła wyczerpują się, a spod drzwi szafy sączy się jedynie cienka smużka światła. Wewnątrz jest ciasno, w powietrzu unosi się woń butów, farby, drewna, wełny, papierosów, rakiet tenisowych, widma perfum i potu. Na zewnątrz, wokół szafy, świat młodnieje, lecz to właśnie tu trzymają wszystkie starocie. Czirliderka umieściła je tu w zeszłym tygodniu.

Przez niemal całe swoje życie odczuwała mdłości. Marna z niej podróżniczka w czasie. Cierpi na chorobę czasową. To tak, jakby zawsze była trochę w ciąży. Jesteście tam? A tu jest gorzej ze względu na wszystkie te starocie, które nie należą do niej, a co gorsza, dlatego że Diabeł wiecznie igra sobie z czasem.

Diabeł czuje się jak u siebie w domu. Wraz z czirliderką moszczą sobie gniazdko z płaszczy i rozsiadają się w nim twarzą w twarz. Diabeł zwraca jasny, ciągły snop światła latarki ku czirliderce. Dziewczyna ma na sobie luźną, rozszerzaną u dołu spódnicę. Uniosła kolana, sprawiając, że ułożyła się ona w namiot. Ów namiot jest pełen cieni - podobnie jak szafa. Diabeł wyczarowuje jeszcze jednego Diabła i czirliderkę wielkości myszki. Oboje siedzą pod spódnicą czirliderki. Szafa pełna jest Diabłów i czirliderek.

- Muszę się czegoś złapać - oznajmia czirliderką. Jeśli się czegoś złapie, może nie zwymiotuje.

- Proszę cię - mówi Diabeł. - To łaskocze. Mam łaskotki.

Czirliderką pochyła się do przodu. Łapie Diabła za ogon. Następnie dotyka diablego ogona swoimi pomponami. Tamtego przeszywa dreszcz.

- Przestań, proszę - mówi i zaczyna chichotać.

Ogon leży sobie podwinięty pod jego nogami. Nie jest gorąco, ale Diabeł się poci.

Odczuwa smutek. Nie jest dobry w smuceniu się. Włącza i wyłącza latarkę. Oto kolano. Oto usta. Oto zwisa zupełnie pusty rękaw. Ktoś stuka do drzwi szafy.

- Spadaj - rzuca czirliderką. - Jeszcze nie minęło pięć minut. Nawet połowa.

Diabeł czuje, że dziewczyna uśmiecha się do niego, jak gdyby byli starymi przyjaciółmi.

- Twój ogon. Mogę go dotknąć? - pyta czirliderką.

- Czego dotknąć? - dziwi się Diabeł. Czuje się na wpół podekscytowany, na wpół zaś zdenerwowany. Na tyle dorosły, by wiedzieć swoje, na tyle nowy, tu, w tej szafie, by odczuwać zaniepokojenie. Wykorzystuje tu swoją szansę. Dziewczyny - kobiety - nie są wszak w tej chwili zwierzętami domowymi, choć stają się coraz bardziej oswojone, bardziej nawykłe do mieszkania w domach. Mniej skore, by kąsać.

- Czy mogę dotknąć twojego ogona? - dopytuje się czirliderką.

- Nie! - odburkuje Diabeł. - Jestem nieśmiały - wyznaje. - Możesz co najwyżej pogłodzić mój ogon swoim pomponem, ale tylko trochę.

- Moglibyśmy się poobmacywać - stwierdza czirliderka. - W końcu po to tu jesteśmy, co nie? Potrzebuję jakiejś rozrywki, bo zdaje mi się, że może nawiedzić mnie ta myśl. Zrobi mi się od niej bardzo przykro. Staję się coraz młodsza, wiesz? I cały czas będę młodnieć. To nie w porządku. - Stopami dotyka drzwi szafy. Uderza w nie pojedynczym kopnięciem, niczym mul.

- To znaczy, jesteś przecież Diabłem - ciągnie. - Nie musisz martwić się takimi sprawami. Za parę tysięcy lat znów będziesz na początku i znów będziesz w dobrych stosunkach z Panem Bogiem, zgadza się?

Diabeł wzrusza ramionami. Każdy zna zakończenie tej historii.

- Każdy zna tę starą opowieść - mówi czirliderka. - Jesteś sławny. Jak John Wilkes Booth*. Jesteś postacią historyczną, zostaniesz kimś naprawdę ważnym. Będziesz Tym Który Przynosi Światło i będą cię sadzać przy dobrych stolikach w najmodniejszych restauracjach, chóry anielskie i kierownik sali, *et cetera*, la, la, la, będą w nieskończoność wyśpiewywać alleluja, proszę podać zupę krem z porów, a wówczas Bóg rozłoży świat na kawałki i wszystkie je schowa do szafy, o tak.

Diabeł uśmiecha się z wyższością. Wzrusza ramionami. To całkiem niezłe życie - chodzenie sobie po szafach z czirliderkami. A będzie jeszcze lepiej.

- To nie w porządku - stwierdza czirliderka. - Powiedziałabym mu to, gdyby tu był. Pozdejmuje gwiazdy i wyciągnie Lewiatana z najgłębszych odmętów, a ty będziesz

* John Wilkes Booth - zabójca prezydenta Stanów Zjednoczonych Abrahama Lincolna.

zajadał sobie tatara z Lewiatana na obiad. A gdzie ja wtedy będę? Ty będziesz w pobliżu. Zawsze jesteś w pobliżu. Ale ja, ja będę robiła się coraz młodsza i młodsza, aż za kilka lat już w ogóle nie będę sobą. Moi rodzice też będą robić się coraz młodszy i tak dalej i dalej, siup! Przeminiemy jak rozbłysk światła, a ty nawet nie będziesz mnie pamiętał. Nikt nie będzie mnie pamiętał! Wszystko, czym byłam, co robiłam, wszystkie te zabawne rzeczy, które powiedziałam, i te, które opowiedzieli mi moi przyjaciele, wszystko to przeminie. Ale ty idziesz przez całą drogę wstecz. Poruszasz się do przodu i do tyłu. *To nie w porządku. Mógłbyś zawsze mnie pamiętać. Co mogłabym zrobić, żebyś mnie zapamiętał?*

- Dopóki jesteśmy w szafie - stwierdza Diabeł wielkodusznie - będę cię pamiętał.

- Ale za kilka minut - mówi czirliderka - wyjdziemy z niej, a butelka zacznie się kręcić, a wtedy impreza się skończy, moi rodzice wrócą do domu, i nikt nigdy nie będzie mnie pamiętał.

- Wobec tego opowiedz mi jakąś historię - proponuje Diabeł. Kładzie swą spiczastą, kosmatą łapę na jej nodze. - Opowiedz mi historię, żebym cię zapamiętał.

- Jaką historię? - pyta czirliderka.

- Opowiedz mi coś przerażającego - mówi Diabeł. - Historię zabawną, straszną, Smutną, szczęśliwą. Chcę wszystkiego. - Kiedy wypowiada te słowa, czuje, jak merda ogonem.

- Nie możesz mieć wszystkiego - odpowiada czirliderka, unosi jego łapę i kładzie z powrotem na podłodze szafy. - Nawet w historii. Nie możesz mieć wszystkich historii, jakie chcesz.

- Wiem - przyznaje Diabeł. Wydaje skowyt. - Ale mimo to pragnę jej. Pragnę wszystkiego. Taką mam robotę. Pragnę nawet tego, co już posiadam. Pragnę wszystkiego, co ty posiadasz. Pragnę tego, co nie istnieje. Dlatego jestem Diabłem. - Łypie pożądliwie - szkoda, bo ona nie widzi go w ciemności. Diabeł czuje się głupio.

- No dobrze, to co jest najstraszniesze? - pyta czirliderka. - Znasz się na tym, prawda? Podpowiedz mi co nieco w tej kwestii.

- Najbardziej przerażająca rzecz - mówi Diabeł. - Dobra, podam ci dwie rzeczy. Trzy. Nie, tylko dwie. Trzecia to tajemnica.

Jego głos zmienia się. Później, któregoś dnia czirliderka będzie słuchać, jak przedszkolanka recytuje alfabet od końca, za oknem porusza się słońce, nic nigdy nie stoi w miejscu, a ona przypomni sobie Diabła i wydobywającą się spod drzwi smugę światła, spokojne świetlne kółeczko, jakie latarka rzuca na drzwi szafy.

- Nie narzekam - stwierdza Diabeł (nie jest to prawda) - ale tak właśnie wszystko dawniej działało. Teraz już tak nie działa. Nie wiem, czy to pamiętasz. Twoi rodzice nie żyją, a mają zjawić się w domu za jakieś kilka godzin. Kiedyś było to przerażające. Już nie jest. Ale spróbuj sobie wyobrazić, że znajdujesz coś, czego nie powinno tam być.

- Na przykład co? - pyta czirliderka.

Diabeł wzrusza ramionami.

- Dziecinną zabawkę. Piłkę albo lampkę nocną. Jakąś tandetę, która jest cięższa, niż się to wydaje na oko, albo lekka. Świeci czymś w rodzaju oślizłego światła albo pochłania je. Kiedy tego dotykasz, nieprzyjemnie ugina się. Czujesz się tak, jakbyś mogła do niego wpaść. Czujesz się oszołomiona. Może to być wypisane w języku, którego nikt nie potrafi rozszyfrować.

- W porządku - stwierdza czirliderka. Sprawia wrażenie nieco rozweselonej. - A jaka jest ta druga rzecz?

Diabeł świeci jej latarką w oczy, włącza ją i wyłącza.

- Ktoś znika. Przepada, ot tak. Stoją za tobą w kolejce w parku, rozrywki albo oddalają się podczas przerwy w spektaklu, może schodzą na dół, żeby wziąć pocztę, albo zaparzyć herbatę...

- To ma być przerażające? - krzywi się czirliderka.

- Dawniej było - wyjaśnia Diabeł. - Dawniej było tak, że najgorszą rzeczą, jaka mogła się przytrafić, o ile miało się dzieci, była ich śmierć lub zaginięcie. Zaginięcie było najgorsze. Wszystko mogło się im przytrafić.

- Teraz jest lepiej - stwierdza czirliderka.

- No tak - przyznaje Diabeł. - W dzisiejszych czasach wszystko idzie ku lepszemu. Ale spróbuj zapamiętać, jak to kiedyś było. Osoba, która zniknęła, a że w rzeczywistości wcale nie zniknęła. Widywało się je od czasu do czasu, jak popatrują na ciebie do środka przez okno albo zaglądnę ukradkiem przez otwór na listy we frontowych drzwiach. Dziurki od kluczy. Można było się natknąć na nich w zieleniaku. Na tylnym siedzeniu twojego samochodu, potajemnie, nonszalancko rozparci odbijają się we wstecznym lusterku. Mogą uszczypnąć cię w nogę albo pociągnąć za - włosy, kiedy śpisz. Kiedy rozmawiasz przez telefon - podsłuchują, słyszysz, jak to robią.

- Tak jak moi rodzice... - wtrąca czirliderka.

- Właśnie - przytakuje Diabeł. - Nawiedzali cię w koszmarach, co?

- Niezupełnie - odpowiada czirliderka. - Wszyscy mówią, że pewnie byli miłymi

ludźmi. Zresztą rozejrzyj się po tym domu! Ale czasami nawiedza mnie ten sen, że jestem w centrum handlowym i widzę mojego męża. A on jest taki sam, jest dorosły i mnie nie poznaje. Okazuje się, że jestem jedyną osobą, której życie biegnie wstecz. A potem rozpoznaje mnie i dopytuje się, co zrobiłam z dziećmi.

Kiedy ostatnio widziała się ze swoim mężem, usiłował zapuszczać brodę. Nawet tego nie potrafił porządnie zrobić. Nie miał zbyt wiele do powiedzenia, ale długo przyglądali się sobie.

- A co z twoimi dziećmi? - pyta Diabeł. - Zastanawiasz się, dokąd trafiły, kiedy lekarz wepchnął ci je z powrotem do środka? Śnią ci się?

- Tak - przyznała czirliderka. - Wszystko się zmniejsza. Boję się tego.

- To pomyśl, jak czują się mężczyźni! - rzucił Diabeł. - Nic dziwnego, że boją się kobiet. Nic dziwnego, że seks jest dla nich taki trudny.

Czirliderka tęskni za seksem, owym uczuciem, kiedy jest już po wszystkim, tym rozkosznym swędzeniem niezaspokożenia.

- Za pierwszym razem wszystko było lepsze - stwierdza Diabeł. - Nie wiem, czy pamiętasz. Ludzie umierali, a nikt nie był pewien, co jest potem. Było sporo różnych możliwości. Teraz każdy wie wszystko. Co to za frajda?

Ktoś próbuje otworzyć drzwi szafy, popychając je do środka, ale czirliderka blokuje je nogami, zapierając się o tylną ściankę.

- Ach, przypominam sobie! - wykrzykuje. - Pamiętam, jak umarłam! Było tyle rzeczy, których nie mogłam się doczekać. Nie miałam pojęcia!

Diabła przeszywa dreszcz. Nigdy szczególnie nie przepadał za umarłymi.

- No dobra, a co z potworami? - pyta czirliderka. - Wampirami? Seryjnymi mordercami? Istotami z kosmosu? Starymi filmami?

Diabeł wzrusza ramionami.

- Tak, jasne. Straszydła. Formaldehydowe dzieci w słojach. Pewnego dnia ktoś będzie musiał je z nich wyciągnąć, odkisić. Kobiety z zębami tam, na dole. Zombie. Mordercze roboty, mordercze pszczoły, seryjni zabójcy, zimne punkty, wilkołaki. Sen, w którym wiesz, że śpisz, ale nie możesz się obudzić. Słyszysz, jak ktoś kręci się po sypialni, bierze twoje rzeczy, po czym odkłada je na miejsce, a ty wciąż nie możesz się obudzić. Koniec świata. Pająki. „Nikogo przy niej nie było, kiedy zmarła. „ Mięsożerne rośliny.

- O, świetnie! - ekscytuje się czirliderka. Jej oczy świecą w ciemności. Pompony suną po podłodze szafy. Przesuwa latarkę, by móc widzieć jej dłonie.

- No więc to jest ta historia - mówi czirliderka. Należy do dziewczyn, które potrafią szybko podejmować decyzje. - W sumie to nie jest przerażająca. Jakoś się nie boję.

- Nie słuchałaś? - mruczy podejrzliwie Diabeł. Postukuje latarką o swe okazałe przednie zęby. - Wszystko jedno, w porządku, nieważne. Zaczynaj.

- Pewnie nie jest prawdziwa - stwierdza czirliderka - i nie porusza się wstecz, jak my. Pewnie nie dojdę do samego końca. Nie zamierzam też zaczynać od początku. Nie ma dość czasu.

- Nie szkodzi - mówi Diabeł. - Zamieniam się w słuch. - (To prawda).

- No więc kto właściwie będzie opowiadał tę historię? - pyta czirliderka. - Bądź cicho i słuchaj. Czas nam się kończy.

- Pewien mężczyzna wraca do domu z konferencji handlowej - zaczyna. - Od jakiegoś czasu są z żoną w separacji, ale zdecydowali się spróbować ponownie być razem. Sprzedali dom, w którym dawniej mieszkali. Teraz mieszkają tuż za miastem, w znajdującym się w sadzie starym domu.

- Mężczyzna wraca do domu z tej konferencji, a jego żona siedzi w kuchni i rozmawia z jakąś starszą kobietą. Siedzą na krzesłach, które dawniej stały wokół kuchennego stołu, ale stołu nie ma. To samo z mikrofalówką i suszarką, na której wisiały należące do Susan garnki o miedzianych dnach. Ich też nie ma.

- Mąż nie zauważa żadnej z tych rzeczy. Całą uwagę skupia na owej kobiecie. Jej skóra ma zielonkawy odcień. Doznaje takiego uczucia, jakby ją skądś znał. Owa kobieta oraz jego małżonka spoglądają na niego, a on raptem zaczyna rozumieć, o co chodzi. To jego żona. To jest jego żona, obie nią są, tylko jedna z nich jest jakieś dwadzieścia lat starsza. Prócz tego, że ta druga jest zielona, niczym nie różnią się od siebie. Te same usta, ten sam pieprzyk w ich kąciku.

- Jak mi idzie?

- Jak cię mogę - mruczy Diabeł. Prawda (prawda sprawia, że Diabeł odczuwa swędzenie) jest taka, że lubi wyłącznie opowieści o sobie. Jak ta historia o diabelskim torcie weselnym. To jest dopiero historia.

- Będzie lepiej - oznajmia czirliderka.

BĘDZIE LEPIEJ

Mężczyzna ma na imię Ed. Nie jest to jego prawdziwe imię. Zmyśliłam je. Ed i Susan są małżeństwem od dziesięciu lat, w separacji przez pięć miesięcy, znów razem

od trzech. Śpią w tym samym łóżku od trzech miesięcy, ale nie uprawiają seksu. Susan płacze za każdym razem, kiedy Ed ją całuje. Nie mają dzieci. Dawniej Susan miała młodszego brata. Ed rozważa kupno psa.

Kiedy Ed był na konferencji, Susan zajmowała się domem. Zrobiła parę rzeczy na strychu, o których nie będziemy tu wspominać. Na razie. Na dole, w dodatkowej łazience w piwnicy, nastawiła ową maszynę, którą zajmiemy się później, a która wytwarza kolejne egzemplarze Susan. Spodziewała się, że maszyna sprowadzi z powrotem Andrew. (Jej brata. Ale to już wiesz.) Okazało się jednak, że sprowadzenie Andrew wymaga innej maszyny, większej. Susan potrzebuje pomocy przy jej budowie, toteż w sumie nowe Susan przydadzą się. W ciągu następnych kilku dni Susan wyjaśnia to wszystko Edowi.

Nie oczekuje, że okaże się on zbyt pomocny.

- Cześć, Ed - rzuca zielonkawa Susan. Wstaje z krzesła i obejmuje go serdecznie. Jej skóra jest ciepła i lepka. Czuć od niej woń drożdży. Autentyczna Susan - ta, którą Ed uważa za autentyczną, ale nie jestem pewna, czy się nie myli, a z czasem on też straci pewność - siedzi na swoim krześle i przygląda się im.

Wielka zielona Susan. Nie robię z niej Godzilli? Nie wygląda jak Godzilla, lecz mimo to jest w niej coś, co przywodzi Edowi na myśl owego potwora, sposób, w jaki porusza się ciężkim krokiem po kuchennej podłodze - prowadzi Eda do krzesła i każe mu usiąść. Teraz spostrzega, że brakuje stołu. Wciąż nie zdołał wypowiedzieć nawet słowa. Susan, obie z nich, jest do tego przyzwyczajona.

- Po pierwsze - mówi Susan - nie wolno chodzić na strych. Pracuje tam parę osób. (Nie mam na myśli innych Susan. Za chwilę to wyjaśnię.) Goście. Pomagają mi przy pewnym projekcie. Co do innych Susan, jest nas teraz pięć - pozostałe trzy poznasz potem. Są w piwnicy. Wolno ci do niej schodzić. Możesz tam pomóc, jeśli chcesz.

- Nie musisz się martwić tym, która jest która - stwierdza Susan Godzilla - chociaż żadna z nas nie jest dokładnie taka sama. Możesz wszystkie z nas nazywać Susan. Odkrywamy właśnie, że niektóre z nas są bardziej tymczasowe od innych, albo grubsze, albo młodsze, albo bardziej zielone. Wygląda na to, że zależy to od partii, do której należą.

- Jesteś Susan? - pyta Ed. Poprawia się. - To znaczy, czy jesteś moją żoną? Prawdziwą Susan?

- Wszystkie jesteśmy twoimi żonami - odpowiada młodsza Susan. Kładzie mu dłoń na nodze i poklepuje go niczym psa.

- Gdzie się podział stół? - dopytuje się Ed.

- Zaniósłam go na strych - wyjaśnia Susan. - Naprawdę nie musisz się teraz tym przejmować. Jak tam twoja konferencja?

Do kuchni wchodzi kolejna Susan. Jest młoda, w kolorze zielonych jabłek bądź świeżej trawy. Nawet białka jej oczu mają w sobie odcień traw. Ma jakieś dziewiętnaście lat, kolor jej skóry zaś przywodzi Edowi na myśl węża.

- Ed! - woła. - Jak tam konferencja?

- Nowa gra bardzo się podoba - stwierdza Ed. - Testy wypadają doskonale.

- Chcesz piwa? - pyta Susan. (Nie ma znaczenia która.) Unosi dzbanek zielonego, pianistego napoju i nalewa go do szklanki.

- To ma być piwo? - bąka Ed.

- To piwo susanowe - wyjaśnia Susan, po czym wszystkie wybuchają śmiechem.

Owa piękna, dziewiętnastoletnia Susan o wężowej barwie zabiera Eda na przechadzkę po domu. Ed głównie przypatruje się jej, ale zauważa też, że brakuje telewizora oraz wszystkich jego gier. Wszystkich jego notatników. Sofa w salonie wciąż znajduje się na swoim miejscu, choć pozbawiona jest wszystkich poduszek. Później, Susan rozłoży sofę na czynniki pierwsze za pomocą siekiery.

Wszystkie okna dolnej części domu Susan zakryła czymś, co wygląda jak płyty folii aluminiowej. Pokazuje mu wannę na dole, w której jedna z Susan warzy susanowe piwo. Inne rozwieszają długie omszałe zakrzepłe masy susanowego piwa na suszarkach do ubrań. Gdy wyschną, można z nich uformować legowiska, gniazda dla nowych Susan. Nadają się także do jedzenia.

Ed wciąż trzyma w dłoni szklankę susanowego piwa.

- Śmiało - zachęca Susan. - Lubisz piwo.

- Ale nie zielone - krzywi się Ed.

- Przecież lubisz Susan - stwierdza Susan. Ma na sobie jedną z jego koszulek z krótkim rękawem oraz parę należących do Susan majtek. Jest bez stanika. Kładzie dłoń Eda na swojej piersi.

Susan przestaje mieszać piwo. Jest wyższa od Eda i tylko trochę zielonkawa.

- Wiesz, że Susan cię kocha - stwierdza.

- Kto jest na strychu? - pyta Ed. - Czy to Andrew?

Jego dłoń wciąż znajduje się na piersi Susan. Czuje, jak bije jej serce.

- Nie wolno ci zdradzić Susan, że ci powiedziałam - ostrzega Susan. - Uważa, że

nie jesteś jeszcze gotowy. To kosmici.

Obie wpatrują się w niego.

- W końcu połączyła się z nimi telefonicznie. To będzie coś wielkiego, Ed. To odmieni świat.

Ed mógłby wyjść z domu. Mógłby opuścić Susan. Mógłby odmówić picia piwa.

Od susanowego piwa wcale nie czuje się pijany. Nie jest to prawdziwe piwo. Wiedziałeś o tym, prawda?

Susan są wszędzie. Niektóre chcą rozmawiać z Edem o ich małżeństwie bądź o kosmitach, czasem zaś chcą porozmawiać o Andrew. Inne są pochłonięte pracą. Wciąż zaciągają Eda do pustych pokoi, żeby pogadać, całować się lub kochać, albo żeby poplotkować o pozostałych Susan. Bywa też, że go ignorują. Jedna z nich jest bardzo młoda. Wygląda na kogoś, kto ma sześć lub siedem lat. Chodzi w tę i z powrotem po korytarzu na górze i bazgrali po ścianach markerem. Ed nie ma pewności, czy to przejaw dziecięcego wandalizmu, czy też ważna praca Susan. Czuje się niezręcznie i nie pyta.

Co jakiś czas wydaje mu się, że widzi prawdziwą Susan. Chciałby móc usiąść i porozmawiać z nią, ale ona wciąż wygląda na zapracowaną.

Pod koniec tygodnia w domu nie ma już ani jednego lustra, a wszystkie okna zostają zakryte. Susan porozwieszały płaty susanowego piwa na wszystkich elementach oświetlenia, toteż wszystko skąpane jest w zieleni. Ed nie ma pewności, ale wydaje mu się, że być może i on zaczyna zielenieć.

Susan smakuje na zielono. Zawsze.

Pewnego razu Ed słyszy jakieś stukanie do frontowych drzwi.

- Nie zwracaj na to uwagi - mówi, przechodząc koło niego, Susan. Taszczy złożone w stos skrzydła starego sufitowego wentylatora oraz sznur lampek choinkowych. - To nic ważnego.

Ed wyjmuje foliową zaślepkę z wizjera i zerka na zewnątrz. Stoi tam Stan i czeka cierpliwie. Nie ruszają się z miejsca - Ed po jednej stronie drzwi, Stan po drugiej. Ed nie otwiera, toteż Stan w końcu odchodzi. Wszystkie pawie okropnie hałasują.

Ed usiłuje nauczyć niektóre Susan gry w pokera. Niewiele z tego wychodzi, bo okazuje się, że jedna Susan zawsze wie, jakie karty ma inna. Wobec tego Ed wymyśla grę, w której nie ma to większego znaczenia, ale ostatecznie to sprawia, że czuje się nazbyt osamotniony. Wszak nie ma żadnych innych Edów.

Zamiast w karty postanawiają pograć w butelkę. W miejsce butelki używają młotka, który nigdy nie zatrzymuje się, wskazując na Eda. Po jakimś czasie patrzenie na to, jak Susan całuje inną Susan, staje się nazbyt osobliwe, toteż odchodzi w poszukiwaniu jakiejś Susan, która pocałuje jego.

Na górze, w sypialni na piętrze zawsze znajduje się wiele Susan. Tam właśnie udają się, by dojrzewać. Susan zwisają, zwinięte w swoich gniazdach, dojrzewając, sprzecząc się o zakończenie jakiejś starej historii. Żadna z nich nie pamięta jej tak samo. Niektóre zdają się nie mieć na jej temat pojęcia, ale każda ma swoje zdanie.

Ed wspina się do gniazda i opiera się o nie. Susan wystawia nogi na zewnątrz, żeby zrobić dla niego miejsce. Ta jest mała i okrągła. Łaskocze miękką część jego ręki, po czym skrywa twarz w jego boku.

Susan podaje mu szklanekę susanowego piwa.

- To nie to - stwierdza Susan. - Okazuje się, że przedawkował. Może nawet zrobił to celowo. Nie potrafiliśmy o tym rozmawiać. Nie było nas wystarczająco wiele. Same próbowałyśmy unieść cały ten smutek. Nie da się zrobić czegoś takiego. A potem żona usiłuje go zabić. Próbowałam go zabić. Nieźle mu dopierdała. Przez tydzień nie może ruszyć się z domu, nie zbliży się nawet do drzwi, kiedy przychodzą jego przyjaciele.

- O ile można nazywać ich przyjaciółmi - wtrąca Susan.

- Nie, był tam pistolet - ciągnie Susan. - A ona ma romans. Bo nie potrafi sobie z tym poradzić. Żadne z nich nie potrafi.

- Poniżej go podczas kolacji - mówi Susan. - Oboje za dużo wypijają. Wszyscy idą do domu, a ona, zamiast pozmywać naczynia, rozbija je wszystkie. Po całej podłodze w kuchni poniewierają się kawałki talerzy. Ktoś robi sobie krzywdę; nie mają wehikułu czasu. Nie mogą cofnąć się w przeszłość i poskładać talerzy. Wiemy, że nadal się kochali, ale to już nie ma znaczenia. Wtedy zjawiała się policja.

- No cóż, ja nie tak to pamiętam - przyznaje Susan. - Ale przypuszczam, że mogło się to wydarzyć w ten sposób.

Swego czasu Ed i Susan wciąż kupowali książki. Mieli ich tyle, że żartowali sobie na temat chęci odbycia kwarantanny albo odcięcia od świata z powodu zasp

śnieżnych. Może wtedy zdołaliby przeczytać je wszystkie. Ale książki trafiły na strych, wraz z lampami i stolikami, ich rowerami oraz wszystkimi obrazami Susan. Ed przyglądał się, jak Susan noszą na górę książki w miękkiej oprawie, srebro stołowe, stare gry planszowe oraz podziurawioną bieliznę. Nawet piszczałkę kazoo. Encyklopedię Britannicę. Złotą rybkę wraz z jej kulistym akwariem oraz małą puszkę karmy.

Susan przeczesaly dom, zabierając wszystko, co tylko mogły. Kiedy zniknęły wszystkie książki, rozmontowały pozostałe po nich półki. Teraz zdzierają długie pasy tapety. Wygląda na to, że kosmici lubią książki. Wszystko lubią, zwłaszcza Susan. W końcu, kiedy Susan są już dojrzałe, również trafiają na strych.

Kosmici wymieniają się przedmiotami: książkami, Susan oraz kubkami do kawy na inne rzeczy - maszyny, które składają Susan. Ed chciałby, żeby jedno z tych urządzeń trafiło w jego ręce, ale Susan odmawia. Nie wolno mu nawet pomagać - wyjątek stanowi susanowe piwo.

Coś, co budują Susan, zajmuje większą część salonu, pracowni Eda, kuchni, pralni...

Susan nie zawracają sobie głowy praniem. Zarówno pralka, jak i suszarka zniknęły, zaś Susan w ogóle dały sobie spokój z noszeniem odzieży. Edowi udało się zatrzymać parę slipów i dżinsów. W tej chwili slipy ma na sobie, a dżinsy zwinął i położył pod głowę, żeby Susan nie mogły mu ich odebrać. Wszystkie pozostałe ubrania powędrowały na strych.

To, co budują Susan, wychodzi na schody i pnie się na piętro. Cały dom lśni od maszyn kosmitów.

Zespoły nagich Susan ciężko pracują całymi dniami: testują instrumenty, zbijają młotkami i zszywają swoją maszynię, czyszczą, polerują i układają jedne na drugich przedmioty kosmitów. Jeśli zastanawiasz się, jak wygląda taka maszyna, wyobraź sobie projekt ze szkolnych targów naukowych, który ma w sobie sporo folii aluminiowej, improwizowanej, domowej prowizorki i tylko nieco groźnego wyglądu. Żadna z Susan nie jest do końca pewna, co ostatecznie wyniknie z użycia maszyny. W tej chwili produkuje ona susanowe piwo.

Kiedy się je zamiesza, pozostawi na chwilę, po czym ponownie zamiesza, krzepnie i wytwarza kolejne Susan. Ed lubi obserwować ten etap procesu. Dom coraz bardziej przepełniony jest nieśmiałymi, głośnymi, cichymi, zezłoszczonymi, zadowolonymi, zielonkawymi Susan w każdym rozmiarze, w każdym wieku, które zajmują się

rozbieraniem domu, kawałek po kawałku, i, kawałek po kawałku, składaniem maszyny.

Być może jest to wehikuł czasu albo maszyna do wskrzeszania umarłych, a może dom z wolna, po jednym pokoju, zmienia się w statek kosmiczny. Susan twierdzi, że kosmici nie czynią podobnych rozróżnień. To może być fabryka inwazyjna, mówi Ed, albo machina zagłady ostatecznej. Susan tłumaczy mu, że to nie ten typ kosmitów.

Praca Eda: mieszanie susanowego piwa długą, płaską deską - klepką, którą Susan wyrwała z podłogi - i zbieranie do wiadra piany o włóknistej, nieprzyjemnej seropodobnej konsystencji. Wiadra nosi na dół i robi piwne suflety, zapiekanki. Piwne niespodzianki. Piwne biszkopty. Wszystko to smakuje tak samo, on zaś zaczyna lubić ów smak.

Piwo nie sprawia, że się upija. Nie do tego jest przeznaczone. Nie mogę ci powiedzieć, do czego służy. Ale kiedy je pije, nie odczuwa smutku. Ma piwo, robotę w kuchni oraz owo dojrzałe, zielone kurestwo. Wszystko smakuje jak Susan.

Jedyne, czego mu brakuje, to pokerowe wieczory.

Na górze, w sypialni dla gości, Ed zasypia, słuchając Susan, a kiedy się budzi, okazuje się, że jego dzinsy zniknęły, a on jest nagi. Pokój jest, pusty. Wszystkie dojrzałe Susan udały się na strych.

Kiedy wychodzi na korytarz, jest tam mała Susan, która bazgrali po ścianach. Odkłada swój marker i podaje mu dzbanek susanowego piwa. Szczypie go w nogę i stwierdza:

- Stajesz się dorodny i dojrzały.

Następnie puszcza do Eda oko i biegnie w głąb korytarza.

Patrzy na jej rysunki: Andrew - wszystkie ściany od góry do dołu pokrywają wykonane kredkami gryzmołowate portrety Andrew. Idzie w głąb korytarza, podążając za obrazkami Andrew, aż do głównej sypialni, w której sypiali dawniej on i prawdziwa Susan. Teraz sypia, gdzie popadnie, z którąkolwiek z nich. Od jakiegoś czasu nie zaglądał do tego pokoju, choć zauważył, że Susan wchodzi doń i wychodzą z pudłami pełnymi rozmaitych przedmiotów. Wiecznie go przeganiają, gdy staje im na drodze.

Pokój pełen jest Andrew. Na ścianach wiszą jego portrety pędzla Susan, te pochodzące z zajęć plastycznych, na które uczęszczała. Ed zdążył już zapomnieć, jak

bardzo nieprzyjemne i osobliwe są to malowidła. Na jednym z nich, największym, naturalnych rozmiarów Andrew zaciska dłoń na jakimś małym zwierzątku, może fretce. Wygląda, jakby ją dusił. Pyszczyk fretki jest rozwany, widać wszystkie zęby. Takie obrazy, myśli Ed, powinno się na noc odwracać do ściany.

Susan umieściła tu łóżko Andrew, jego książki oraz biurko. W szafie wiszą jego ubrania. W pokoju nie ma maszyny kosmitów ani, jeśli już o to chodzi, niczego, co kiedykolwiek należało do Eda.

Ed wkłada spodnie Andrew, kładzie się na jego łóżku, tylko na minutkę, po czym zamyka oczy.

Kiedy się budzi, na łóżku siedzi Susan. Czuje jej zapach - ową dojrzałą, zieloną woń. Czuje ją na sobie.

- Jeśli jesteś gotowy - odzywa się Susan - pomyślałam, że moglibyśmy pójść razem na strych.

- Co tu się dzieje? - pyta Ed. - Wydawało mi się, że wszystko jest ci potrzebne. Czy te wszystkie rzeczy nie powinny trafić na strych?

- To pokój Andrew, przygotowany na jego powrót - wyjaśnia Susan. - Uznałyśmy, że dzięki temu poczuje się swobodnie, kiedy zobaczy swoje łóżko, w którym będzie mógł spać. Może potrzebować swoich rzeczy.

- A co jeśli kosmici będą ich potrzebować? - dopytuje się Ed. - Co jeśli nie będą jeszcze potrafili stworzyć ci nowego Andrew, bo jak na razie nie wiedzą o nim wystarczająco wiele?

- To nie działa w ten sposób - tłumaczy Susan. - Jesteśmy już blisko. Nie czujesz tego?

- Czuje się dziwnie - wyznaje Ed. - Coś się ze mną dzieje»

- Dojrzałeś, Ed - stwierdza Susan. - Czy to nie fantastyczne? Nie byliśmy pewne, czy w ogóle dostatecznie dojrzejesz.

Bierze go za rękę i podciąga do góry. Czasami zapomina, jaką ma krzepę.

- Więc co teraz będzie? - pyta Ed. - Czy ja umrę? Nie jestem chory. Dobrze się czuję. Co się dzieje, kiedy dojrzewamy?

Popołudniowe światło sprawia, że Susan wygląda starzej, a może po prostu jest starsza. Podoba mu się to: obserwowanie, jak wyglądała Susan jako dziecko, jak będzie wyglądać jako starsza pani. Jak gdyby mieli spędzić ze sobą całe swoje życie.

- Nigdy tego nie wiem - przyznaje Susan. - Chodźmy się przekonać. Zdejmij

spodnie Andrew, a ja powieszę je z powrotem w szafie.

Wychodzą z sypialni i maszerują korytarzem. Rysunki Andrew, pokręta, skale tarczowe oraz poustawiane jedne na drugich lśniące maszyny patrzą za nimi, gdy odchodzą. W tej chwili w pobliżu nie ma żadnych innych Susan. Wszystkie są zajęte na dole. Słyszycy ich postukiwania. Przez chwilę jest tak jak kiedyś, ale jeszcze lepiej. Tylko Ed i Susan we własnym domu.

Ed ściska mocno jej dłoń.

Kiedy Susan otwiera drzwi na strych, okazuje się, że jest on pełen gwiazd. Gwiazdy, gwiazdki, gwiazdeczki. Ed nigdy jeszcze nie widział tylu naraz. Susan zdemontowała dach. Z oddali, ze znajdującego się pod nimi sadu, dolatuje ich woń jabłoni.

Susan siada po turecku na podłodze, a Ed przysiada koło niej.

- Chciałabym, żebyś mi opowiedział jakąś historię - mówi Susan.

- Jaką? - pyta Ed.

- Taką do poduszki? - sugeruje Susan. - Kiedy Andrew był mały, czytaliśmy pewną książkę. Pamiętam historię o ludziach, którzy schodzili pod wzgórze. Spędzali pod nim jedną noc, jedząc, pijąc i tańcząc, a kiedy wychodzili, upłynęło już sto lat. Czy wiesz, ile czasu minęło, odkąd umarł Andrew? Straciłam rachubę.

- Nie znam takich historii - stwierdza Ed. Chwyta się za swą łuszczącą się, zieloną skórę i zastanawia się, jak smakuje. - Jak uważasz, jak wyglądają kosmici? Sądzisz, że wyglądają jak żyrafy? Jak szklane kulki do gry? Jak Andrew? Myślisz, że mają usta?

- Nie bądź niemądry - mówi Susan. - Wyglądają tak jak my.

- Skąd wiesz? - pyta Ed. - Byłaś tu przedtem?

- Nie - odpowiada Susan. - Ale Susan była.

- Możemy zagrać w karty - proponuje Ed. - Albo w zgadywanki.

- Mógłbyś mi opowiedzieć o tym, jak cię poznałam - mówi Susan.

- Nie chcę o tym mówić - stwierdza Ed. - To wszystko należy już do przeszłości.

- Dobra, w porządku. - Susan siada prosto, grzbiet wygina w łuk, przejeżdża swym zielonym językiem po zielonych wargach. Puszcza oko do Eda i mówi:

- Powiedz mi, jaka jestem piękna.

- Jesteś piękna - przyznaje Ed. - Zawsze Uważałem cię za piękność. Wszystkie z was. A ja? Jestem piękny?

- Nie bądź taki - mruczy Susan. Ociera się leniwie o niego. Jej skóra jest ciepła i tłustawa. - Wkrótce zjawią się tu kosmici. Nie wiem, co stanie się potem, ale tego

akurat nie znoszę. Nigdy tego nie znosiłam. Nie lubię czekać. Myślisz, że coś takiego odczuwał Andrew, kiedy był na odwyku?

- Jak go dostaniesz z powrotem, spytaj go. Czemu mnie pytasz?

Przez chwilę Susan milczy. Po chwili odzywa się:

- Sądzimy, że ciebie też damy radę stworzyć. Zaczynamy już rozumieć, jak to działa. W końcu zostaniemy ty, ja i on, i będzie dokładnie tak, jak kiedyś. Tyle tylko, że przerobimy go tak, jak przerobiliśmy mnie. Nie będzie już taki markotny. Zauważyłeś, że nie jestem już markotna? Nie chcesz tego? Nie czuć smutku? I może potem spróbujemy stworzyć jeszcze jakichś ludzi. Zaczniemy wszystko od początku. Tym razem wszystko zrobimy tak, jak należy.

- No więc czemu oni ci pomagają? - pyta Ed.

- Nie wiem - odpowiada Susan. - Albo uważają, że jesteśmy zabawni, albo odwrotnie, uważają nas za żalonych, przez to, jak grzeźniemy w miejscu. Możemy ich spytać, kiedy się tu zjawia.

Wstaje, przeciąga się, ziewa, po czym siada Edowi na kolanach, sięga w dół i wkłada w siebie jego na wpół sterczącego penisa. Tak po prostu. Ed wydaje sieknięcie.

- Susan - bąka.

- Opowiedz mi historię - prosi Susan. Wierci się. - Jakąkolwiek. Wszystko jedno co.

- Nie potrafię opowiedzieć ci historii - wyznaje Ed. - Zapominam wszystkie historie, kiedy robisz coś takiego.

- Przystanę - mówi Susan. Przystaje.

- Nie przestawaj - prosi Ed. - O tak. - Rękoma obejmuje ją w talii i porusza nią, jak gdyby mieszał susanowe piwo.

- Pewnego razu - zaczyna. Mówi bardzo szybko. Kończy im się czas.

Któregoś razu, kiedy się kochali, do sypialni, wszedł Andrew. Nie raczył nawet zapukać. Nie sprawiał wrażenia ani trochę skrępowanego. Ed nie chce pieprzyć się z Susan, kiedy zjawiają się kosmici. Z drugiej strony, chciałby pieprzyć ją bez końca. Nie chce przestawać, ani ze względu na Andrew, ani na kosmitów, ani nawet na koniec świata.

- Byli sobie mężczyzna i kobieta, którzy zakochali się w sobie - opowiada Ed. - Oboje byli miłymi ludźmi. Stanowili dobraną parę. Wszyscy ich lubili. Ta historia jest o tej kobiecie.

Ta historia opowiada o kobiecie, która jest zakochana w kimś, kto konstruuje wehikuł czasu. Planuje udać się tak daleko w przyszłość, że trafi dokładnie do miejsca samego początku. Co jest na samym początku świata? Kropelki życia, które pływają sobie w jakiejś większej kropli? Adam i Ewa w Rajskim Ogrodzie? Nie chce bawić się w Adama i Ewę - ma inne rzeczy do roboty. Pracuje dla firmy przeprowadzającej sondaże. Dzwoni do ludzi i zadaje im rozmaite pytania. Dawniej, na początku, nie będzie telefonów. Nie podoba jej się to. Toteż jej mąż mówi: „W porządku, wobec tego zrobimy tak. Zbuduję ci inną maszynę, a jeśli kiedykolwiek uznasz, że tęsknisz za mną i nie możesz już wytrzymać, wejdź do niej - do tego pudła tutaj - naciśnij ten guzik i zaśnij. A wówczas prześpisz całą podróż do mnie w przód i wstecz, gdzie będę na ciebie czekał. Zawsze będę na ciebie czekał. Kocham cię”. Wobec czego zaczynają się kochać, potem kochają się jeszcze kilka razy, po czym on wsiada do swojego wehikułu czasu i - myk! - tak po prostu znika. Tak szybko, że aż trudno uwierzyć, że w ogóle tam był choć przez chwilę. Tymczasem ona przeżywa swoje życie do przodu, powoli, tak, jak tego nie chciał. Powtórnie wychodzi za mąż, uprawia seks, ma dzieci, które też mają dzieci, a kiedy jest już staruszką, w końcu czuje się gotowa: wchodzi do zakurzonej znajdującej się w sekretnym pomieszczeniu pod sadem skrzyni, naciska guzik i zapada w sen. I przesypia całą podróż wstecz, zupełnie jak Śpiąca Królewna, pod powierzchnią sadu przez całe lata, które przelatują niczym sekundy, a ona przelatuje wstecz, obok siedzących przy pokrytym zielonym suknem mężczyzn, przez chwilę ich widać, po chwili ponownie znikają, a wszystkie pawie skrzeczą, satanista zaś podjeżdża pod dom i wyladowuje całą ciężarówkę mebli, zaciera pentagramy, wkrótce nieśmiały staruszek, rozbierze dom na części, poniesie swą tajemnicę na plecach, a na jabłoniach z powrotem pojawiają się jabłka, potem wszystkie drzewa obsypane są kwieciami, a teraz kobieta młodnieje, tylko trochę, zmarszczki wokół jej ust wygładzają się. Śni o tym, że ktoś wszedł do owego podziemnego pomieszczenia i przygląda się jej oraz wehikułowi czasu. Stoi tam długo. Ona nie może otworzyć oczu, powieki nazbyt jej ciężą, nie chce jeszcze się budzić. Śni o tym, że jest w pociągu, który jedzie do tyłu, a za nim ktoś zbiera podkłady, gwoździe i dźwigary, by włożyć je do pudła, potem odłożą je na bok. Drzewa ze świstem cofają się w czasie, stając się coraz mniejsze - wkrótce i one znikną. Teraz znowu jest dzieckiem, a teraz bobasem, w tej chwili jest jeszcze mniejsza a w następnej wręcz mikroskopijna. Z powrotem ma skrzela. Nie chce jeszcze się budzić, chce cofnąć się do samego początku, kiedy wszystko jest nieruchome, zielone, płaskie i senne, a wszyscy wpełzli do morza i

czekają, aż do nich dołączy, a wówczas będzie mogła rozpocząć się impreza. Cofa się coraz dalej i dalej, i dalej, i dalej, i dalej, i dalej, i dalej, i dalej, i dalej...

- Nasz czas minął - mówi czirliderka do Diabła. - Opóźnimy wszystko. Nie słyszysz, jak dobijają się do drzwi?

- Nie skończyłaś swojej historii - stwierdza Diabeł.

- A ty ani przez chwilę nie pozwoliłeś mi dotknąć swojego ogona - żali się czirliderka. - A poza tym, ona nie ma zakończenia. Mogłabym coś zmyślić, ale ani trochę by cię to nie zadowoliło. Sam to przyznałeś! Nigdy nie jesteś usatysfakcjonowany. A ja muszę wracać do swojego życia. Niedługo wrócę do domu rodzice.

Wstaje i czmycha z szafy, po czym z trzaskiem zamyka drzwi tak szybko, że Diabeł niemal nie może w to uwierzyć. W zamku przekręca się klucz.

Diabeł usiłuje poruszać klamką, a ktoś, kto stoi na zewnątrz, chichocze.

- Ciii - szepcze czirliderka. - Bądź cicho.

- Co tam się dzieje? - niepokoi się Diabeł. - Otwórz drzwi i wypuść mnie... to wcale nie jest śmieszne.

- Dobra, wypuszczę cię - mówi czirliderka. - W końcu cię wypuszczę. Jeszcze nie teraz. Musisz mi najpierw coś dać.

- Chcesz, żebym ci coś dał? - zdumiewa się Diabeł. - No dobra, co to ma być? - Szarpie za klamkę - na próbę.

- Chcę szczęśliwego początku - stwierdza czirliderka. - I żeby moi przyjaciele też byli szczęśliwi. Chcę, żeby mi się dobrze układało z rodzicami. Chcę szczęśliwego dzieciństwa. Chcę, żeby było lepiej. I żeby cały czas wszystko układało się coraz lepiej. Chcę, żebyś był dla mnie miły. Chcę być sławna, bo ja wiem, może mogłabym zostać dziecięcą aktorką albo wygrać konkurs ortograficzny na poziomie stanowym, albo nawet zagrzewać do gry zwycięskie drużyny. Chcę pokoju na świecie. Drugich szans. Kiedy wygrywam w pokera, nie chcę być zmuszona do tego, żeby wkładać wszystkie pieniądze z powrotem do słoika, i żebym nie musiała odkładać moich najmocniejszych kart na samej górze talii jedna po drugiej...

- Przepraszam - mówi Gwiazdeczka. - Zaczynam już chrypieć. Zrobiło się późno. Zadzwoń ponownie jutro wieczorem.

- O której mogę do ciebie zadzwonić? - pyta Ed.

Stan i Andrew byli przyjaciółmi. Dobrymi. To tak, jakby należeli do tego samego gatunku. Od jakiegoś czasu Ed nie widział się ze Stanem, nie był to jakiś szczególnie długi okres, ale Stan go zatrzymał, kiedy ten schodził właśnie do piwnicy. Miało to miejsce nieco wcześniej. Stan chwycił go za ramię i powiedział:

- Brakuje mi go. Ciągle myślę o tym, że gdybym tylko dotarł tam wcześniej... Gdybym coś powiedział. Bardzo cię lubił, wiesz? Gryzł się tym, co stało się z twoim samochodem...

Stan urywa. Stoi w miejscu i tylko wpatruje się w Eda. Wygląda tak, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

- To nie twoja wina - odezwał się Ed, ale zaraz zaczął się zastanawiać, dlaczego to powiedział. Czyja to była wina?

- Masz przestać do mnie wydzwaniać, Ed, rozumiesz? - mówi Susan. - Jest trzecia nad ranem. Spałam. Miałam najpiękniejszy sen. Zawsze budzisz mnie w samym środku. Proszę cię, daj sobie spokój, co?

Ed milczy. Mógłby przesiadzić tam całą noc i tylko słuchać głosu Susan, która teraz mówi:

- Ale nigdy tak nie będzie, i dobrze o tym wiesz. Wydarzyło się coś złego. To nie była niczyja wina, ale po prostu nigdy sobie z tym nie poradzimy. To nas zabiło. Nawet nie jesteśmy w stanie o tym rozmawiać.

- Kocham cię - mówi Ed.

- Ja też cię kocham - odpowiada Susan. - Ale tu nie chodzi o miłość, Ed, chodzi o wycucie czasu. Za późno, i już zawsze będzie za późno. Może gdybyśmy potrafili cofnąć się i urządzić - wszystko inaczej... Myślę o tym przez cały czas, ale wiem, że nie potrafimy. Nie znamy nikogo, kto miałby wehikuł czasu. Wiesz co, Ed? A może ty i twoi kumple od pokera dacie radę go zbudować u Pete'a w piwnicy. Wszystkie te głupkowate gry, Ed! Czemu zamiast nich nie potrafisz skonstruować wehikułu czasu? Oddzwoń, jak już dojdiesz do tego, w jaki sposób moglibyśmy to rozwiązać, bo naprawdę tkwię w miejscu. Albo nie oddzwaniaj. Zegnaj, Ed. Idź się przespać. Odkładam słuchawkę.

Susan odkłada słuchawkę.

Ed wyobraża ją sobie, jak schodzi do kuchni, żeby podgrzać w mikrofalówce szklankę mleka. Będzie siedzieć w kuchni, popijać mleko i czekać, aż znów do niej

zadzwoń. Leży w łóżku, na górze, w znajdującym się w sady domu. Jedne i drugie drzwi sypialni są otwarte, a przez te, które prowadzą donikąd, do wnętrza przenika nocna bryza. Chciałby nakłonić Susan do tego, żeby przyszła obejrzyć te drzwi. Bryza pachnie jabłkami - pewnie czas ma podobną woń, myśli Ed.

Na podłodze obok łóżka stoi budzik. Wskazówki i cyfry lśnią w ciemności na zielono, on zaś odczeka pięć minut, po czym zadzwoni do Susan. Pięć minut. Potem znów do niej zadzwoni. Wskazówki nie poruszają się, ale on może poczekać.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim dziękuję mojej rodzinie: Annabel Jones Link, Billowi i Lindzie, Holly, Benowi, Edwinowi i Lou Jones. Dziękuję mojej agentce, Renee Zuckerbrot, za jej troskę i cierpliwość. Dziękuję również Richardowi Butnerowi, Barb Gilly, Gwendzie Bond, Christopherowi Rowe, Johnowi Kesselowi, organizatorom i uczestnikom warsztatów Sycamore Hill, Jonathanowi Letbemowi, Jeffreyowi Fordowi, Maureen F. McHugh, Walterowi Jonowi Williamsowi, organizatorom i uczestnikom warsztatów w Rio Hondo, Sarze Smith i CSFW, Kimowi Stanleyowi Robinsonowi, Seanowi Stweartowi, Chinie Mieville'owi, Jimowi Cambiasowi i Diane Kelly, Jedediahowi Berry'emu, Vincentowi McCaffery'emu i Thais Coburn, Yoshio Kobayashiemu, Jackowi Chengowi i Julie Crosson, Adzie Vassilovski i Peterowi Cramerowi, Julide Aker i Andrew Cohenowi, Batu Ermanowi, za to, że użyczył mi swojego imienia, Fleur Penman i Mike'owi Moreau, który uratował porzucone kanapy, „Rozmówkom Tureckim” wydawnictwa Lonely Planet za pomoc ze zwrotami, Hugh Fowlerowi, Jimowi Bakerowi, Charlesowi Brownowi, Veronice Schanoes, Eileen Gunn i Johnowi Berry'emu, Eliani Torres, Holly Black, Joshua Lewisowi, Cassandrze Claire, Haymarket i Java-Net. Dziękuję Paulowi Ingramowi, Michy Hershmanowi i Deb Tomaselli oraz wszystkim sprzedawcom książek za ich entuzjizm i wsparcie dla Stranger Things Happen. Dziękuję the Magnetic Fields oraz Future Bible Heroes - Claudii Gonson, Chrisowi Ewanowi, Stephinowi Merrittowi - za to, że pozwolili mi otworzyć swój występ. Dziękuję redaktorom: Ellen Datlow, Terri Windling, Sharyn November, Jimowi Frenkelowi, Peterowi Straubowi, Michaelowi Chabonowi Bradfordowi Morrowowi, Tedowi Thompsonowi. Dziękuję moim studentom z warsztatów Clarion oraz pisarzom z Online Writing Workshop. Dziękuję: Christopherowi Barzakowi za to, że przysyłał mi płyty CD z Japonii, Karen Joy Fowler za kaplicę ślubną, Williamowi Smithowi za filmy o zombie, Shelley Jackson za wiele rzeczy, Gavinowi J. Grantowi za wszystko.

OD TŁUMACZA

Magia dla początkujących, to drugi zbiór opowiadań Kelly Link, pierwotnie opublikowany w 2005 roku. Jak dotąd książka miała trzy wydania w języku angielskim: dwa w USA oraz jedno w Wielkiej Brytanii. Zgodnie z życzeniem pisarki podstawą polskiego przekładu stało się drugie amerykańskie wydanie książki, które dość znacznie różni się od pierwszego, zwłaszcza w opowiadaniach *Kocia skóra* oraz *Plany awaryjne na wypadek ataku zombie*, w których pisarka dokonała pewnych zmian oraz skrótów. Drobniejsze korekty i zmiany pojawiają się również w innych tekstach. Książka - podobnie jak pierwszy, debiutancki tom opowiadań amerykańskiej pisarki z 2001 roku zatytułowany *Stranger Things Happen* - została przetłumaczona na czeski, francuski, japoński, koreański, niemiecki, rosyjski, rumuński, węgierski i włoski.